PODWÓJNY NUMER: ODETCHNIJ NA MAJÓWCE!

| W OBJĘCIACH DRZEW | NAJDROŻSZY LEONARDO | NOTRE DAME ŻYJE
| NOWY CESARZ JAPONII | NATURA WŁÓCZYKIJA | WNUKI DINOZAURÓW

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE



Kraków 28 IV–5 V 2019 nr 17-18 (3642-3643) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Wiosna nasza!

ROSIAK, BONIECKI, BIEŃCZYK
DZIEWIT-MELLER, JAGIELSKI
STANKIEWICZ, ROBIŃSKI
PODSIADŁO, SNYDER
ZAJĄCZKOWSKA
ORAZ
KAROLINA CICHA

W NUMERZE DODATKI:

NATURA WŁÓCZYKIJA
PAN MONIUSZKO ZAPRASZA NA URODZINY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

PREMIERA na 30-lecie
nowej Polski!



Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.



weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności”
JUŻ W SPRZEDAŻY w salonach prasowych
i punktach z dobrą prasą. Więcej informacji
powszech.net/smakwolnosci

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY WYDANIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI // RYSUNEK PATRYK SROCZYŃSKI

KS. ADAM

Boniecki: *Pod lipą*



Drzewa są ważne. Dla mnie są ważne szczególnie, bo kiedy moim rodzicom urodziło się pierwsze dziecko, ojciec dla upamiętnienia tego wydarzenia posadził las. Las nazwał imieniem pierworodnego. Tym synem byłem ja. Prawdę mówiąc nie wiem, czy ojciec posadził las dlatego, że ja się urodziłem, czy może ja się urodziłem, kiedy ojciec sadził las. Fakt, że las nosił moje imię. Był już taki przypadek w rodzinie. Adam B., autor znanego herbarza, z okazji narodzin potomka też posadził las i też nazwał go od imienia syna Michalinek. Jego syn Michał zmarł, zanim go poznałem, ale las Michalinek dobrze znałem. „Mój las" ostatni raz widziałem w wieku siedmiu lat. Wtedy to był bardzo młody las, siedmioletni. Potem z tamtego miejsca wyrzucili nas Niemcy (była okupacja). Zabrali las, dom i w ogóle wszystko. Po wojnie powstał tam pegeer. Dom, murowany dwór zbudowany przez moich przodków w XIX wieku w miejsce XVI-wiecznego, drewnianego, zniknął z powierzchni ziemi. A las? Nawet nie wiem, czy przetrwał. Jeśli przetrwał, to za piętnaście lat będziemy mieli po sto lat. Las i ja. Niestety, nikt już nie pamięta, który z okolicznych lasów nosił moje imię.

Inna historia. W 1969 r. młody ks. Jan Glica został wysłany do pracy w Brazylii. Niedługo po przyjeździe, w Kurytybie, na placu, na którym miał powstać (i powstał) kościół i dom zakonu, posadził palmę. Pokazał mi ją kilka lat temu. Była wspaniała, wyższa niż dom. W tym roku Jan obchodzi złoty jubileusz swojej pracy w Brazylii. Przypominano jego liczne zasługi, ale o palmie nikt nawet nie wspomniał.

W Czarnolesie już dawno nie ma lipy uwiecznionej przez Mistrza Jana w księgach wtórych „Fraszek": „Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie!". Ale za to któż z nas nie oglądał przynajmniej kilku „lip Sobieskiego", silnie jakoś rozproszonych. Pod każdą, według tradycji, zwycięzca spod Wiednia osobiście siedział. Wygląda na to, że król Jan, gdziekolwiek się znalazł, widząc lipę, czuł nieprzepartą potrzebę usiądnięcia pod nią.

Siadał, nie siadał, drzewa są idealnym miejscem przechowywania pamięci. Spokojne trwanie drzewa, trwanie na jednym miejscu, do którego wracając po latach sprawdzamy, czy ono nadal tam jest, wydaje się zaprzeczeniem naszej zmienności i nieubłaganego przemijania: „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las".

Może dlatego przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie to, co kiedyś zobaczyłem w Kamerunie. Kiepską drogą sunął sznur ciężarówek. Na każdej leżał jeden gigantyczny, pozbawiony gałęzi pień drzewa wyciętego w dżungli. Prawdopodobnie rosło tam od stworzenia świata. Tymczasem kameruńscy potentaci (szeptano, że sam prezydent) do spółki z francuskimi pustoszyli kameruńskie lasy, by we Francji produkować z nich parkietowe klepki, budować wymyślne schody, robić drogie meble czy wykładać ściany francuskich pałaców i willi. Biedni kierowcy ciężarówek nie mieli spokojnego sumienia. Kiedy spostrzegli, że fotografuję ten ich ponury konwój, zatrzymali się, zaczęli wygrażać w moją stronę. Kilku wysiadło z ciężarówek i krzycząc szli w naszym kierunku. Nie wiem, co mogło być dalej, bo zdążyliśmy wskoczyć do samochodu i uciec.

Drzewa zawsze były symbolem mocy i trwania. Biblia mówi: „sprawiedliwy zakwitnie jak palma, rozrośnie się jak cedr na Libanie" (Ps 92, 13-16). Co będzie z tym symbolem, kiedy wszystkie stare cedry przerobimy na klepkę podłogową? Klepka, nawet cedrowa, nie stanie się symbolem. Wystukałem w wyszukiwarce „cedr" i natychmiast znalazłem reklamę: „Firma XY jest autoryzowanym dystrybutorem paneli. Podłoga Cedry Libanu (...). Cena dostawy do Klienta uzależniona jest od ostatecznej wagi przedmiotu". Kupujcie. Taki cedrowy panel na podłogę nie jest stosunkowo drogi.

Tylko co się stanie z nami, kiedy już wszystkie cedry świata przerobimy na panele podłogowe? ©℗

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast



ARTUR BROZONOWICZ

Rohingowie: lud wygnany

Posłuchaj: tak brzmi obóz Balukhali. Jeden z 36 olbrzymich obozów w Bangladeszu przy granicy z Birmą. Rohingowie uciekający przed czystkami etnicznymi i okrucieństwem birmańskiego wojska utknęli w nich bez formalnego statusu uchodźców. A teraz Bangladesz chce ich przesiedlić. Na bezludną wyspę.
Jak ten lud znalazł się na linii frontu globalnych interesów? Posłuchaj reportera „TP" Marka Rabija i opowieści samych Rohingów.

Słuchaj na powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„TP" 15 / 2019

Antydepresanty nie uzależniają, a mogą uratować życie!

Leki przeciwdepresyjne są dostępne od końca lat 50., a ich zróżnicowanie pozwala na indywidualne dostosowanie leczenia do problemów pacjenta. W artykule pt. „W moich żyłach płynie lexapro" Marta Zdzieborska pisze: „Antydepresanty ratują życie, ale – nadużywane – potrafią z niego uczynić piekło". Zgadzamy się w pełni z pierwszą częścią tej wypowiedzi. Depresja bywa chorobą śmiertelną, zabija około 15 proc. chorych, a jej prawidłowe leczenie częstokroć ratuje życie. Jako Polskie Towarzystwo Psychiatryczne chcielibyśmy się odnieść do niektórych mitów i wątpliwości związanych ze stosowaniem leków przeciwdepresyjnych. Dyskusja na temat ich efektywności została podsumowana w pracy naukowej Andrei Ciprianiego i współpracowników, opublikowanej w prestiżowym medycznym piśmie „Lancet". W oparciu o dane na temat leczenia 116 477 osób z depresją autorzy jednoznacznie stwierdzili, że leki przeciwdepresyjne rzeczywiście skutecznie leczą depresję. Natomiast antydepresanty nie są „pigułką szczęścia". Pomagają uwolnić się od symptomów depresji, ale nie rozwiązują problemów życiowych. Pacjent głęboko cierpi, co wpływa na każdy aspekt życia osobistego i zawodowego. Poprawa objawowa jest pierwszym krokiem do głębszych zmian, np. z pomocą psychoterapii. Człowiek, który nierealistycznie oczekuje, że lekarstwo uwolni go od ciężarów życia, niewątpliwie poczuje się rozczarowany. Nie zawsze negatywne odczucia w trakcie przyjmowania leków wynikają z ich działania. Należy spojrzeć na cały kontekst. Na przykład informacja o spożywaniu alkoholu czy narkotyków stawia sprawę w innym świetle. U przedstawionej w artykule osoby nadużywanie tych substancji wydaje się nie budzić niepokoju, natomiast stosowanie leków wszechstronnie przebadanych, zarejestrowanych i przepisanych przez lekarza – tak. Objawy w okresie przyjmowania leków mogą wynikać z historii życia pacjenta, nastawienia do leczenia, obaw, bieżących stresów czy różnych współistniejących problemów zdrowotnych. Leki przeciwdepresyjne nie uzależniają! Wręcz przeciwnie, wspomagają terapię u osób uzależnionych od innych substancji psychoaktywnych, u których wystąpią objawy depresyjne i lękowe. Natomiast odstawia się je powoli, pod kontrolą lekarza, gdyż mogą wystąpić nieprzyjemne, choć niegroźne i przemijające objawy. Depresja to obecnie jeden z wiodących problemów zdrowotnych, a jej leczenie może być skuteczne i bezpieczne. Każde niepowodzenie wymaga wnikliwej analizy. Nie zawsze farmakoterapia jest postępowaniem pierwszego rzutu, w łagodniejszej chorobie najpierw zalecamy psychoterapię. Często jednak leki są konieczne, a nieprawdziwe i budzące lęk przed nimi informacje są szkodliwe społecznie, gdyż mogą spowodować, że ktoś chory nie zgłosi się po pomoc i przypłaci to życiem.

W imieniu Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego prof. dr hab. AGATA SZULC – prezes PTP, prof. dr hab. DOMINIKA DUDEK – wiceprezes PTP

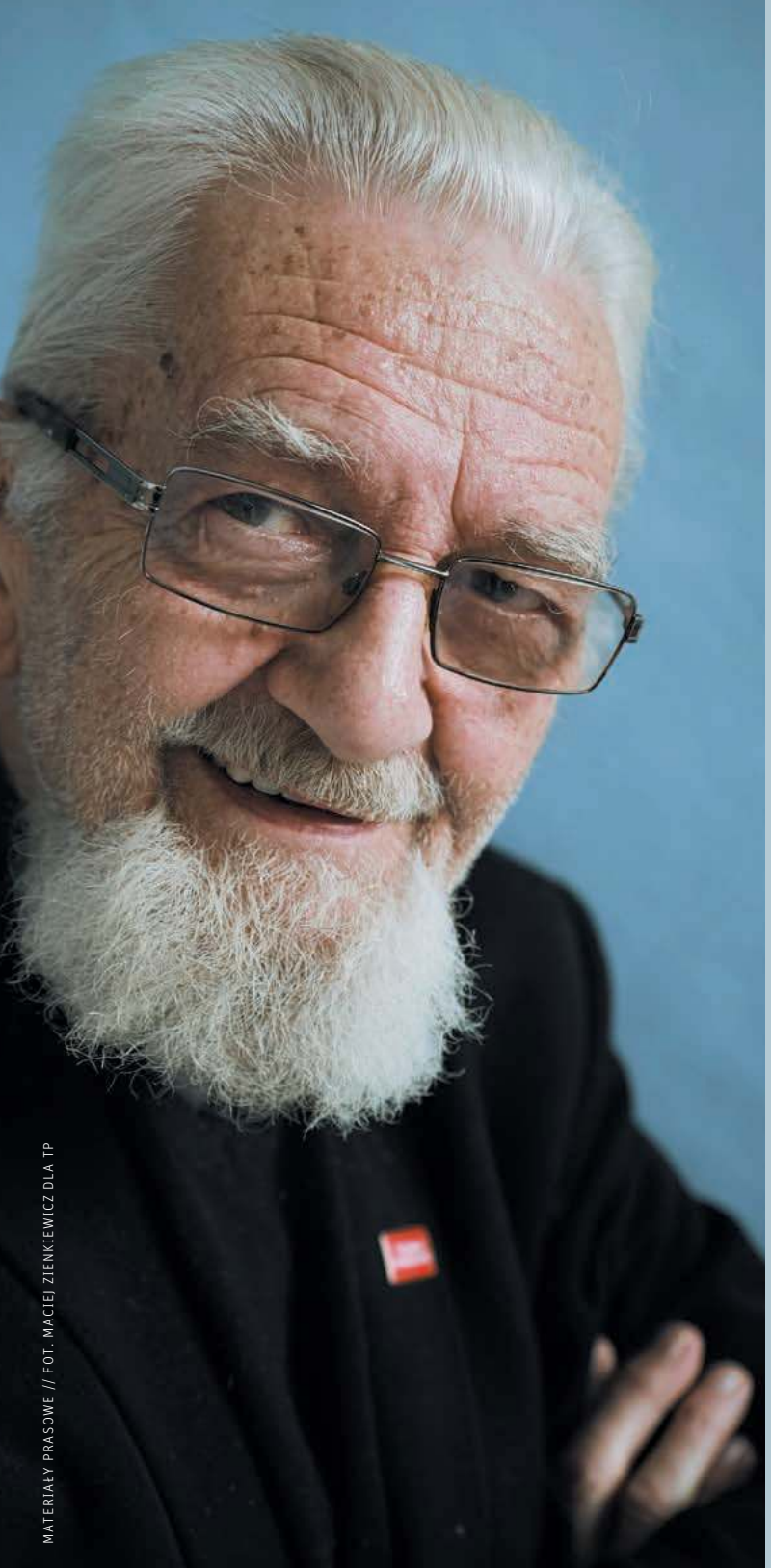
Popiół, diament i wino

W nawiązaniu do artykułu Michała Bardela pt. „Człowiek, który słuchał wina" sprzed półtora roku, chciałbym się podzielić moim małym odkryciem. Tak się złożyło, że w sierpniu ubiegłego roku ja i mój kalifornijski przyjaciel jednocześnie przeszliśmy na emeryturę. Na dobry jej początek Olek zaprosił mnie do siebie. Przez pięć tygodni gościłem u niego i jego żony Joli na przedmieściu Napa (miasto powiatowe z około 80 tysiącami mieszkańców, leżące w dolinie i nad rzeką o tej samej nazwie, oddalone od San Francisco 70 km) i podziwiałem uroki Kalifornii. Jako że klimat tych stron wybitnie sprzyja dojrzewaniu winogron (o czym szczegółowo mówi wspomniany wyżej artykuł), winnic z winiarniami w Dolinie Napa jest około 300, a według niektórych źródeł nawet 600. Udało nam się „zaliczyć" kilkanaście z nich, w kilku degustowaliśmy różne wina.



Pewnego razu, gdy wjeżdżaliśmy do nowo powstałej winnicy, uwagę naszą przykuła jej nazwa: „ASHES & DIAMONDS". Od razu nasunęło nam się podejrzenie, że być może właściciel polskiego pochodzenia (często trafialiśmy na ślady Winiarskiego!) nazwał ją tak na cześć filmu Andrzeja Wajdy. Gdy podjechaliśmy na parking i przywitała nas hostessa, zapytaliśmy ją o pochodzenie nazwy. Odpowiedziała, że wzięła się od tytułu słynnego polskiego filmu! Winnicę założył bardzo znany winiarz irańskiego pochodzenia, który przekazał ją synowi. Ten po obejrzeniu kilka lat temu „Popiołu i diamentu" nazwał ją tak właśnie na jego cześć! Na dowód tego hostessa zaprowadziła nas do reprezentacyjnej sali, gdzie na honorowym miejscu wisi olbrzymi plakat. Wszystko to zgadza się z artykułem zamieszczonym w kwietniu 2018 r. w internecie przez „Vogue", w którym wypowiada się między innymi obecny właściciel winiarni, Kashy Khaledi. Całkiem niedawno, będąc w gdańskim Europejskim Centrum Solidarności, podzieliłem się moim kalifornijskim odkryciem z panią Krystyną Zachwatowicz. Wydaje mi się, że sprawiłem jej trochę radości. Teraz informuję o tym „Tygodnik", załączając kilka zdjęć. A wspomniany artykuł Michała Bardela, gdy tylko ukazał się w „Tygodniku", zeskanowałem i wysłałem przyjaciołom z Doliny Napa. Pozdrawiam całą prześwietną redakcję „Tygodnika", którego razem z żoną jesteśmy wiernymi czytelnikami od pamiętnego roku 1984, ściskając szczególnie mocno księdza Adama Bonieckiego.

ADAM MRÓWCZYŃSKI



MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!
Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:
WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.
Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.
To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

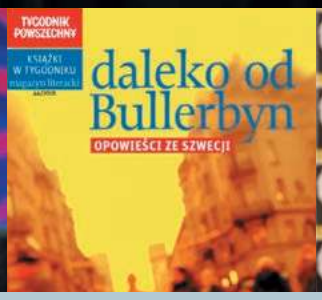
Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:



Conrad Festival



magazyn literacki „Książki w Tygodniku”



Lekcje Czytania



cykl Wielkie Pytania na Nowo



Copernicus Festival

TEMAT „TYGODNIKA”



16 My w objęciach drzew
ADAM ROBIŃSKI
W 2015 r. policzono, że na Ziemi rośnie ich mniej więcej 3,04 biliona. Co wiemy dziś o drzewach?

20 Korzenie i korony
ROZMOWA Z JANEM RYLKEM, ARCHITEKTEM KRAJOBRAZU:
Tak jak człowiek potrzebuje spotykać się z innymi ludźmi, tak drzewo potrzebuje spotykać się z innymi roślinami i zwierzętami.

111 Notre Dame: ogień i lód
DARIUSZ ROSIAK
To naturalne, że szukamy sensów w tragedii, która wydarzyła się w Paryżu. Katedra Notre Dame to symbol: religijny, kulturowy, ważny ślad historii. Pójdźmy więc tą drogą...





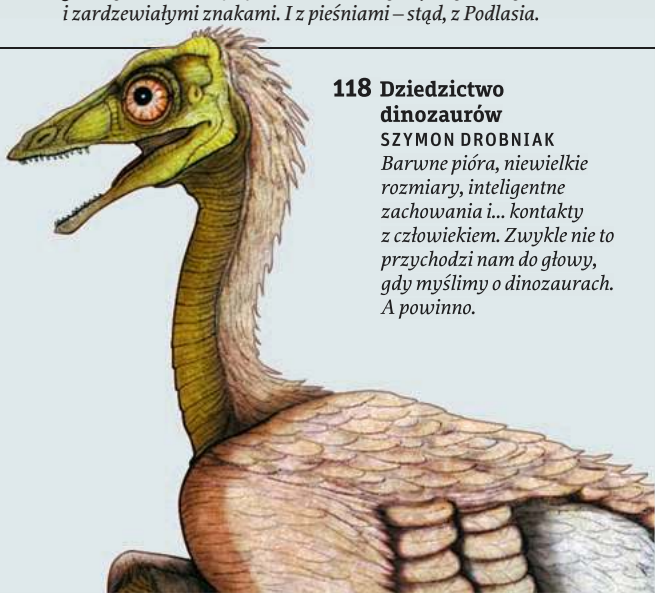
92 Koniec burzliwej epoki
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Współczesną Japonię można odmalować w dwóch barwach: mrocznej i całkiem jasnej. Rzeczywistość rozpina się gdzieś pomiędzy. To trochę jak z oceną kończącej się właśnie ery Heisei.



130 Świat Karoliny Cichej
MARCIN ŻYŁA
Będzie to podróż opłotkami: wzdłuż torów, którymi w stronę granicy wolno toczą się towarowe składy, z pustym horyzontem i zardzewiałymi znakami. I z pieśniami – stąd, z Podlasia.

148 Kto bogatemu zabroni?
MAGDALENA ŁANUSZKA
W pięćsetną rocznicę śmierci Leonarda da Vinci warto to sobie powiedzieć: on był bardziej naukowcem i inżynierem niż malarzem.





118 Dziedzictwo dinozaurów
SZYMON DROBNIAK
Barwne pióra, niewielkie rozmiary, inteligentne zachowania i... kontakty z człowiekiem. Zwykle nie to przychodzi nam do głowy, gdy myślimy o dinozaurach. A powinno.

SAMUEL CORUM / ABACA / EAST NEWS // CHRISTOPHE PETIT TESSON / AFP / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA / GETTY IMAGES // WIKIPEDIA // CHARLY TRIBALLEAU / AFP / EAST NEWS

8-14 OBRAZ TYGODNIA

24-25 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

26 Prawo i Solidarność
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Czy Piotr Duda jest liderem „S”

30 Przerabianie szkoły
ROZMOWA Z MARCINEM BRUSZEWSKIM

34 Kiedy sąd zastępuje rząd
KLAUS BACHMANN

38 Piekło pracy
RAFAŁ WOŚ *#przemocwpracy*

■ ■ OPINIE

42 Zabij historię, zabijesz demokrację
ROZMOWA Z TIMOTHYM SNYDEREM

■ ■ WIARA

74 Katecheci i frustraci
SEBASTIAN DUDA
Kościół a strajk nauczycieli

78 Nie ma Sodomy
ROZMOWA Z O. JAMESEM MARTINEM SJ

81 Niewiasty, wiejadła i inni winowajcy
MACIEJ MÜLLER
Wszystkie błędy Biblii Tysiąclecia

86 Sprzedawcy marzeń
EDWARD AUGUSTYN *o ojcu ojca Pio*

■ ■ ŚWIAT

92 Koniec burzliwej epoki
PIOTR BERNARDYN
Blaski i mroki nowej Japonii



DO LASU

Specjalny dodatek dla ruchliwych! A w nim:
Jacek Podsiadło opowiada, jak w latach 80. wspierał mazurską wieś swą siłą roboczą, Michał Książek radzi, jak zasnąć w wierzchołku świerka, Anna Kamińska odwiedza Jagiełłę w Puszczy Białowieskiej, Adam Robiński zdradza, dokąd ucieknie w obliczu końca świata, a Urszula Zajączkowska pisze o rezerwatach Homo sapiens, czyli miejskich parkach.

DODATEK SPECJALNY

Pan Moniuszko zaprasza na urodziny

■ FELIETONY ■

37 ANNA DZIEWIT-MELLER **90** SZYMON HOŁOWNIA
146 JAN KLATA **146** LEKTOR **147** PAWEŁ BRAVO
154 STANISŁAW MANCEWICZ
154 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KAROLINA CICHA
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący:
PIOTR MUCHARSKI

96 Wirtualny front ukraiński
PAWEŁ PIENIĄŻEK

99 Nie spieszmy się ze śmiercią
MARTA ZDZIEBORSKA
Kalifornia wprowadza moratorium

102 Rok 1994, 25 lat później
WOJCIECH JAGIELSKI
RPA, Rwanda, dobro i zło

■ ■ HISTORIA

106 Dajcie tu Stańczyka!
PIOTR HAPANOWICZ

111 Notre Dame: ogień i lód
DARIUSZ ROSIAK

■ ■ NAUKA

114 Nie próbujcie tego sami
BARTOSZ KABAŁA
Przypadki lekarzy, którzy testowali leki i procedury na sobie

118 Dziedzictwo dinozaurów
SZYMON DROBNIAK

■ ■ KULTURA

130 Świat bez środka
MARCIN ŻYŁA *o Karolinie Cichej*

136 Edmund Maksymalny
MAREK BIEŃCZYK
o Edmundzie Niziurskim

138 Zwodnicza Raja
PAWEŁ BRAVO *o Elenie Ferrante*

142 Z celi DARIUSZ KOSIŃSKI
o Peterze Brooku

144 Persona zabójcy
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Podły, okrutny, zły”

■ ■ ZMYSŁY

148 Kto bogatemu zabroni?
MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

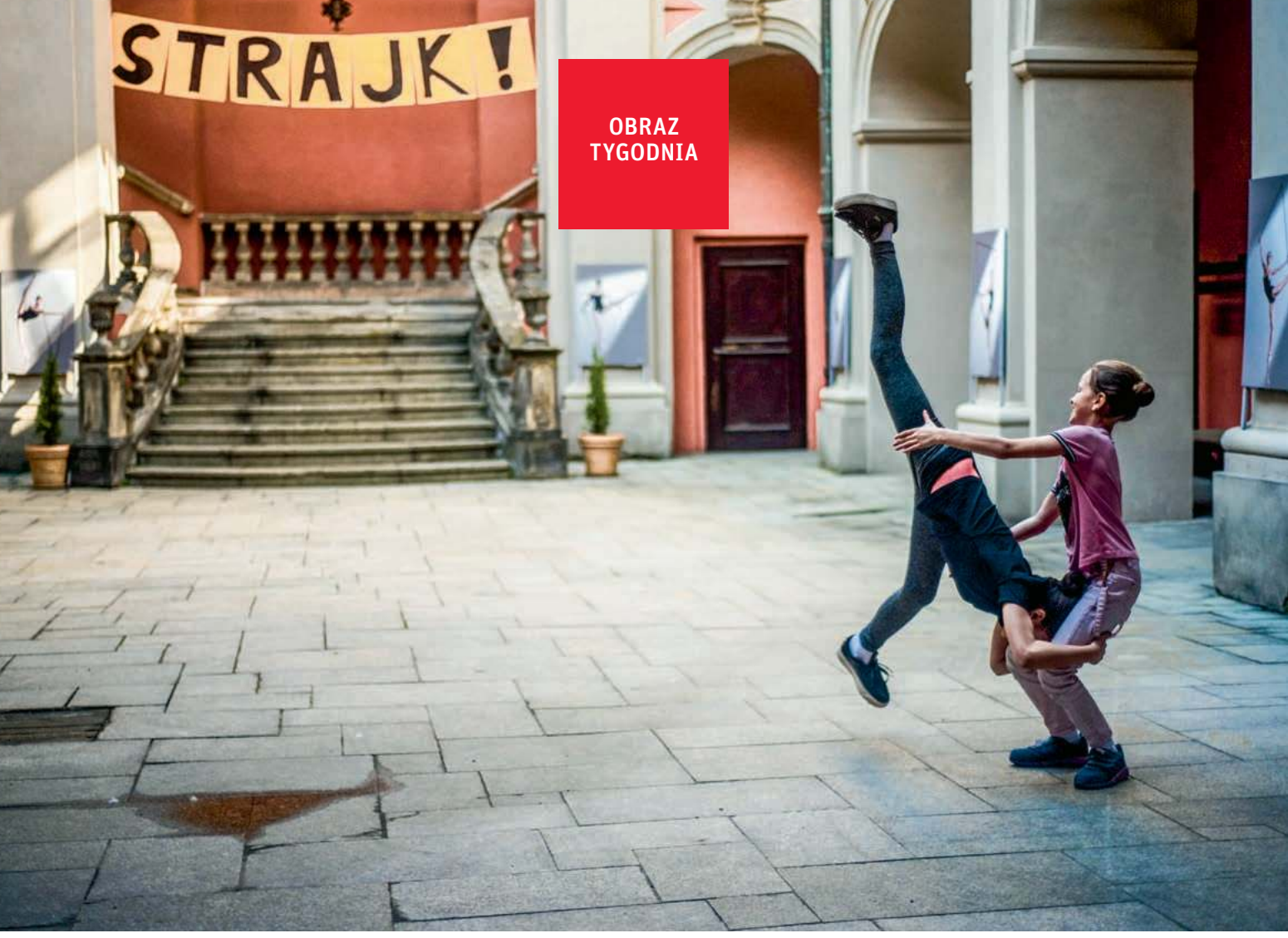
Zmarły, zanim zdołały się na dobrą sprawę urodzić. Uśmiercił je anty-pracowniczy klimat III RP. Państwowa Inspekcja Pracy wystawiła właśnie akt zgonu – **RAFAŁ WOŚ** *pisze elegię dla rad pracowniczych.*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Notre Dame: symbole nie płoną

Takiej solidarności nie było nawet po atakach terrorystycznych. Po pożarze Francuzi zamiast „Notre”, pisali „Ma Dame de Paris”. Moja. Kościoły są dla nich ważne. Nawet gdy są puste – **MAGDA RUTA** *o pożarze Notre Dame rozmawia z chórzystą katedry, paryskim pisarzem, politologiem, małżeństwem z przedmieść Paryża...* **powszech.net/notredame**



/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny



OBRAZ TYGODNIA

MAREK ŁAPIS / FORUM

8. dzień strajku w Ogólnokształcącej Szkole Baletowej im. Olgi Sławskiej-Lipczyńskiej w Poznaniu, 15 kwietnia 2019 r.

REPREZENTACJA POLSKI W GRZE POZORÓW

Jeśli związkowcy nie zmienią taktyki, oświatowy strajk skończy się wkrótce porażką nauczycieli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

O ile w najbliższych dniach nie wydarzy się cud (ten numer „Tygodnika" zamykamy w Wielki Piątek), 26 kwietnia dojdzie do zainicjowanego przez rząd edukacyjnego okrągłego stołu, negocjacyjnej ostatniej szansy przed majowymi maturami. W rozmowach mają wziąć udział – poza stroną rządową i związkową – także nauczyciele, pedagodzy, eksperci i opozycja. Miejsce spotkania to – z nie do końca jasnych powodów – warszawski Stadion Narodowy. Na co dzień arena kojarzona z występami piłkarskiej reprezentacji Polski.

Gdyby próbować streścić dotychczasową historię negocjacji rząd–ZNP właśnie językiem piłki („gry błędów", jak lubią mawiać dziennikarze sportowi), pierwsza ich faza to seria kiksów obozu władzy. To premier Morawiecki rzucił, że nauczyciele mają „trochę więcej czasu wolnego", to znowu prezydencki minister Krzysztof Szczerski zachęcał pedagogów

do rozmnażania się i pobierania z tego tytułu 500 plus, gdyż „nie obowiązuje ich celibat”. Tyle że PiS z aroganckiej retoryki dość szybko się wycofało: wypowiedzi stały się bardziej pojednawcze; politycy obozu władzy powtarzali „przekaz dnia”, że nauczyciele zasługują na więcej i „jak każda grupa zawodowa mają prawo do strajku”; do drugiego szeregu schowano – służącą obecnie za tło wypowiadającej się przed kamerami Beaty Szydło – architektkę reformatorskiego chaosu Annę Zalewską. A ZNP zabrakło pomysłów na przejęcie inicjatywy, bo organizację „społecznego komitetu poparcia” – złożonego w większości z postaci kojarzących się z „anty-PiS-em” – trudno uznać za przełom w dziele przekonywania Polaków, że nauczycielski protest ma ponadpolityczne poparcie.

Efekt tej rozgrywki? Dynamika strajku wyraźnie osłabła – nawet wedle obliczeń ZNP z akcji wycofało się około 15 proc. biorących w niej wcześniej udział placówek. W dodatku spadło – i tak wcześniej niezbyt duże – poparcie dla strajkujących w sondażach. To pokłosie błędów ZNP: związkowi nie udało się ani zablokować dotychczasowych egzaminów, ani swojej słabości przekuć w siłę, ogłaszając np. zawieszenie protestów w najbardziej newralgicznych dla uczniów momentach. To PiS odgrywa dziś – dość skutecznie – rolę „obrońców dzieci”.

Czy ktokolwiek wierzy, że równie skutecznie obóz władzy zainicjuje na Stadionie Narodowym – potrzebną skądinąd, co przyznają wszyscy – wielką edukacyjną debatę w „czterech obszarach”? (Konia z rzędem temu, kto wyjaśni logikę tematycznego podziału tych obrad na „uczniów”, „nauczycieli”, „jakość edukacji” oraz „nowoczesną szkołę”). Ponad trzy lata po objęciu władzy, czasie aż nadto wystarczającym, by w miejsce powodujących wyłącznie bałagan reform choćby zaproponować rewolucję w systemie kształcenia nauczycieli? W świetle kamer? Z nożem na gardle tuż przed maturami? Nie żartujmy: czeka nas na Narodowym wielka narodowa gra pozorów, dostarczająca tyle samo merytorycznej treści, co kolejne pompatyczne oświadczenia premiera („Chciałbym, żeby w wyniku tego okrągłego stołu wszyscy byli wygrani”). Strajkującym grozi zaś wkrótce porażka, o ile ZNP nie zmieni protestacyjnej taktyki. ©℗

Tylko błędy PiS-u mogą pomóc opozycji



JAROSŁAW FLIS

Zarejestrowane już listy w wyborach PE nie zostawiają złudzeń – centrowi wyborcy będą mieć w tym roku bardzo trudny wybór. Szczególnie ci, którzy pamiętają nie tylko najgorsze wydarzenia minionych czterech lat, ale i te z początku tysiąclecia.

Dla wielu to wcale nie było tak dawno. Szybki przegląd list Koalicji Europejskiej wprawia w zdumienie, gdy sprawdzimy biografie połowy bardziej wyróżniających się postaci – tych zajmujących czołowe miejsca, czy też choćby byłych posłów i marszałków województw. Jeśli zważyć ich kandydatury zajmowanym miejscem i wielkością okręgu, to największą grupą – ponad 40 proc. wagi – są ci, którzy byli w zapleczu rządu Leszka Millera w latach 2001-03. Zaczynając od ministrów, na asystentach posłów kończąc. Ci, którzy byli w kręgu PO – największej wtedy partii opozycyjnej – to niewiele ponad jedna trzecia składu. Platforma, która na punktowaniu afer tamtego rządu zbudowała swoją startową pozycję, została teraz zdominowana przez ludzi obozu, który tak spektakularnie wtedy przegrał. Stało się tak krok po kroku – najpierw było wyciąganie outsiderów, jak Rosati, potem tych trochę technokratycznych, jak Hübner i Belka. Skończyło się na postaciach sztandarowych, jak Cimoszewicz i sam Miller.

Na listach trudno za to znaleźć kogoś, z kim mógłby się utożsamić nurt stateczny, republikańskiego mieszczaństwa, dla którego kiedyś PO była oczywistym wyborem. W sondażach widać, że prawe skrzydło zwolenników PO w wyborach sejmowych na pytanie o te europejskie, bardzo często odpowiada „trudno powiedzieć...”.

Analiza każdych kolejnych wyborów prowadzi do takich samych wniosków – sama niechęć do PiS to stanowczo za mało, by wygrać. Ci, którzy nie potrafią sobie wyjaśnić, dlaczego PiS wciąż w sondażach trzyma się mocno, pomimo tylu akcji śmiesznych i strasznych, szukają odpowiedzi pod złym adresem. To nie jest problem „ciemnego ludu”. Jedyne, co może opozycji pomóc, to fakt, że druga strona robi takie same błędy. Na listach PiS też nie da się znaleźć nikogo, kto mógłby przemówić do umiarkowanego wyborcy. ©℗

Europaleta Kaczyńskiego

TUŻ PRZED WIELKANOCĄ Jarosław Kaczyński, na co dzień widywany na scenie politycznej raczej w budce suflera, zjawił się na konferencji prasowej i zdradził, że właśnie wystosował do rywali ważny apel.

„Chodzi o to, aby partie, łącznie z PiS, zagwarantowały, że w Polsce nie zostanie wprowadzone euro, zanim nie osiągniemy rozwoju państw Zachodu” – wyjaśnił prezes.

O porzuceniu złotego – do czego zobowiązuje Polskę traktat akcesyjny, nie wyznaczając nam jednak żadnych terminów – w polskiej polityce nie słychać od lat. Bo i nie ma o czym mówić. Do przeżywającej trudności strefy euro nie pali się dziś w Polsce właściwie nikomu. Przedsiębiorcy wiedzą, że im bardziej słabnie złoty, tym łatwiej jest im walczyć o kontrakty z rywalami, którzy mają u siebie euro. Do polityków dotarło, że po przyjęciu wspólnej waluty oddadzą kompetencje monetarne Europejskiemu Bankowi Centralnemu. Obywatelom – jeśli wierzyć badaniu zleconemu niedawno przez jeden z tabloidów – również do euro niespieszno, bo aż 65 proc. ankietowanych woli zatrzymać w portfelach złotego.

Przywołanie euro na polityczną scenę opłaca się natomiast Kaczyńskiemu. Deklaracja o nieprzyjmowaniu wspólnej waluty nie kosztuje go nic. Zyska natomiast w oczach twardego elektoratu, któremu strefa euro kojarzy się z utratą tożsamości narodowej, laicyzacją i mackami niemieckich kapitalistów, którzy będą „seksualizować” polskie dzieci. Mówić tak knajackim językiem w przeddzień wyborów do Parlamentu Europejskiego Kaczyńskiemu jednak nie wypada, wchodzi więc na tę europaletę jak na stołeczek podczas miesięcznic smoleńskich i po prostu podsuwa zwolennikom odpowiedni trop.

Oni będą już wiedzieli, co z nim zrobić.

©℗ MAREK RABIJ

EWA DAWIDZIUK:

Ośrodek w Gostyninie: ani szpital, ani więzienie



MATERIAŁY PRASOWE

ANNA GOC: Jak określiłaby Pani funkcję, którą pełni ośrodek dla osób uznanych za stwarzające zagrożenie w Gostyninie?

EWA DAWIDZIUK: Zgodnie z ustawą z 2013 r. Krajowy Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie powstał, by leczyć groźnych przestępców. Powinny tam trafiać osoby nie chore psychicznie, lecz zaburzone. Ale faktycznie jest to miejsce pozbawienia wolności, w którym bezterminowo izoluje się tych ludzi od społeczeństwa.

Po ostatnich wizytach Rzecznika Praw Obywatelskich w ośrodku można mieć wątpliwości, czy warunki tam panujące umożliwiają prowadzenie terapii. Chodzi o napięcia między pacjentami a personelem, kilkuosobowe pokoje z piętrowymi łóżkami, kontrole osobiste pacjentów czy często zmieniany regulamin wewnętrzny ośrodka.

Znaczna część tych nieprawidłowości wynika z ustawy z 2013 r., która mówi o tym, jak umieścić kogoś w ośrodku, ale nie precyzuje, jak pacjenci mają w nim funkcjonować i jak przygotować ich do jego opuszczenia. Pacjenci mówią: lepiej nam było w zakładzie karnym – tam wiedzieliśmy, co wolno, a czego nie. Brak rozwiązań uderza też w personel.

Ośrodek najpierw był planowany na 10 osób, potem na 60, obecnie jest tam 65 pacjentów.

Do ministerstw sprawiedliwości i zdrowia RPO wysłał ok. 30 wystąpień generalnych. Minister sprawiedliwości nie odpowiedział. Ministerstwo Zdrowia poinformowało niedawno, że podjęło pracę z resortem sprawiedliwości nad nowelizacją ustawy, ale nie podało szczegółów. Władze ośrodka prowadzą rozmowy nad budową nowego budynku. A osób w Gostyninie ciągle przybywa.

Czy umieszcza się tam coraz więcej osób?

Tak, tendencja jest wzrostowa. W ciągu 5 lat jego funkcjonowania ośrodek opuściła tylko jedna osoba.

Trafiają tam osoby po zakończeniu odbywania kary. To był jeden z naszych głównych zarzutów do ustawy – pozbawienie wolności wiąże się nie z przestępstwem, ale prawdopodobieństwem popełnienia go. Niestety, Trybunał Konstytucyjny nie uwzględnił naszych zarzutów; uznał, że ustawa jest zgodna z Konstytucją. ©℗ Rozmawiała ANNA GOC

EWA DAWIDZIUK *jest doktorem nauk prawnych, dyrektorką Zespołu ds. Wykonywania Kar w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich.*

Sąd Najwyższy: PiS nie ustaje

W SEJMIE POJAWIŁ SIĘ KOLEJNY, ósmy już projekt nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym z 2017 r. Tym razem PiS chce zmienić zasady postępowań nominacyjnych na stanowiska sędziowskie – zwłaszcza pierwszego prezesa SN – a także uchylania immunitetów sędziom i prokuratorom.

W tej drugiej kwestii nowelizacja zwiększa uprawnienia obsadzonej przez ludzi Zbigniewa Ziobry Izby Dyscyplinarnej, w pierwszej – ma zapewnić Andrzejowi Dudzie wpływ na to, kto zostanie następcą Małgorzaty Gersdorf po upływie jej kadencji 30 kwietnia 2020 r. Kadencja obecnego prezydenta upływa trzy miesiące później, a jego środowisko polityczne obawia się, że sędziowie SN będą zwlekać z wyłonieniem swoich kandydatów na pierwszego prezesa; nowelizacja zakłada, że jeśli nie zrobią tego na dwa tygodnie przed upływem kadencji Gersdorf, prezydent dokona wyboru samodzielnie („To będzie sprzeczne z konstytucją – komentuje rzecznik SN, Michał Laskowski).

Podobne zmiany mają dotyczyć prezesów Izb Karnej, Cywilnej oraz Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, a przy okazji PiS chciałby załatwić także inną kłopotliwą dlań kwestię: by dzięki znowelizowaniu ustawy umorzeniu uległy niezakończone postępowania przed unijnym Trybunałem Sprawiedliwości, a dotyczące reform polskiego sądownictwa.

©℗ MO

KRAJ W SKRÓCIE

HAKI. Robert Biedroń i jego matka Helena zdementowali rewelacje tabloidów, jakoby lider Wiosny przed dziewiętnastoma laty dopuścił się przemocy domowej. Podkreślają, że jedynym sprawcą tejże był w ich domu przemocowy ojciec polityka, i że publikacje na ten temat niedługo przed wyborami są elementem brudnej kampanii.

CHOROBA. Kandydująca do Parlamentu Europejskiego z listy Koalicji Europejskiej we Wrocławiu Janina Ochojska poinformowała, że zdiagnozowano u niej nowotwór piersi. Założycielka Polskiej Akcji Humanitarnej zaapelowała do kobiet, by dbały o swoje zdrowie, i zadeklarowała, że nie przerwie kampanii.

CHRYJA. Posłanka PiS Anna Sobecka zażądała od prezydenta Torunia wydania zakazu organizowania zgromadzeń pod siedzibą rozgłośni o. Tadeusza Rydzyka. 3 maja, w urodziny redemptorysty, środowiska feministyczne planują zorganizowanie tam, podobnie jak w ubiegłym roku, „Chryi pod Radiem Maryja".

HERSZT. Policja rozbiła gang pseudokibiców Wisły Kraków, poza stadionem zajmujących się wymuszeniami, rozbojem czy handlem narkotykami. Wśród zatrzymanych jest m.in. b. wiceprezes klubu, a o sukcesie służb zdecydowały zeznania dotychczasowego herszta środowiska kibicowskiego, Pawła M. „Miśka", który podjął współpracę ze śledczymi.



„HISTORIA". W przeddzień rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim IPN opublikował film przedstawiający życie codzienne w okupowanej Warszawie. Unikalne zdjęcia poprzedza poprawione motto z „Medialonów" Nałkowskiej, które w wersji Instytutu brzmi: „Ludzie (Niemcy) ludziom zgotowali ten los", przy czym słowo „Niemcy" dopisano czerwonymi literami.



SAZZAD HOSSAIN / AFP / EAST NEWS

„Wielka mi rzecz”

TYSIĄCE KOBIET PROTESTUJĄ w Bangladeszu po śmierci 19-latki, którą podpalono żywcem za zgłoszenie molestowania seksualnego. Na transparentach pojawia się napis #metoo.

Nusrat Jahan Rafi chodziła do szkoły koranicznej w rodzinnej miejscowości Feni. 27 marca zgłosiła policji, że jeden z nauczycieli napastował ją seksualnie w szkole. Policjant próbował odwieść ją od złożenia zeznań, komentując je słowami „wielka mi rzecz” i nagrywając pokrzywdzoną telefonem. Ostatecznie przyjął zgłoszenie. Oskarżony nauczyciel trafił do aresztu.

11 kwietnia, kiedy Nusrat Jahan Rafi przyszła do szkoły na egzaminy, otoczyło ją kilka osób w burkach, żądając wycofania oskarżeń. Kiedy odmówiła, polano ją naftą i podpalono. Zmarła w szpitalu tego samego dnia.

Zdaniem stołecznej policji, która przejęła śledztwo w sprawie jej śmierci, sprawcy usiłowali upozorować mord na samobójstwo. ©℗ MR

Wytłumianie elit

EMMANUEL MACRON, absolwent prestiżowej Ecole Nationale d’Administration, chce zamknąć swoją słynną Alma Mater – twierdzą dziennikarze „Financial Times”, powołując się na szkic prezydenckiego przemówienia, do którego dotarli.

Założona w 1945 r. uczelnia miała kształcić urzędników państwowych wyższego szczebla, a przy okazji pomagać w awansie społecznym zdolnym absolwentom szkół publicznych z biedniejszych rodzin. Pierwszy z założonych celów ENA zrealizowała z naddatkiem, stając się ikoną uczelni szkolącej elity państwowe (kiedy w latach 90. Polska przystępowała do budowy Korpusu Służby Cywilnej, sięgnęła właśnie po francuskie wzory).

Gorzej poszło z wyrównywaniem szans. Prestiż uczelni zaczął szybko przyciągać młodzież z zamożnych rodzin. Dziś już 70 proc. kończących szkołę to jej absolwenci w drugim lub trzecim pokoleniu albo dzieci milionerów. W 40 ze stu największych firm Francji szefami są absolwenci ENA. Podobnie rzecz ma się z politykami. Francuska ulica nazywa ich „enarchami” i zarzuca pielęgnowanie interesów grupowych. Podczas ostatnich protestów „żółtych kamizelek” postulat likwidacji ENA wybrzmiewał bardzo często.

„Jeśli chcemy zbudować społeczeństwo równych szans, musimy zresetować zasady rekrutacji, kariery i dostępu do wyższych szczebli służby cywilnej. Dlatego zmienimy system szkoleń, selekcji i rozwoju kariery, tłumiąc ENA i kilka innych instytucji” – miał powiedzieć Macron w przemówieniu, które – jak twierdzi „FT” – po pożarze Notre Dame trafiło na razie do prezydenckiej szuflady. ©℗ MR

Barr uniewinnił Trumpa



JAN SMOLEŃSKI

Wbrew zapewnieniom Donalda Trumpa i prokuratora generalnego Williama Barra upubliczniony 18 kwietnia raport specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie Russiagate nie oczyszcza prezydenta USA.

Kilkusetstronicowy dokument ukazuje sieć powiązań między otoczeniem prezydenta a osobami związanymi z Kremlem oraz szerokie interesy Trumpa, ze względu na które mógł on chcieć pójść Rosji na rękę. Sztab Trumpa wiedział też, że podczas kampanii w 2016 r. Rosja szukała możliwości współpracy. Jak zauważa dziennik „New York Times”, w utajnionych częściach raportu mogą znajdować się dowody na współpracę sztabu Trumpa z WikiLeaks – portalem, który upublicznił wykradzioną przez Rosjan pocztę elektroniczną Demokratów. Fakt, że Mueller nie postawił zarzutów o zmowę z Rosją, wynika jednak w dużej mierze z wąskich definicji domniemanych przestępstw, które specjalny prokurator miał badać.

Autorzy raportu również wprost piszą, że brak zarzutów nie oznacza, iż Trump nie popełnił przestępstwa polegającego na utrudnianiu śledztwa. Mueller spisał listę ponad 10 przypadków, gdy usiłował on to zrobić. Trumpa uratowali jego podwładni, którzy nie wykonywali jego poleceń, i zawiłości prawne, w tym reguła, że nie można postawić urzędującego prezydenta w stan oskarżenia. Warto też podkreślić, że to Barr podjął ostateczną decyzję, by nie stawiać prezydentowi zarzutów. Dodatkowo Trump i jego otoczenie wielokrotnie kłamali na temat działań prezydenta w odniesieniu do śledztwa i kontaktów z Rosjanami – raport potwierdza, że większość informacji, które prezydent określał jako „fake newsy”, była prawdziwa.

Podczas wystąpienia poprzedzającego ujawnienie raportu Muellera Barr powtórzył to, co kilka tygodni wcześniej napisał w swoim podsumowaniu: że nie doszło do żadnej zmowy między sztabem wyborczym Trumpa i Rosją, a sam prezydent nie utrudniał śledztwa. Nie odpowiedział na pytania, dlaczego zachowuje się jak prezydencki adwokat.

Raport maluje więc portret prezydenta jako kłamcy i manipulatora z szemranymi kontaktami, który uniknął zarzutów z powodów technicznych, niesubordynacji podwładnych i decyzji podległego mu prokuratora generalnego. Jak zauważyli komentatorzy, to zachowanie niegodne osoby piastującej najwyższy urząd w państwie. Barr i Mueller niedługo zostaną przesłuchani przez różne komisje Kongresu – to tam oraz w mediach odbędzie się ostateczne zmaganie dotyczące tego, co tak naprawdę raport Muellera będzie oznaczał dla amerykańskiej polityki. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WSPÓŁCZESNA DROGA KRZYŻOWA. Autorką rozważań tegorocznej Drogi Krzyżowej odprawionej przez papieża w Koloseum jest włoska zakonnica s. Eugenia Bonetti, od wielu lat ratująca kobiety – ofiary handlu ludźmi. „Ich krzyk o pomoc jest wyzwaniem dla nas jako ludzi, rządów, społeczeństwa i Kościoła. Jak to możliwe, że nadal Ciebie krzyżujemy, stając się wspólnikami handlu ludźmi? Daj nam oczy, aby widzieć, i serce, aby czuć cierpienia tak wielu osób, które jeszcze dziś są przybijane do krzyża przez nasze systemy życia i konsumpcji" – brzmiało jedno z modlitewnych wezwań.

PAPIEŻ NA BAŁKANACH. Podczas jednodniowej wizyty w Macedonii Północnej 7 maja Franciszek odwiedzi m.in. dom w Skopje, gdzie urodziła się Matka Teresa z Kalkuty (1910-97), założycielka Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Miłości, którą kanonizował w Watykanie w 2016 r., oraz spotka się z ubogimi. Wcześniej (5-6 maja) papież odwiedzi Bułgarię. Będzie to pierwsza podróż Franciszka do tych bałkańskich krajów.

KOLEGIUM ELEKTORÓW. 27 kwietnia kard. Stanisław Dziwisz kończy 80 lat i traci przywilej wyboru papieża. Kolegium kardynałów elektorów będzie od tej chwili liczyć 120 – tylu, ilu przewidują przepisy o konklawe zreformowane przez Jana Pawła II. W tym roku jeszcze kolejnych sześciu kardynałów osiąga ten wiek, a w przyszłym – czterech. Jest zatem prawdopodobne, że jesienią Franciszek zwoła konsystorz, na którym kreuje nowych kardynałów.

APEL O POMOC DLA PARYŻA. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki zwrócił się do Polaków z prośbą o wsparcie odbudowy zniszczonej pożarem katedry Notre Dame. Wpłat można dokonywać na konto Caritas Polska 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384 z dopiskiem „Odbudowa".

Inny głos w Episkopacie



ARTUR SPORNIAK

W czasach PRL polscy biskupi bardzo uważali, by mówić jednym głosem – każda różnica zdań była wykorzystywana przez komunistyczne władze. Jednomyślność nie była jednak trudna, gdyż Kościół mówił wtedy głosem kard. Stefana Wyszyńskiego, niekwestionowanego autorytetu.

Odruch jednomyślności przetrwał transformację ustrojową i okazał się jednym z najbardziej trwałych. Gdy któryś z biskupów próbował mówić własnym głosem i krytykował innych hierarchów – jak np. bp Tadeusz Pieronek – spotykał się z ostracyzmem.

Obecnie owa sztuczna jednomyślność sprawia, że trudno hierarchom ufać, skoro nie wiadomo, co myślą. Ma to też taką konsekwencję, że odpowiedzialność za niefortunne czy wręcz szkodliwe działania niektórych biskupów spada na cały Kościół. Słychać tezy: Kościół nie chce rozliczyć pedofilskich czynów ks. Jankowskiego, gdy tymczasem z upiornym drugim życiem legendy Solidarności boi się zmierzyć jedynie abp Sławoj Leszek Głódź.

Przydałby się kontrapunkt dla takich zachowań. I wygląda na to, że niezależny głos rzeczywiście coraz wyraźniej słychać. „Uważam, że powinniśmy powołać wspólną komisję Kościoła, przedstawicieli władz państwowych i historyków" – odpowiedział prymas abp Wojciech Polak na pytanie dziennikarza „Süddeutsche Zeitung", czy Kościół odrzuca dochodzenie w sprawie ks. Jankowskiego. ©℗

Jezus i klerykalni apostołowie

„EWANGELIE CZĘSTO PRZEDSTAWIAJĄ nam obraz Pana pośród tłumów – mówił Franciszek do księży diecezji rzymskiej w Wielki Czwartek podczas Mszy Krzyżma w bazylice św. Piotra. – Jezus zawsze zachowywał łaskę bliskości z ludem jako całością i z każdą osobą pośród tych tłumów. (...) Termin »tłum« nie jest pogardliwy, nawet jeśli może brzmieć jak określenie anonimowej, niezróżnicowanej masy. (...). Pan podziwiał wiarę ludu, cieszył się nią i nigdy nie tracił okazji, aby zwrócić na nią uwagę".

Według św. Łukasza – przypomniał papież – tłumy Chrystusa „szukały", „szły z Nim", „napierały na Niego", „otaczały Go" i „zbierały się, aby Go słuchać". „To podążanie ludzi wykracza poza jakiekolwiek rachuby, jest podążaniem bez stawiania warunków, pełnym uczucia – podkreślił Franciszek. – Kontrastuje z małostkowością uczniów, których stosunek do ludu graniczy z okrucieństwem, gdy sugerują Panu, aby ich odprawił, by poszukali sobie czegoś do jedzenia. Tutaj, jak sądzę, rozpoczął się klerykalizm: w tym dążeniu do zapewnienia sobie pożywienia i wygody, nie dbając o ludzi. Pan miażdżąco skrytykował tę pokusę. Odpowiedź Jezusa brzmiała: »Wy dajcie im jeść!«, »Zajmijcie się ludem!«. ©℗ MAM



VATICAN NEWS / AFP / EAST NEWS

FRANCISZEK POZDRAWIA GRETĘ THUNBERG, szwedzką uczennicę, inicjatorkę młodzieżowych protestów przeciwko ociepleniu klimatu. Nastolatka, witając się z papieżem po środowej audiencji generalnej, podziękowała mu za „mówienie prawdy o zagrożeniach klimatu", a Franciszek zachęcił ją do dalszej walki o środowisko. Zapoczątkowany w 2018 r. przez Thunberg „szkolny strajk klimatyczny" kontynuują uczniowie i studenci w ponad 40 krajach. ©℗



GEORGETOWN UNIVERSITY

Dług wobec potomków niewolników

STUDENCI JEZUICKIEGO UNIWERSYTETU GEORGETOWN w Waszyngtonie gotowi są opodatkować się (ok. 27 dolarów na semestr) na rzecz funduszu odszkodowań dla potomków niewolników będących w XIX w. własnością szkoły – poinformował portal National Catholic Reporter. W 1838 r. ratując uniwersytet przed bankructwem jezuicka prowincja Maryland sprzedała do Luizjany 272 dzieci, kobiet i mężczyzn. W niewiążącym referendum za opodatkowaniem zagłosowało 66 proc. studentów. Prorektor ds. studenckich Todd Olson powiedział, że głosowanie dostarczyło „cennych informacji o perspektywicznym myśleniu studentów". Zwolennicy podatku uważają, że za cenę krzywdy tamtych ludzi mogą się dziś uczyć, mają więc dług do spłacenia. Przeciwnicy z kolei zwracają uwagę, że nie powinno się obarczać dziś studentów konsekwencjami decyzji podejmowanych przez instytucję prawie dwa wieki temu.

Od kilku lat uczelnia próbuje rozliczyć się z niechlubnej przeszłości. „Dzisiaj Towarzystwo Jezusowe, które pomogło założyć Uniwersytet Georgetown i którego przywódcy zniewolili i bezlitośnie sprzedali waszych przodków, stoi przed wami, aby powiedzieć, że bardzo zgrzeszyliśmy" – mówił do potomków niewolników prowincjał amerykańskich jezuitów podczas nabożeństwa „pamięci, skruchy i nadziei" w 2017 r. (na zdjęciu). Dwa lata wcześniej uczelnia powołała komisję do zbadania historii wykorzystywania niewolników przez uniwersytet. Jeden z jej budynków został nazwany imieniem Isaaca Hawkinsa – pierwszej osoby z listy sprzedanych ludzi. Na Uniwersytecie Georgetown powstał także Instytut Studiów nad Niewolnictwem i jego Dziedzictwem oraz Wydział Studiów Afroamerykańskich. Co roku 16 kwietnia uczelnia obchodzi Dzień Emancypacji – 16 kwietnia 1862 r. w Waszyngtonie 3 tys. niewolników uzyskało wolność.

©℗ ARTUR SPORNIAK

KULTURA W SKRÓCIE

NASZA DAMA. Gdy z całego świata płyną akty solidarności z Francuzami po pożarze Notre Dame, Polska nie pozostaje bierna. W mediach społecznościowych zawiązało się twórcze konsorcjum deweloperów, proponując Paryżowi samofinansujący się projekt odbudowy katedry oraz rewitalizacji rezerw terenowych wokół świątyni. Najciekawsza propozycja? Parking kubaturowy na trzy tysiące samochodów w innowacyjnym systemie „park and sightseeing".

TWOJA KSIĘGARNIA. 23 kwietnia obchodziliśmy Światowy Dzień Książki, a w najbliższych dniach czeka nas długi Weekend Księgarń Kameralnych. Przez cztery dni (od 25 do 28 kwietnia) kilkadziesiąt księgarń w całym kraju włączy się we wspólne działania, organizując m.in. spotkania autorskie, warsztaty, kiermasze, głośne czytania oraz zajęcia dla dzieci. Prosimy pytać i sprawdzać w zaprzyjaźnionych księgarniach oraz mediach społecznościowych, hasztag #wkk2019.



WIZUALIZACJA NASA

MAŁA KRÓLEWNA. Do 10 maja natomiast można wybrać imię dla jednej z planet karłowatych – chodzi o znajdującą się za Plutonem w Pasie Kuipera planetoidę określaną dotychczas jako Królewna Śnieżka, co odnosiło się do rzekomego koloru jej powierzchni, bądź – mniej bajkowo – 2007 OR10. Jest to największy nienazwany dotąd oficjalnie obiekt Układu Słonecznego. Proponowane w głosowaniu imiona to Gonggong, Holle i Vili. Szczegóły na stronie: 2007or10.name

Festiwalowicze – do zobaczenia w październiku!



MONIKA OCHĘDOWSKA

Przypomnijmy: z początkiem roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wyrzuciło obchodzący 10. urodziny Festiwal Conrada z listy wartych wsparcia publicznymi środkami przedsięwzięć promujących czytelnictwo. Impreza uznana przez Akademię Pisarzy za jedno z najważniejszych wydarzeń literackich świata nie uzyskała w resorcie zadowalającej oceny strategicznej. Odwołanie złożone przez Fundację Tygodnika Powszechnego dało jednak urzędnikom czas do namysłu. Ostatecznie Festiwalowi przyznano jedną trzecią wnioskowanej kwoty na jedną, tegoroczną edycję. A może to i lepiej? Jest szansa, że decyzja w sprawie środków na kolejne dwa lata trafi już do następnego ministra.

Jesteśmy ogromnie wdzięczni wszystkim, którzy wspierali Festiwal, śląc do ministra Glińskiego listy i odwołania – podkreślają organizatorzy. Dziękujemy uczniom VII LO w Krakowie oraz grupie czeskich i słowackich intelektualistów, którzy poprosili resort o weryfikację ewentualnych politycznych powodów stojących za nieprzyznaniem dotacji.

Działalnością MKiDN zainteresowała się także Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która przypomniała ministrowi, że decyzje władz publicznych w obszarze kultury powinny być podejmowane na przejrzystych zasadach i zostać szczegółowo uzasadnione, a wspierane przez państwo przedsięwzięcia artystyczne muszą przedstawiać różne punkty widzenia zgodnie z zasadą bezstronności władz publicznych w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych. Zapewne z tego właśnie powodu liderem wśród beneficjentów pozytywnie rozpatrzonych odwołań w programie Promocja Czytelnictwa jest wydawnictwo Biały Kruk.

Organizatorzy Festiwalu Conrada zapewniają, że odbędzie się on bez jakiegokolwiek uszczerbku na jakości. Z wielu stron spływają wyrazy solidarności i wsparcia, nie tylko moralnego, ale także materialnego, na które Fundacja Tygodnika pozostaje otwarta. Do zobaczenia w październiku! ©℗



SOEREN STACHE / DPA / PAP

Źli ludzie, dobra sztuka

DLACZEGO Z GABINETU kanclerz Angeli Merkel zniknęły dwa obrazy wybitnego artysty? I jaki to ma związek z otwartą właśnie w Berlinie wystawą? Autorem obrazów i bohaterem wystawy jest Emil Nolde (1867–1956), ekspresjonista operujący swobodną i mocną plamą barwną, malarz scen religijnych, pejzaży i kwiatów. Jego dzieła w 1937 r. uznano za Entartete Kunst, sztukę zdegenerowaną. Tyle że on sam był nazistą, członkiem NSDAP i antysemitą. Cenił go Goebbels, który uważał, że to ekspresjonizm jest sztuką prawdziwie niemiecką, ale przegrał z ideologiem Alfredem Rosenbergiem i fatalnymi gustami Hitlera. Potępienie ekspresjonistów pomogło po wojnie w zbudowaniu legendy Noldego jako ofiary reżimu, choć kto chciał, mógł bez trudu poznać fakty. Teraz w berlińskim Hamburger Bahnhof pokazano dorobek Noldego w biograficznym kontekście, stąd zapewne reakcja Angeli Merkel. Rozumiem, że nie chce ona, by w urzędzie kanclerskim wisiały obrazy nazisty (choć mógł jej ktoś wcześniej powiedzieć o poglądach Noldego). Co jednak w ogóle z dziełami wybitnych twórców, którzy robili rzeczy paskudne albo głosili paskudne poglądy? Zygmunt Krasiński (też nie anioł, straszny antysemita) napisał: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością". Może warto o tym pamiętać. Tak bywa.

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

Zmarł wybitny plakacista Ryszard Kaja

„BAŁTYK", „STOLICA", „TATRY", „ZADUPIE" – plakaty z takimi podpisami, przedstawiające miejsca charakterystyczne dla polskich miast i regionów, znamy wszyscy. Nazwisko ich autora wielu z nas usłyszało jednak po raz pierwszy dopiero kilka dni temu, gdy zmarł. Ryszard Kaja, autor liczącej kilkaset prac serii plakatów „Polska", był także ilustratorem, malarzem i wielokrotnie nagradzanym scenografem. Projektował kostiumy do spektakli teatralnych, baletowych i operowych. „Pracując nad plakatami nie osądzam i nie oceniam. Ot, wybieram to, co piękne, ważne i dla mnie osobiście istotne" – mówił. Kaja zmarł w Legnicy, miał 57 lat.

©℗ MOC



FB / KAJA RYSZARD STRONA

Przeżyli neandertalczyków

DENISOWIANIE stanowili w istocie trzy odrębne genetycznie i oddzielone geograficznie populacje, które niezależnie krzyżowały się z Homo sapiens i neandertalczykami – twierdzą autorzy pracy opublikowanej w „Cell". Badacze porównali DNA pobrane od mieszkańców wielu wysp Indonezji z genomami innych Homo sapiens, a także neandertalczyków i denisowian.

Rozdzielenie się trzech grup denisowian nastąpiło około 280–360 tys. lat temu. Pierwsza zamieszkiwała północno-wschodnią Azję (m.in. Syberię i Japonię – to jej przedstawiciele zostawili skamieniałości w Denisowej Jaskini w Rosji), druga – Indie, południowo-wschodnią Azję i Indonezję. Trzecia występowała wyłącznie na wyspach Oceanii. I prawdopodobnie przebywała tam nawet 15–30 tys. lat temu – dłużej niż neandertalczycy w Europie.

©℗ ŁK

To nie jest zmartwychwstanie

W POLSCE rejestruje się rocznie 60 tys. zachorowań na udar niedokrwienny mózgu. Następuje on, gdy zamknięte zostanie naczynie tętnicze zaopatrujące mózg. Skutki: spadek przepływu przez drobne naczynia, śmierć komórek, obrzęk mózgu i jego strukturalne uszkodzenie.

Naukowcy z Yale University pobrali od 32 zabitych w rzeźni świń mózgi, które po czterogodzinnym niedokrwieniu podłączyli do systemu BrainEx, zapewniającego tlen i glukozę. Po sześciu godzinach przepływu substancji imitującej krew okazało się, że na poziomie komórkowym mózg się regeneruje. Zmalał obrzęk, niektóre neurony zaczęły się komunikować. Mózg zużywał tlen i glukozę, a produkował CO_2, tak jak zdrowy.

Opublikowana w „Nature" praca wywołała dyskusję na temat granicy między mózgiem żywym i martwym. Sami autorzy podkreślają, że przywrócenie procesów komórkowych nie oznacza przywrócenia prawidłowych funkcji mózgu, ale ich badania mogą pomóc skuteczniej reagować na chwilowe niedokrwienie.

© BARTOSZ KABAŁA

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za 69 zł



* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MY W OBJĘCIACH DRZEW

Władze Melbourne nadały każdemu miejskiemu drzewu adres mailowy. Mieszkańcy mogli zgłaszać konkretne przypadki ułamanych konarów czy gałęzi zagrażających przechodniom. Jednak szybko oprócz raportów w korespondencji pojawiły się listy miłosne.

ADAM ROBIŃSKI





SAMUEL CORUM / ABACA / EAST NEWS

W 1400 r. urodził się Jan Gutenberg, a w Collegium Maius, najstarszych salach Akademii Krakowskiej, odbyły się pierwsze wykłady. Polską rządził Władysław Jagiełło, a państwem Azteków niejaki Huitzilíhuitl. Wojska Tamerlana, złupiwszy Indie, ze zdobytymi tam słoniami stały u progu Aleppo, a władcy dynastii Ming przerabiali starożytne fortyfikacje w przyszły Wielki Mur Chiński.

Mniej więcej wtedy na szczycie Skarpy Wiślanej, nieopodal dopiero co powstałej wsi Wolica, wykiełkował pewien dąb szypułkowy. Rosło ich tam zresztą wtedy sporo. Okalały trakt do Czerska, gdzie do góry piął się właśnie budowany przez książąt mazowieckich gotycki zamek. Kiedy dziewięć dekad później Krzysztof Kolumb przepływał przez Atlantyk, drzewo było już sędziwe i miało pokaźne rozmiary. A potem minęły kolejne wieki ludzkiej historii, sąsiednie drzewa usychały, przewalały się i umierały, ale to jedno wciąż miało się świetnie.

Z czasem przylgnęło do niego imię Mieszko I. Wtedy jeszcze jego wiek pozostawał w sferze domysłów, a piastowski władca z X wieku wydawał się adekwatnym patronem. Dąb rósł już na terenie rozrastającej się Warszawy, a do pocztu władców, którym świadkował, dopisywali się kolejni. Gdyby drzewa mówiły znanym nam językiem, Mieszko mógłby powiedzieć coś na kształt: „Przeżyłem von Jungingena, przeżyję i Trumpa".

Miąższość zamiast duszy

„Drzewa zadrzewiają okolice podobnie jak ludzie ziemię zaludniają" – wyrokowała Julia Hartwig w jednym z albumów fotograficznych swojego brata Edwarda. „Ze wszystkiego też, co istnieje na ziemi, człowiek najchętniej porównuje się do drzewa. Przypisuje drzewu charakter, obdarza je duszą. Jest bowiem w drzewie szlachetność postawy, dzielność w cierpliwym znoszeniu chłodów i huraganów, przypominająca wytrwałość ludzką na przeciwności losu" – według Hartwig stojącej postawie drzewa blisko do ludzkiej, a spotkanie człowieka z drzewem na pustkowiu jest spotkaniem braterskim.

Od zarania dziejów – tych ludzkich – drzewa były obiektami kultu, na których kultury osadzały swoje kosmologie. Korzenie jesionu Yggdrasila z wierzeń skandynawskich sięgały krainy zmarłych, a w jego koronie spotykało się dziewięć światów, tych ludzkich i tych boskich. Pod figowcem pagodowym Siddhartha Gauthama stał się Buddą, a z rajskiego drzewa Adam i Ewa zerwali zakazany owoc (według różnych tradycji winogrono, figę lub jabłko). Jednak monoteistyczne religie, a potem oświeceniowe paradygmaty z czasem zepchnęły drzewa na zupełnie inny plan. Racjonalizm wyparł mistycyzm, drzewo straciło serce i duszę, zamiast nich zyskując miąższość.

Co więc wiemy dziś o drzewach? Skamieliny tych najstarszych znaleziono w XIX w. na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, ale dopiero w 2007 r. za sprawą kolejnego odkrycia naszkicowano ich przybliżony kształt. *Eospermatopteris* rosły około 385 mln lat temu i były dorastającymi do 8 metrów krewnymi współczesnych paproci i skrzypów. Jeszcze pokaźniejsze rozmiary osiągały trzydziestometrowe protodrzewa z gatunku *Archaeopteris*.

W trzeciorzędzie – a więc między 65 a 1,8 mln lat temu – Ziemię porastały już rozległe lasy pełne znanych nam współcześnie gatunków: dębów, brzóz, klonów, cedrów czy lip. Kolejne zlodowacenia powodowały ich wycofywanie się, a cieplejsze okresy ponowną kolonizację. Współcześnie znamy kilkadziesiąt tysięcy gatunków drzew. O wielu istniejących możemy nie mieć jeszcze pojęcia. Przykładem niech będzie wolemia szlachetna z rodziny araukariowatych, odkryta dopiero w 1994 r. w australijskiej Nowej Południowej Walii. W naturze znanych jest tylko kilkadziesiąt jej osobników, a ich lokalizacja – gdzieś w Górach Błękitnych 150 km od Sydney – okryta jest tajemnicą. Okazalsze okazy wolemii w ogrodach botanicznych trzyma się w klatkach, by zapobiec ich kradzieży. Niedużą wolemię można zobaczyć w podwarszawskim Powsinie, na szczęście bez krat.

Pamięć przez wspinaczkę

W 2015 r. policzono, że na Ziemi rośnie ich mniej więcej 3,04 biliona. To było wyjątkowo karkołomne przedsięwzięcie. Trzeba było zestawić analizę zdjęć satelitarnych z badaniami prowadzonymi w 430 tys. fragmentów lasów na całym świecie, gdzie liczono zagęszczenie drzew. Trzy biliony z okrasą to raptem 422 drzew na jednego człowieka. Dużo więcej mówi jednak kontekst, w jakim należy umieścić te dane. Autorzy opublikowanej w „Nature" pracy ustalili, że od zarania współczesnej cywilizacji wycięliśmy 46 proc. drzew w skali planety. Rocznie znika ich 15 miliardów, przybywa tylko 5 miliardów.

422 to liczba, którą łatwo objąć umysłem. Mniej więcej tyle drzew widzimy, robiąc kilkanaście kroków w gęstym lesie, a może nawet spoglądając przez okno autobusu podczas porannego kursu do pracy. Gdyby się uprzeć i postarać, moglibyśmy nauczyć się rozpoznawać każde z nich, nadać im imiona i je zapamiętać. Łatwo to udowodnić – w 2014 r. przeciętny użytkownik Facebooka miał średnio 338 znajomych (wśród 15 proc. użytkowników liczba ta przekraczała 500; od tamtej pory portalowi przybyło miliard użytkowników). I choć większość z nich dołącza do swoich kontaktów również osoby przypadkowe, to jednak prędzej czy później wiąże ich fotografie z nazwiskami.

Jednak imię, a więc i pewna tożsamość nie są czymś, co z założenia przypisuje się drzewom. Nadaje się je tylko tym, które jakoś wyróżniają się z tłumu. Pomnikom przyrody, okazom, które w istotny sposób wpisują się w ludzkie wspomnienia. Wielki Samotny Doug to uratowana przed wycinką 70-metrowa daglezja stojąca na zrębie gdzieś w środku wyspy Vancouver w Kanadzie. Wiedźmin to prawie 500-letni wiąz z gminy Gubin w Lubuskiem z wysoką na pięć metrów dziuplą, w której zmieściłaby się niejedna strzyga. Stefan był płożącym się klonem jesionolistnym z warszawskiego Ursynowa. Gdy pilarze z zagadkowych powodów ćwiartowali kilka tygodni temu jego pień, nad podwórkiem unosił się lament nieletnich, dla których był centrum podwórkowego wszechświata. Mamutowiec Generał Sherman to z kolei największe drzewo świata. Co ciekawe, 1300-letni cis z Henrykowa Lubańskiego na Dolnym Śląsku wciąż nie doczekał się imienia.

Jeśli więc – jak chciała tego Hartwig – ludzi i drzewa łączy braterstwo, to – nawiązując raz jeszcze do nomenklatury Facebooka – trzeba ten związek określić stwierdzeniem: „To skomplikowane". Środowisko leśne i miejski rozgardiasz to przecież skrajne przeciwieństwa.

„Architektura, w gruncie rzeczy niezdarna w porównaniu z biologicznym tworzywem, siłą rzeczy konkuruje z przyrodą i chociaż bardzo się stara, z wielkim trudem układa sobie koegzystencję z drzewami" – pisze Piotr Wróbel, laureat wielu nagród architektonicznych, w eseju „Zieleń wysoka istniejąca". Jego zdaniem ana-

logie między drzewami a budynkami są nieliczne i raczej umowne, jednak człowiek potrzebuje i jednych, i drugich, więc nieustannie szuka kompromisów.

Środowisko człowieka

O dobroczynnym wpływie zieleni na biotop człowieka mówiło się już od starożytności, ale dopiero w XVII w. świadomość ta zaczęła nabierać naukowych kształtów. Polimata John Evelyn powiązał wegetację z niwelowaniem zanieczyszczeń powietrza, a Otto Behre na początku XX w. połączył miejskie drzewa ze stanem zdrowia berlińczyków. Późniejsze, jeszcze przedwojenne badania dowiodły, że dzięki porowatej strukturze drzewa jak nic innego pochłaniają pyły i aerozole. Ta wiedza przydała się choćby Niemcom już po II wojnie światowej, kiedy tamtejsze miasta wstawały z ruin, a bezpośrednio na gruzach sadzono na masową skalę jesiony, topole, robinie, klony i rokitniki.

Kiedy na początku 2017 r. w Polsce w życie weszło tzw. lex Szyszko, a więc przepisy umożliwiające wycinkę drzew na terenach prywatnych, krajowi przyrodnicy i naukowcy bili na alarm, wyliczając wszystkie korzyści płynące z zadrzewień na prowincji i w miastach. Przypomnieli, że drzewa budują ekosystemy dla innych organizmów, są składową ich korytarzy migracyjnych, osłabiają siłę wiatru, utrzymują wodę w glebie i polepszają jej jakość. Poza tym obniżają poziom hałasu nawet o połowę (tym bardziej, im większe liście i gęstsza korona), usuwają z powietrza dwutlenek węgla, dają cień i obniżają temperaturę otoczenia.

Jednak – to już niemiecki urbanista Herbert Göner – żadne suche fakty i matematyczne równania nie zilustrują „psychologicznego efektu, jaki płynie z radości obserwowania kształtów drzew, ich wzrostu, stawania się" oraz faktu, że „pozwalają naszym myślom uciekać od trudów codzienności w kierunku bliskości z naturą". Nie możemy traktować ich już wyłącznie w kategoriach surowca, tak samo jak koni nie uważamy już za zwierzęta pociągowe i juczne, a kotów za zabójców myszy, które buszują po spiżarkach.

Harwardzka profesor Sonja Dümpelmann w wydanej w tym roku w Stanach Zjednoczonych książce „Seeing Trees" zauważa pewien cywilizacyjny paradoks: człowiek sadzi drzewa tam, gdzie najpierw je wyciął, bo chciał się osiedlić. Najpierw pozbywa się ich jak leci, potem desperacko próbuje odzyskać. Ale czy miasta i drzewa idą w parze? Czy beton, asfalt, szkło i mechaniczne konie zostawiają jeszcze miejsce na tak statyczny element krajobrazu? Zaprzeczenie nowoczesności, za którą ciągle przecież gonimy?

Człowiek sadzi drzewa tam, gdzie najpierw je wyciął, bo chciał się osiedlić. Najpierw pozbywa się ich jak leci, potem desperacko próbuje odzyskać. Ale czy miasta i drzewa idą w parze?

Według Dümpelmann to pytania czysto retoryczne, a odpowiedź zawarta jest w stuletnim cytacie z amerykańskiego ogrodnika Furmana Lloyda Mulforda: „Jeśli na jakiejś ulicy nie da się uprawiać drzew, to trzeba natychmiast zamknąć ją dla ludzi do czasu, aż warunki poprawią się na tyle, by drzewa jednak dały tam sobie radę". To nie była odosobniona myśl – już ponad sto lat temu amerykańskie miasta rywalizowały z sobą o miano tego najbardziej zielonego, a Waszyngton chwalił się, że niemal 300 km tamtejszych ulic obsadzonych jest setką tysięcy drzew po obu ich stronach. Kiedy Berlin został podzielony murem, drzewa stały się tematem zimnowojennej gry: gazety w NRD piętnowały Niemców z zachodu, że wycinają je, zamiast sadzić.

„Za sprawą nieustannego sadzenia drzew w czterech do sześciu rzędów od 1647 roku i pomysłu Fryderyka Wilhelma I, otoczony drzewami bulwar [Unter den Linden – AR] stał się jednym z najstarszych zabytków Berlina" – pisze Dümpelmann, kierując myśli na jeszcze jedną funkcję drzew: utrzymywanie pamięci o krajobrazie. Przydrożne aleje to pomysł stary jak świat, w Egipcie znaleziono ślady starożytnych przypałacowych alej palmowych, a w XIII w. obserwował je w imperium mongolskim Marco Polo. W XVIII w. coraz częściej nie miały związku z architekturą reprezentacyjną. Drzewa sadzono wzdłuż dróg, kanałów, torów kolejowych, dla ochrony przed słońcem, deszczem i wiatrem. Ułatwiały też orientację w terenie.

Ślady tej działalności widać zarówno na historycznych mapach, jak i w terenie – choćby dawne ziemie pruskie, a więc Warmia, Mazury czy Pomorze, pełne są zabytkowych przydrożnych szpalerów. Czasem stoją tam, gdzie drogi już nie ma, bo w międzyczasie trakt puszczono inną trasą. Samotne, rosochate dęby znaczą dawne pastwiska, zdziczałe drzewa owocowe – opuszczone już siedliska. Bywa, że krucha roślina okazuje się trwalsza od architektury, jak w przypadku kasztanowców w warszawskim Ogrodzie Saskim, jedynej tamtejszej autentycznej pamiątce z XVIII w.

Mail do wiązu

W 2013 r. włodarze australijskiego Melbourne przeprowadzili eksperyment. Nadali każdemu z miejskich drzew numer i przypisali do nich adresy mailowe. Wcale jednak nie chodziło o jakąkolwiek podmiotowość roślin. Chcieli umożliwić mieszkańcom łatwe zgłaszanie problemów dotyczących konkretnych osobników: ułamanych konarów czy gałęzi zagrażających przechodniom. System miał usprawnić pielęgnację zieleni miejskiej (podobny funkcjonuje dziś w Warszawie). Ale niespodziewanie oprócz surowych raportów w korespondencji pojawiły się też listy miłosne.

„Mam nadzieję, że lubisz życie na St. Mary's. Mnie się tu zwykle podoba. Niedługo mam egzaminy i powinienem się uczyć. Ty nie zdajesz egzaminów, bo jesteś drzewem. Nie mamy zbyt wielu wspólnych tematów do rozmowy, bo niewiele nas łączy, w końcu jesteś drzewem. Ale cieszę się, że jesteśmy w tym wszystkim razem" – napisał ktoś do wiązu numer 1 022 165.

„Drogi 1 037 148. Zasługujesz na więcej, niż bycie tylko numerem. Kocham cię. Teraz i na zawsze" – brzmiał inny list. Pracownicy ratusza z czasem wczuli się w konwencję i na niektóre wiadomości w imieniu adresatów odpisywali.

Ale, jak słusznie zauważa we wspomnianym już eseju Piotr Wróbel, walka ↦

RDC POLSKIE RADIO **ADAM ROBIŃSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 24 kwietnia o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

↦ o drzewa nie musi oznaczać starcia egzaltacji z obojętnością i cynizmem. Kult zieleni to nie klękanie w korzeniach gonnych sosen czy palenie kadzidełek pod ich konarami, lecz czerpanie korzyści i radości z ich obecności. „Trzeba znaleźć złoty środek, nie lekceważąc intuicji, która w przypadku potrzeby obcowania z zielenią wydaje się najbardziej wiarygodną wskazówką". A te podpowiadają, że w budynkach jasnych i otoczonych zielenią ludzie pracują i uczą się wydajniej, lepiej odpoczywają, a chorzy szybciej dochodzą do zdrowia. Że człowiek potrzebuje przyrody na co dzień, a nie tylko od święta. Sugerują też, że drzewom lepiej w tłoku niż samotności, że ich korony chcą rosnąć ku niebu, a nie tylko do wysokości parapetu, że korzenie potrzebują przestrzeni, więc ustawianie ich na chodniku w donicach ma tyle wspólnego z umiłowaniem przyrody, co wieszanie na ścianie myśliwskich trofeów.

W sąsiedztwie Mieszka zamieszkałem 30 lat temu. Lubię myśleć, że znamy się trochę lepiej niż tylko mailowo. Na tle budującego się dopiero Natolina był wtedy jak kosmita – byt z innego czasu i innej przestrzeni. Dźwigi, koparki, piach na wywrotkach, a obok zabytkowy bruk ulicy Nowoursynowskiej i drzewo, które pamięta Władysława Jagiełłę. Wnętrze jego pnia wypełniono betonem, jedyny żyjący konar podparto stalowym rusztowaniem. Dziś wygląda trochę jak drzewo na sterydach. Jednak zapewne dzięki temu wspomaganiu przeżyje jeszcze wiele dekad, a ja będę mógł je egoistycznie wliczać do owych 422 drzew, które przypadają na moją głowę.

Mam też cichą nadzieję, że ktoś kiedyś wcieli w życie pomysł Olgi Tokarczuk, który zrodził się w jej głowie, gdy w dzieciństwie obserwowała śmierć sędziwej lipy sąsiadującej z posesją dziadków: „Cięte w plastry kawałki pnia przypominały grube organiczne płyty gramofonowe, których miałam wtedy kilka i godzinami odtwarzałam je na gramofonie Bambino. To wtedy – gdy wodziłam palcem po nagle odsłoniętych wnętrznościach lipowego pnia – przyszedł mi do głowy pomysł: drzewa nagrywają czas, każdy krąg to informacje, głosy, obrazy. Odkrywczyni, którą miałam zostać w przyszłości, zapewne wymyśli urządzenie do ich odtwarzania: drzewofon. Wreszcie będziemy w stanie posłuchać drzew i tego, co mają nam do powiedzenia".

© ADAM ROBIŃSKI

Korzenie i korony

JAN RYLKE, ARCHITEKT KRAJOBRAZU:

Wokół drzewa powinno wytworzyć się całe środowisko. Gałęzie powinny sięgać niemal ziemi, w korzeniach siedzieć jeże. Tak jak człowiek potrzebuje spotykać się z innymi ludźmi, tak drzewo potrzebuje spotykać się z innymi roślinami i zwierzętami.

ADAM ROBIŃSKI: Czy architekci lubią drzewa?

PROF. JAN RYLKE: To zależy, o kogo pan pyta. Architekt i architekt krajobrazu to są dwa zupełnie różne zawody. Zresztą niedawno wcielono w życie wytyczne OECD dotyczące klasyfikacji dyscyplin naukowych. Według tych zaleceń projektowanie architektoniczne powinno być traktowane jako dziedzina sztuki, a urbanistyka jako dziedzina nauk społecznych. Ale minister Gowin zdecydował inaczej.

Jak?

Jedno i drugie wpakowano do nauk technicznych. Trochę jakbyśmy chcieli zawrócić kijem Wisłę. Bo jak się spojrzy na dowolny podręcznik historii sztuki, to architektura jest zawsze na pierwszym miejscu. Taki podział ma swoje konsekwencje. Jeśli urbanistykę wyjmujemy z nauk technicznych i przypisujemy społecznym, to znaczy, że zaczynamy interesować się życiem mieszkańców. Tak samo z architekturą i architekturą krajobrazu – mając na uwadze, że to dziedziny sztuki, zwracamy uwagę na wygląd otoczenia człowieka, a nie wyłącznie...

Funkcjonalność?

Dlaczego do tej pory jedno i drugie traktowano jako nauki techniczne? Bo w XX wieku kraj trzeba było skanalizować, zelektryfikować, unowocześnić. Ale to już za nami. Wszyscy mamy prąd, wodę, ubikacje w domach – i to otoczenie techniczne zaczyna nam doskwierać. Chcielibyśmy inaczej. W Warszawie nie jest co prawda najgorzej, ale taki Lublin poszatkowano szerokopasmowymi trasami na wszystkie strony. Wszędzie widać ekrany dźwiękoszczelne. Lublin stał się miastem dla samochodów, a nie dla ludzi. I to zaczyna mieszkańcom doskwierać, bo uświadamiają sobie, że standard życia jest niższy niż w tym samym mieście w czasach komunistycznych. Tymczasem wytyczne ministra zdają się tego nie zauważać.

Po co miastom zieleń? Biolog powiedziałby, że pochłania zanieczyszczenia i wychładza otoczenie. A co na to architekt?

Wie pan, biorąc pod uwagę obecną kubaturę miast i związane z tym uciążliwości, to drzewa aż tak wiele nie zdziałają. Chodzi o coś innego. Dotychczas traktowano je jako źródło drewna. Ale to się zmienia. Niemcy dopłacają do produkcji drewna, w Szwajcarii to chyba dopiero siedemnasta z funkcji, jaką pełnią lasy. I tak jak konie trzyma się dziś pod wierzch, a nie do pracy, pies przestał być stróżem podwórka, a kot nie jest już od polowania na myszy, tak samo drzew nie traktujemy jak źródła drewna. One wszystkie stają się współmieszkańcami. Drzewo jest nam potrzebne tak samo jak pies czy kot – jako pewnego rodzaju środowisko, w którym człowiek powinien przebywać.

Dlatego, że zawsze przebywał?

Tak zostaliśmy ukształtowani. To kwestia wspólnoty, której zasięg się obecnie rozszerza. W kontakcie z zielenią powinniśmy się dopatrywać korzyści psychicznych i fizycznych, bo tych dwóch spraw nie da się rozdzielić.

Ale w zbiorze poświęconym drzewom z cyklu „Architektura jest najważniejsza" przypisuje Pan drzewom konkretną wartość pieniężną. Jedno berlińskie drzewo ma być warte 7,5 tys. euro, więc



GETTY IMAGES

400 tys. drzew w tym mieście to razem 3 mld euro.

Dla wielu miast prowadzi się takie wyliczenia. Drzewo w Nowym Jorku warte jest na przykład niecałe 4 tys. dolarów, a są ich tam 584 tysiące. Z kolei roczny zysk z jednego drzewa w amerykańskich miastach oceniono na niecałe 200 dolarów. To się wiąże z oszczędnością energii i jakością powietrza.

Proszę zwrócić uwagę, że ludzie najchętniej budowaliby się wokół parków. Jest taki wykres wartości gruntów. Od centrum do peryferiów cena spada, ale przed parkiem i za parkiem idzie w górę. Dobrym przykładem jest Regent's Park w Londynie, który zaprojektowano jako element podnoszący wartość terenów wokół niego. Park powstał w celach spekulacyjnych. Ojciec opowiadał mi zresztą, że przed wojną czynsz w Alejach Ujazdowskich w Warszawie był dziesięciokrotnie wyższy niż przy Marszałkowskiej 200 metrów dalej. Tylko z uwagi na otoczenie.

A więc drzewa to pieniądze.

Ale to w żadnym wypadku nie jest decydujący element. Chodzi przede wszystkim o to, że drzewa są towarzyszami ludzi. Zawsze nimi były.

Dla architektów też?

Uczę już od 50 lat i widzę zmianę w nastawieniu. Jak pan pójdzie za Park Ujazdowski i porozmawia z działaczami organizacji, które zajmują się przestrzenią miejską, to zobaczy pan zupełnie inne priorytety niż u projektantów starszego pokolenia. Współczesne myślenie jest bardzo etyczne. Ale jest też druga strona medalu. Przeciętne drzewo żyje w mieście pięć, może siedem lat, nie dłużej.

To skąd w Warszawie tyle starych drzew?

To jest, proszę pana, średnia statystyczna. Jedno będzie żyło sto lat, inne umrze po miesiącu. W miastach z uwagi na inny klimat dobrze radzą sobie drzewa, które uważa się za gatunki obce. Lepiej poradzą sobie robinie i platany, a gorzej niektóre rodzime. Ale to bardziej skomplikowana sprawa. Jakby pan szedł do mnie na rozmowę aleją Komisji Edukacji Narodowej, to od Indiry Gandhi do Ciszewskiego zobaczyłby pan wzdłuż ulicy piękne, dorodne lipy. A tu naprzeciwko mojego domu lipy są brzydkie i mikre. Posadzono je w tym samym czasie, a różnią się wielkością niemal dwukrotnie.

Z czego wynika ta różnica?

Choćby z szerokości trawnika czy podkrzesania dolnych gałęzi. Ze złego pielęgnowania drzew. Wokół drzewa powinno wytworzyć się całe środowisko. Jego gałęzie powinny sięgać niemal ziemi, w korzeniach siedzieć jeże. Drzewo jest organizmem społecznym i musi mieć ku temu warunki. Tak jak człowiek potrzebuje spotykać się z innymi ludźmi, tak drzewo potrzebuje spotykać się z innymi roślinami i zwierzętami.

Wymyślił Pan taką metaforę: żeby drzewa traktować jak jajka. Te, które wyrosły bez udziału człowieka, są jak jajka ekologiczne. Te posadzone ludzką ręką, ale zdolne do samodzielnego rozmnażania, to drzewa z wolnego wybiegu. Te, które nie mogą się rozmnażać, ale się rozwijają, są jak z chowu ściółkowego.

A te, które sadzimy w betonowych donicach i skazujemy na rychłą śmierć, trzeba traktować jak jaja z chowu klatkowego, których przyzwoity człowiek nie weźmie do ust. Jeśli przejmujemy się losem kur, których jajka jemy, to tak samo powinniśmy myśleć o drzewach, wśród których żyjemy. Drzewo okaleczone to nie jest dobry wzór do naśladowania. Patrząc na nie, ↦

↦ od razu widzę siebie okaleczonego w tym samym stopniu.

Okaleczamy je, bo rywalizujemy o wspólną przestrzeń.

My nie rywalizujemy o przestrzeń z drzewami, tylko z innymi ludźmi. Przecież pan by wolał mieszkać w luźniejszym otoczeniu. Ursynów jest dzielnicą atrakcyjną, bo ma metro. Jak metro połączy też inne dzielnice, to okaże się, że mamy tu zbyt gęstą zabudowę i dzielnica straci na znaczeniu. Wie pan, dlaczego ceny mieszkań w Miasteczku Wilanów spadły o jedną trzecią?

Bo wybudowano je na mokrym terenie.

Tam jest 30 metrów torfu. Przy centralnym ogrzewaniu reumatyzm człowieka specjalnie nie męczy, ale pochodną mogą być nowotwory. U nas nie publikuje się informacji o tym, jaka jest zapadalność na raka w poszczególnych dzielnicach miast. Zresztą wpływ ma na to wiele czynników. Ale faktem jest, że przez wieki ludzie zabudowywali tylko konkretne siedliska. Mieszkali tylko na tzw. dąbrowie kserotermicznej, czyli takim siedlisku, w którym rosną naturalnie dęby. Choćby dlatego tych dębów mamy w Polsce tak mało. Wycięto je i zabudowano.

Zastanawiam się, czy krajobraz jest czymś, co da się zakomponować. Czy jednak nasze otoczenie nie jest przypadkiem dziełem wielu zbiegów okoliczności.

Wie pan, co zostało z epoki saskiej na terenie Ogrodu Saskiego?

Nie wiem.

Drzewa. Kasztanowce. Nawet rzeźby nie są oryginalne parkowe, bo te uległy zniszczeniu, więc przeniesiono tam inne, z ujeżdżalni. Budynku nie ma żadnego, rzeźb nie ma żadnych, układ parkowy zaprojektowano już po wojnie. Przetrwało ją nie więcej niż 30 drzew. Nie wycięto ich, bo w pobliżu prowadzone były walki, więc w pniach tkwiły odłamki, na których łamały się później piły. Te kasztanowce są jedyną naziemną materialną pozostałością z XVIII wieku, z czasów Augusta III.

Czyli przypadek.

Niezupełnie. W architekturze krajobrazu najważniejsze jest miejsce, które albo nadaje się do jakiegoś celu, albo nie nadaje. Warszawa ma tyle wieżowców, bo leży na tzw. guzie warszawskim. To jest taka wyniosłość, która została uformowana za sprawą lodowca o kilometrowej wysokości. Nigdzie w Europie nie ma tylu wysokościowców co w Warszawie. W tej chwili jest ich 30 czy 40, ma być 50. Jeśli nie liczyć Moskwy, to Pałac Kultury był przez jakiś czas najwyższym budynkiem w Europie. Mówimy o budowlach, więc wieża Eiffla i inne maszty się nie liczą.

To jak kształtował się krajobraz naszego kraju?

Osady powstawały w średniowieczu, między XIII a XV wiekiem. Stan wiedzy był wtedy dość oczywisty: albo ludzie w danym miejscu chorują, albo nie chorują. Na północy to były krawędzie moren. Z jednej strony pola orne, z drugiej łąki i pastwiska, a na krawędzi dobre miejsce do mieszkania, bo w dół spływają nieczystości. Miasta powstawały na żyznej glebie, bo nie handlowano intensywnie żywnością, więc musiały się same wyżywić. Później ważniejszy stał się szlak wodny. Wie pan, dlaczego Warszawa została stolicą?

Bo Wawel spłonął?

Nie. Bo tak jak Berlin leżała na istotnym szlaku komunikacyjnym ze wschodu na zachód. Wystarczyło zbudować parę kanałów, by dopłynąć jedną długą rzeką do Atlantyku. Przesunęła się geopolityka. Proszę zwrócić uwagę, że wcześniej wojny w naszej części Europy toczono zwykle z północy na południe. Miasta leżały wzdłuż rzek, trzeba było opanować ujście i iść w górę. Od czasów Napoleona prowadzi się je równoleżnikowo.

Ale wracając do pytania: na Mazowszu miasta zajmowały krawędzie tarasów rzecznych. Spójrzmy na historyczną Warszawę: na skarpie Wolica i Królikarnia, w dole stary Wilanów, Czerniaków. Ta zabudowa powstawała w określonych miejscach. Robiłem kiedyś badania na Warmii. We wsi założonej później, a więc na gorszym miejscu, najstarszy mieszkaniec był o dziesięć lat młodszy niż w pobliskiej starszej wsi. W tej młodszej wsi było też więcej alkoholików. A więc różnice widoczne są do dziś.

W którym momencie to racjonalne planowanie wymknęło się spod kontroli?

Dziś mówi się o człowieku ekosystemowym i biosferycznym. Człowiek ekosystemowy to ten, który mieszka w określonym miejscu i jest z nim związany. Jak w dawnej wsi. Człowiek biosferyczny korzysta z zasobów całego świata. W momencie, kiedy zaczęliśmy wydobywać na dużą skalę kopaliny, więź z konkretnym miejscem przestała mieć znaczenie.

W jaki sposób to wpłynęło na krajobraz?

Dawniej miasta powstawały co 30 kilometrów, a wsie co pięć. Po to, żeby z każdej wsi można było dojść do miasta i wrócić tego samego dnia. Pójść, sprzedać, kupić i przed nocą być w domu. A potem powstały miasta przemysłowe. Te odległości zwiększyły się do stu kilometrów i dalej. Lublin, Olsztyn, Łódź to są właśnie te przykłady. Po krótkim czasie okazało się, że w miejskim ścisku gruźlica zbiera potężne żniwa i trzeba było zakładać parki. Pierwszy był Paryż, u nas powstał podobny system.

System?

Najbliżej ludzi miały być skwery, gdzie można było się z kimś spotkać, pospacerować z dziećmi czy pograć w bule, jak robi się to do dziś w Paryżu. Drugi poziom stanowiły parki dzielnicowe, jak Łazienki czy Ogród Saski. Były też rozległe tereny wypoczynku świątecznego, jak Bielany czy paryski Lasek Buloński. Tę strukturę oplatała sieć zadrzewień ulicznych. Ale potem okazało się, że to za mało. Potrzeby psychiczne mieszkańców były co prawda zaspokojone, ale zwarta zabudowa wciąż sprzyjała chorobom cywilizacyjnym. Ludzie zaczęli się buntować.

Trzeba było wymyślić inne rozwiązanie?

Opracowano tzw. linijkę słońca. Wykorzystuje się ją do obliczania czasu nasłonecznienia budynków.

Każdy mieszkaniec ma dostawać odpowiednią ilość promieni słonecznych.

Bo promienie ultrafioletowe zabijają prątki gruźlicy. Czyli orientacja budynków wschód-zachód, odstępy między nimi. Postulowane 20 proc. zabudowy i 80 proc. terenów otwartych. A dziś mamy w Warszawie 70 proc. zabudowy i 30 proc. terenów otwartych. Architekci się martwią, że gruźlica może wrócić. I wraca.

Kiedy po wojnie powstawała Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa, to dewe-

loperzy dostawali jedną trzecią gruntu za darmo, ale nie mogli na nim realizować komercyjnej zabudowy. Powstawały tam parki, szkoły, przedszkola. Urządzenia wspólnotowe. Dziś miasto sprzedaje deweloperowi sto procent terenu na zabudowę mieszkaniową, więc on go wykorzysta w całości. Zagęści, żeby maksymalizować zyski. Problemem jest więc polityka miasta, a nie deweloperzy.

Czy komponując współcześnie nasze otoczenie, myślimy długofalowo?

Komponowanie krajobrazu sprowadza się do tego, by dla danego miejsca znaleźć odpowiednią formę. Wtedy będzie funkcjonować jak należy. Jeśli zrobimy to źle, za kilkadziesiąt, może nawet kilka lat nie będzie po nim śladu. Jeśli zaprojektujemy park wbrew ludziom, to nie będą z niego korzystać i po jakimś czasie przestanie istnieć. A jak staniemy na wysokości zadania, to z czasem miejsce zyska tzw. wymiar klasyczny.

Która ze współczesnych warszawskich kompozycji ma Pana zdaniem szanse stać się klasyczną?

Wisła. Bulwary po lewej stronie i naturalistyczna ścieżka pieszo-rowerowa po prawej. Dobrze je zaprojektowano, ludzie z nich korzystają. Chociaż powiem panu, że jeszcze na przełomie wieków dostałem do zaopiniowania opracowanie na temat środowiska przyrodniczego Warszawy, w którym o Wiśle nie było ani słowa.

Polska się wyludnia, ale miasta puchną i będą puchły. Jak zapanować nad ich rozwojem?

Ludzie najchętniej budowaliby się wokół parków.

Od centrum do peryferiów cena spada, ale w okolicach parku zawsze idzie w górę.

Robiłem kiedyś warsztaty projektowe ze studentami. Zauważyliśmy, że miasto rozrasta się w formie spirali. Wymyśliliśmy nawet nazwę „Galaktyka Warszawa". Jest takie pojęcie złotego kąta, który powstaje wskutek złotego podziału okręgu. To podstawowa zasada ulistnienia roślin. Chodzi o to, by jeden liść nie zasłaniał na łodydze drugiego, dzięki czemu wszystkie mogą optymalnie wykorzystać warunki świetlne. Z miastem jest tak samo. Rozrasta się w sposób organiczny. Jednak mijają pokolenia, a my tracimy nad tym procesem kontrolę. Ale nasz dramat polega na czym innym.

Dramat?

Nie mamy żadnych koncepcji rozbudowy miast. Pierwsze plany dotyczące Warszawy to były czasy Augusta II, który zaplanował miasto pod względem opanowania wojskowego. Koszary piesze i kawaleryjskie musiały być tak rozlokowane, by do każdego miejsca dało się dotrzeć w 15 minut. Potem, w czasach Księstwa Warszawskiego, Napoleon zobligował wszystkie miasta powyżej stu tysięcy mieszkańców do sporządzenia planów rozwoju i Warszawa taki plan miała. Jeszcze później znów stała się miastem garnizonowym, więc znów podporządkowana była systemowi obronnemu. W 1916 r. Tadeusz Tołwiński stworzył plan rozwoju, który realizowany był w zasadzie do czasów powojennych. Były też tzw. koncepcje Warszawy funkcjonalnej, potem plan odbudowy.

Dziś nie ma żadnych planów?

Jest tzw. studium, które operuje miejscowo, ale nie ma żadnej większej wizji. Pewne rzeczy realizowane są co prawda nieoficjalnie, jak na przykład zbliżenie Warszawy i Łodzi za sprawą lotniska w Baranowie pod Sochaczewem, ale to nie jest żaden oficjalny plan, którego można by się trzymać.

Jeśli mówi Pan, że ten wzrost jest organiczny, jak u drzew, to może nie ma się czym przejmować?

No tak, ale drzewa umierają i miasta też umierają, prawda?

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. DR HAB. JAN RYLKE (ur. 1944) jest wykładowcą Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (gdzie kieruje Pracownią Sztuki w Katedrze Architektury Krajobrazu) oraz Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, specjalista w dziedzinie sztuki ogrodowej.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Jom Kipur i Księga Jonasza*



Dlaczego Księgę Jonasza czytamy po południu w święto pojednania, w Jom Kipur? Jej pierwszym bohaterem jest Jonasz, ale zasadniczym – Bóg. Oto Pan Izraela, Bóg związany z konkretnym narodem, z ziemią obiecaną, obejmuje swoją opieką nie-Żydów, zwierzęta duże i małe, a nawet rośliny. Nigdzie poza Księgą Rodzaju i poza Księgą Hioba nie ma tak jasnego i pełnego odniesienia do całego aktu Stworzenia. Nigdzie Bóg nie ukazuje się tak wprost jako przewodnik i nauczyciel człowieka. Prowadzi go przez najdziwniejsze i cudowne zdarzenia tak, by wbrew sobie wypełnił nakazaną mu misję.

Jonasz ma ocalić Niniwę przed grzechem, a prowadząc go ku Mezopotamii Bóg uczył, jak pozbyć się egoistycznego ja – obojętnego na innych ludzi, zajętego tylko sobą i swoimi zmartwieniami, które nie chce, nie potrafi, uważa, że nie musi wziąć odpowiedzialności za coś więcej niż kawałek chleba dla siebie i najbliższych. Wydobywa ze starego, plemiennego doświadczenia religii i przezywania Boga jedynie opiekunem jednego narodu. Można powiedzieć jeszcze inaczej: Bóg Księgi zmienia się, ukazuje ludziom nowy, rozszerzony wymiar swojego istnienia. W to święto pytamy sami siebie: czy my też możemy się przemienić, jak mógł się przemienić Bóg, i czy jesteśmy gotowi, by jako oczyszczeni stanąć wobec Wiekuistego? Wszak w Jom Kipur nie tylko chodzi o wyznanie grzechów i win, nie tylko o błaganie, by znaleźć się w księdze życia. Chodzi o to, by dzięki tszuwie – powrotowi – wyzwolić się od dotychczasowych barier. To jest droga duchowa, często długa, nieprosta. Księga Jonasza też jest księgą drogi. Składają się na nią cztery rozdziały. Każdy przypomina nam o drodze wewnętrznej, przez jaką musimy przejść, by obudzić się do pełnego moralnego, odpowiedzialnego życia. Jest faza wezwania, trzydniowa faza ucieczki, głębokiego snu i dojrzewania w ciemności (brzuch wieloryba), faza nauczania i raz jeszcze faza wątpliwości.

Nie wiemy czytając Księgę, czy sam Jonasz dojrzał do intensywności życia religijnego. Na pewno idzie o to, by uważny czytelnik zobaczył dramat duchowy i życiowy Jonasza, a w nim samego siebie. Jonasz uciekał przed Bogiem. A czy można przed nim uciec? Czy jest miejsce, w którym możemy się przed nim skryć? To również jest temat medytacji na dzień Jom Kipur. Nikt nie umknie sądowi Boga. A osąd obejmuje wszystkich nas, może i zwierzęta. Nawet one w Niniwie noszą wory pokutne, a na ich łbach widzimy popiół, jakby one również prosiły o wybawienie i zbawienie. Nikt przed Nim się nie skryje.

Na koniec chasydzka historia z Rosji. Żartowano kiedyś z biednego i zapamiętałego chłopca studiującego w jesziwie. Ktoś mu powiedział: „Dam ci dziesięć rubli, jak ty mi powiesz, gdzie jest Bóg". Student odpowiedział: „A ja ci dam tysiąc rubli, jak mi powiesz, gdzie Boga nie ma". ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Już więcej nie umiera*



W okresie paschalnym na wszystkie sposoby odmieniamy czasownik „zmartwychwstać". A przecież zmartwychwstanie to tylko pewien etap życia Pana Jezusa. Jeśli tak można powiedzieć: jest środkiem do celu, a nie celem. Paweł Apostoł mówi: „wiemy, że Chrystus, wskrzeszony z martwych, już nie umiera, śmierć nad Nim już nie zapanuje". Dobrze rozumieli to pierwsi chrześcijanie, nazywając dzień śmierci dniem narodzin, o czym przypomniano przy okazji soborowej reformy kalendarza liturgicznego.

Za Pawłem idzie Karl Rahner SJ: „Można (...) spokojnie przyjąć, że relacje, które na pierwszy rzut oka wydają się przekazywać nam szczegóły wydarzenia zmartwychwstania i wydarzeń ukazywania się Jezusa jako szczegóły historyczne, nie dadzą się uzgodnić ze sobą w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości; dlatego trzeba je raczej traktować jako drugorzędne środki służące do plastycznego i dramatycznego zobrazowania pierwotnego doświadczenia, że »Jezus żyje«". Owszem, Jezus przeszedł przez śmierć, swoiste Morze Czerwone, i okazało się, że śmierć ani na moment nie przerywa pasma ludzkiego życia, ani tym bardziej nie jest unicestwieniem człowieka.

Wiara w to, że śmierć nie zapanowała nad Chrystusem, staje się źródłem nowego widzenia życia. Ustępuje lęk przed śmiercią, jego miejsce zajmuje nadzieja, skoro Jezus żyje. Ustępuje też lęk przed światem, również tym wrogim, skoro Bóg-człowiek nie odszedł z tego świata do pozaziemskiego nieba, a przeciwnie, pozostał zarówno z tymi, którzy Go pokochali, jak i z tymi, którzy Go znienawidzili. Dlatego dla apostołów, a po nich aż do dzisiaj dla męczenników, nie śmierć, ale sprzeniewierzenie się Bogu było największym nieszczęściem, śmiercią spychającą człowieka już teraz w piekło bezsensu.

Wiara w obecność Jezusa powodowała, że apostołowie, oskarżeni o przynależność do zwolenników Jezusa, zachowywali się w przedziwny sposób. Najpierw podczas przesłuchania wziął ich w obronę Gamaliel, faryzeusz, członek Wysokiej Rady, i doprowadził do ich uwolnienia. W Dziejach Apostolskich czytamy, że sądzący apostołów „przywołali [ich] i kazali wychłostać. Potem zabronili im przemawiać w imię Jezusa i uwolnili. Oni opuścili więc miejsce posiedzeń Wysokiej Rady i cieszyli się, że mogli cierpieć z powodu tego imienia". Obici i upokorzeni apostołowie wychodzą z aresztu rozradowani, ale wcale nie tym najbardziej, że odzyskują wolność, lecz tym – że dane im było cierpieć z powodu Tego, kogo kochali.

Ten sam Jezus oczywiście żyje nadal wśród nas. Przy różnych okazjach powołujemy się na Niego i deklarujemy wiarę w Niego, więc należałoby się spodziewać, że w Jego Duchu my również będziemy podchodzić do naszych wrogów, którzy mają prawo takiego traktowania po nas się spodziewać. A jest, jak jest... ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Trzydzieści srebrników



Tylko Mateusz wspomina o srebrnikach, opisując zdradę Judasza: „A oni wyznaczyli [mu] trzydzieści srebrników” (Mt 26, 15). Tym razem nie chodzi o drobiazg; chodzi o rozumienie całego wydarzenia. Zapis Mateuszowy jest cytatem z proroka Zachariasza (Za 11, 12). Ewangelista mówi nam: chcecie zrozumieć, co stało się tego wieczoru, przeczytajcie Zachariasza.

To rozdział o Ludzie Boga przedstawionym pod obrazem stada owiec. Biedne są te owce – Bóg nazywa je „stadem uboju”. Owce nie mają przed sobą żadnej przyszłości poza śmiercią, ponieważ zostały zredukowane do obiektu handlu. Ich los rozstrzyga się między rękami kupujących i sprzedających. Oto Lud Boga.

Jedni chcą go kupić – tu prorok myśli o władcach, którzy chcą podporządkować sobie Lud Boży dla własnych celów. Drudzy są chętni, by go sprzedać – to mowa o kapłanach: bez skrupułów wydają owce w ręce doczesnych władców; w zamian zyskują doczesne zabezpieczenie.

Jednak prorok zapowiada Bożą interwencję. Pan nie może patrzeć na to, co się dzieje z Jego Ludem, i posyła mu prawdziwego Pasterza, dbającego o owce, a nie o siebie. Cóż, kiedy zarówno kapłani, jak i same owce są skłonni tolerować Go jedynie przez miesiąc. Po miesiącu musi odejść, a za wykonaną pracę „wyznaczyli [mu]” – do końca nie wiadomo kto: pseudopasterze czy owce? – „trzydzieści srebrników”. W osobie Pasterza zostaje odrzucony sam Bóg. „Oto – mówi do proroka – nadzwyczajna zapłata, której w ich przekonaniu byłem godzien” (Za 11, 13). Cena niewolnika – już niżej się nie da.

Św. Mateusz, opisując Ostatnią Wieczerzę, mówi nam: właśnie to się dzieje – został szyderczo wyceniony i odrzucony Dobry Pasterz – ale ofiarą tego odrzucenia jest nie tylko On sam (i posyłający Go Ojciec); ofiarą – jeszcze bardziej tragiczną – jest Boży Lud: Owczarnia będąca przedmiotem handlu, i w tym sensie przeznaczona na unicestwienie (nawet jeśli nie fizyczne, to moralne) – przez „kupców”, tzn. doczesne władze, redukowana do „politycznego mięsa”, a przez niegodziwych pasterzy traktowana jedynie jako źródło dochodu i pozycji społecznej.

Mocna jest ta lektura – czyż nie? Czy proroctwo Zachariasza nie spełnia się niemal w każdym pokoleniu Ludu Bożego? Czy nie dotyczy również naszego Kościoła? Czy kiedykolwiek zabraknie doczesnych władców pragnących pozyskać Kościół dla swoich politycznych pomysłów, unicestwiając przy tym tak naprawdę jemu właściwą duchową siłę? Czy kiedykolwiek w Kościele osłabnie pokusa wdania się w ten pozornie intratny handel? A także – będąca esencją piętnowanego zdecydowanie przez papieża Franciszka „klerykalizmu” – pokusa przedmiotowego i interesownego traktowania owiec? ©

Nie bój się ciała
i do niego nie lgnij.
Jeśli się go boisz
– opanuje cię.
Jeśli lgniesz do niego
– oplecie cię i udusi.

EWANGELIA FILIPA



Największym dobrem
jest harmonia duszy.

SENEKA



Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (28 IV – 2 V)

Niedziela Miłosierdzia Bożego: Dz 5, 12-16; Ps 118; Ap 1, 9-11. 12-13. 17-19; J 20, 19-31;
Poniedziałek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30;
Wtorek – Uroczystość św. Wojciecha: Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;
Czwartek: Dz 5, 27-33; Ps 34; J 3, 31-36;
Piątek – Uroczystość NMP Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a. 10ab; Ps: Jdt 13; Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;
Sobota: Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;
3. niedziela wielkanocna: Dz 5, 27b-32. 40b-41; Ps 30; Ap 5, 11-14; J 21, 1-19;
Poniedziałek: 1 Kor 15, 1-8; Ps 19; J 14, 6-14;
Wtorek: Dz 7, 51 – 8, 1a; Ps 31; J 6, 30-35;
Środa – Uroczystość św. Stanisława: Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;
Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;
Piątek: Dz 9, 1-20; Ps 117; J 6, 52-59;
Sobota: Dz 9, 31-42; Ps 116; J 6, 55. 60-69;
4. niedziela wielkanocna: Dz 13, 14. 43-52; Ps 100; Ap 7, 9. 14b-17; J 10, 27-30.

PRAWO I SOLIDARNOŚĆ

Przed Piotrem Dudą najpoważniejsze wyzwanie, odkąd kieruje Solidarnością. Będzie się starał udowodnić, że faktycznym liderem legendarnego związku nie jest wcale Jarosław Kaczyński. Łatwo mu nie będzie.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Pod koniec marca w krakowskim kuratorium zaczęła głodować grupa nauczycieli, w tym przedstawiciele oświatowej Solidarności. W arsenale wszelkich form protestu głodówka to ostateczność, dowodzi skrajnej determinacji. A na politycznej mapie polskiej edukacji małopolskie kuratorium to miejsce szczególne – kieruje nim Barbara Nowak, atakująca przeciwników PiS, tropiąca LGBT i domagająca się „prawdziwej polskości przewodników po Auschwitz".

Wyglądało to więc na poważną konfrontację. Szybko jednak okazało się, że część protestujących to zawodowi związkowcy, których niezmiernie rzadko można zobaczyć w tak radykalnych rolach. Może targały nimi szczere uczucia sprzeciwu, może rzeczywiście chcieli poprawić dolę nauczycieli – ale z dzisiejszej perspektywy równie dobrze można uznać, że wszystko było rozgrywką ukartowaną przez szefów Solidarności z bratnim rządem PiS. Protest głodowy u pani Nowak szybko się skończył. A wkrótce oświatowa Solidarność podpisała z rządem porozumienie, które miało zablokować strajk nauczycieli organizowany przez konkurencyjny Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Porozumienie z PiS firmował szef oświatowej „S" Ryszard Proksa, radny PiS. Także on obwieścił zakończenie głodówki. W ten sposób pan Proksa stał się symbolem nowej roli Solidarności: podpórki władzy.

Rękawica Dudy

Jest lato 2010 r. Solidarnością od ośmiu lat kieruje Janusz Śniadek, bliski PiS. Dla szefa potężnego regionu śląsko-dąbrowskiego związku, Piotra Dudy – aż nazbyt bliski. Duda rzuca więc rękawicę liderowi i wokół krytyki politycznych hołdów Śniadka wobec braci Kaczyńskich prowadzi swoją kampanię. I to mimo świeżej rany Smoleńska. Na jesiennym zjeździe Solidarności Duda wygrywa przewodnictwo.

Zasadniczy punkt programu: odkleić związek od PiS. Powoli, nie szokowo.

„Oczywiście bliżej nam do PiS, bo tylko samobójcy utożsamialiby Solidarność z Platformą i jej liberalnymi koncepcjami – mówi wówczas, z miejsca wyjaśniając: – Bliżej nam nie tyle do PiS, ile do programu PiS".

A zatem Polska socjalna tak, ale Polska dla Kaczyńskiego niekoniecznie. Duda wymyślił, że to lider PiS ma zabiegać o jego względy, nie chciał być petentem u Kaczyńskiego, bo w takiej roli ustawił się Śniadek. W wizji Dudy członko-



ADAM GUZ / REPORTER



wie Solidarności powinni angażować się w działalność różnych partii i komitetów wyborczych, zwłaszcza w wyborach samorządowych. Deklarował też: „Jesteśmy związkiem chadeckim, ani lewicowym, ani prawicowym".

Próbkę hardego charakteru dał jeszcze jako śląski lider Solidarności. W 2010 r. podczas rocznicy porozumień sierpniowych w Jastrzębiu nakazał działaczom PiS zwinięcie partyjnych flag. „Tu przynajmniej mamy do siebie wzajemny szacunek, przecież o to walczyliśmy, żeby się różnić, ale pięknie. Z tego jestem dumny jako przewodniczący śląsko-dąbrowskiej Solidarności" – mówił. Przedstawicieli rządzącej PO nie było na uroczystości. Duda twierdził, że premier Donald Tusk nie odpowiedział na zaproszenie, a świeżo upieczonego prezydenta Bronisława Komorowskiego nie zapraszał. „Jako organizator muszę być stuprocentowo pewny, że gość zostanie godnie przyjęty. A tego teraz nie mogę zagwarantować" – tłumaczył.

Buty poprzednika

To już jest w Solidarności tradycja – kandydaci na liderów atakują szefostwo związku za upolitycznienie, a po zwycięstwie sami się biorą za politykę. W 2002 r. Janusz Śniadek też obejmował stery związku z solennym zapewnieniem odwrotu od polityki na rzecz praw pracowniczych. Moment był dla związku jeszcze trudniejszy. Oto w 2001 r. dowodzona przez Solidarność prawicowa koalicja AWS po czterech latach rządów nie tylko straciła władzę na rzecz SLD Leszka Millera, ale została wręcz zmieciona ze sceny politycznej.

Koalicja AWS to szczytowe polityczne osiągnięcie Mariana Krzaklewskiego, lidera Solidarności, który z kolei w 1991 r. przejął związek po Lechu Wałęsie.

Choć Krzaklewski pokonał ówczesnych konkurentów pod hasłem odpolitycznienia związku, to po ledwie kilku latach sam doprowadził do największego jego upolitycznienia.

Tak nie było nawet podczas przełomu ustrojowego 1989/90. Za czasów Wałęsy „S" była szyldem łączącym rozmaite nurty opozycji antykomunistycznej i nie przejmowała władzy jako związek zawodowy, tylko de facto jako partia opozycyjna. Za Krzaklewskiego związek zaczął rządzić, a regionalni liderzy Solidarności stali się najbardziej wpływowymi ludźmi w Polsce, dzielącymi kasę i stołki. ↦

↦ Rząd AWS Jerzego Buzka upadł pod ciężarem wewnętrznych konfliktów i afer. Choć należy także pamiętać, że to tamten rząd wprowadził Polskę do NATO.

Inna rzecz, że trudna symbioza związkowców z liderem koalicyjnej Unii Wolności Leszkiem Balcerowiczem – choć umożliwiła również ostatni w najnowszej historii duży pakiet reform gospodarczych i społecznych – musiała się zakończyć źle. Koalicja upadła jeszcze przed końcem kadencji w 2001 r.

Krzaklewski z najpotężniejszego człowieka w Polsce – imię „Marian" posłowie AWS wymawiali z ogromnym respektem – stał się politycznym trupem.

Uprzedzenia przewodniczącego

Na gruzach AWS i UW rodził się już nowy układ na scenie politycznej – politycy obu partii wymieszali się na nowo, tworząc Platformę Obywatelską oraz Prawo i Sprawiedliwość.

Choć w każdym z tych ugrupowań wielu jest ludzi dawnej „S" – i w sumie oba do dziś odwołują się do etosu sierpnia '80 – to związek wraz z ich dominacją na scenie politycznej stracił bezpośredni wpływ na politykę. Upadek AWS był symbolicznym końcem marzeń Solidarności i jej liderów o czystej władzy.

Krzaklewski odchodząc w 2002 r. próbował na swe miejsce namaścić Dudę. Ale Duda nie był gotowy. Wykręcił się zbyt młodym wiekiem (miał wówczas 40 lat) i niewielkim doświadczeniem w kierowaniu związkiem na Śląsku.

Podjął wyzwanie dopiero po Śniadku, rządach Millera, aferze Rywina i wejściu do Unii. W innych czasach, w innej rzeczywistości. W stanie wojny polsko-polskiej, w której górą była wtedy Platforma.

Tak, Duda dochodząc do władzy w Solidarności był uprzedzony do Platformy, która rządziła już wówczas od kilku lat jego Śląskiem. Od początku jako szef Solidarności miał szorstkie relacje z rządem PO-PSL. Ale kryzys wybuchł w drugiej kadencji rządów Tuska. Po wygranych wyborach, bez wcześniejszych zapowiedzi w kampanii, premier oznajmił, że podniesie wiek emerytalny do 67 lat (z 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn). I nadspodziewanie dziarsko jak na swe standardy wziął się do roboty.

Duda próbował przeciwdziałać. Solidarność zebrała niemal 1,5 mln głosów pod wnioskiem o referendum w sprawie wieku emerytalnego.

„Proponuje się nam albo pracować do śmierci, albo szybciej umrzeć z głodu" – mówił, prezentując projekt w Sejmie. Taka krytyka rządu mu nie pomogła. PO-PSL odrzuciły projekt Solidarności, a ustawa podnosząca wiek emerytalny została uchwalona w kilka miesięcy. Związkowcy wypowiedzieli rządowi wojnę.

Lep PiS-u

Jest 11 maja 2012 r. Rozwścieczeni działacze Solidarności blokują Sejm. Barierki wokół gmachu spinają łańcuchami, tworząc zasieki. Duda osobiście sprawdza szczelność blokady. Na teren parlamentu związkowcy wrzucają 67 piłek futbolowych – to nawiązanie i do wieku emerytalnego, i do piłkarskiej pasji premiera. Grożą, że nikogo nie przepuszczą, ale tak się składa, że europosła PiS Jacka Kurskiego – który twierdzi, że pędzi do Jarosława Kaczyńskiego – przepuszczają. Posłowie opozycyjnego PiS triumfują, gdy politycy obozu władzy muszą się przepychać z wkurzonymi działaczami związku.

Agencje donoszą: „Przysłuchując się transmisji z głosowań w Sejmie związkowcy podpalili plastikowy stolik z napisem »dialog«, ustawili szubienicę ze zdjęciami premiera Donalda Tuska i posła PO Stefana Niesiołowskiego, kasę z supermarketu z wyliczeniem, ile zarabia kasjerka, a także ile w czasie pracy przenosi towarów, oraz trumnę przykrytą biało-czerwoną flagą. W czasie głosowań skandowali m.in. »Donald pedał, Polskę sprzedał«, »Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę«, palili zdjęcia posłów, którzy głosowali kilka tygodni temu przeciw referendum emerytalnemu".

W tym właśnie momencie kończy się Dudowa próba odklejenia się od Kaczyńskiego. Solidarność na nowo stała się kąskiem dla PiS.

Ale Duda nie od razu poszedł na ten prosty lep – wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Próbował walczyć, klecić własną polityczną siłę narodowo-związkową. Wiosną 2013 r. rzucił pomysł powołania Platformy Oburzonych – w historycznej sali BHP Stoczni Gdańskiej zorganizował zjazd frustratów odrzucających i Platformę, i PiS. Prym wiódł Paweł Kukiz, który w happeningowym, drobiarskim stylu atakował i Kaczyńskiego, i Tuska: „Kino nam zrobiono o tym, jak Kaczor z Donaldem łapią się za dzioby, i jeszcze każą nam za to płacić. I oni chcą, żebyśmy oglądali takie kino, jak jednego zabraknie, to wymyślą sobie drugiego!". Na każdą taką inicjatywę Solidarności z dystansem, a czasem wrogością patrzył Jarosław Kaczyński. Kalkulował, że Duda z Kukizem mogą mu odebrać parę punktów niezbędnych do zwycięstwa nad Platformą. No i chciał mieć Solidarność na własność. Gdy jesienią Duda zarządził Ogólnopolskie Dni Protestu, ściągając związkowców do Warszawy, PiS wydało swoim ludziom nakaz, by trzymać się od tego jak najdalej.

Podrygi Kukiza

Wystarczyło poczekać. Kukiz jest niebieskim ptakiem, uprawia politykę zrywu, a nie syzyfowej pracy – było więc niemal pewne, że Duda nic z nim nie osiągnie. Do tego zaostrzał się konflikt związku z rządem. Gabinet Tuska wprowadza elastyczny czas pracy – pracodawcy mogą rozliczać nadgodziny pracowników w ciągu roku. Ma to być recepta na zmniejszenie bezrobocia – przy dużych zamówieniach pracownicy pracowaliby dłużej niż osiem godzin dziennie, a gdy zamówień będzie mniej – odbiorą nadgodziny.

Duda uważa, że to furtka do wyzysku. Organizuje strajk generalny na Śląsku i wycofuje Solidarność z Komisji Trójstronnej, gdzie rząd negocjuje z pracownikami i pracodawcami.

„Chciałbym się obudzić i żeby już nie było premiera Tuska – mówi jesienią 2012 r. Rok później występuje już na kongresie PiS. – Z rządem Donalda Tuska nie można rozmawiać. Premier to tchórz i kłamca".

Kaczyński dostał Solidarność jak na tacy. Czy też – po prawdzie – Platforma wepchnęła Dudę w objęcia PiS, odrzucając bez refleksji wszystkie pomysły związku.

A przecież między Kaczyńskim i Dudą nie ma wielkiej chemii, są z innych światów. Inteligent ze stołecznego Żoliborza, trochę konspirujący za czasów PRL, kontra tokarz, działacz pierwszej Solidarności, ale potem komandos w czasie stanu wojennego. W klapie marynarki, gdzie Lech Wałęsa nosi Matkę Boską, Duda wpina „gapę" – znaczek spadochroniarzy.

W pamiętnej kampanii wyborczej w 2015 r. Kaczyński do bliższych kontaktów z Dudą wydelegował Dudę – Andrzeja Dudę. Kandydat PiS na prezydenta podpisał ze swym związkowym krewnym „umowę programową" – obiecał w niej nie tylko cofnięcie zmian wprowadzonych przez PO (wiek emerytalny i czas pracy),

ale także pomoc dla rodzin (czyli 500 plus) oraz reformę edukacji.

Przystawka partii

W przypadku protestu nauczycieli podporządkowanie Solidarności rządowi – czy to ze względu na umowę Duda-Duda, niechęć związku do Platformy, czy też fotel radnego PiS dla Proksy – nie jest już jednak tak pewne.

Sytuacja jest bardziej skomplikowana. Oświatowa Solidarność protestowała już w zeszłym roku. Stanowisko, w którym związkowcy domagali się odwołania minister edukacji, zostało skierowane do premiera Mateusza Morawieckiego w maju. „Propozycje Ministerstwa Edukacji Narodowej wprowadzają chaos organizacyjny w szkołach, dodatkową biurokrację, niezdrową rywalizację i pogłębią frustrację nauczycieli". Sam Proksa powtórzył to dobitnie jeszcze w grudniu.

Protestowało też oczywiście ZNP, ale premier Morawiecki – dziś zapraszający ZNP do oświatowego okrągłego stołu – przez cały rok nie znalazł czasu na spotkanie z tą organizacją. Spotykał się za to z Solidarnością, czyli ze swoimi. Jeszcze pod koniec lutego oświatowi związkowcy z „S" zostali zaproszeni przez Morawieckiego do siedziby PiS na nieformalne negocjacje z Kaczyńskim.

Nie stanowi to żadnego rozgrzeszenia dla Morawieckiego, ale akurat w oświacie oba główne związki mają wyraźny rys polityczny. Liczący ponad 200 tys. członków Związek Nauczycielstwa Polskiego wchodził niegdyś w skład Sojuszu Lewicy Demokratycznej, gdy SLD było jeszcze koalicją rozmaitych partii i organizacji społecznych.

Solidarność oświatowa – niemal trzy razy mniejsza – zawsze sympatyzowała z kolei z prawicą. Efekt? Od ponad ćwierć wieku każdy z tych związków protestuje głównie wtedy, gdy rządzi obca mu partia. Chodzi więc o pieniądze przede wszystkim od obcych, rzadziej od swoich.

By nie być gołosłownym: pierwsza duża fala protestów wśród nauczycieli wybuchła na przełomie 1991 i 1992 r., gdy zaczynał rządzić Jan Olszewski, czyli prawica. Kto protestował? Strajk zorganizował ZNP.

Od wakacji 1992 r. rządził już rząd Hanny Suchockiej, wciąż oparty na ludziach dawnej Solidarności. Kto rozpoczął strajk w kwietniu 1993 r.? Ano znów ZNP, choć faktem jest, że na początku maja dołączyła do niego Solidarność. Wówczas rozpoczął się największy jak dotąd strajk nauczycieli w historii III RP. W niemal połowie województw – a było ich wówczas 49 – egzaminy maturalne nie zostały przeprowadzone w terminie.

Między Kaczyńskim i Dudą nie ma wielkiej chemii, są z innych światów. Inteligent ze stołecznego Żoliborza, trochę konspirujący za czasów PRL, kontra tokarz, działacz pierwszej Solidarności, ale potem komandos w czasie stanu wojennego.

Półtora roku później, w grudniu 1994 r., premierem był już Waldemar Pawlak, rządzący razem z SLD kierowanym przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Kto protestował? Nauczyciele z oświatowej Solidarności.

Kolejna fala protestów przetoczyła się przez oświatę za centroprawicowego rządu Jerzego Buzka, który z kolei Solidarność współtworzyła. Kto rozpoczął protest 19 listopada 1999 r.? Bez niespodzianki – ZNP.

Kolejne strajki odbyły się w 2007 r. za rządu Jarosława Kaczyńskiego i w 2008 r. za rządów Donalda Tuska. Oba te rządy także, politycznie rzecz biorąc, były odległe od ZNP. I to ZNP wodziło rej w protestach.

Rekwizyt Kaczyńskiego

Nie w tym jest więc kłopot, że związki przyklejają się do partii. Kłopot w tym, że Solidarność chyba nigdy wcześniej nie została aż tak widowiskowo, instrumentalnie wykorzystana przez żaden przychylny jej rząd do tłumienia protestów i dzielenia niezadowolonych. Wyjątkiem był tylko burzliwy okres przemian 1989/90, nad którymi związek roztoczył parasol ochronny – tyle że sytuacja po PRL była wyjątkowa, w dodatku to „S" była wówczas kreatorem przemian.

Teraz jest inaczej. Solidarność jest rekwizytem, wyciąganym przez Kaczyńskiego w sytuacji rosnącego zaniepokojenia widowni. Prezes płaci przewodniczącemu w konkretnej walucie – nie tylko niższy wiek emerytalny i 500 plus, ale także stawka godzinowa za pracę i zakaz handlu w niedzielę.

Gdy niepełnosprawni protestowali w Sejmie za rządów Platformy w 2014 r., Duda ich odwiedził. „Jak temu rządowi się nie wytarga czegoś z gardła siłą, protestami, okupacją, to oni nic od siebie po prostu nie dadzą" – radził.

Gdy w zeszłym roku protestowali, ale za rządów PiS, Duda też do nich przyszedł. „Gdyby w 2014 roku strajkujący byli bardziej zdeterminowani, to dziś nie byłoby protestu. Wiedziałem, że rząd Tuska ich oszuka" – mówił. I dodawał znacząco: „W pewnym momencie trzeba ustąpić. Starałem się rozmawiać o tym z paniami".

Testament Lecha

Sytuacja przewodniczącego Dudy po edukacyjnej kapitulacji jest trudna, bo wielu działaczom nie podoba się rola łamistrajków. Dlatego szef „S" uznał, że musi znów – jak niegdyś – zagrać hardego wobec PiS. Właśnie ogłosił swe niezadowolenie z rządu – domaga się podwyżek dla budżetówki, grożąc rządowi protestami. Musi pokazać, że to on, a nie Kaczyński, jest realnym przywódcą związku.

Jednocześnie Solidarność politycznie wiąże się z PiS jeszcze szczelniej. Korzystając z rządowych specprzepisów o zgromadzeniach, związek rezerwuje plac pod dawną Stocznią Gdańską w rocznicę wyborów 4 czerwca. Wszak pojawiły się podejrzenia, że to właśnie tam i wtedy Donald Tusk mógłby ogłosić powstanie swego nowego ruchu. Związek odbiera też prawo do używania swego charakterystycznego logo gdańskiemu Europejskiemu Centrum Solidarności, muzeum, które w swej wizji przemian 1989/90 nie podziela spojrzenia prezesa Kaczyńskiego.

Gdy w 1991 r. Marian Krzaklewski sensacyjnie wygrał przywództwo Solidarności po Lechu Wałęsie, w pobitym polu zostawił m.in. Lecha Kaczyńskiego. Jeśli w jakimś obszarze Jarosław Kaczyński jest bliski realizacji testamentu brata, to jest to właśnie władanie Solidarnością.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego".



ARCHIWUM PRYWATNE

Paula i Marcin Bruszewscy z córką, 2019 r.

Przerabianie szkoły

MARCIN BRUSZEWSKI, WSPÓŁZAŁOŻYCIEL PLATFORMY EDUKACYJNEJ „ZWOLNIENI Z TEORII":

Nawet gdy uczniowie chcą działać, przychodzą rodzice i nauczyciele i mówią: „Fajne są te wasze projekty, ale z ich powodu nie wystarczy czasu, by przerobić program".

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Został Pan już należycie sprawdzony przez publiczne media?

MARCIN BRUSZEWSKI: Dlaczego ktoś miałby mnie sprawdzać? I pod jakim kątem?

Związków dziadka z obcymi armiami, ojca z wrogimi partiami, żony z KOD-em, Pana z Grzegorzem Schetyną.

Nie spotykam się z Grzegorzem Schetyną i nie byliśmy na marszach KOD-u, więc nie ma czego sprawdzać. Choć w nawiązaniu do naszego – wspólnego z żoną Paulą – wsparcia nauczycieli jeden z moich znajomych pogratulował mi „początku kariery politycznej". To dla mnie nieporozumienie, bo zarówno nasza działalność, jak i prywatny gest przekazania 108 tysięcy złotych na fundusz strajkowy miał inne motywacje. Od lat pracujemy z nauczycielami i poczuliśmy potrzebę, by ich wesprzeć w tym trudnym dla nich momencie, tak jak oni zawsze wspierają młodzież, która realizuje z naszą fundacją swoje projekty społeczne.

Ale przekaz można czytać tak: popieracie antyrządowy strajk, a kontestujecie flagowy rządowy program, bo te 108 tys. zł to suma 18-letnich transferów z 500 plus na Państwa drugie, dziś kilkumiesięczne dziecko.

Gdy dwa tygodnie temu dowiedzieliśmy się o funduszu, usiedliśmy z żoną, by ustalić, jak wesprzemy nauczycieli. Obrady były burzliwe, bo temat jest dla nas niezwykle ważny.

Nie krytykujemy 500 plus, nawet jeśli dopuszczamy zastrzeżenia do jego formy, czy pytania o jego demograficzną skuteczność. Ten program – zgodnie z intencjami samych twórców – przeznaczony jest m.in. na rozwój dzieci. Nie wyobrażamy sobie rozwoju naszej córki bez dobrej szkoły i uskrzydlonych nauczycieli. Chcieliśmy przez ten gest powiedzieć im: jesteście dla nas ważni.

Gdzie byliśmy – mam na myśli popierających strajk dziennikarzy, darczyńców, tworzących komitety społeczne aktorów, „flagujących" się na Facebooku internautów – przez 30 lat nędzy polskiego nauczyciela?

Pana pytanie da się odwrócić: gdzie byli sami nauczyciele? Albo stwierdzić: wcześniej się na taki strajk nie zdecydowali, a teraz – z jakichś powodów – już tak.

My zaś na tę sytuację zareagowaliśmy – nie przeciw komuś, tylko za czymś. Nawet nie za konkretnym rozwiązaniem, bo nie mam wyrobionego zdania, jaką podwyżkę powinni dostać przedstawiciele tej grupy zawodowej. Wiem jedno: ten strajk może się zakończyć albo poczuciem nauczycieli, że mieli społeczne wsparcie, że ich szanujemy i przede wszystkim doceniamy ich pracę, albo poczuciem poniżenia i osamotnienia. To drugie byłoby tragiczne w skutkach.

„Niegodnym jest robienie dzieciakom trudności w zdawaniu egzaminów" – powiedział w radiu TOK FM Jan Wróbel. Przez wiele lat Pana nauczyciel w warszawskim liceum „Bednarska".

To rzeczywiście bardzo trudna sytuacja, którą każdy nauczyciel musi rozsądzić sam. Opinia Jana Wróbla jest taka, jak pan zacytował. Opinia moja...

Waha się Pan – jednak belferski autorytet nie umarł.

Odpowiem tak: stawka, o którą toczy się gra w tym strajku, jest tak duża, że nie palę się, by potępiać nauczycieli, którzy podejmują tak dramatyczną decyzję, jak odstąpienie od egzaminowania.

Cofnijmy się o dwie dekady – do Pana szkoły. Pierwszy zapamiętany obraz?

Czwarta bodaj klasa podstawówki, aukcja charytatywna na rzecz uchodźców z Czeczenii. To była szkoła społeczna, a ja sprzedawałem stworzone przez uczniów rysunki. Pamiętam, że sporą część z tych dzieł kupiłem sam (*śmiech*).

Dlaczego Pan to tak dobrze zapamiętał?

Wryła mi się w pamięć satysfakcja płynąca z tego, że zrobiło się coś dobrego. Wdzięczność tych ludzi. Emocje. To zostało mi do dziś: nie wierzę w tzw. czysty

altruizm. Już prędzej w egoistyczną radość, że zrobiło się coś szlachetnego.

Zapamiętał Pan z tamtego czasu nauczycieli?

Z podstawówki nie bardzo, z liceum – wspomnianej „Bednarskiej" – całą plejadę wybitnych belfrów. Z Krystyną Starczewską czy Janem Wróblem na czele. Moje spojrzenie na świat, potrzebę działania ukształtował w dużej mierze dom – np. tata, aktywny w życiu kulturalnym i społecznym. Ale szkoła też. Byłem członkiem sejmu „Bednarskiej", który podejmuje ważne decyzje dotyczące zasad wspólnego funkcjonowania. Raz np. podjęliśmy głupią decyzję, by skrócić lekcje do 40 minut, w efekcie czego żadnej nie dało się doprowadzić do końca. W ten sposób uczyliśmy się odpowiedzialności za nasze działania.

Spędził Pan kilkanaście lat w edukacyjnej bańce – nie powąchał Pan nawet szkoły publicznej.

To prawda, ale w bańce, w której przebywanie pozwoliło mi np. dostrzec problemy innych. Choćby to, że moja szkoła nie jest reprezentatywna dla poziomu polskiej edukacji. To między innymi dlatego po skończeniu szkoły i studiów zajęliśmy się z żoną edukacją – tym razem już nie własną.

Stworzyliście Fundację Social Wolves i jej flagowy „produkt": olimpiadę „Zwolnieni z Teorii", która umożliwia licealistom i studentom realizowanie własnych projektów społecznych. Zaczęło się od rozmowy rekrutacyjnej Pana żony, dziś prezeski SW.

To była czołowa amerykańska korporacja, a rekrutacja miała siedem etapów. W zasadzie na żadnym z nich pytania nie dotyczyły skończonych szkół, kursów, szkoleń czy ocen na egzaminach, ale konkretnych umiejętności. Czy była pani kiedyś w konfliktowej sytuacji? Co pani zrobiła? Miała pani sytuację, w której musiała kogoś do czegoś przekonać? Negocjowała pani kiedyś kontrakt? Odpowiedzi, jakich udzieliła Paula, wynikały z jej doświadczenia w pracy nad projektami społecznymi.

Przez ostatnie kilka lat przez „Zwolnionych z Teorii" przeszły tysiące licealistów i studentów. Jak to działa?

W bardzo prosty sposób: zgłasza się do nas grupa młodych ludzi, którzy chcą zrobić razem projekt społeczny. A my im w tym pomagamy. Dajemy motywację, opiekę i narzędzia, czyli platformę online działającą trochę jak przepis na ciasto. Na każdym etapie działania można tam znaleźć wskazówki, inspiracje, podpowiedzi. Jak tworzyć projekt, jak zainteresować nim dziennikarza, jak pozyskiwać środki od sponsorów itd.

Nie zawsze to uczniowie zgłaszają się do nas. Czasami to my jedziemy do szkoły. W zeszłym roku byliśmy w sześciuset placówkach. My, to znaczy nasi „ambasadorzy", czyli uczniowie bądź studenci, którzy mają już projekt za sobą. Opowiadają o swoich przeżyciach: „Słuchajcie, ja w zeszłym roku siedziałem tak jak wy, w pierwszej ławce, i tak samo nie do końca wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. A potem zrobiłem projekt, który pomógł wielu ludziom, został zauważony przez media, a w dodatku dzięki niemu dostałem staż w dużej firmie".

Co roku współpracę z nami zaczyna około 15 tys. licealistów i studentów.

Początek to dostrzeżenie jakiegoś problemu.

Potem jest burza mózgów, jak ten problem przedstawić, a następnie etap działania. To może być kampania społeczna, bal charytatywny, wydarzenie edukacyjne. Tematy najróżniejsze: od żydowskich korzeni Białegostoku do koncertu ku chwale żołnierzy wyklętych. Nie recenzujemy tych pomysłów, nie cenzurujemy – jedną z największych wartości „Zwolnionych..." jest apolityczność.

Proszę o dwie historie Pana zadziwień. Dwie inicjatywy, które Pan zapamiętał.

Była ich masa, wspomnę o projekcie „Jestem Biedronką", reklamie społecznej uczniów i studentów z Krakowa. Zwrócili uwagę na problem łuszczycy, groźnej choroby skóry. To schorzenie, które dotyka blisko 2 miliony Polaków, i jest z nim związany szereg niebezpiecznych stereotypów. Zrobili sesję zdjęciową, opublikowaną później w mediach społecznościowych. Tłumaczyli np., że to nie jest choroba zaraźliwa. Był ogromny odbiór, ale też wdzięczność ze strony społeczności chorych.

Inny projekt święci dziś w jakimś sensie triumf po tym, jak w centrum Poznania zakazano wieszania billboardów. Otóż młodzi ludzie już w roku 2014 zrobili akcję „Śmieci na wysokości". Przy pomocy drona nakręcili filmik pokazujący Warszawę z lotu ptaka, a następnie usunęli cyfrowo wszystkie wielkoformatowe reklamy. Na minutowym materiale można zobaczyć, jak wyglądałaby bez nich Warszawa. Twórcy tej akcji byli cytowani przez media, filmik obejrzała na YouTubie masa ludzi. Zrobili to sami, bez asysty nauczycieli.

Co z takich projektów zostaje?

Poza satysfakcją i realnym wpływem na ludzi – masa innych korzyści. Wśród nich uznanie: „Forbes" zrobił plebiscyt „25 under 25", czyli listę 25 młodych ludzi poniżej 25. roku życia, którzy albo już kształtują, albo mają szansę kształtować Polskę. Aż siedmioro laureatów to alumni „Zwolnionych z Teorii"! To ludzie, którzy założyli własne organizacje, nie tylko społeczne. To liderzy w start-upach z wielomilionowymi inwestycjami.

Dzieje się tak, bo udział w projekcie społecznym uczy pracy w zespole, przywództwa, nieszablonowego myślenia, negocjacji, inicjatywy. Gdy ci młodzi ludzie zaczynają pracę nad projektem, wabikiem jest nierzadko międzynarodowy certyfikat, który mogą dostać. Ale jak ich pytamy na koniec, dlaczego są zadowoleni z tego, co zrobili, prawie sto procent odpowiada: „Zobaczyłem, że mam na coś wpływ, że coś ode mnie zależy, że coś mogę zbudować".

Współpraca – głosi obiegowy pogląd – nie jest naszą narodową specjalnością. Prawda?

Odpowiedzią niech będzie statystyka: mimo wielu sukcesów, większość projektów nie dochodzi do etapu finalizacji. Gdy próbowaliśmy dociec, co jest główną przyczyną porażek, odpowiedź była jednoznaczna: zespół się rozpadł, nie dogadali się, pokłócili, nie byli w stanie uzgodnić wspólnej strategii.

To trochę tak jak z negocjacjami przed strajkiem nauczycielskim w centrum – o ironio – „Dialog". Strony ogłaszały, że się prawdopodobnie nie dogadają, zanim przystępowały do kolejnej tury negocjacji.

Z pewnością można było te negocjacje poprowadzić lepiej. Ale w tym przypadku nie musi wcale chodzić o tę nieumiejętność. Być może po prostu strona rządowa i nauczycielska ma obiektywnie sprzeczne interesy. ↦



ARCHIWUM FUNDACJI SOCIAL WOLVES

Wielki finał olimpiady „Zwolnieni z Teorii", Warszawa, kwiecień 2016 r.

↦ **To wróćmy do szkoły, która te wartości – pracy zespołowej, negocjacji – ma za nic.**

Powiem nieco łagodniej: ona w tej dyscyplinie raczkuje.

Gdy tworzono likwidowane dziś gimnazja, wiele się mówiło o wartości pracy projektowej.

Teraz też wiele się mówi. Minister Zalewska powtarza słusznie, że nawet 20 procent podstawy programowej powinno być realizowane metodą projektową. Ale w praktyce nauczyciele nie mają na to czasu. Ani kompetencji i narzędzi, by to robić.

Projekty edukacyjne jako odgórnie wprowadzany w życie szkół postulat to na razie w Polsce – mówiąc dyplomatycznie – nieudany eksperyment. Tak uczniowie, jak nauczyciele podeszli po prostu do tego jak do przykrego obowiązku. Kolejnego narzuconego odgórnie pomysłu, który musi się zakończyć „prezentacją". Pomysł się wynaturzył, co zresztą utrudniło nam pracę, bo zdarza nam się mówić o dobrych stronach projektów, a w odpowiedzi słyszeć westchnienie zniechęcenia.

Dlaczego polska szkoła powinna stawiać na projekty?

Bo trwa właśnie czwarta rewolucja przemysłowa, która – jak poprzednie – musi doprowadzić do zmian w systemie. Pierwsza np. spowodowała powszechny dostęp do szkoły, kolejne: do uczelni.

A ta?

Drony, sztuczna inteligencja, automatyzacja powodują, że na rynku pracy zanika potrzeba wykonywania powtarzalnych czynności. I nie chodzi tylko o to, że w sklepach nie będziemy już potrzebowali sprzedawców. J.P. Morgan wydaje już miliardy dolarów na to, by zastąpić swoich prawników sztuczną inteligencją.

Wniosek jest jasny: już teraz, a jeszcze bardziej w niedalekiej przyszłości cenione będą kompetencje, których nie sposób zastąpić maszynami.

I tak się niefortunnie składa, że szkoła te kompetencje zaniedbuje. Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii opublikowało niedawno raport pt. „Szkoła dla innowatora", który te negatywne diagnozy potwierdza.

„Polska szkoła potrzebuje zmiany z instytucji, która dyktuje uczniom Wikipedię, w instytucję, w której nauczyciele zyskują wielki szacunek za pomaganie im w radzeniu sobie z wyzwaniami" - komentował w TVN24 wiceprezes i współtwórca „Zwolnionych..." Rafał Flis.

Badania zlecił resort, który ułatwia życie przedsiębiorcom, mobilizuje dla nich kapitał.

I bardzo dobrze. Tyle że zapominamy, iż przedsiębiorczość i innowacje to ludzie! A jeśli szkoła tych ludzi nie przygotowuje na wyzwania XXI wieku, to kto ma budować w Polsce nowoczesną gospodarkę?

Dlaczego polska szkoła tkwi w XIX wieku?

Widzę trzy powody. Pierwszy: rekrutacja na studia jest oparta na wyniku egzaminu maturalnego, podczas gdy egzamin ten weryfikuje niemal wyłącznie wiedzę. Wywierając presję na młodych ludziach, by studiowali, naciskamy tym samym, by uczyli się na pamięć. To kluczowa słabość polskiej szkoły. By dostać się np. na Harvard, trzeba mieć nie tylko dobre oceny, ale też zdolności organizacyjne, przywódcze.

Punkt drugi: przeładowany, scentralizowany program nauczania.

Po reformie przeładowany do granic możliwości. Tak mówią nauczyciele.

A ja mogę panu opowiedzieć o konsekwencjach takiego stanu rzeczy. Np. jeden z uczniów wyznał, że nad projektem do „Zwolnionych z Teorii" pracował o czwartej nad ranem!

Nie jestem wrogiem uczelni, nie podważam wartości formalnego wykształcenia. Ale jeśli główną regułą dostępu do tego wykształcenia jest walec teoretycznej wiedzy, który przejeżdża po młodych ludziach, to coś jest nie tak. Efekt działania tego walca jest taki, że nawet jeśli młodzi ludzie są chętni, by uczestniczyć w projektach, to zaraz przychodzą rodzice i nauczy-

ciele. „Fajne są te wasze projekty – mówią – ale z ich powodu nie wystarczy czasu, by przerobić program i zdać egzaminy”.

Przeszkoda trzecia?

Jest najbardziej powiązana z naszym gestem. Nawet gdybyśmy pokonali dwie pierwsze bariery, to nauczyciele nie mają narzędzi, kompetencji, by wcielić się w rolę opiekunów dla uczniów chcących działać. Nie ze swojej winy – po prostu nikt ich tego nie nauczył. A żeby mogli to nadrobić, muszą się czuć do tego zmotywowani.

Wy to próbujecie robić.

Współpracujemy już z setką pedagogów. Pierwszy efekt: pod ich okiem nawet trzykrotnie częściej projekty docierają do końca. To tylko potwierdza, jak bardzo są ważni.

Co powinien zrobić nauczyciel, który chce z Wami współpracować?

Po prostu się do nas zgłosić, w czerwcu przyjechać na spotkanie informacyjne, na przełomie sierpnia i września przejść szkolenie, a potem już współpracować z młodzieżą, stać się dla niej mentorem. I cieszyć się z jej sukcesów.

Jak idzie nauczycielom?

Bywa, że na początku słabo, potem coraz lepiej. Są i tacy, którzy zdążyli już zmienić swoje szkoły w wielki inkubator uczniowskich inicjatyw. Nauczyli się, jak być mentorami, jak towarzyszyć swoim uczniom, pomagając im, a jednocześnie nie dławiąc ich niezależności.

Wpajacie ideę mentorowania m.in. nauczycielom, którzy mają za sobą – bywa, że kilkudziesięcioletnią, bo obejmującą też ich własną edukację – historię nauczania „podawczego”: przy tablicy, z monologiem jako dominującą formą lekcji.

Te schematy są tak silne, że czasem się im zwyczajnie, po ludzku trudno przestawić. Tym bardziej że potem w swojej szkole uchodzą często za tych, którzy „wyłamują się z szeregu”. Choć z naszego doświadczenia wynika, że to ich „wyłamanie się” ma pozytywne skutki zarówno dla uczniów, jak i dla nich samych.

W dodatku pracują jakby w dwóch obiegach. W pierwszym realizują podstawy programowe, w drugim projekty.

Zareagowaliśmy nie przeciw komuś, tylko za czymś. Strajk może się zakończyć albo poczuciem nauczycieli, że mieli społeczne wsparcie, albo poczuciem poniżenia i osamotnienia. **To drugie byłoby tragiczne w skutkach.**

Trwa czwarta rewolucja przemysłowa, która – jak poprzednie – doprowadzi do zmian w systemie. Pierwsza spowodowała powszechność dostępu do szkoły, kolejne: szeroki akces do uczelni. A w niedalekiej przyszłości cenione będą **kompetencje, których nie sposób zastąpić maszynami.** I tak się składa, że szkoła te kompetencje zaniedbuje.

Na pewno takie zjawisko istnieje. Ci ludzie wzięli na siebie trud tłumaczenia nie tylko uczniom, ale też innym nauczycielom: „Być może projekty nie zwiększą szansy na sukces maturalny, ale za to sprawią, że uczniowie lepiej poradzą sobie w życiu”. Pierwszą szkołą, która zaangażowała się w „Zwolnionych...”, było I LO w Lubinie, które przeżywało ogromną rankingową presję. Ze strony dyrekcji, kuratorium, nauczycieli, rodziców. „Dlaczego marnujecie czas, zamiast uczyć się do matury?” – słyszeli. A gdy się okazało, że nie tylko młodzież się rozwinęła dzięki projektom, ale też szkoła urosła w tradycyjnych rankingach, zyskali zrozumienie i poparcie.

Skończy się strajk, nauczyciele dostaną – albo i nie – podwyżki. A szkoła zostanie ze starymi problemami.

Dlatego proponujemy, by spojrzeć na to wydarzenie w szerszym kontekście, zgodnie zresztą z sensem naszego gestu. Nauczyciele muszą mieć chęć, energię, czas, by zmieniać szkołę. Żeby to chcieli robić, muszą poczuć się uskrzydleni i ważni. Jeśli będzie inaczej, polska szkoła zostanie daleko z tyłu za rewolucją, która i tak jest nieuchronna.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

MARCIN BRUSZEWSKI *jest współtwórcą i wiceprezesem „Zwolnionych z Teorii”. Wyróżniony m.in. na stworzonej przez amerykańskiego „Forbesa” liście „30 under 30 Europe”. Absolwent ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Universität St. Gallen w Szwajcarii.*

Więcej informacji o działalności nauczycieli w ramach „Zwolnionych z Teorii” na: www.zwolnienizteorii.pl/nauczyciel

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 63/19, toczy się postępowanie z wniosku Roberta Alana Wichera o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Józefie Orzechu, s. Kazimierza i Karoliny z d. Stęchła, ur. 14 lutego 1921 r. w Jarosławiu, ostatnio zamieszkałym w Zakopanem przy ul. Zborowskiego, zm. 11 stycznia 2019 r. w Zakopanem.

W skład spadku wchodzi prawo własności nieruchomości położonej w Zakopanem, stanowiącej samodzielny lokal mieszkalny wraz z przynależnym do niego udziałem w nieruchomości wspólnej oraz środki zgromadzone na rachunku bankowym spadkodawcy.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców ww., aby w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zakopanem i udowodnili swoje prawa do spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w toczącym się postępowaniu.

Kiedy sąd zastępuje rząd



KLAUS BACHMANN

Prawnicy w Polsce, w Brukseli i w Luksemburgu mogą obronić praworządność i niezawisłe sądownictwo – ale sam fakt, że robią to ludzie bez demokratycznego mandatu, budzi wątpliwości.

Komisja Europejska właśnie otworzyła nowy front w walce o praworządność w Polsce. Tym razem kwestionuje ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa i robi to nie w ramach procedury art. 7, lecz na podstawie postępowania o naruszenie traktatów, które skończy się przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE). A tu o wyroku decydują już nie polityczne kompromisy, lecz głosowanie niezależnych sędziów. Przed nimi rządy Węgier i Polski nie mogą się wzajemnie chronić, a od wyroku nie ma odwołania.

To, że ustawa o KRS tej rozprawy nie przeżyje, wydaje się niemal pewne, tym bardziej że dotąd polski rząd nawet nie próbował jej bronić w sposób profesjonalny. Rok temu do Komisji Europejskiej wysłał „białą księgę" o reformie sądownictwa, pełną błędów językowych i zawierającą argumenty publicystyczne, które być może przekonałyby najbardziej zagorzałych zwolenników PiS na wiecach, ale w Brukseli wywołały jedynie politowanie. Do rozpraw przed TSUE wysyłano źle przygotowanych i mało kompetentnych przedstawicieli, którzy obrażali sędziów, zapominając, że orzekający w TSUE nie podlegają polskim przepisom dyscyplinarnym. Oto skutki zamykania się na argumenty i doradców z zewnątrz oraz prowadzenia debaty tylko w gronie własnych zwolenników.

Pełzający kryzys demokracji

TSUE okroi więc reformę sądownictwa dalej i jedyne, co jest jeszcze niepewne, to reakcja rządu. Obrońcy niezależności sądownictwa mogą już chłodzić szampana. Dla demokracji w UE i w wielu krajach członkowskich jest to jednak zła wiadomość.

Coraz częściej można bowiem obecnie usłyszeć, że to „TSUE ratuje Polskę" albo że „sędziowie bronią demokracji w Polsce". Być może uparci, wytrwali i sprytni prawnicy w Polsce, w Brukseli i w Luksemburgu faktycznie w ten sposób obronią praworządność i niezawisłe sądownictwo w Polsce i na Węgrzech – ale sam fakt, że robią to sędziowie, czyli osoby bez mandatu demokratycznego – powinno budzić wątpliwości.

Po pierwsze dlatego, że oznacza to przecież, iż opór obywateli i demokratycznie wybranych polityków nie wystarczył, by te wartości zachować w dobrym stanie. Chodzi też o to, że coraz więcej władzy politycznej trafia w ręce sądów i sędziów, ponieważ demokratycznie wybrani przedstawiciele, posłowie i członkowie rządu nie są w stanie kompromisowo rozstrzygnąć konfliktów.

Oto paradoks czasów populistycznych: partie i ruchy populistyczne jedną ręką ograniczają niezależność sądownictwa, a drugą ręką, i wbrew swojej woli, dają sądom coraz więcej władzy nad obywatelami. To zaś prowadzi do pełzającego kryzysu demokracji w UE, w Polsce i kolejnych krajach europejskich.

Ten paradoks jest widoczny gołym okiem w konflikcie o praworządność w UE: ponieważ Rada UE nie jest w stanie podjąć decyzji wymaganą przez traktaty większością, Komisja zdecydowała przekazać polskie ustawy o SN i KRS do rozpatrzenia przez TSUE. Ostateczną decyzję w tej sprawie podejmą więc nie rządy państw wspólnoty, lecz trybunał. A te rządy, które robiły wszystko, aby zablokować decyzję na poziomie Rady UE, po niekorzystnym dla nich wyroku będą utyskiwały na sędziów, że przywłaszczyli sobie kompetencje w sprawach, które powinny leżeć w gestii państw narodowych.

Nieco mniej widoczny jest ten paradoks w Wielkiej Brytanii, gdzie parlament w kilku podejściach przejmował kompetencje podzielonego, niezdolnego do decyzji rządu i jego większości parlamentarnej. Trudno dostrzec w tym zagrożenie dla demokracji, ale nie wolno zapominać, że i tu TSUE odegrał – i odgrywać będzie – pierwszorzędną rolę. To on bowiem zadecydował, że Wielka Brytania ma prawo jednostronnie wycofać się z wniosku o wystąpienie z UE. Jeśli parlament i rząd będą się dalej wzajemnie blokować i wchodzić sobie w kompetencje, to sprawę będą musiały rozstrzygnąć brytyjskie sądy. Sąd Najwyższy (High Court) już raz podjął taką kontrowersyjną decyzję, za którą był atakowany przez probrexitowe tabloidy. W listopadzie 2016 r. zmusił rząd do uzyskania wotum w Izbie Gmin przed wysłaniem wniosku o opuszczenie UE do Brukseli.

Czyste powietrze na skróty

Identyczne problemy można było obserwować w konflikcie między hiszpańskim rządem centralnym a władzami Katalonii. Niezdolność do kompromisu między separatystycznymi politykami w tej prowincji a ich przeciwnikami w Madrycie (i w samej Katalonii) wymusiła rozstrzy-



FRANCOIS LENOIR / REUTERS / FORUM

„Salle de délibérés" – pokój narad sędziów Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) w Luksemburgu, 2017 r.

gnięcie sądowe – w tym przypadku oparte nie tylko na konstytucji, ale nawet na prawie karnym.

Jak niezdolność rządu i parlamentu do rozstrzygnięcia sporów wzmacnia władzę sędziów, widzimy też na przykładzie walki o czyste powietrze w Niemczech. Latami koalicja chadecko-socjaldemokratyczna nie była w stanie opracować spójnego programu walki z zanieczyszczeniem powietrza w dużych miastach, co skutkowało (podobnie jak w Polsce) ciągłym przekraczaniem norm UE. Organizacje pozarządowe zaczęły więc zaskarżać władze miast (a nie rząd federalny) przed lokalnymi sądami, sędziowie zaś wydali zakazy ruchu dla starszych samochodów napędzanych olejem napędowym. W ten oddolny sposób powstały liczne strefy zakazu ruchu, które utrudniają życie przeważnie obywatelom o niskich dochodach (bo stać ich tylko na starsze samochody), komplikują dojazd do pracy i zwiększają korki w centrach miast.

Nie jest to wyłącznie problem ekologiczny. Gdyby te zakazy wynikały z ustawy uchwalonej przez Bundestag, to podlegałyby one kontroli ze strony izby wyższej (Bundesratu) i Trybunału Konstytucyjnego – co zmuszałoby twórców nowych przepisów do wyważenia interesów wszystkich zainteresowanych: kierowców, władz miasta, mieszkańców, zarówno bogatych, jak i biednych. Bez takiej ustawy te zakazy powstają w wyniku uzgodnienia interesów tylko dwóch stron: podmiotów składających pozwy i władz miejskich. Decyzje sędziów, których nikt demokratycznie nie wybierał, podlegają jedynie kontroli ze strony innych sędziów (wyższych instancji).

Ten paradoks występuje również w Polsce, choć opinia publiczna go nie dostrzega tak ostro, głównie dlatego, że partia rządząca od trzech lat prowadzi wojnę ze środowiskami prawniczymi i z sądownictwem, więc niedorzeczne wydaje się, że potajemnie i wbrew własnej woli wzmacnia przy tym władzę sędziów. Ale tak właśnie jest. Reforma sądownictwa ma bowiem to do siebie, że głównie rozwiązuje problemy, które rząd i jego zwolennicy sami wymyślili, aby móc ograniczyć niezależność sądownictwa, natomiast nie rozwiązuje (a w wielu dziedzinach zaostrza) realnych jego problemów.

Mimowolna prywatyzacja

Nic tak nie wzmacnia władzy sędziów jak uchwalenie w krótkim czasie merytorycznie słabych, wieloznacznych, pełnych niedomówień i mało precyzyjnych aktów prawnych napisanych na kolanie, które potem dają szerokie pole do interpretacji – i tym samym do odwołania się obywateli, organizacji pozarządowych i przedsiębiorstw do sądów. Im gorzej ustawodawca napisze ustawy, tym więcej sędziowie mają potem do rozsądzenia, tym większy jest ich wpływ na to, co ustawodawca chciał regulować. I tym łatwiej sądy mogą występować o dodatkowe środki z budżetu albo o podniesienie opłat.

Bez tego bowiem grozi paraliż sądownictwa, i wtedy – oto kolejny paradoks rządów populistycznych – rośnie też liczba przestępstw, których nikt nie osądza, bo się przedawniły, oraz liczba podejrzanych, których na skutek przewlekłych postępowań trzeba zwolnić z aresztu. Oto jak rządy silnej ręki mogą doprowadzić do łagodniejszego traktowania przestępców.

Ten mechanizm ma również jeszcze jeden, niewidoczny i dość niebezpieczny skutek. Im bardziej sądy się zatykają, tym więcej sporów zostaje nierozstrzygniętych. Wtedy obywatele mogą się uciec do samosądów albo odwołać się do pomocy organizacji przestępczych. To sytuacja znana z krajów, gdzie rządy nie mają pełnej kontroli nad aparatem państwowym i sądownictwo jest w zapaści – np. na Ukrainie.

Polsce to jeszcze nie grozi, ale w tym kontekście warto się zastanowić, jakie skutki ma utrata wiarygodności Trybunału Konstytucyjnego, do którego trafia coraz mniej spraw. O tym, że sprzyja to rozproszonej kontroli konstytucyjnej przez sądy powszechne i rozwarstwieniu się orzecznictwa, już wiadomo. Ale co się dzieje ze sporami, które nie trafiają teraz do Trybunału? Z pewnością strony je rozwiązują w jakiś sposób, za kulisami i poza kontrolą państwa.

Mamy tu kolejny paradoks. Jeśli państwo nie reguluje jakiegoś obszaru życia ↦

↦ publicznego lub reguluje go wadliwie, sprzyja to prywatyzacji. Chaotyczna reforma edukacji napędza prywatnym szkołom uczniów, tak jak brak reformy ochrony zdrowia sprzyjał ekspansji prywatnych klinik, ubezpieczeń zdrowotnych i gabinetów lekarskich. A pospieszna reforma sądownictwa z podporządkowaniem sędziów władzy ministra sprawiedliwości i prokuratorów – będzie sprzyjać prywatyzacji wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób rządy silnej ręki – prawdopodobnie nieświadomie i wbrew woli – pozbawiają państwo jednej z kluczowych funkcji, osłabiając jego monopol na stosowanie przemocy.

Rewolucyjne wyroki

Sądy i trybunały są instytucjami i mają interesy instytucjonalne, które są więcej niż tylko sumą osobistych interesów ich pracowników. To nie to samo, co interes korporacyjny prawników. Korporacjom prawników nie zależy na zwiększeniu władzy sądów, bo przed sądem prokuratorzy i obrońcy odgrywają przeciwstawne role. Ale sądom i sędziom zależy na tym, aby zwiększyć władzę, reputację i dostęp ich własnej instytucji do środków z budżetu.

Jeśli więc rząd, prezydent, parlament przysparzają im pretekstów, aby mogły wkraczać w ich kompetencje, to – tak samo jak każda inna instytucja – skorzystają z tego i umocnią swoją pozycję wobec innych instytucji.

W ten sposób niemiecki Trybunał Konstytucyjny wielokrotnie wykorzystał spory o integrację europejską (między rządem i opozycją oraz między różnymi instytucjami niemieckimi), aby poszerzyć swoje kompetencje. Albo sam sobie przyznawał kompetencje do kontroli działań rządów, albo robił to w stosunku do parlamentu, świadom prostego faktu, że jeśli ogranicza kompetencje rządu na korzyść parlamentu, to parlament może to wykorzystać tylko poprzez uchwalenie ustaw, które z kolei podlegają kontroli ze strony Trybunału. Wzmacniając rolę parlamentu w systemie politycznym, Trybunał Konstytucyjny zwiększa jednocześnie swój własny wpływ na decyzje, które w tym systemie zapadają. Bardzo podobnie postępuje od wielu lat TSUE, wzmacniając rolę Komisji i Parlamentu Europejskiego.

Teraz to spory na temat praworządności szeroko otwierają drzwi dla TSUE, aby znowu (bo to nie po raz pierwszy) został faktycznym inicjatorem legislacji. Nie chodzi tylko o to, że Komisja wnosi do TSUE sprawy, które w swojej istocie powinny być rozstrzygane przez Radę UE; chodzi też o to, w jaki sposób TSUE (i Europejski Trybunał Praw Człowieka) reagują na konflikt o praworządność w Polsce i na Węgrzech.

Nic tak nie wzmacnia władzy sędziów
jak uchwalenie w krótkim czasie merytorycznie słabych, wieloznacznych, pełnych niedomówień i mało precyzyjnych aktów prawnych napisanych na kolanie.

Ostatnio wydały kilka niemal rewolucyjnych decyzji. W pierwszej (Guðmundur Andri Ástráðsson przeciwko Islandii) ETPC postanowił, że skazanie oskarżonego przez bezprawnie mianowanych sędziów stanowi naruszenie praw człowieka, pozbawia bowiem taką osobę prawa do niezawisłego sądu. Werdykt ten umożliwi skazanym przez polskie sądy, które zostały nieprawidłowo obsadzone, dochodzenia odszkodowania i uczciwego procesu przed izbą naprawdę niezawisłą i prawidłowo obsadzoną. W świetle orzecznictwa ETPC może to dotyczyć nawet strony, która przegrała przed Trybunałem Konstytucyjnym, jeśli wśród sędziów był chociaż jeden, który został wadliwie mianowany.

W drugiej, dość rewolucyjnej sprawie (Rimšēvičs i Europejski Bank Centralny przeciwko Łotwie) TSUE sam sobie nadał prawo do unieważnienia prawa krajowego, które uznał za sprzeczne z traktatami UE. Dotąd TSUE ograniczał się do uznania takich aktów prawnych za sprzeczne z traktatami i pozostawiał do decyzji danemu krajowi, w jaki sposób przywróci ich zgodność z prawem UE. Tym razem TSUE unieważnił od razu cały akt.

Z punktu widzenia Polski ta ostatnia sprawa jest dwuznaczna, bo uchroniła szefa banku centralnego od sprzecznego z prawem UE odwołania ze strony władz jego kraju z powodu... zarzutów korupcyjnych. W warunkach polskich ten wyrok utrudnia obecnemu (i każdemu następnemu rządowi) pozbycie się prezesa NBP, np. poprzez sprzeczną z traktatami UE nowelizację ustawy o NBP. Ale może on też zostać przywołany, jeśli TSUE zdecyduje się nie tylko na tymczasowe zablokowanie ustawy o KRS albo uznanie jej za sprzeczną z prawem UE, lecz po prostu ją unieważni.

Na drodze do sądokracji?

Wszystko wskazuje na to, że rządowi grożą kolejne, widowiskowe porażki, jak w wyniku ponownego wyboru Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, wyroku TSUE o Puszczy Białowieskiej, zamrożenia reformy Sądu Najwyższego i decyzji Rady UE o relokacji uchodźców.

Obrońców demokracji to ucieszy, ale będzie miało swoją cenę. Sądy w Polsce będą silniejsze niż kiedykolwiek (dotyczy to jednak też sądów obsadzonych przez ludzi lojalnych wobec rządzących), a sądownictwo europejskie zyska wiele nowych kompetencji i więcej władzy nad pozostałymi filarami władzy w UE, których nie dostałoby bez konfliktu o praworządność. Więcej: wszystko wskazuje na to – spór o praworządność, brexit i paraliż decyzyjny między Francją i Niemcami to tylko przykłady – że interesy rządów różnych krajów unijnych coraz bardziej się rozbiegają. A im więcej sporów na szczytach UE, tym więcej spraw do rozstrzygnięcia przez TSUE.

Ta ekspansja władzy sądowniczej odbywa się z pełną aprobatą opinii publicznej, bo służy przecież słusznej sprawie – prowadzi do rozstrzygnięć tam, gdzie politycy zawiedli, tak jak obecnie przy obronie praworządności. Przy okazji jednak odbiera coraz więcej kompetencji i władzy demokratycznie wybranym instytucjom krajowym i unijnym, przekazując je w ręce ludzi co prawda kompetentnych, ale bez demokratycznego mandatu.

Ten paradoks ma też drugą, nieco absurdalną stronę: najgłośniej przeciwko temu protestować nie będą obrońcy demokracji, lecz te partie i ruchy populistyczne, które pod hasłami ustanowienia „nieliberalnej demokracji" i „nieograniczonej władzy większości nad mniejszością" (zwycięzca bierze wszystko), z powodu własnej niechęci do kompromisów wywołały z lasu wilka, którego chciały ubezwłasnowolnić.

© KLAUS BACHMANN

ANNA

Dziewit-Meller: *Mróweczka*



Z okazji Święta Pracy będę dziś pisać o pracy.

Na Śląsku, z którego pochodzę, praca jest oczywiście najważniejsza. Zgadzam się z przeczytaną gdzieś kiedyś tezą, że każdy, nawet pochodzący z najdalszych krain gorol, może zostać na Śląsku zaakceptowany, jeśli tylko wykaże się postawą godną człowieka pracy i zrozumie, co to jest słynny śląski etos. Śląskość jest bowiem totalnie inkluzywna, jeśli tylko się odpowiednio zechcesz wykazać w robocie.

Nie mogłam więc – mając takie kulturowe zaplecze – zostać nikim innym jak pracoholikiem, który na urlopie ma syndrom odstawienia.

Zaczęłam zresztą pracę całkiem wcześnie, bo w głębokiej podstawówce – realizując się zawodowo w rolach chłopców i małych leśnych zwierzątek w słuchowiskach radiowych dla dzieci. Zajęcie to okazało się prognostykiem na przyszłość, bo przez wiele kolejnych lat i wiele kolejnych prac nie byłam za te zajęcia opłacana – dokładnie tak, jak wówczas w radiu. No ale powiedzmy, że ten pierwszy raz jest do wybaczenia – w dzikich latach po upadku komuny do głowy nikomu nie przychodziło zapłacić za pracę dziecka. Albo chociaż zwrócić za bilet na autobus do radia.

Z tej świetnej okazji, jaką jest 1 Maja, warto też wspomnieć – niewyobrażalny zapewne dla dzisiejszych rodziców – sposób zarobkowania, uprawiany przeze mnie wraz z kolegami i koleżankami z klasy we wczesnych latach 90. Otóż wiele dni w roku szkolnym spędzaliśmy, chodząc po kolejnych klatkach schodowych bloków na jednym z osiedli naszego miasta, dzwoniąc do drzwi obcych ludzi i zbierając makulaturę.

Możliwe, że wiedza o pedofilach i innych zagrożeniach, które czyhają na małoletnich, nie szła jeszcze tak szeroko przez kraj – jakimś cudem bowiem cała moja klasa bez wyjątku zajmowała się tym procederem. A prawdziwy i jedyny dramat przyszedł, gdy nasz znajdujący się w podziemiach szkoły składzik, do którego zwoziliśmy na taczkach sterty starych gazet, zalała woda z pękniętej rury kanalizacyjnej. Wszyscy płakaliśmy. To była katastrofa, z której już nie dało się podźwignąć.

Mimo pewnych niepowodzeń wciąż – działając już na innych obszarach – pracowałam chętnie, a czasem zmuszałam do pracy innych. Jak podczas wszystkich ferii i wakacji, które spędzałam w górach, gdy mój brat oraz dzieci naszych gospodarzy obsadzani byli w pisanych przeze mnie masowo sztukach teatralnych, które reżyserowałam i wystawiałam w dużym pokoju, zapraszając rodzinę i sąsiadów. Za zebrane do kapelusza „co łaska" kupowaliśmy słodycze w wiejskim sklepie. To były chwile prawdziwej dumy, gdy wypłacałam moim aktorom ich gaże w nieodżałowanych skądinąd chrupkach orzechowych Star Foods.

Liczne staże, które na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych odbywałam w kolejnych redakcjach gazet katowickich i krakowskich, można uznać za – prawidłowy dla rozwoju ambitnej jednostki – czas płacenia frycowego. Moment czeladniczy, wartościowy okres szlifowania warsztatu pod okiem doświadczonych kolegów i koleżanek, skwapliwie wysyłających gówniarę do obsługi najbardziej niedorzecznych zleceń (Sewerynie Blumsztajnie, pewnie tego nie pamiętasz, ale ja owszem!). Ot, taka to była robota, mało płatna albo darmowa. Ale w rękach mi się paliła, a naukowe stypendium i wsparcie finansowe rodziców pozwalały na te ekstrawagancje. Nazywaliśmy to inwestycją w przyszłość (podobnie jak szalenie nieciekawe zajęcia z Krzysztofem Szczerskim na politologii UJ).

Na jednym z tych darmowych staży przeżyłam ciekawe doświadczenie: wysłana do katowickiego Spodka na koncert zespołu Jethro Tull, zasnęłam na krzesełku i przespałam sporą część koncertu, z którego musiałam napisać recenzję. Możliwe, że to magia fletu poprzecznego tak na mnie zadziałała, jednak recenzja nie była w związku z tym szczera.

Skoro zaś wciąż przy darmowej sile roboczej jesteśmy: niezapomniany był też mój kolejny wakacyjny staż w jednej z ważniejszych instytucji kultury, już stołecznej, centralnej i dostojnej. Staż, podczas którego zrozumiałam, jak bardzo nie chcę pracować w tej instytucji ani w żadnej innej, która pokrewną jej jest. Zatem choć ów staż był niepłatny i kompletnie nic mi nie dał (kserować umiałam już wcześniej), to nauka z niego idąca okazała się bezcenna i uchroniła mnie przed podejmowaniem głupich kroków (typu: aplikacja tam, gdzie naprawdę nie powinnam).

Nie było mi za to dane dowiedzieć się, jak mogłaby przebiec moja kariera w gastronomii. Podczas rozmowy o pracę w kultowej już Cafe Kulturalnej, około roku 2005, zdołałam w pierwszych jej minutach rozlać szklankę wody na stole, oblewając menadżera lokalu. Oto jak nie zostałam kelnerką, choć chęci były spore – w gastronomii, wedle mojego ówczesnego rozeznania, coś jednak płacili, a czasy stypendium miałam już za sobą. Bo ileż można sobie wpisywać do portfolio i żyć samą tylko satysfakcją z dobrze wykonanej roboty?

Krótko mówiąc: cześć pracy! Oraz: na fali strajków i rozważań o płacy, jakie toczą się teraz w przestrzeni publicznej, rzucę tu, zupełnie niezobowiązująco – podwyżko, pragniemy cię wszyscy! ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, sygn. akt I Ns 65/19, toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Pukal, z udziałem Gminy Brzesko, o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Marii Sukiennik, c. Juliana i Marii, zm. 16 listopada 2018 r. w Porąbce Uszewskiej, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Porąbce Uszewskiej. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona w Brzesku przy ul. Rynek 15, ruchomości, oszczędności w Banku PKO BP SA w Warszawie.

Sąd Rejonowy w Brzesku, I Wydział Cywilny, wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Piekło pracy

RAFAŁ WOŚ

Chcieliśmy stworzyć atlas polskiego mobbingu, lecz czytanie listów nadsyłanych w ramach akcji #przemocwpracy przypomina raczej schodzenie w kolejne kręgi piekielne. Jak wrócić na powierzchnię?

Miało być inaczej. Gdy jesienią ruszaliśmy w „Tygodniku" z akcją #przemocwpracy, celem było pokazanie, że problem jest wszędzie: na zapleczu paternalistycznego small-biznesu („moja firma, więc wara wam od tego, jak traktuję moich ludzi"), w ciasnych pokoikach wiecznie niedofinansowanych NGOsów, na najwyższych piętrach sowicie opłacanego konsultingu czy w oddychającej inteligenckim etosem rodzimej akademii. Dość szybko stało się jednak jasne, że nasza mapa nie tylko rozrasta się wszerz, lecz także zaczyna tworzyć coś w rodzaju trójwymiarowego obrazka. Wciągającego w problem przemocy w pracy coraz głębiej i głębiej.

Krąg pierwszy: tu się krzyczy

W Polsce krzyk to jedna z ulubionych metod zarządzania zasobami ludzkimi. „Z czasem stało się jasne, że krzyczenie jest u niego podstawową formą komunikacji. Rzucał telefonem rozmawiając z informatyczką. Nie rozumiała, co on mówi. Jakaś taka głupia była" – pisze J., kierowniczka „od wszystkiego" w internetowym start-upie. „Krzyk i poniżanie to ogólnie przyjęta metoda zarządzania" – to już A. z niemałego biura architektonicznego (kilkanaście lat na rynku, sporo realizacji w Warszawie i poza nią). „Krzyczał na mnie i innych przez godzinę w siedzibie klienta. Wszyscy słyszeli. Chociaż »krzyczał« to mało powiedziane. Darł się na nas" – pisze M. z firmy zajmującej się międzynarodowymi projektami wdrożeniowymi IT.

Dyrektor pewnego dużego festiwalu z dziedziny kultury i edukacji, jak się rozsierdzi, nazywa swoich pracowników „kozojebcami". Na jego tle szef w znanej firmie prawniczej bywa łaskawszy. U niego wszyscy „jesteśmy świniami. Gówno umiemy. A on nas wszystkich zwolni" – pisze N.

W tym ostatnim przypadku monolog o „świniach" słyszało ok. 40 osób. Nikt nie zareagował. Zresztą w listach, które dostajemy, temat obojętności i spowszednienia słownej przemocy powraca często. Do tego stopnia, że niektórzy mobbowani – niczym ofiary syndromu sztokholmskiego – sami zaczynają racjonalizować przemoc, której doświadczają. „Robi się to, co ci powiedziano. Dzień za dniem. Wykonuje się polecenia i toleruje sytuacje, które jeszcze nie tak dawno nas oburzały. Obniża się swoje standardy. Zgadza się na ich łamanie. Czasem też na łamanie i naginanie prawa. W imię pracy. Dla dostosowania się".

Nie, to nie fragment literatury opisującej świat totalitarny. To list nadesłany przez cytowaną już J. – dyrektorkę w jednym ze start-upów. Nasza czytelniczka pisze to, jakby się tłumacząc (przed nami? przed sobą?). Jeszcze czuje, że relacje panujące w jej firmie nie są w porządku. Ale jednocześnie już nie jest pewna, czy nie domaga się zbyt wiele. Czy miejsce pracy bez słownej przemocy to nie marzenie ściętej głowy? – zastanawia się. Odpowiadamy: nie, nie domaga się Pani zbyt wiele. Krzyk jako podstawowa metoda zarządzania w polskich przedsiębiorstwach to patologia. Niestety, niejedyna.

Krąg drugi: przemoc, której nie widać

Krzyk jest zły. Ale w czasie podróży po kręgach piekła polskiej pracy trafiały się przypadki, gdy cisza bywała jeszcze gorszą torturą. „U nas przemoc odbywa się bez napadów złości. Bez wyzwisk czy odwoływania się do życia prywatnego. Ale przemoc jest" – pisze w zbiorowym liście grupa pracowników dużej instytucji publicznej w wielkim polskim mieście. Napisali do nas, bo ośmielił ich opublikowany na stronie internetowej „TP" list rozpoczynający się od pytania: „Czy spodziewali się państwo mobbingu w bibliotece?". Dla nich to pytanie o retorycznym charakterze – bo oni właśnie w bibliotece pracują. I na co dzień doświadczają takich zjawisk jak odmawianie urlopów, zlecanie bezsensownych zadań, nagany za pojawienie się w pracy przed (sic!) czasem („ludzie stoją pod budynkiem, jak zbyt szybko przywiezie ich autobus"), brak jasności w przyznawaniu premii czy awansów, ciągła kontrola, naginanie kodeksu pracy, wzbudzanie poczucia bezsilności u pracowników.

Albo inny przykład, tym razem z prywatnego sektora finansowego: „Dzwoniła o różnych porach, nawet w środku nocy, w soboty, niedziele. Zawsze w tzw. pilnych sprawach. Nikt nie mógł sobie nic zaplanować, bo nie było wiadomo, czy nie będzie musiał przyjść do pracy" – to relacja B., zatrudnionej w dużym departamencie ogólnopolskiego banku (w końcu odeszła na emeryturę, „bo zdrowie jest ważniejsze").

W każdym z tych przypadków nie da się wskazać momentu wyraźnego prze-



kroczenia. Przemoc jest tu raczej jak ulatniający się bezwonny gaz. Niszczy zespoły ludzkie powoli, ale konsekwentnie. I trudno uchwycić jakąś konkretną przyczynę.

Nasi korespondenci gubią się w domysłach: może chodzi o potrzebę potwierdzania posiadanej władzy? Może o poczucie bezkarności? A może nawet (to wersja najbardziej korzystna dla mobberów) przełożeni po prostu nie mają świadomości, że robią coś nie tak? Zachowują się tak, jak im podpowiada intuicja. Wierzą, że muszą być twardzi, „bo tak się w Polsce zarządza". Albo „żeby się ludziom w głowach nie poprzewracało". Poza tym „mamy wolny rynek, więc jak się komuś nie podoba, to przecież...". Coś jak przełożona na kapitalistyczne realia scena z „Rejsu" Piwowskiego: „nikt tu nikogo pod pistoletem nie zatrzymuje".

Krąg trzeci: posłańców się morduje

Spółka wraz z dynamicznym rozwojem zmieniła siedzibę na nowoczesny biurowiec na obrzeżach miasta. Pracownicy zaczęli podejrzewać, że ważnym celem, jaki tej przeprowadzce przyświecał, były koszty. Ludzie dostali biurka, w których nie da się regulować wysokości. W efekcie dziewczyna z księgowości (156 cm wzrostu) pracowała przy takim samym biurku, co jej koleżanka z marketingu (170 cm). Zaczęło się kuluarowe wylewanie żali, ale szczyt szklanej góry był zbyt wysoko, by mogły tam dotrzeć. A. postanowiła więc, że coś z tym zrobi: była w końcu odpowiedzialna za komunikację i tzw. *employer branding*. Udała się więc na sam szczyt.

Teoretycznie nie zabija się posłańca. Zwłaszcza w firmie, której hasło brzmi „naszą siłą są ludzie". Niestety, nie wyszła z tego cało. „Usłyszałam, że jestem winna, bo podburzałam ludzi do niemalże strajku. Nasz pan rzekł, iż pracowników bolą kręgosłupy nie od złych biurek, ale od braku ruchu i »wielkich dup«". Dwa tygodnie później dostała wypowiedzenie. Utrata zaufania po 12 latach pracy.

Z kolei K. potraktowała poważnie regulamin głoszący, że „w uzasadnionych przypadkach należy zwracać się do przełożonego wyższego szczebla". Jej bezpośredni przełożony ucinał wszelkie rozmowy na temat podwyżki, twierdząc, że „to nie od niego zależy". Poszła więc do dyrektora generalnego, z udokumentowanym 12-letnim dorobkiem pracownika naukowego i wzrostem przychodów za usługi w firmie rzędu 1600 proc. Podwyżki nie dostała. „W ciągu trzech następnych miesięcy doświadczyłam pomówień, zastraszania, ośmieszania, a w firmowej poczcie upubliczniono moje dane osobowe jako negatywny przykład pracownika pomawiającego swojego przełożonego".

Taki schemat powtarza się w wielu listach. Płynie z nich gorzki wniosek: jeśli nie jesteś supergwiazdą, to się nie wychylaj. Ani w swojej, ani w cudzej sprawie. Nic na tym nie zyskasz. Nikt się za tobą nie wstawi. Świata nie zbawisz i firmy nie zmienisz. Twój (i tylko twój) będzie za to psychiczny rachunek do zapłacenia. Cena, którą opłacisz sen o życiu człowieka wolnego.

Krąg czwarty: uginasz kark i przegrywasz

Chyba najbardziej poruszającymi świadectwami, które otrzymaliśmy, były te, w których pracownicy piszą, że przegrali. „Jestem meblem. Nie człowiekiem" – opowiada X. „Każdy dzień kończyłam płacząc w pokoju hotelowym, czasami niestety płakałam też w siedzibie klienta schowana w toalecie. Teraz od kilku tygodni wiem, że zostałam odgórnie przeniesiona do innego zespołu. Nikt nie pofatygował się, by przekazać mi tę informację oficjalnie" – dodaje. Tu nawet nie ma gorzkiej satysfakcji, że się próbowało przeciwstawić przemocy wobec siebie lub innych. Jest przekonanie, że dla pracodawcy nie jest się nawet człowiekiem, przed którym wypada przynajmniej uzasadnić decyzję o reorganizacji. Jest się przedmiotem. Maszyną do pracy. Meblem.

„Wszystko robię źle" – tak zaczyna się inny list z tego samego piekielnego kręgu. „Od trzech miesięcy pracuję kilkanaście godzin na dobę, w weekendy ograniczam się do ośmiu godzin dziennie" – pisze O. ↦



PATRYK SROCZYŃSKI



↦ I dalej: „Przychodzę z pracy o 21:00, zrzucam ubrania, orientuję się, że nie mam co jeść. Otwieram laptopa i kupione po drodze wino (o nim zawsze pamiętam). Pracuję. Zasypiam o północy. Budzę się o 3:00 i sprawdzam skrzynkę pocztową. Sześć nowych wiadomości. Czytam i robi mi się zwyczajnie niedobrze. Przestawiam budzik na 5:00. Muszę szybko zasnąć. Szybciej. Już 3:30. O piątej wybudza mnie znienawidzony dźwięk i ból zaciśniętej szczęki – nie chcę otwierać oczu, opuszczać ciepłego łóżka, chcę tu zostać już na zawsze".

Albo taki głos: „Nie chcę pisać o tym, jak wyglądała ta praca. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Nikt na mnie nie krzyczał, nie molestował mnie seksualnie, nie mówił mi, że jestem głupia albo gruba. Każdego dnia przybywa mi obowiązków. Wszystko robię za późno. Zorientowałam się, że ktoś wykorzystał to, że kocham mój zawód, i zamienił mnie w znerwicowaną maszynkę".

Czytając takie świadectwa, w wielu czytelnikach może zrodzić się złość. Nie tylko na mobbujących, ale też wobec mobbowanych. Dlaczego nie walczą? Czemu na to pozwalają? Błąd. Popatrzmy na nich jak na bohaterów. Oni (częściej one) potrafili wyjść z okopu dumy i urzędowego optymizmu, żeby uczciwie swoją porażkę opisać. Pomyślmy o tych, którzy ją wypierają.

Odwróćmy zresztą pytanie. Nie roztrząsajmy już, „dlaczego pozwalają to sobie robić?", tylko zapytajmy siebie, dlaczego my jako wspólnota, społeczeństwo, czytelnicy, obywatele pozwalamy na istnienie takich sytuacji? Dlaczego one się dzieją? Tak z ręką na sercu – czy nigdy nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy takich historii? A może mało nas obchodzi, że nasze decyzje mogą u naszych własnych podwładnych prowadzić do dramatów? I wreszcie, jak to jest, że jesteśmy gotowi angażować się w milion spraw publicznych (od obrony sądów po temat uchodźców), a na bardziej systemowe przeciwstawianie się przemocy w pracy nie starcza już pary?

Krąg piąty: odejdziesz, kiedy ci pozwolę!

Teoretycznie stosunki pracy opierają się w Polsce na zasadzie, że do „tanga trzeba dwojga". To znaczy, że pracujemy z kimś tak długo, jak chcemy. Niestety w praktyce bywa zupełnie inaczej. W listach, które do nas napływają, powraca wątek rozstania. Przybierający nieraz patologiczne formy.

Nie roztrząsajmy już, **„dlaczego pozwalają to sobie robić?"**, tylko zapytajmy siebie, dlaczego my jako wspólnota, społeczeństwo, czytelnicy, obywatele pozwalamy na istnienie takich sytuacji? Dlaczego one się dzieją?

Ł. był specjalistą handlowym u jednego z największych w Polsce operatorów logistycznych. Miał umowę o pracę na czas nieokreślony. W pewnym momencie pracodawca uznał, że Ł. nie spełnia jego oczekiwań. „Szkoda – pomyślał Ł., gdy kilka dni po świętach został wezwany na rozmowę do kierownika oraz jego zastępcy – ale w sumie takie prawo pracodawcy". Jednak nieoczekiwanie Ł. dostał do podpisania porozumienie stron, stanowiące, że jego współpraca z firmą ma się zakończyć w dniu otrzymania pisma bez żadnego okresu wypowiedzenia.

Ł. znał swoje prawa, więc poinformował przełożonego, że dokumentu nie podpisze i prosi o rozwiązanie umowy w trybie określonym przez polski Kodeks pracy – czyli z zachowaniem trzydziestodniowego okresu wypowiedzenia. „Moja stanowcza reakcja wprowadziła przełożonych w irytację. Poinformowano mnie, że mój podpis na rozwiązaniu umowy nie jest potrzebny, ponieważ wystarczy świadek wręczenia mi takiego pisma" – relacjonuje Ł. Następnie pojawił się szantaż: jeśli Ł. nie zawrze z pracodawcą porozumienia stron, zostanie zwolniony dyscyplinarnie.

To w Polsce bardzo częsty straszak na pracowników, bo zgodnie z art. 52 Kodeksu pracy można zwolnić każdego, kto zdaniem pracodawcy dopuścił się „ciężkiego naruszenia obowiązków pracowniczych". Co to takiego to „naruszenie"? W przypadku Ł. miało polegać na... braku wystarczającej realizacji planu sprzedażowego. Ł. odpowiedział, że pójdzie do sądu pracy, i dopiero wtedy pracodawca przystał na rozwiązanie umowy z wypowiedzeniem.

„Dlaczego postanowiłem opisać tę historię?" – pyta nasz Czytelnik. Żeby przestrzec, że w sytuacji braku symetrii pomiędzy możliwościami (choćby finansowymi) pracodawcy i pracownika, rzymska zasada mówiąca, że nieznajomość prawa szkodzi, ma się bardzo dobrze. „Wasz pracodawca nie musi znać prawa pracy, ponieważ ma od tego suto opłacanych prawników. Wy pracownicy musicie je znać. Bo tylko wy sami możecie się uratować" – podsumowuje Ł. I ma wiele racji. Niestety samo prawo (nawet najbardziej propracownicze) nie wystarczy. „Ileż razy wybierałam się do Inspekcji Pracy. Pewnie równie często jak do psychologa. W końcu jednak nigdy tam nie dotarłam" – pisze inna z naszych Czytelniczek. Bariera psychologiczna przed dochodzeniem swoich praw „choćby nie wiem co" jest olbrzymia. Trudno się dziwić, zwłaszcza że w rzeczywistości polskiego rynku umowa o pracę nie jest powszechna. A skarżenie pracodawcy z tytułu umowy cywilnej albo pozostając z nim w relacji formalnego samozatrudnienia jest o wiele trudniejsze. Choćby dlatego, że Państwowa Inspekcja Pracy nie może przyjmować zgłoszeń od osób na „śmieciówkach".

Ale co tu mówić o sądzeniu się z firmą... W listach, które dostajemy, wielu pracowników pisze o lęku przed pójściem do pracodawcy i powiedzeniem „odchodzę". „Mimo złego traktowania długo zwlekałam ze złożeniem wypowiedzenia. Bałam się, że nikt nie zechce mnie zatrudnić, że będę bezrobotna. W dniu składania wypowiedzenia trzęsły mi się ręce. Wyjechałam za granicę, bez problemu znalazłam pracę, szybko zostałam managerem. Mimo sukcesów i walki o swoją samoocenę, wciąż mam znacznie obniżone poczucie przydatności zawodowej i z zazdrością patrzę na tych, co myślą, że bez problemu mogą zmienić pracę i mogą wszystko" – pisze J.

Podobnie brzmią słowa K.: „Gdy położyłam wypowiedzenie, zostałam wezwana na dywanik (przed całym zarządem, który był ze sobą spowinowacony) i usłyszałam, że w głowie mi się poprzewracało, bo w każdej innej firmie jest tak samo. Kiedy w końcu odeszłam, przez 2 lata bałam się w ogóle szukać pracy".

Krąg szósty: cmentarzysko ludzkie

„Dotarło do mnie, że nie umiem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się szczerze

śmiałam" – napisała R. Jest księgową. Wykonuje robotę, którą sama określa jako „leżenie między młotem a kowadłem". Kowadło to pozostali pracownicy, którzy zazwyczaj zajmują się w firmie czymś zupełnie innym (w swoim mniemaniu ważniejszym), a w księgowej widzą „tę, która się ciągle czepia, prosi o jakiś papierek i w ogóle nie wiadomo, czym się właściwie zajmuje". Z drugiej strony jest młot, czyli przełożeni: często próbujący na księgowości zaoszczędzić. A to przez zainstalowanie gorszego oprogramowania, a to przez dorzucenie obowiązków. R. swój list napisała pod koniec roku. Dziś jest na zwolnieniu. Walczy z depresją. Lekarz doradza jej długie spacery.

Słowo „depresja" czy „załamanie" pada wprost w niewielu listach. Ale ich obecność da się wyczuć niemal w każdym. Ofiary przemocy w pracy piszą jak ludzie, którym przemęczenie, stres i szykany odbierają zdolność do cieszenia się życiem i odzierają egzystencję z kolorów. Dominuje szarość.

W wyższych kręgach piekielnych się jeszcze walczy. Jeden z czytelników pisze, jak pewnego dnia wyszedł z pracy, bo chciał wreszcie zobaczyć słońce. Szefowa goniła go na schodach, a następnego dnia była awantura. „Do dziś pamiętam ten zapach i ten kolor nieba" – pisze z satysfakcją. Jak więzień, który podjął desperacką próbę ucieczki i został złapany, ale ile się wolności nawdychał, to jego.

Im głębiej, tym jednak ciemniej. Niektóre listy wprost mówią o zdrowotnej (psychicznej i fizycznej) degradacji, która była konsekwencją zbyt długiego funkcjonowania w patologicznych relacjach pracy. To najgłębszy krąg piekła. Cmentarzysko obywateli kraju celebrującego 30-lecie życia w pokoju i dobrobycie, których osobista historia jest zupełnie inna.

Którędy na powierzchnię?

„Zajęło mi rok, żeby w ogóle powiedzieć komukolwiek więcej niż jedno zdanie na ten temat. Jakieś trzy lata, żeby powiedzieć otwarcie, co się faktycznie stało, i pięć, żeby odważyć się o tym napisać" – czytamy w jednym z listów. To dobrze. Celem akcji #przemocwpracy jest przecież pomaganie ofiarom w wychodzeniu na powierzchnię. Trudno boksować się z przeciwnościami samemu. To oczywiste.

Nie oszukujmy się jednak.

To, że ludzie piszą do „Tygodnika" listy, nie wystarczy. Tu potrzeba zbiorowego wysiłku.

Muszą się pojawić polityczne inicjatywy, traktujące naturę polskich relacji pracy w sposób dużo poważniejszy niż dziś. Muszą się pojawić idące w tym kierunku projekty kościelne czy obywatelskie. Związki zawodowe powinny być w walce o godną pracę skuteczniejsze. A opinia publiczna powinna mieć dla tego typu argumentacji więcej zrozumienia.

Wszyscy zaś musimy częściej zaglądać na zaplecze naszego cudu gospodarczego. Inaczej z piekła polskiej pracy nie wyjdziemy. ©℗ RAFAŁ WOŚ

#przemocwpracy

AKCJĘ #PRZEMOCWPRACY rozpoczęliśmy w listopadzie 2018 r. Na adres **przemocwpracy@tygodnik.com.pl** przyszło blisko 100 listów od osób, które zdecydowały się na opisanie swoich doświadczeń z mobbingiem. Byli wśród nich prawnicy, dziennikarze i dziennikarki, pracownicy muzeów, lekarki, dyrektorki finansowe dużych spółek, jak też księgowi z biur rachunkowych, doktorantki i doktoranci pracujący na uniwersytetach, bibliotekarki, wolontariusze festiwali muzycznych... Co kilka dni fragmenty kolejnych listów publikowaliśmy na facebookowym profilu „Tygodnika".

Posty budziły gorące dyskusje, a w komentarzach przedstawiali Państwo kolejne przykłady mobbingu. Nasze posty z hasztagiem #przemocwpracy trafiły do prawie 1,2 mln osób. Oto fragmenty listów i komentarzy pod postami:

„Bardzo Państwu dziękuję za cykl »Przemoc w pracy«. To straszne, jak wiele osób w naszym kraju dotyka ten problem. Mnie to też dotknęło, nie raz i nie dwa, i cały czas się zastanawiam, co ze mną jest nie tak? Historie publikowane na Państwa profilu pomagają mi zrozumieć, że to nie ja jestem sama sobie winna, tylko to z tamtymi osobami (oprawcami) jest coś nie w porządku".

„Bardzo mi się podoba ta inicjatywa. O przemocy w pracy trzeba mówić, bo panuje wszędzie. I tak jak w powyższym przypadku, chyba jest częstsza właśnie w firmach, w których szefowie nie dysponują własnymi pieniędzmi. I często są po prosu niewymienialni z uwagi na układy i koneksje".

„Dziękuję, że dajecie możliwość ludziom, by dzielili się swoimi historiami. Mnie to, że przeczytałam inne historie, ośmieliło, bym opisała swoją".

„Redaktorowi Wosiowi i całej redakcji dziękuję za tę akcję – to dla ludzi takich jak ja niezwykle istotne, że ktoś chce nas słuchać".

„Bardzo Państwu dziękuję za publikację, w naszej grupie pracowniczej robi burzę".

„Dziękuję za #przemocwpracy – kawał dobrej roboty".

„Czytam listy związane z przemocą w pracy, jakie redakcja »Tygodnika Powszechnego« publikuje. Po kilku miesiącach postanowiłam sama napisać. Robię to dla siebie. Mam nadzieję, że pomoże mi to uporać się z tym, co mnie spotkało".

„Pracując w biurze poselskim, nie miałem świadomości istnienia prawa pracy (albo raczej tego, co to naprawdę znaczy). Byłem pod telefonem, w pełni dyspozycyjny 24 h na dobę 7 dni w tygodniu. Byłem przynajmniej 8 h dziennie w biurze (plus praca po godzinach), jednakże każdą przerwę traktowałem (albo była traktowana w domyśle) prawie jak ucieczkę z pracy. Musiałem wymykać się, żeby coś zjeść albo chwilę odpocząć. Dopiero w kolejnej, normalnej pracy dowiedziałem się, że przysługuje mi 30 minut przerwy obiadowej i 5 minut po każdej godzinie pracy przy komputerze".

„Tkwiąc w kieracie systemu bardzo trudno jest z dystansu spojrzeć na swoją sytuację, by móc ją ocenić i podjąć decyzję o zmianie. Latami można być traktowanym jak śmieć, źle opłacanym, nękanym, i przywyknąć".

„Byłam świadkiem, kiedy koleżanka powiedziała, że zwalnia się z powodu takich odzywek szefa, to druga powiedziała, że jest przewrażliwiona, bo jej szefowa jest jeszcze gorsza i że »przecież to normalne«. Trudno jej było wytłumaczyć, że nie jest i że jest ofiarą mobbingu".

©℗ PS

ZABIJ HISTORIĘ, ZABIJESZ DEMOKRACJĘ

TIMOTHY SNYDER, HISTORYK:

Problemów z klimatem czy z monopolizacją internetu przez wielkie amerykańskie koncerny nie rozwiąże w pojedynkę żadne państwo. Nawet gdyby przywódcy polskiego państwa byli bez skazy, to i tak nie daliby rady.

PAWEŁ MARCZEWSKI: Dlaczego tak łatwo dziś przekonać obywateli, że polityka to przede wszystkim obrona przed zagrożeniami dla wiecznego narodu – polskiego, węgierskiego, rosyjskiego? Czy ta, jak ją nazywasz, „polityka wieczności" nie jest po prostu skutkiem kryzysu ekonomicznego sprzed dekady i postępującego od wielu lat rozmontowywania państw opiekuńczych?

TIMOTHY SNYDER: Moją ambicją przy pisaniu „Drogi do niewolności" było pokazanie, że historia idei ma sens, że idee głęboko oddziałują na rzeczywistość. Do niedawna byliśmy pod władzą przekonania, iż biegiem historii rządzi postęp – i to postęp niezależny od naszych wysiłków, przypominający jakąś pierwotną siłę rządzącą światem. Chodziło mi o uświadomienie czytelnikom, że postęp jest w rzeczywistości ideą, a nie żywiołem, tak naturalnym i oczywistym jak powietrze, którym oddychamy.

Kiedy postęp ukazuje swoje ograniczenia – że nie mogę kupić wymarzonego domu, a moje dzieci będą miały gorsze szanse życiowe niż ja; albo że kończę edukację uniwersytecką z wielotysięcznymi długami, a obywatele USA żyją krócej od obywateli Europy – tryumfy zaczyna święcić idea wieczności. Postęp i wieczność pozostają ze sobą w dialektycznej relacji, są przeciwstawne, jednocześnie mając ze sobą coś wspólnego: rezygnację z odpowiedzialności. Idea postępu zaszczepia w ludziach przekonanie, że nie muszą się starać, bo wszystko i tak będzie dobrze. Idea wieczności mówi fatalistycznie, że wszystko będzie źle, ale to nie jest wina poszczególnych osób.

Masz oczywiście rację, że jednym z przejawów tej dialektyki jest demontaż państwa – nie tylko opiekuńczego, ale też państwa w ogóle. Skoro postęp wyraża się w kapitalizmie, a kapitalizm załatwia wszystkie problemy społeczne, to panuje przekonanie, iż nie potrzebujemy żadnych wspólnych instytucji politycznych. To z kolei prowadzi do rosnących nierówności ekonomicznych i zahamowania mobilności społecznej. Nawet ludzie, którzy nie znają danych ilustrujących tę tendencję, zaczynają dostrzegać, że postęp wyrażający się w zdobywaniu przez kolejne pokolenia coraz lepszej pozycji zawodowej został zatrzymany. Zwracają się więc w kierunku polityki wieczności.

Która zdejmuje z nich jednostkowe poczucie odpowiedzialności za stan rzeczy. A przecież nawet Carl Schmitt, jeden z patronów polityki wieczności, niemiecki prawnik sympatyzujący z nazizmem, choć nie znosił liberalnego państwa prawa, a politykę widział jako arenę wcielania w życie suwerennej woli politycznej, nie uciekał przed nią.

To bardzo ciekawy problem, który moim zdaniem dotyka bezpośrednio relacji między dzisiejszymi autorytaryzmami a faszyzmem. Nie tylko Schmitt, ale i szeregowy faszysta powiedziałby, że w ślad za totalną wolą pójdzie czyn, całkowita zmiana świata, która nie tylko uporządkuje go na nowo, ale też uzasadni przemoc i łamanie dotychczasowych praw. Współczesny autorytaryzm nie robi tego kroku. Skoro nie ma już faktów, a miejsce prawdy zajmuje postprawda, to jako dyktator i ucieleśnienie suwerennej woli mogę robić wszystko nieskrępowany prawem, tyle że... nie mam po co. Zostaje bogacenie się, zaspokajanie własnej próżności – do tego żaden wielki czyn nie jest potrzebny.

Dobrym przykładem jest Putin, który w rzeczywistości nie dokonuje niczego wielkiego, działa raczej metodą małych kroków, ale stwarza atmosferę wielkiego czynu. Jeszcze dalej idzie w tym Trump, który nie robi nawet tego, wystarczy mu magia słów. Weźmy choćby słynny mur na granicy z Meksykiem – faszyści naprawdę by go zbudowali. Trump go nigdy

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER



nie wybuduje i tak naprawdę nigdy nie chciał wybudować. Wystarczy, że zbudował mur ze słów.

Szukając różnic między dzisiejszymi autorytaryzmami a faszyzmem często wskazuje się, że te pierwsze stosują przemoc w sposób dużo bardziej oszczędny. Słusznie?

Kiedy faszyści deklarowali, że dążą do wojny, to naprawdę do niej dążyli. Nie chodziło im o żadną wojnę hybrydową, wojnę dyskursywną czy medialną, tylko rzeczywisty konflikt zbrojny. Hitler wiedział, że tylko to pozwoli mu zmienić niemieckie społeczeństwo w sposób totalny i nieodwracalny. Kiedy Putin napadł na Ukrainę, to twierdził, że wojny nie ma, że Rosja nie ponosi za konflikt żadnej odpowiedzialności, że są to w istocie wewnętrzne problemy Ukrainy, które Rosja co najwyżej może pomóc rozwiązać. To zupełnie inna strategia. Plan Hitlera wobec Ukrainy był zbrodniczy, jego celem była eksterminacja. Plan Putina jest całkiem inny. Rosja ma atakować, negować fakt ataku i czekać, aż ukraińskie państwo na skutek tego podkopywania samo się załamie. Rosja będzie wówczas mogła powiedzieć, że tak się po prostu stało. Trudno ↦

TIMOTHY SNYDER (ur. 1969) jest profesorem Uniwersytetu w Yale. Doktorat otrzymał w 1997 r. na Uniwersytecie w Oxfordzie. Specjalizuje się we współczesnych dziejach Europy Środkowej i Wschodniej oraz w historii nowożytnego nacjonalizmu. Współpracował z uniwersytetami w Paryżu, Wiedniu, Warszawie, Pradze i Harvardzie. Autor m.in. „Rekonstrukcji narodów. Polska, Ukraina, Litwa i Białoruś, 1569–1999", „Skrwawionych ziem", „O tyranii". Właśnie ukazała się w Znaku jego „Droga do niewolności. Rosja-Europa-Ameryka".

↦ też wyobrazić sobie Trumpa, która wypowiada rzeczywistą wojnę. Może oczywiście mówić o wojnie, prowadzić wojnę dyskursywną z Koreą Północną, ale nie rozpocznie prawdziwego konfliktu zbrojnego.

Kolejna różnica polega na tym, że współcześni autokraci nie kierują partiami, które sprawują rzeczywistą władzę w miejsce fasadowych instytucji państwa, jak wydmuszkowe rządy czy parlamenty. Mogą jednak zmienić demokracje w ustroje czysto rytualne, w których wybory nie mają żadnego znaczenia. Tak stało się w Rosji i w tym samym kierunku dążą także Republikanie w USA. Od pół wieku starają się utrudnić głosowanie wyborcom czarnoskórym i pochodzącym z innych mniejszości, manipulują okręgami wyborczymi, walczą z uregulowaniem i jawnością finansowania kampanii wyborczych.

Wszystko to ma na celu zachowanie pozorów rywalizacji politycznej przy jednoczesnym zapewnieniu, że partia, która ma ogólnie rzecz biorąc mniejsze poparcie społeczne, mimo wszystko wygrywa. Przestali konkurować z Demokratami zgłaszając konstruktywne rozwiązania, koncentrują się przede wszystkim na ograniczeniu liczby głosujących.

W „Drodze do niewolności" piszesz, że politycy odwołujący się do wieczności w miejsce postępu nie mogą obiecać obywatelom rozwoju czy awansu społecznego, więc obiecują jedynie obronę przed zewnętrznym wrogiem. Czy politycy wieczności są w stanie kogokolwiek obronić przed czymkolwiek? Weźmy choćby rząd Prawa i Sprawiedliwości – obronność jest jedną z jego najsłabszych stron...

Bardzo bym chciał uniknąć tworzenia czystych, uniwersalnych kategorii. Polityka wieczności ma swoje lokalne wariacje. Jeśli chodzi o Polskę, to pod rządami PiS jest obiektywnie bliższa Rosji, Putin jest bardziej zadowolony z obecnych polskich władz niż z poprzednich. Politycy PiS są reprezentantami polityki wieczności w tym sensie, że mają o wiele jaśniejszą wizję przeszłości niż przyszłości, mitologizują przeszłość i starają się nadać jej ładunek emocjonalny, uczynić ją przedmiotem politycznych pasji.

Trump też jest przykładem ograniczeń polityki wieczności. Kandydował nie głosząc klasycznych republikańskich haseł demontażu państwa dobrobytu, ale odbudowania go dla białej większości, co miało ochronić ją przed utratą pracy i innymi negatywnymi skutkami globalizacji. Zraził tym zresztą do siebie główny nurt republikański. Rządzi jednak zupełnie inaczej, bo nie jest w stanie zrealizować tej obietnicy zapewnienia bezpieczeństwa. Kandydował jako zwolennik niemalże faszystowskiego modelu państwa dobrobytu dla białych, po dojściu do władzy nie może go jednak zrealizować i... jest mu to właściwie obojętne.

Nie wszędzie jednak musi tak być, nie w każdym kraju opór wobec polityki socjalnej jest tak głęboko zakorzeniony i silny. Można sobie bez większego trudu wyobrazić politykę wieczności idącą w parze z konserwatywnym państwem dobrobytu, przypominającą to, co po dojściu do władzy robi PiS.

Tego rodzaju polityka społeczna opiera się na patriarchalnej wizji rodziny, ignoruje zmieniające się aspiracje zawodowe kobiet czy nowe role, które w rodzinie chętnie biorą na siebie mężczyźni. Do tego rodzaju powrotu do przeszłości nie potrzeba namiastki wojny i wiecznego wroga.

Zgoda. Amerykańska polityka wieczności w wydaniu Trumpa jest w gruncie rzeczy nihilistyczna i pusta, czysto negatywna, ale nie każda musi taka być. Polityka wieczności bliższa temu, co robi PiS, może być błędna, ale nie jest całkowicie nihilistyczna. Przypomina bardziej cele, jakie stawiała sobie po II wojnie światowej chrześcijańska demokracja. Wprowadzała elementy państwa opiekuńczego nie w celu emancypacji obywateli, ale wsparcia tradycyjnie rozumianej rodziny.

Powiedzenie jednak w XXI wieku, że rodzinę ochronią instytucje opiekuńcze państwa narodowego, jest dalece niewystarczające. Z wieloma największymi zagrożeniami współczesności państwo narodowe nie jest w stanie się uporać, na przykład ze skutkami zmian klimatycznych. Jeśli polskie rodziny boją się napływu imigrantów z Afryki czy Bliskiego Wschodu, to powinny pamiętać, że jedną z istotnych przyczyn tych migracji jest ocieplanie się klimatu.

Monopolizacja internetu przez wielkie amerykańskie koncerny, która może negatywnie odbić się na codzienności każdego Polaka, to kolejny problem, na który państwo narodowe nie ma adekwatnej recepty. Krytykując Europę lub odwracając się do niej plecami, zwolennicy polskiego państwa narodowego w gruncie rzeczy odwracają głowę od rzeczywistych problemów. Żadne państwo nie jest w stanie im sprostać w pojedynkę. Nawet gdyby wszyscy polscy obywatele solidarnie płacili podatki w Polsce, a przywódcy polskiego państwa byli bez skazy, to i tak nie daliby rady. W tym widzę bardzo praktyczne negatywne skutki odwracania się od przyszłości.

Kiedy postępowa socjaldemokracja zaczęła w międzywojennym Wiedniu realizować reformy społeczne, to zatrzymać mogły ją dopiero czołgi ustawione na wzgórzach wokół miasta. Dziś przegrywa z kretesem przy urnie wyborczej.

Ewentualny ratunek i odrodzenie socjaldemokracji to jedna z możliwych odpowiedzi dla świata. Ja zaczynam jednak od kwestii bardziej abstrakcyjnych. Po pierwsze, wydaje mi się, że nie damy rady bez historii. Po 1989 roku zabiliśmy historię, a zabijając ją, zabiliśmy też demokrację. Czas demokratyczny to bowiem czas historyczny. Jeśli jestem obywatelem demokratycznego państwa – potrzebuję przeszłości, którą do pewnego stopnia rozumiem albo staram się rozumieć, teraźniejszości, w której podejmuję decyzje i dokonuję wyborów, oraz przyszłości, w której rysują się dla mnie różne możliwe warianty rozwoju wydarzeń. Być może zabrzmi to naiwnie, ale jestem przekonany, że przede wszystkim trzeba uczyć i myśleć w sposób historyczny. Jeśli jesteśmy całkowicie zanurzeni w teraźniejszości, której sensu nie potrafimy uchwycić, to zawsze będą wygrywali ci, którzy chcą nam narzucić swój obraz przeszłości.

Takie naiwne prawdy są dziś w moim przekonaniu najważniejsze. Kolejną jest przekonanie, iż demokracja nie może istnieć bez cnót obywatelskich. To było fundamentalne przekonanie od czasu starożytnych Greków po amerykańskie lata 60. Stopniowo jednak ustąpiło cynicznemu w gruncie rzeczy przekonaniu, iż demokracja jest nieuchronna – utrzyma się na fundamencie gospodarki kapitalistycznej albo zatroszczy się o nią Unia Europejska. Cnoty pomagają dokonywać wyborów, lecz jeśli nie ma historii, a są jedynie wielkie siły pchające świat w określonym kierunku, nie ma sensu brać na siebie tego rodzaju odpowiedzialności. Cnoty mogą być

różne – konserwatywne, liberalne – ale chodzi o samą świadomość tego, jak bardzo są istotne.

Co to oznacza w praktyce?

Największe oszustwo Trumpa polega na wmawianiu Amerykanom, że amerykańskie państwo nie jest w stanie nic zrobić, że może podjąć jakieś pozorowane działania tylko w sytuacji stanu wyjątkowego. Tymczasem robi ono rzeczy fundamentalne cały czas. Wielkie organizmy państwowe, jak Stany Zjednoczone czy Unia Europejska, są w stanie podołać wielkim wyzwaniom współczesności. Wrogowie UE chcą, by Europejczycy uwierzyli w jej niemoc. Ale Unia byłaby w stanie poradzić sobie z globalnym ociepleniem czy opodatkowaniem amerykańskich monopolistów internetu, gdyby Europejczycy uwierzyli w jej siłę. Wierzę w państwo i jego możliwości.

Zarówno polityka nieuchronności oparta na idei postępu, jak i zapatrzona w przeszłość polityka wieczności mają ze sobą, jak powiedzieliśmy wcześniej, coś wspólnego – negują państwo i uważają je za zbędne. Nie wiem, czy to akurat socjaldemokracja jest dziś w stanie doprowadzić do odrodzenia państwa, ale socjaldemokraci na pewno mają rację, kiedy utrzymują, że jest ono nadal bardzo ważne. Niestety duża część socjaldemokracji uwierzyła w politykę nieuchronnego postępu. Tony Blair, Bill Clinton czy najgorszy spośród tych uwodzicieli, Gerhard Schröder – uwierzyli, że najważniejsze problemy rozwiąże kapitalizm, a potem ewentualnie będzie można redystrybuować jego owoce. W efekcie socjaldemokraci stracili umiejętność myślenia o przyszłości jako czymś otwartym. Być może jakimś odrodzeniem może być sojusz z Zielonymi, w formie, jaką oferuje na przykład w USA Green New Deal. Może umożliwić sojusz ludzi, którzy słusznie obawiają się zmian klimatycznych, i tych, którzy odczuwają dotkliwie negatywne skutki nierówności społecznych.

Historia powinna być edukacją obywatelską, a nie jedynie dekoracją dla elit, dowodem obycia i źródłem dykteryjek na przyjęciach.

Czy posługiwanie się analogią historyczną do krytycznej oceny współczesnej polityki nie stwarza ryzyka uprawiania polityki wieczności w liberalnym wydaniu, zgodnie z którym zagrożenia dla demokracji są zawsze takie same, a faszystowska retoryka w pewnym sensie wieczna?

W polityce wieczności nie chodzi o dochodzenie do prawdy, a jedynie o wpłynięcie na pamięć. Jej istotą jest znalezienie tego koła wiecznego powrotu, w którym jesteśmy zawsze niewinnymi ofiarami zewnętrznych wrogów, też stale tych samych. Nie sięgam zbyt często po analogie, czasem formułuję porównania, a na ogół po prostu posługuję się przykładami z przeszłości, żeby wzbogacić nasz obraz teraźniejszości o doświadczenie historyczne. Różnica jest fundamentalna – nie twierdzę w żadnym razie, że przeszłość się powtarza. Chodzi jedynie o wychwycenie podobnych czy współwystępujących elementów procesów, które mogą rzucić światło na dylematy, przed jakimi stajemy dzisiaj.

Historia ma nam pomóc zrozumieć, co jest w nich nowe, a co nie – w ten sposób oswobadzamy się z wiecznej teraźniejszości, przywracamy możliwość dokonywania wyborów. Czas historyczny może nam pomóc przezwyciężyć ten paraliż. Pomaga nam na powrót ujrzeć przyszłość jako horyzont możliwości.

Mówisz trochę jak Machiavelli z jego wizją Fortuny – losu pozwalającego się kształtować tym, którzy czynią go przedmiotem uczciwej refleksji, a jednocześnie pozostającego nieprzewidywalnym i nieokiełznanym.

Coś w tym jest, tyle że Machiavelli przedstawia lekcje historii jako wiedzę tajemną dla władcy, księcia, a ja jestem przekonany, że od XVIII wieku, od rewolucji francuskiej, sporu między starożytnymi a nowożytnymi i narodzin masowej polityki, kwestią absolutnie kluczową dla demokracji stała się dostępność wiedzy historycznej dla wszystkich. Pozwala ona patrzeć krytycznie na przeszłość, na jej niedostatki, i myśleć o niej jako o zachęcie do budowania czegoś wspólnie na przyszłość.

Historia powinna być edukacją obywatelską, a nie jedynie dekoracją dla elit, dowodem obycia i źródłem dykteryjek na przyjęciach. Historia umożliwia rozsądne dyskusje społeczne. W tym sensie analogia z Machiavellim jest słuszna, z tym zastrzeżeniem, że płynące z niej lekcje nie mają posłużyć wyłącznie władcy, ale nam wszystkim, mamy dzięki nim poczuć wspólnotę losu.

© Rozmawiał PAWEŁ MARCZEWSKI

TP

Drodzy Czytelnicy, w najbliższym numerze znajdziecie specjalny dodatek poświęcony

Poznańskiej Nagrodzie Literackiej,

a w nim między innymi prezentacje nominowanych autorów oraz ich książek.
Zapraszamy do lektury!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Nagroda
im. Adama Mickiewicza

Nagroda
im. Stanisława Barańczaka

Poznańska Nagroda_Literacka 2019

Ogłoszenie Laureatów
i wręczenie Poznańskiej Nagrody Literackiej

15 maja 2019 roku
godz. 14.00

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
Collegium Maius
ul. Fredry 10, Poznań

Laureaci Poznańskiej Nagrody Literackiej:

Laureaci Nagrody im. Adama Mickiewicza

2015 — Zbigniew Kruszyński
2016 — Erwin Kruk
2017 — Tadeusz Sławek
2018 — Anna Bikont

Laureaci Nagrody –
Stypendium im. Stanisława Barańczaka

2015 — Kira Pietrek
2016 — Magdalena Kicińska
2017 — Małgorzata Lebda
2018 — Szczepan Kopyt

www.poznanskanagrodaliteracka.pl

POZnań

UAM Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

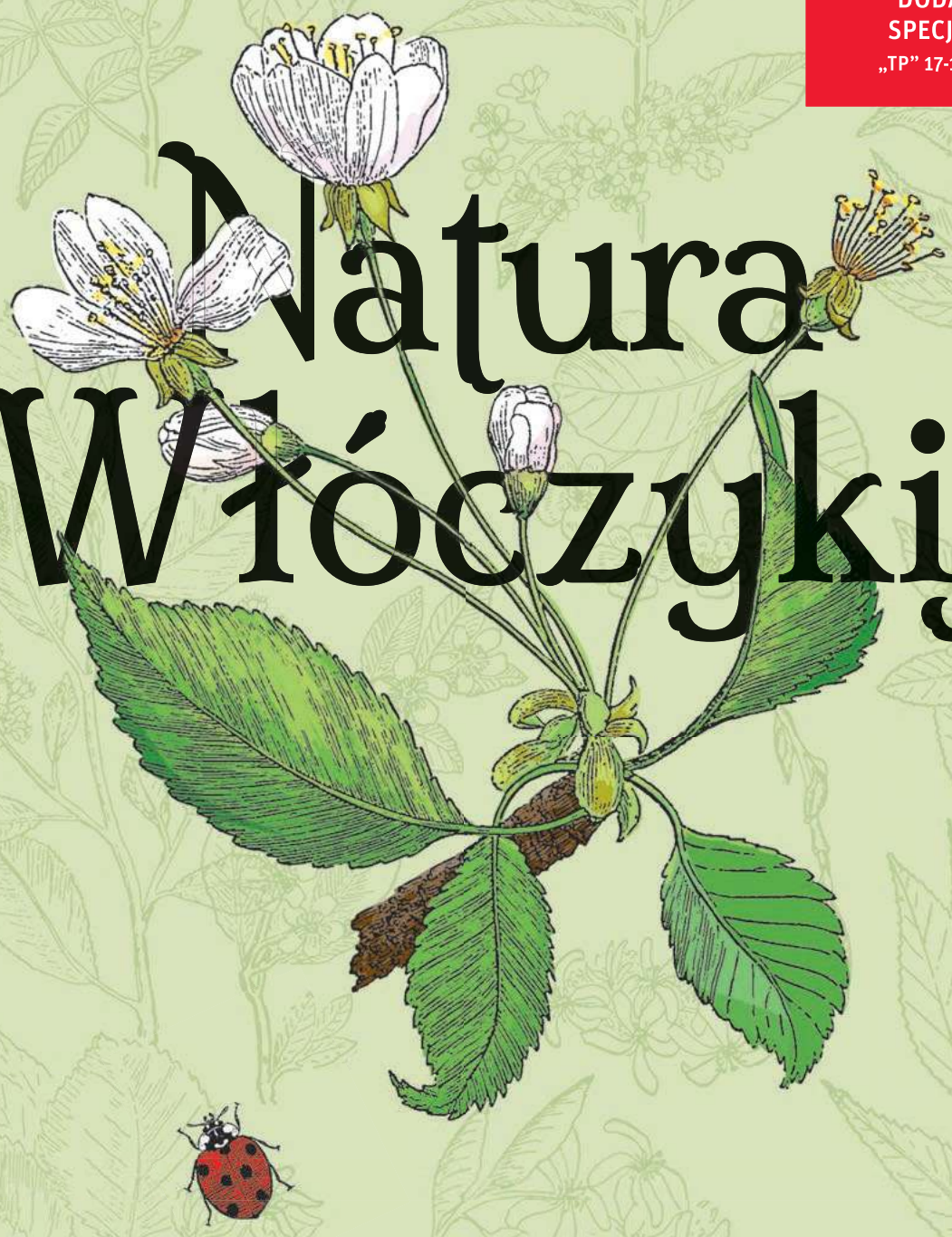
PPNT Fundacja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

CENTRUM KULTURY ZAMEK

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 17-18/2019

Natura Włóczykija



Wielka majówka

JACEK PODSIADŁO

W ogłoszeniu było coś uderzającego. Chyba chodziło o sformułowanie: „do pracy i na wypoczynek". Kusząco brzmiała też nazwa: Mazury.



Słuchanie radia jeszcze raz przyniosło ze sobą coś dobrego. W owych czasach zasadniczo nie było reklam. Były gdzieś jakieś pojedyncze, na stadionach, może na etykietach zapałczanych, ale na pewno nie były wszechobecne. Nie było ich także w radiu, za to w Trójce wpadli na pomysł, który miał ułatwić młodym słuchaczom odnalezienie się w rzeczywistości wakacyjnej. Czytali na antenie, chyba nieodpłatnie, ogłoszenia z propozycjami na lato, jakie świat miał dla młodzieży. Nie było tych propozycji wiele, akcja stanowiła pewne *novum*. Ale były.

Chłopiec miał uszy i oczy otwarte. Przeszedł szybki, ale i gruntowny kurs życia włóczęgi. Był już trochę zmęczony. Nie dosypiał. Nie dojadał. Powiedzmy szczerze: od dwóch miesięcy nie spał jak człowiek i głodował. Kiedy nie leniuchował, pracował ponad siły. Na prawym ramieniu, na którym nosił pseudożeglarski woreczek, porobiły mu się jakieś ni to odparzenia, ni to owrzodzenia. Zachwycony, trwał w niekończącym się uniesieniu, ale było ono związane także z tym, że walczył o życie. Najlepszym dowodem braku jakichkolwiek rezerw było to, że nie pisał wierszy. Jakieś niewydarzone, nieprawdziwe haiku jak próba przeciwstawienia się nadmiarowi, usidlenia go. Tama z siedemnastu zapałek na rzece Yodo. Elektrownia, która wytworzy jeden miliwat prądu; tyle, żeby świat nie pogrążył się w całkowitej ciemności.

W ogłoszeniu było coś uderzającego. Chyba chodziło o sformułowanie: „do pracy i na wypoczynek". Kusząco brzmiała też nazwa: Mazury. Wśród opowiadań Stachury było jedno zatytułowane „Jak mi było na Mazurach" i wynikało z niego, że Stachurze na Mazurach było nadzwyczaj dobrze. Nie licząc złych wspomnień z odbytej w dzieciństwie i szumnie nazwanej obozem wędrownym pielgrzymki dzieci pracowników Spółdzielni Transportu Mleczarskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim do kwatery Hitlera, całe dotychczasowe doświadczenie mazurskie chłopca zamykało się w tej właśnie lekturze. „Zapraszam młodzież uczącą się i studiującą do pracy i na wypoczynek w gospodarstwie rolnym na Mazurach", jakoś tak. Potem pewnie jeszcze z jedno okrągłe zdanko... O tak, chyba coś o wikcie i opierunku! I to, co najważniejsze: adres. Witold Pietraszewski, Nowe Kawkowo 13, Wołowno. Być może w nadawanej po południu, od 16 do 19, audycji flagowej „Zapraszamy do Trójki" powtarzano te ogłoszenia co godzinę i chłopiec dostał czas, żeby się przygotować i zapamiętać, pewnie nawet zanotować.

Na miejscu

Miał mapę. Nie znalazł na niej Nowego Kawkowa. Ale było Wołowno. Gdyby nie placówka pocztowa i stacja kolejowa, Wołowna mogłoby nie być. Ale ono było i pociąg z Olsztyna do Morąga zatrzymywał się tam. Koniec języka za przewodnika i okazało się, że Wołowno od Nowego Kawkowa dzieliło z osiem kilometrów. Dla chłopca nie było to daleko. I dało mu okazję do kolejnych uniesień. Szedł polnymi drogami, pytając co jakiś czas, w którą skręcić. Wszystko wydawało się tu inne. Nie, nie zdawało mu się: tu naprawdę było inaczej niż wszędzie. Ludzkie osady topiły się w kipiącej zieleni. Wszystkiego było więcej, choć nie było tu niczego szczególnego: ot, lasy, słoneczne niebo, piaszczyste szlaki, morza traw, ławice krów morskich, głosy ptaków, co jakiś czas wiocha z przystankiem i sklepem spożywczym. Nowy Świat! Ziemia! Ziemia! Chłopiec był pod wrażeniem. I nie potrzebował wiedzieć, co na nim robi takie wrażenie. Dziś, poza ogólnikowym wspomnieniem cudownego stanu bycia w samym środku przygody, pamiętam tylko jeden wyrazisty szczegół z tamtego dnia. W jakiejś wsi chłopiec wszedł do spożywczaka i poprosił o piwo, a sklepowa spytała, czy je otworzyć. Znaczy się, czy będzie pił „na miejscu". Zdębiał, bo na całym świecie trwała właśnie batalia przeciw temu szlachetnemu zwyczajowi, że o dowolnej porze człowiek może usiąść przed sklepem i wydudlić piwo z kumplami albo sam, wywieszano tabliczki z wypisanymi długopisem zakazami, sprzedawczynie dostawały mandaty, chłopstwo złowrogo sarkało, zmieniała się obyczajowość, a tutaj proszę, jak pięknie. Jakie ludzkie to było, jakie krzepiące.

Był to długi i piękny do nieznośności dzień. Mam kłopot z odtworzeniem czy może raczej opisaniem tego stanu tego uniesienia podtrzymywanego piwem, dlatego pozwolę sobie teraz na mały przeskok między tamtym dniem a dniem bardzo podobnym, ale późniejszym o pięć lat. Też była połowa lipca. Ten sam pociąg z Olsztyna do Morąga, z którego należało wysiąść w Wołownie. Chłopiec stał się wreszcie mężczyzną, w skrócie mną, ale uniesienia pozostały takie same. Chłopięce. Pociąg wyruszał z Olsztyna jeszcze przed świtem i zmęczony nocną podróżą zdrzemnąłem się. Przespałem Wołowno. Obudziłem się w jadącym pociągu dopiero, kiedy zbliżał się do stacyjki Żabi Róg, już bliżej Morąga niż Wołowna. Tym razem miałem do przejścia 20 kilometrów i znów nie było to za dużo, nawet trochę sobie wydłużyłem trasę, może dlatego, że o wczesnej porze nie było kogo spytać o Drogę.

Ówczesne uniesienie mamy podane na tacy, napisałem bowiem wtedy wiersz, który po dziś dzień lubię. „Obudziłem się w pędzącym pociągu. / Nie wiedząc, gdzie jestem. Jak zawsze. / Za oknem był las. Słońce paliło w krzakach / pierwszego papierosa. / Wyskoczyłem na pierwszej stacji. / Poszedłem. Drogą. / Ze słońcem po lewej, księżycem po prawej ręce. / Akcje słońca szły w górę, akcje księżyca spadały. / Jeziora parowały. / Anioły śpiewały, bydlęta fruwały, rodził się dzień. / Drzwi do lasu były szeroko otwarte. / W lesie czerwono świeciły zdziczałe maliny. / Palce miałem na oślep skrwawione ich sokiem. / W lesie wszystko dziczeje. / Malina, rajska jabłoń, człowiek. / Mijałem uśpione jeszcze ludzkie osady. / Żabi Róg, Kretowiny, Lusajny, Wilnowo... / Było tak, jak przed pojawieniem się człowieka na ziemi. / Chciało mi się spać i chciało mi się żyć. / Szedłem. Było cicho. / Żyłem, na pierwszej stronie gazety nieba. / Potem okryty nią spałem z nogami wystającymi na tamten świat. / Spałem w trawie jak zgubiona wstążka do włosów. / Obudził mnie deszcz. / Obudziłem się wiedząc, gdzie jestem: w trawie, blisko ziemi, w deszczu. / Jestem w deszczu i w trawie, w locie jastrzębia i pod korą drzew. / Żyję, życie jedzie na rowerze dzwoniąc w zaułkach mojego ciała. / Tak długo nie było u mnie tego listonosza".

I tak dalej. ↦

ROLAND MARSKE / FORUM

↦

Gdzie jest gnój, tam i robota

Wracam. Czternastego lipca 1985 r. albo bardzo blisko tej daty stan ducha łazikującego chłopca był właśnie taki, może tylko nuta *desperado* jeszcze wyraźniej się wtedy zaznaczała. I zachwyt mógł być trochę większy, bo pierwszy. Co tu dużo gadać, nawet dzisiaj, kiedy powtarzam sobie tę trasę guglstritem, mam chęć zatrzymać się przy Szałstrach i walnąć browara do monitora. No ale dobrze. Choć chłopiec się nie spieszył, w końcu doszedł, dokąd miał dojść. Dom, ku któremu zmierzał, był duży, piętrowy. Widać go było już z Drogi, bo stał na wielkiej górze jak domy w baśniach i mitach. Chłopiec widział z dołu bocianie gniazdo na dachu i bociany w nim. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że gniazdo znajduje się jednak na dachu jednego z zabudowań gospodarczych. Trzeba było przejść przez podwórze między stodołą a tym budynkiem. Musiała to być obora, bo ze środka przyjaźnie waliło gnojem.

Chłopiec odnotował to, bo gdzie jest gnój, tam i robota się znajdzie. Stamtąd też, z głębokości, z tej obory, wyłonił się młodzieniec o charakterystycznej urodzie skandynawskiego albinosa. Taki bardziej elegant. Chłopiec spytał go o gospodarza i usłyszał w odpowiedzi coś, czego dziś już nie pamiętam, ale pamiętam, że chłopiec poczuł się potraktowany troszkę z góry. Nie musiało tak być naprawdę, to chłopiec był na swoim punkcie trochę przewrażliwiony. Ot, jakaś zwykła odzywka bywalca pod adresem nuworysza. Poszedł tak, jak mu albinos pokazał, nie do drzwi od podwórka, ale obszedłszy siedzibę z lewej, gdzie były drugie drzwi. Chyba zapukał i chyba nikt mu nie odpowiedział. A może odpowiedział mu dziecięcy głosik? Kiedy wszedł do środka, znalazł się w kuchni. Nie zobaczył tu nikogo prócz dwu dziewczynek, takich z początkowych klas podstawówki. Były anielsko śliczne, a zapytane o rodziców okazały się też rezolutne. Rodziców nie było, a one miały akurat pewien kłopot. Ta starsza wepchnęła paluszek do jakiegoś słoiczka czy butelki i nie mogła go wyciągnąć. Ta młodsza nie potrafiła jej pomóc. Stały przy zlewie blisko okna i, uczyniwszy z chłopca powiernika swego problemu, patrzyły na niego z nadzieją.

Chłopiec użył sposobu. Nie pamiętam dziś, jakiego. Może spytał je o olej i palec został posmarowany tuż przy wlocie butelki, żeby przy próbach wyciągnięcia odrobina oleju wniknęła do szyjki? Może butelką dało się pokręcić i to pomogło? W każdym razie paluszek został uwolniony, a dziewczynka patrzyła odtąd na przybysza jak na czarodzieja z bajki.

W swoim czasie odnalazł się i gospodarz. Inny od gospodarzy, z jakimi już imający się dorywczych zajęć chłopiec miał do czynienia. Młody, trzydziestoparoletni, wysoki, szczupły, dziarski i powolny jednocześnie. Od razu wyjaśnię, na czym to polegało, ta powolność, którą lepiej może by było nazwać ociąganiem się. Prowadził powitalną, zapoznawczą rozmowę z chłopcem, grzecznościowo podpytując o to i owo, a chłopiec grzecznie odpowiadał, z wielką dbałością o to, żeby kłamać tylko wtedy, kiedy naprawdę trzeba. Sam nie pytał prawie o nic, interesowało go tylko, czy dostanie robotę, a w konsekwencji będzie się tu mógł przespać. Nawet jeśli za dzień lub dwa, kiedy zdradzi już swą nieprzydatność do wszystkiego, będzie trzeba powędrować dalej, to taki dwudniowy postój dobrze by mu zrobił.

Kiedy chłopiec zadawał swoje pytanie, wiedział, że od odpowiedzi zależy jego los. Sądził jednak, że chodzi o los w najbliższych dniach, co najwyżej tygodniach. Nie wiedział jeszcze, że nie mógł trafić lepiej.

Najważniejsze, żeby nie musieć od razu człapać z powrotem do Wołowna i czekać nie wiadomo ile na pociąg, do którego nie wiadomo, czy da się w ogóle wsiąść, bo pieniędzy na dalszą podróż to chyba już chłopiec nie miał. A obawiał się, że może go dyskwalifikować to, że nie jest uczniem ani studentem, o których była mowa w ogłoszeniu. Kiedy więc tematy wstępne zostały przebrnięte, przy pierwszej sposobności chłopiec zadał pytanie, od którego zależał jego los.

– To co, mogę zostać na próbę?

Gospodarz popatrzył na niego i nic nie odpowiedział. Co więcej, odwrócił się na pięcie i wyszedł, po prostu wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wołał stamtąd potem coś nieważnego do córek.

Wrócił do kuchni, gdzie w powietrzu wciąż wisiało chybione pytanie chłopca, któremu powoli robiło się gorąco ze wstydu. Krzątał się, zalał sobie wrzątkiem herbatę w dużym kubku, może wziął papierosa, i po pięciu minutach niespodziewanie zaczął odpowiadać na pytanie, jakie mu zadano. Zaczął pewnie od „No wiesz...", „No co..." lub czegoś podobnego, znamionującego, że odpowiedź jest skutkiem przemyśleń.

Pozostać bezdomnym włóczęgą

Kiedy chłopiec zadawał swoje pytanie, wiedział, że od odpowiedzi zależy jego los. Sądził jednak, że chodzi o los w najbliższych dniach, co najwyżej tygodniach. Nie wiedział jeszcze, że nie mógł trafić lepiej, że ta rodzina i to gospodarstwo są fenomenem na światową skalę, że skreślił szóstkę w totku, że trafił się ślepej kurze wór ziarna, że zgubił się w ciemnym lesie i zbłądził do raju. Że drobne zdarzenia, nawet pojedyncze gesty mające tego dnia miejsce, zaważą na całym jego długim życiu. Że właśnie zaczęła się formować idealna dla jego psychiki podwójność: będzie mógł pozostać bezdomnym włóczęgą, co było potrzebą najpierwszą i wartością najwyższą, ale w ciężkich chwilach będzie mógł myśleć o tym miejscu i o tych ludziach jak o swoim Domu i swojej rodzinie. Udzieli mu się spokój tego faceta, mimowolnie przejmie część jego sposobu bycia. Na zawsze pozostanie gwałtowny, ale jeśli za trzydzieści lat między jakimś impulsem a nieproporcjonalnie gwałtowną reakcją przez kilka sekund będzie wzdychał i przewracał oczami, a może nawet złagodzi tę reakcję, będzie to jak odcisk pieczęci imiennej Witolda Pietraszewskiego z Nowego Kawkowa.

Podobnie jak ja, Witek zaczął na starość pisać wspomnienia. O ile wiem, nie skończył, ale zaczął tak: „Będzie mowa o tym jak poeci, idioci, więźniowie i schizofrenicy wraz ze studentami wspierali polską wieś swą wątłą siłą roboczą". Z dumą widzę, że załapuję się tutaj do więcej niż jednej z zakreślonych przez niego kategorii.

© JACEK PODSIADŁO

POWROTY

SZWAJCARSKA KOLEKCJA ZBIGNIEWA MIKULSKIEGO

STANISŁAW ZBIGNIEW MIKULSKI

(1925-2017)

był światowej sławy ekspertem w zakresie filatelistyki i właścicielem największej na świecie kolekcji polskich obiektów filatelistycznych i pocztowych z XVIII i XIX wieku. Na wystawie pokażemy klejnot jego kolekcji – najrzadszy obiekt polskiej filatelistyki, czyli *Polskę nr 1* – pierwszy polski znaczek, unikatowy sześcioblok i parkę z 1862 roku.

Zbigniew Mikulski zgromadził również imponującą kolekcję polskiego malarstwa i grafiki. Zaprezentujemy dzieła takich twórców jak Jan Matejko, Wojciech Kossak, Józef Brandt, Włodzimierz Tetmajer, Artur Grottger, Stanisław Witkiewicz, Witkacy, Wlastimil Hofman, Mela Muter, Jacek Malczewski czy Władysław Skoczylas.

Wystawa w Bydgoskim Centrum Sztuki będzie pierwszą tak obszerną ekspozycją zbiorów Zbigniewa Mikulskiego.

Polska nr 1 – PIERWSZY POLSKI ZNACZEK ▶

24.05 — 31.08 | 2019

WERNISAŻ: 24 MAJA / 19:30 | KURATOR: BOGUSŁAW DEPTUŁA | MIEJSCE: BCS/SDA UL. JAGIELLOŃSKA 47, BYDGOSZCZ

REKLAMA

ORGANIZATORZY:

BYDGOSKIE CENTRUM SZTUKI

Sopocki Dom Aukcyjny od 1990 BYDGOSZCZ

PATRONAT:

artinfo.pl

NIEZŁA SZTUKA WWW.NIEZLASZTUKA.NET

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA BYDGOSZCZY RAFAŁA BRUSKIEGO



29. Festiwal Kultury Żydowskiej *Kraków*

21.06–30.06.2019

JEWISHFESTIVAL.PL

REKLAMA

Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

TAUBE PHILANTHROPIES

KORET FOUNDATION

FRIENDS OF THE CRACOW JEWISH CULTURE FESTIVAL

ef events foundation



JAN MOREK / FORUM

Zaśnij w wierzchołku świerka

MICHAŁ KSIĄŻEK

Kręcę się jak pies, zanim ułoży się do spania. To w prawo, to w lewo. Z tej strony lasu. Nie, lepiej z tamtej. W sośninie mrówki, na łące mokro, w kartoflach brudno. Nie mam gdzie spać. Szukam jak dżdżownica w ściółce. O – jest gryka. Jakby śnieg spadł. Biała. Pachnąca. Literacka taka.

Jeśli zaskoczy cię noc na Podlasiu i nie masz już siły iść bądź pedałować, na nocleg doskonale nadadzą się tamtejsze pola gryki. Na przykład te pomiędzy borami sosnowymi w okolicach wsi Zubry, Wiejki, Podozierany. Gryka w lipcu kwitnie pysznie, posiada miękką, wykształconą w pełni łodygę i szerokie liście. Nie będzie jak się umyć, ale intensywny zapach białego kwiecia i złudzenie śniegu wywoła ulotną atmosferę świeżości. Szczególnie pusta łodyga i sercowate liście są ważne – tworzą dość grubą warstwę między grzbietem śpiącego a nagrzaną planetą, dzięki czemu nie zmarzniemy nad ranem. Jest miękko i przytulnie, a tłuszcz i pot, czyli kompleks fizjologicznych zjawisk nazywany brudem, nie dokuczają tak bardzo. ↦



CHRISTINA ANZENBERGER-FINK / FORUM

Kląskanie pokląskwy

↦ Gryka nadaje się do spania bardziej niż owies czy jęczmień, którego suche plewki i łamliwe wąsy niemiłosiernie kłują, zostawiając na skórze rozległe zaczerwienienia. Owies siany jest na glebach ubogich i rośnie rzadko, przez co nagrzane za dnia pole zamieszkuje wiele ruchliwych chrząszczy z rodziny *Carabidae*, biegaczowatych. To drapieżniki, mają mocne żuwaczki, długie nóżki i polują głównie w nocy, więc zdarza się, że próbują też ciepłego ciała. W gryce biegaczy jest mniej. A jeśli hreczka posiana jest gęsto, by zacienić i wyplenić z pola perz, tak jak to na Podlasiu mają w zwyczaju robić, to już prawie w ogóle biegaczowatych się nie spotka.

Spotkać można za to właściciela pola, hreczkosieja, dlatego ważna wskazówka: lepiej wchodzić w grykę od strony lasu albo sąsiedniego pola niż od pobliskiej drogi. Hreczkosiej może nie mieć zrozumienia dla zmęczonego wędrowca i zareagować nerwowo. Zazwyczaj budzenie w gryce jest jednak miłe: kląskanie pokląskwy, popisy skowronków polnych. A do najlepszych budzików należą żałobne pieśni lerki, skowronka borowego: tuji, tuji, tłi i – oczywiście – kukułka.

Nie polecam przystanków autobusowych

Zdarzają się co prawda kompletne i szerokie ławki, ale wcześnie rano śpiącego obudzą roje much. Już lepiej wejść do starej chaty, choć ostrożnie, by nie runęła. Chaty dzielą się na te z łóżkami i te bez, więc zależnie od wyposażenia trzeba się w nich umiejętnie odnaleźć. Im lepsze, tym gorzej – można zostać posądzonym o szaber. Na Podlasiu nie brak przejezdnych, którzy z opuszczonych domów wynoszą cenne sprzęty. Do najbardziej poszukiwanych należą malowane skrzynie posażne, zbyt małe jednak, by się w nich, czy też na nich, przespać.

Fragmentu czegoś płaskiego i suchego można szukać też na placach zabaw (Kleszczele) albo parkowych ławkach (spokojnym i bezpiecznym miejscem jest park księżnej Jadwigi w Siemiatyczach). Wspaniale nadają się do snu muszle koncertowe (Hajnówka), tancbudy (Lewkowo) bądź rampy porzuconych mleczarni (Woźnawieś). Koledzy Darek i Kornel spali kilka razy na cmentarzach, pomiędzy grobami, co uważam jednak za akt przesadnej brawury.

Wystraszyć może żubr

Jeżeli chcesz skosztować spania w krajobrazie, bez namiotu, kempingu, samochodu, korzystając tylko z tego, co oferuje wi-

dok, możesz skorzystać z architektury turystycznej, jaką coraz częściej organizują parki narodowe i krajobrazowe. No i nadleśnictwa, które nie wiedzą, co robić z nadwyżkami finansowymi, więc stawiają ławkę za ławką, a przy ścieżkach leśnych umieszczają telewizory. Taka półarchitektura to doskonały wstęp do nocowania na widoku, zanim człowiek przestanie się obawiać o swoje życie i położy w gryce.

Godne polecenia są ławki w lesie za wsią Kuchmy (gmina Michałowo), choć tamtejsze lelki kozodoje terkocą całą noc, a i klaszczą skrzydłami nad głową. Spokojniej będzie na wieży widokowej pod Białowieżą, polecam tę za skansenem albo drugą, nad rzeką Narewką koło rezerwatu Wysokie Bagno. Choć tu znowu przeszkadzają samochody. Można też znaleźć sobie paśnik z sianem w lesie, choć uwaga: nie za blisko granicy. W paśniku budzenie mogą nam zafundować zazwyczaj nerwowi i pozbawieni fantazji funkcjonariusze straży granicznej albo, nie daj Bóg, leśnej. Wystraszyć może też żubr: w księżycowe noce jego morda w mglistej poświecie wygląda jak diabelska.

Aby zatem uniknąć straży leśnej, diabła, samochodów i lelka kozodoja – wejdź w głąb lasu. Najlepiej tam, gdzie rosną sosny i świerki, w bory. Siedliska grądowe, gdzie rosną dąb, grab, klony, i olsowe (tworzone przez olchę czarną) nie nadają się tak dobrze na sen jak bory. Szczególnie bory świerkowe.

Szybkie posłanie w świerczynie

W świerczynach nie obudzi cię szum drzew. Bo świerki nie szumią jak gatunki liściaste, *crescendo* i *forte*, ale cicho, *murmurando*. I to nawet przy mocnych, gwałtownych podmuchach wiatru. Podobnie jak w gryce, owsie i jęczmieniu, w świerczynach nie ma kleszczy. A przynajmniej jest ich bardzo mało. Kleszcze czekają na swoje ofiary zazwyczaj na końcach długich traw bądź trzcin, w miejscach nasłonecznionych, przy uczęszczanych przez zwierzęta ścieżkach. W głębi borów świerkowych wysokich traw jest niewiele. Panuje półmrok i bywa chłodniej niż w innych formacjach roślinnych, a takich właśnie miejsc unikają ciepłolubne kleszcze. Nigdy nie znalazłem kleszcza czekającego na gałązkach świerkowych czy czubkach licznych młodych świerczków. Czemuś kleszczom świerki nie odpowiadają. Może najeżony igłami, multipolarny szczyt świerkowego pędu jest dlań zbyt trudnym wyborem?

Szybkie posłanie w świerczynie da się uwić – jeżeli w pobliżu nie ma paśnika i siana – z gałązek oraz pędów świerkowych.

Dużo ich można znaleźć w miejscu żerowania wiewiórek. Wiewiórki, by zdobyć szyszki, odgryzają całe fragmenty gałązek, na których szyszki wiszą, a potem te gałązki porzucają. Czasem pod drzewem jest ich tak dużo, że łatwo można je zgarnąć pod pień i posłanie gotowe. Gdyby nie burze i pioruny.

Jeszcze szybciej, przytulniej i bezpieczniej niż między korzeniami jest spać w koronie świerka. Nie, nie chodzi wcale o wspinanie się na trzydziestometrowe drzewo i rozwieszanie tam hamaka. Otóż świerki czasem się łamią. W puszczy regularnie można się natknąć na puszysty świerkowy czub najeżony gałęziami wielkimi jak choinki. Wygląda jak obszerny szałas, który spadł z nieba pośrodku lasu. Wystarczy odłamać kilka gałęzi i ułożyć w gniazdo, tak jak to robi sójka czy gołąb grzywacz, gdzieś w zakamarku złamanego wierzchołka. A rano? Rano nie obudzą cię, jak w gryce, skowronki czy pokląskwa. Ani hreczkosiej. Nad uchem świstnie za to mysikrólik, zniczek, czubatka i szarytka. Czyli wszystkie ptaki, które zazwyczaj żerują wysoko w koronach drzew. Teraz masz szansę obejrzeć je z bliska.

Eufonia krajogłosu

Powiedzmy wprost: jeśli po raz pierwszy zasypiasz poza domem i namiotem, nie wyśpisz się za bardzo, choćbyś trafił na najgęstszą grykę w okolicy, najciemniejszy bór. W nocy budzi byle trzask, różne fantasmagorie nawiedzają głowę. Dopiero za trzecim, czwartym razem, kiedy przed snem czy rano poczujesz na sobie badawczy wzrok rudzika, docenisz, jak miło jest stać się częścią krajobrazu. Nocą dotrą do ciebie bodźce, przy których kształtowały się niegdyś nasze umęczone antropocenem, płynną nowoczesnością, uciekającym światem i epoką ekranu muskającego zmysły. Rośliny w dotyku okażą się znajome, a ich zapachy organicznie bliskie.

Ale mnie w lesie i na polu zazwyczaj zadziwia coś innego: harmonijny krajogłos, czyli dźwiękowy obraz okolicy, w której wypadło popasać. O ile nie ma w pobliżu ciągnika czy pilarza, wszystkie dźwięki zgadzają się, jakby ktoś zadbał o to we wcześniej zapisanej partyturze. Gryka, owies, pszenżyto nigdy nie tworzą kakofonii. Doskonale współbrzmi z nimi tuji, tuji, tli śpiewającej całą noc lerki. A świerszcz polny troszczy się o to, by nie zapadała zupełna cisza podczas pauz. Świerki, brzozy i olchy nie przeszkadzają sobie w szumie. Ba, tworzą usypiającą eufonię, bliską, znajomą i pożądaną. Przy takich częstotliwościach ewoluował twój słuch, więc zasypiasz jak mysikrólik ukryty w wierzchołku świerka. Uradowany eufonią, niedomyty. ©

MICHAŁ KSIĄŻEK

REKLAMA



REKLAMA

Wschód Kultury – Inne Brzmienia

27–30.06 2019 Lublin, Błonia | Wstęp wolny

Ministry, The Herbaliser, Alexander Hacke & Danielle de Picciotto, Brain Damage, Wrekmeister Harmonies, AK/DK, Dezerter, We Will Fail, Shalosh

prezentacja muzycznej sceny litewskiej, premiery wydawnicze, wystawy ilustracji, dyskusje, kino litewskie, warsztaty dla branży muzycznej, Małe Inne Brzmienia



WSCHÓD KULTURY · Inne Brzmienia Art'n'Music Festival · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Narodowe Centrum Kultury · Warsztaty Kultury · Instytucja Kultury Miasta Lublin · Lublin Miasto Inspiracji

REKLAMA

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

TOMASZ KONIECZNY

18 VI 2019

DYRYGENT: GABRIEL CHMURA
PROWADZENIE KONCERTU: CEZARY ŁASICZKA



www.opera.poznan.pl / +48 61 65 90 280; +48 61 65 90 228 / www.bilety.opera.poznan.pl

Mecenas Teatru: Enea

partnerzy Teatru: SOLAR · horsefield empowering brands · 4MARKETING.PL

patroni medialni: KULTURA · TVP3 Poznań · wyborcza.pl Poznań · Radio Poznań · ams · empik · iks · puls poznania · CzasKultury

partner medyczny Teatru: ORTOMEDYK

REKLAMA

Muzeum Śląskie

90 LAT

BLISKIE, LECZ Z DALEKIEGO ŚWIATA

Historia udomowienia ssaków



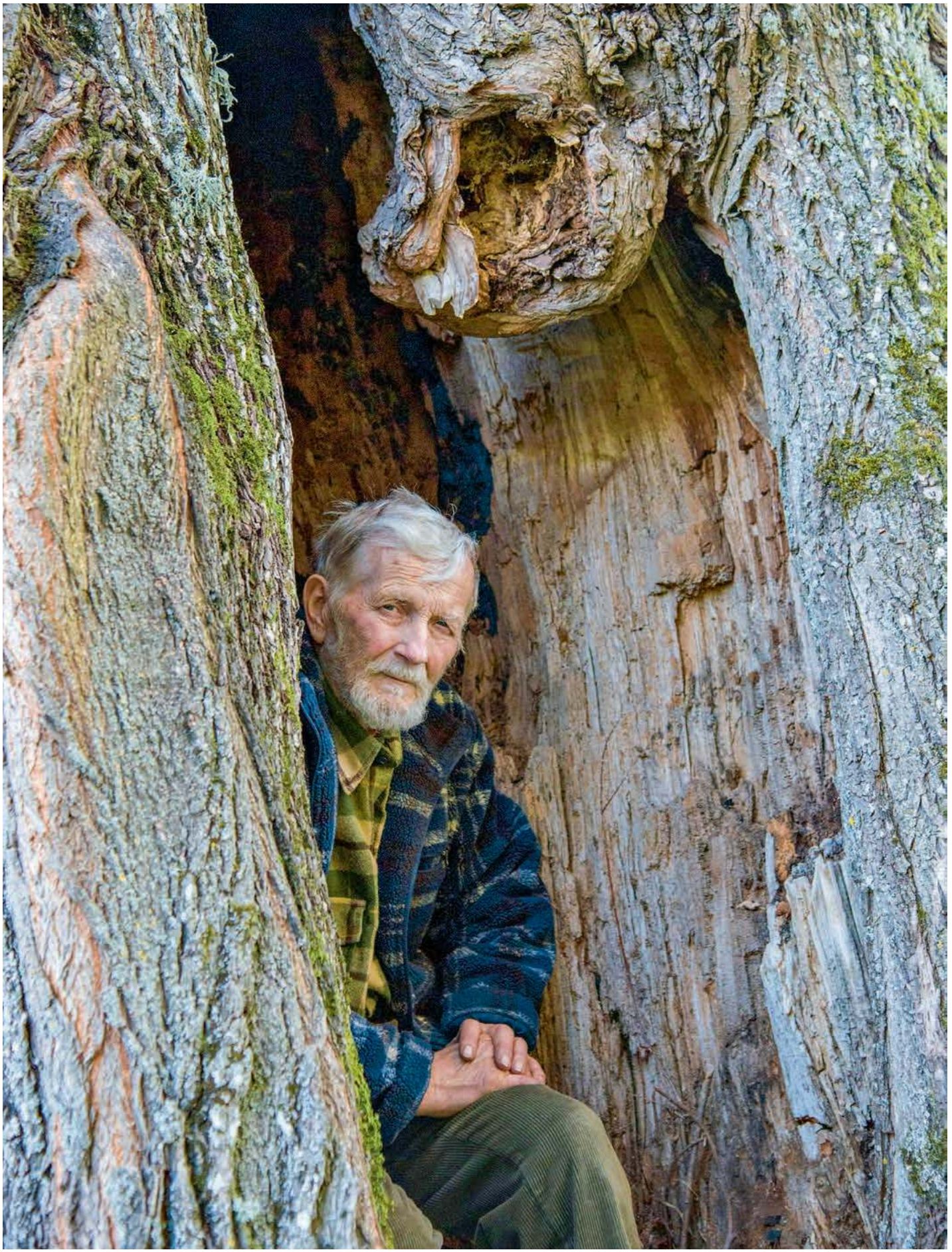
30.03–28.07.2019
Wystawa w Muzeum Śląskim w Katowicach

Śląskie.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

Zapuszczajmy się

ANNA KAMIŃSKA

Nie trzeba korzystać z przewodnika. W każdej chwili można ruszyć w drogę, wystarczy wejść do lasu. My zaczynamy od dąbrowy koło puszczańskiej wsi Budy. Dęby wyglądają tutaj tak, jakby chciały dotknąć nieba.

Zapuszczamy się w las, skręcając z głównej drogi w leśną, w kierunku miejsca, gdzie rośnie kilkanaście starych dębów. To jedna z największych dąbrów w Puszczy Białowieskiej. Już na początku spaceru rzuca się w oczy olbrzymie, dominujące nad całą grupą innych drzewo. Tomasz Niechoda nazwał je Strażnikiem Wsi Budy. Niechoda to pasjonat drzew. Od ponad 30 lat wędruje po puszczy, wyszukuje i mierzy najbardziej okazałe drzewa, ogląda stan ich kory, sprawdza laserowym miernikiem odległość od podstawy drzewa do najwyższego konaru. Fotografuje, notuje, zebrane dane porównuje i wprowadza do elektronicznego rejestru. A także nadaje imiona. Kontynuuje to, co rozpoczął prof. Jan Jerzy Karpiński, wieloletni dyrektor Białowieskiego Parku Narodowego, który pracował tu jeszcze przed II wojną światową.

– W żadnym lesie nie spotkamy dębów, które stoją z taką gracją, wytwornością i lekkością – mówi Niechoda, z którym umawiam się na spacer. – Walczyły w gęstwinie z innymi drzewami o dostęp do słońca, dlatego urosły dwa razy wyższe od dębów, które spotykamy na polach czy łąkach.

Rzeczywiście, dęby w Puszczy Białowieskiej wyglądają tak, jakby chciały dotknąć nieba. Nie są ani krępe, ani sękate, tylko strzeliste i zgrabne jak sosny, nawet przy swoich sześciu czy siedmiu metrach w obwodzie. Żyją najdłużej spośród puszczańskich drzew, mają po kilkaset lat i mimo bitych rekordów grubości pnia wciąż trzymają linię.

Ratowanie Jagiełły

Przed wojną prof. Karpiński nadaje jednemu z dębów imię Władysława Jagiełły. Stworzona specjalnie na tę potrzebę legenda mówi, że Jagiełło siedział pod drzewem, polując w puszczy przed bitwą pod Grunwaldem. „Dąb ma 37 m wysokości, 1,80 m średnicy i kilkaset lat", pisze o drzewie w 1937 r. Karpiński. „W rozwidleniach jego konarów rosną młode świerczki, graby, jarzębiny oraz maliny". Dąb, ochrzczony nazwiskiem króla, szybko staje się drugą największą atrakcją turystyczną po królu puszczy – żubrze. Wycieczka za wycieczką ogląda jego korę, lustruje liście, chce zbierać żołędzie. „Olbrzym!" – podziwiają. I tak przez 20 lat.

W latach 50. w parku poruszenie. Dąb Jagiełły wyraźnie się pochyla. Powołana na tę okoliczność komisja dendrologów ocenia, że w środku drzewo jest spróchniałe, i jednogłośnie określa jego stan jako bardzo zły. Pojawiają się pomysły, jak Jagiełłę ratować. Ktoś proponuje wypełnić wnętrze dębu gruzobetonem, inny wzmocnić podłoże sztucznym korzeniem z cementu. Wreszcie ktoś rzuca: dajmy drzewu święty spokój.

Sprawę rozstrzyga wichura, która zrywa się nad puszczą pewnej październikowej nocy 1974 r. Wiatr, który wieje tej nocy, silny i porywisty, przepędza chmury i rozwiewa mokry śnieg przy temperaturze poniżej zera stopni. Dąb Jagiełły zawieruchy nie wytrzymuje, pada na ziemię. Dziesięć dni później odbywa się urządzony przez przewodników parku jego pogrzeb. W bramie rezerwatu zostaje odtworzona z magnetofonu poświęcona drzewu radiowa audycja, przegrana wcześniej z białostockiej rozgłośni Polskiego Radia. Przewodnicy robią wokół dębu specjalne ogrodzenie ze złamanych konarów drzew, ale nie żegnają się z Jagiełłą tak do końca. Wiedzą, że zanim pochłonie go puszcza, będzie jeszcze cieszył oko przez kilkadziesiąt, nawet do stu lat.

I rzeczywiście. Dąb odpoczywa w pozycji leżącej już 45. rok, służąc różnym mikroorganizmom, które korzystają teraz z jego snu. „Otwierał się i otwierał" – mówią o dębie oprowadzający turystów po rezerwacie przewodnicy. Coraz bardziej tonął w mchu. Ale wyrasta na nim nowe życie. Drzewo odchodzi godnie, posiadając swojego następcę. Imię tego samego króla nosi dziś jeden z dębów stojących w uroczysku Stara Białowieża. Znajduje się on na turystycznym Szlaku Dębów Królewskich, stworzonych – zaraz po tym, gdy runął Dąb Jagiełły – przez leśnika Jacka Wysmułka.

Wędrowanie przez zapuszczanie

My jednak nie idziemy tam, gdzie zachęcają przewodniki, ale zmierzamy szlakiem potężnych dębów ponazywanych przez Niechodę. Mijamy Strażnika Wsi Budy i wchodzimy w głąb lasu w poszukiwaniu drzewa noszącego imię fotografa Lecha Wilczka.

Fotograf przeżył w puszczy około 40 lat, połowę swojego życia. Pisał o żyjących tu zwierzętach, krukach, dzikach i borsukach, znał się na puszczańskich roślinach. Przemierzał puszczę pieszo, na motocyklu, rowerze, ciągnikiem, a już jako starszy pan – zielonym maluchem. Nie był „spadochroniarzem", jak mówi się w puszczy o tych, którzy przyjeżdżają zrobić badania, napisać pracę naukową, a potem się tu już nigdy nie pojawić. Był zapalonym puszczaninem. Jego dąb mierzy dziś 34 metry.

Dwieście metrów od drzewa Wilczka stoi Dąb Simony Kossak, biolożki i profesorki nauk leśnych, która opracowała m.in. sposób liczenia żubrów, saren, łosi i innych zwierząt puszczy. ↦

Lech Wilczek, Białowieża, 2013 r.

↦ Nie jest łatwo znaleźć ten dąb, idąc drogą prowadzącą z Bud, ale rozpoznacie go po charakterystycznym skręcie kory u podstawy pnia. Jest też potężniejszy niż ten Wilczka. – Obwód: 650 cm, czyli od ostatniego pomiaru drzewo przyrosło – zauważa Niechoda. Wiek dębu szacuje na 500 lat. Niechoda nadał drzewu imię Simony w 2007 r. Popularyzatorka i miłośniczka przyrody, pochodząca z artystycznej rodziny Kossaków, znana w okolicy postać, słynąca z obrony zwierząt i ciętego języka, od ponad dziesięciu lat ma tu więc swój żywy pomnik. – Kora drzewa jest skręcona, ale taka już jej uroda, to żaden zły objaw – mówi Niechoda. – Odróżnia je to z otoczenia innych dębów. Wyróżnia tak samo, jak wyróżniała się w puszczy Simona Kossak. „Rusałka admirał" – mówił mi kilka lat temu o charakterze Simony Lech Wilczek, jej partner, wspominając, jaka była na co dzień. Kobieta generał, która lubiła dominować, ale także ktoś o wyjątkowej wrażliwości. Kiedy stąd odchodzimy, rozmawiamy o tym, że nie ma nic przyjemniejszego niż swobodne wędrowanie przez zapuszczanie. Spacer, który nie jest ograniczony czasem, skrępowany konkretnym planem. Dlatego zanim podejdziemy do kolejnego dębu, idziemy kawałek tam, gdzie nas nogi poniosą. Wychodzimy na polanę posłuchać, jak na podmokłym terenie bulgoczą jak zupa moczarówki. Patrzymy pod nogi na wygrzewające się w słońcu zaskrońce, słuchamy pierwiosnka. Bo krajobraz, jak to w puszczy, nagle się zmienia. Z lasu wyłania się prześwit, wzrok nie ucieka już w górę i nie błądzi po koronach drzew, tylko szuka bobrów, które najwyraźniej zrobiły tu niedaleko tamę. – W puszczy nie ma niczego co krępujące i co ogranicza. Wybierasz to, co cię interesuje: drzewa, motyle czy ptaki, i idziesz, czując się przy tym wciąż jak odkrywca, bo las nieustannie się zmienia, a ty chcesz te zmiany oglądać, co z kolei pozwala pielęgnować w sobie włóczykija, wędrowca – mówi Niechoda. O! I nagle dzięcioł wybija nas z rytmu i zakłóca rozmowę. Mijamy go z głowami w chmurach i trochę rozkojarzeni przez jego stukanie maszerujemy dalej.

Zapuszczeni, czyli ludzie związani na co dzień z puszczą, obserwują, że odwiedzający las turyści zatracają umiejętność budowania więzi z naturą. Przewodniczka BPN Barbara Bańka mówi, że ludzi trzeba dziś uczyć, jak w lesie być. – Ludzie są oddzieleni od przyrody, musimy im pokazywać, jak się w puszczę zanurzyć. W lesie czy na warsztatach kąpieli leśnych staramy się przywrócić w nich to, co zgubili.

– Idź przez las bez celu, ale rozglądaj się, bo to jest żywioł – Bańka tłumaczy w rezerwacie i na warsztatach terapii lasem. – Tu nie ma wyjścia ewakuacyjnego, trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Oddychaj, nie patrz na zegarek, zżywaj się.

REKLAMA

DZIKA
Henrik Ibsen
KACZKA



Premiera: 1 czerwca 2019

Tłumaczenie: Anna Marciniakówna
Reżyseria: Franciszek Szumiński
Scenografia i kostiumy: Barbara Ferlak
Asystentka scenografki: Magdalena Mucha
Dźwięk: Kamil Tuszyński
Światło: Daniel Chepilesqi
Asystent reżysera: Dawid Żłobiński
Obsada: Vanessa Gazda, Urszula Grabowska, Beata Wojciechowska, Andrzej Cempura, Janusz Głogowski, Marcin Kowalczyk, Edward Janaszek, Jacek Mąka, Łukasz Pruchniewicz, Artur Słaboń, Dawid Żłobiński

Gregers Werle wraca po latach do rodzinnego domu, gdzie spotyka dawnego przyjaciela Hjalmara Ekdala. Szybko orientuje się, że życie Hjalmara, jego rodzina i cała rzeczywistość, w której tkwi, zbudowana jest na kłamstwie... Sztuka Ibsena, niby groteskowa fantazja lękowa, splata wątki i symbole ściągając bohaterów w nieuniknione. Stawia pytania o postawy życiowe lub wykreowane persony, które umożliwiają uniknięcie konfrontacji ze światem lub drugim człowiekiem.

www.teatrzeromskiego.pl

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

Syczało jak diabli

Kiedy znowu jesteśmy we wsi Budy, wychodzi słońce. Ze wsi ruszamy dalej w kierunku Drogi Zwierzynieckiej, przy której stoi kolejny opisany przez Niechodę dąb. Z Bud można do niego dotrzeć pieszo, rowerem, ale także samochodem, który potem zostawimy w połowie Drogi Zwierzynieckiej, by kilkadziesiąt metrów dalej skręcić w lewo. Las jest tu rzadki, więc dąb nazwany przez Niechodę Strażnikiem Zwierzynieckiej Drogi od razu rzuca się w oczy. Ma charakterystyczny znak rozpoznawczy: jest trochę beczkowaty u podstawy. Mierzy 644 cm w obwodzie, czyli – jak podkreśla Niechoda – jest grubszy od najgrubszego w swoim czasie Dębu Jagiełły w rezerwacie. Jak na warunki puszczańskie jest natomiast niewysoki, bo ma tylko 33 metry od podstawy pnia do najwyższego konaru.

Z Drogi Zwierzynieckiej udajemy się teraz tuż obok Zwierzyńca, odwiedzić Dąb Igora Newerlego. To tutaj urodził się autor „Zostało z uczty bogów". Niechoda imieniem pisarza nazwał więc jeden z największych dębów stojących naprzeciw leśnej osady. Nie będziecie mieli problemu, by go dostrzec, znajduje się sto metrów od Zwierzyńca, w Rezerwacie Krajobrazowym Władysława Szafera, zaraz przy szosie nr 689 z Hajnówki do Białowieży. Kiedy Niechoda w 2009 r. nadawał mu imię, dąb jeszcze stał, ale w czasie wichury, która rozszalała się tu latem 2010 r., złamał się kilka metrów u podstawy i padł. Był jednym z najgrubszych dębów w Puszczy Białowieskiej, miał blisko siedem metrów obwodu. Dziś tli się na nim życie, na mchu wyrosły małe świerki, paprocie, szczaw zajęczy. – W innych miejscach w Polsce, kiedy drzewo się wywraca, wokół truchła pojawiają się od razu śmieci, ludzie dobrze zachowaną część rozkradają na klepki albo drzewo zadeptują. Tu zachowuje swój majestat – mówi Niechoda. Kiedy przyszedł odwiedzić dąb Newerlego, zaraz po tym gdy runął i od kilku dni leżakował, lały się z niego jeszcze soki u podstawy i drzewo, pompując je od korzeni, syczało jak diabli. Aż w końcu przestało. Kończy się także nasz spacer. Przy dębie Newerlego się żegnamy.

Dęby białowieskie mają tylu patronów, że starcza na dziesiątki wycieczek, zaplanowanych i nie, czyli takich, które nie roszczą sobie pretensji wyprawy wedle programu i pozwalają na swobodne zapuszczanie. Moi puszczańscy rozmówcy mówią, że jesteśmy przez naturę stworzeni do tego, by chodzić szlakami drzew, dotykać ich kory, błądzić wzrokiem po wysokich konarach i kłaść się w ich cieniu na mchu. A więc – zapuszczajmy się!

© ANNA KAMIŃSKA

Korzystałam z „Sagi Puszczy Białowieskiej" Simony Kossak, internetowej Encyklopedii Puszczy Białowieskiej i z książki „Z dawnej Białowieży" Piotra Bajki.





Żyć jak jednodniówka

ADAM ROBIŃSKI

W obliczu końca świata ucieknę na Warmię. Nie żartuję. Nie uważam się za preppera i nie czuję się przygotowany na cywilizacyjną apokalipsę, ale poznałem kiedyś człowieka, który ma to wszystko dobrze przemyślane.

ZBIGNIEW NURZYŃSKI / ADOBE STOCK

Dwa głębokie wąwozy zbiegają się tam w kształt litery V, a ich dnami płyną czyste strumienie, wodopój dla kopytnych i dzików. Zwierzyny mrowie, runo przez połowę roku obfite jak mało gdzie. Łatwo też sklecić dach nad głową. Znajomy twierdzi, że las wyżywi całą jego rodzinę, a jezior dookoła tyle, że i z wodą nie będą mieli problemu. Kiedy więc nastąpi cywilizacyjny krach: wielkie zaciemnienie, puste sklepowe półki i kilometrowe kolejki do dystrybutorów na stacjach benzynowych, ja i moi najbliżsi będziemy już w drodze w olsztyńskie.

Warmińska Ameryka

Pierwszego razu w tych stronach nie zapomnę nigdy. Połowa września 2001 r., zimno i deszczowo, więc w letniskowej wsi, w której przyjaciółka ma działkę, nie było żywego ducha. Sklep w pobliskiej stodole zamknął się już na zimę, po piwo i całą resztę trzeba było jeździć kilka kilometrów. Siedzieliśmy pośród sosen i czekaliśmy na rok akademicki. Przy wtorkowym śniadaniu ktoś włączył radio, łapało wtedy tylko jedną stację. Przerażony reporter mówił o awionetce, która rozbiła się na wieżowcu. O kolejnej pełnej godzinie to już nie był byle jaki samolocik, tylko rejsowy boeing. Zaraz po nim drugi. Kolejna godzina – płonął Pentagon. I nikt nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje. Siedzieliśmy na warmińskim odludziu bez kontaktu z resztą ↦

↦ świata i czuliśmy się zdezorientowani jak nowojorczycy. Co przyniesie następna pełna godzina i jeszcze jeden serwis informacyjny? Co to jest Al-Kaida? Czy to już wojna? Wracamy do miasta czy siedzimy w lesie, gdzie nikt nas nie znajdzie? Dopiero dwa dni później w Olsztynie zobaczyłem zdjęcie na czołówce gazety i to, że półkilometrowa wieża może zawalić się, jakby zbudowano ją niewprawną ręką z klocków Lego.

Tamtej odludnej Warmii już nie ma. Przyjaciółka na działce ma nie tylko telewizję, ale i internet LTE. Większość trasy z Warszawy pokonuje się ekspresówką. Jeszcze do niedawna podróż odbywała się etapami, które wyznaczały miejscowości o potencjale korkowym. Łomianki bez obwodnicy, rondo w Glinojecku, światła na początku i końcu Mławy, wreszcie zjazd z krajowej siódemki w Olsztynku i przez las na Amerykę, warmińską Amerykę. Dziś pniaki wyrwane z korzeniami straszą na poboczu już za Płońskiem, ekspresówka pełznie w kierunku Warszawy, więc za kilka lat warmińsko-mazurskie będzie jeszcze bliżej niż dziś.

To zresztą paradoks: większość Polaków mówi warmińsko-mazurskie, choć myśli zupełnie odwrotnie lub nawet po prostu – „mazurskie". Wielkie jeziora przykrywają całą resztę. A przecież to dwa różne światy. Na historycznej, XVIII-wiecznej mapie Jana Fryderyka Enderscha, który większość życia spędził w Elblągu, Święta Warmia trójkątem wcina się w Hockerlandię, Natangię i Mazury. To komplikuje sprawę, bo my, współcześni, oczekujemy prostszych komunikatów: to po lewicy, to po prawicy. Ale z Warmią i Mazurami tak się nie da. Da się za to, jadąc z zachodu na wschód, historyczną granicę przekroczyć dwukrotnie.

Kłobuk, Włóczywiosło i ludzie z mgły

W „Na tropach Smętka" Melchior Wańkowicz pisał, że Warmia jest jak siekiera, która wisi nad Prusami Wschodnimi. „Ale przecież nie my to jej te kształty nadaliśmy, tylko układ Krzyżaków z własnym biskupem, któremu, zwyczajem średniowiecznym, oddano trzecią część ziem do profitowania, wydzielonych w taką oto figurę. A że biskupi nie bardzo chcieli za Krzyżaków się zastawiać, że na potrzebę grunwaldzką cała Warmia wystawiła zaledwo 100 ludzi, że od Grunwaldu aż po rozbiory wypowiedziała się i trwała za Polską – więc została krajem katolickim". Krajem, gdzie „Boże Męki nadają krajobrazowi ciepło".

W 1935 r. Wańkowicz wędrował i pływał (jego kolega, Igor Newerly, utkał na podobną okoliczność termin „włóczywiosło") z córką zwaną Tirliporkiem, próbując przy okazji rozplątać korzenie tutejszych etnosów. Widział rozśpiewaną krainę przydrożnych figur, ale w Worytach, zaraz obok maryjnego Gietrzwałdu, znalazł diabła. W domu gospodarza Grusa (co za nazwisko, Grus grus to przecież żuraw zwyczajny!) straszyło niemal co noc, a raz nawiedziła go nawet kareta prowadzona przez cztery czarne jak mrok konie, z której wyskoczył niewidzialny człek i wparował do izby. To wszystko działo się, zanim Tim Burton zaczął kręcić swoje filmy. Takich scen jest u Wańkowicza więcej: oto jakaś chłopka z Woryt spotkała kiedyś na drodze człowieka bez głowy. No i kto żyw pielęgnował kłobuka, demona domowego ogniska, który żerował na biedzie sąsiadów. Kłobuk był wybredny, kapryśny i lubił jajecznicę. Trzeba mu było stawiać na strychu michę smażonych jajek i pilnować, żeby nie wpadła w niepowołane ręce. Raz na posiłek połasił się przypadkowy parobek, a chata zaraz potem spłonęła, bo się głodny kłobuk wkurzył (co nie do końca dziwi, bo w Worytach mają świetne jajka). Natomiast kłobuka można było sobie wyhodować samemu, Wańkowicz zdobył w Gromie pod Pasymiem przepis i zamieścił go w swojej książce, ale z uwagi na obrazoburczy charakter procederu nie warto go tu cytować.

Warmię moją i Warmię Wańkowicza dzieli 80 lat, a to przecież prawie tyle, co mezozoik. W międzyczasie wróciła tu Polska, wylęgły się państwowe gospodarstwa rolne, a pobliska gmina Jonkowo zdążyła stać się enklawą stołecznych hipisów. W latach 80. przyjeżdżali do zrujnowanych gospodarstw wyremontowanymi maluchami i przejmowali nieruchomości w zamian za te auta (dziś często funkcjonują w nich luksusowe agroturystyki). W Worytach bywałem wielokrotnie, bezgłowych diabłów nie widywałem, za to takich, na których w Bieszczadach mówią „ludzie z mgły" – owszem. Z mgły, bo wyłaniają się z porannego mleka, snują po poboczu i czekają, aż sklepowa przyjdzie do gieesu i pozwoli zadzwonić szkłem o szkło. Nie ma już we wsi tego sklepu, jest inny, kolorowy, sieciowy, z przymiotnikami „rzemieślniczy" i „ekologiczny" w asortymencie, za który – a jakże – można zbliżeniowo.

Pamięć mapy

Nie tropię na Warmii smętków i kłobuków, szukam bardziej przyziemnych uniesień.

Moja prywatna mapa, skala 1 do 50 tysięcy, tytuł „Pojezierze olsztyńskie, część zachodnia", zabazgrana jest iksami, a każdy z nich to widmo minionego wydarzenia. Lubię myśleć, że jest tak samo pojemna jak kartografia Indian Zuni z terenów dzisiejszego Nowego Meksyku. Jednoczesne odwzorowanie graficzne teraźniejszości i przeszłości, coś na kształt osobistego pamiętnika, nie do końca zrozumiałego dla postronnych. Zuni nie chcieli – i wciąż nie chcą – by mapy były wyłącznie przedłużeniem kompasu, by tylko pomagały geograficznie odnaleźć się w przestrzeni. Zapisywali w nich emocje i plemienne przywiązanie do ziemi. Swoją kulturę, tradycje, język. Mapy Zuni miały po prostu świetną pamięć i mówiły tyle samo o miejscu, co i o ludziach, którzy je zaludniają.

Iks pierwszy: Pelnik, czerwiec, słońce ściągnęło z pejzażu wszystkie kolory i zostawiło głównie biały. Przepalona trawa, wypłowiała gleba, pot na skroniach. Jezioro Isąg zakrzepłe, ani podmuchu, na plaży i pomoście ręczniki, na nich letnicy. Brzuchy w górze, czapki na oczach, słuchawki na uszach. Ratownik WOPR z perspektywy zwyżki przygląda się ekranowi własnego telefonu, kątem oka rzucając na taplające się przy brzegu dzieci. Tylko one wydają jakieś dźwięki. One i trzmiele. Niebo przecina kormoran.

Odpycham się lekko od brzegu. Najpierw tylko klęczę na desce, potem staję, wiosło, lewa, prawa, znowu lewa. Płynę w kierunku zarośniętej wyspy. Ci z pomostu już mnie nie widzą, bo zniknąłem za winklem z trzciny. I wtedy z nieba zeskakuje olbrzym, prawie się zderzamy. Bielik ślizgiem spada nad taflę, ła-

pie coś, a potem znika w koronach drzew. Polowanie najwyraźniej się udało, a ja stoję oniemiały.

Iks drugi: Stare Kawkowo, koniec sierpnia, bita droga odchodząca na zachód od asfaltu na Gamerki. Mijam zabudowania, ktoś rozwiesza pranie, coś szczeka, gospodarz pędzi z łąki krowy. Droga rozgałęzia się jak ramiona igreka, skręcam w lewe, skaczę przez ich placki. Łąka jest pagórkowata, otulona nawłocią. Nigdy wcześniej nie widziałem tyle nawłoci co tamtego sierpnia. Kalafiorowate obłoki migrują na północ, jakby chciały zamienić się miejscami z ptactwem, które poleciało już na południe. Kilka godzin wcześniej czekająca na autobus kobieta na pytanie o bociany znad wiejskiego placu zabaw odpowiedziała, że pożegnali je już dwa tygodnie temu. Idąc w kierunku Pasłęki, liczę więc raczej na bobry niż ptaki. Ale wtedy je słyszę. Z żurawiami tak już zwykle jest – najpierw słyszysz, potem dołączają oczy. Krzyk jak agonia, skrzydlaty rwetes na kilkadziesiąt dziobów. Koniec lata to właśnie ten klangor znad Pasłęki.

Iks trzeci: domek w Rentynach, wrzesień. Siedzę przy herbacie, gdy nagle kubkiem zaczyna bujać jak na łajbie, a w kuchni dzwoni szklana orkiestra. Wychodzę na zewnątrz, ziemia trzęsie się jak wibrujący telefon. Dowiem się potem, że tak właśnie odczuwa się 4 stopnie w skali Richtera.

„Kiedy słońce przechodzi na zachód, a powietrze staje się lekkie i przejrzyste, uświadamiam sobie, że żyłem jak jednodniówka. Bardziej niż kiedykolwiek zawiesiłem całą moją przeszłość i przyszłość. Wyrwałem życiu kilkanaście godzin i pozwoliłem im wsiąknąć w piasek" – zanotował kiedyś w dzienniku Zbigniew Herbert. Nie na Warmii, ale całkiem niedaleko stąd, nad jednym z tych jezior o białym dnie i wodzie jedwabistej jak na morzach południowych. Bo przecież nie chodzi wcale o Warmię czy jakiekolwiek inne, nazwane z imienia miejsce, ale o krajobrazy, które każdy z nas nosi w głowie. Z którymi czuje się związany i w które nieustannie chce wracać. W których, niczym Zuni, kreśli swoje osobiste mapy, stawiając na nich widmowe kleksy z powidoków. Bo dorośli też mogą bawić się w Indian.

Więc na razie, póki nasza cywilizacja wciąż stoi na swoich glinianych nogach, kiedy tylko mogę, uciekam na Warmię. Głównie po to, aby żyć jak jednodniówka. Kłaniając się raz jeszcze Wańkowiczowi: „Z centrów rozdźwięczanych dzwonkami tramwajów, z zaduchu benzyny, z alarmu telefonów, z wielkich ośrodków, w których mózg ludzki ropieje nienawiścią", właśnie tam, „między pnie drzew pokrytych mchem". Stawiać nowe iksy, wracać do starych.

© ADAM ROBIŃSKI

Teatr Wielki w Łodzi
ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE · ŁÓDŹ INTERNATIONAL BALLET FESTIVAL
OPERALODZ.COM

XXV ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE
25TH LODZ BALLET FESTIVAL



Teatr Wielki w Łodzi 11 / 12 / 31 maja
Balletto del Teatro dell'Opera di Roma 16 / 17 maja
Kibbutz Contemporary Dance Company 24 / 25 maja
Ballet Flamenco Sara Baras 7 / 8 czerwca
Sydney Dance Company 18 / 19 czerwca
The Tokyo Ballet 22 / 23 czerwca

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

11/05–23/06/2019

REKLAMA

REKLAMA

IL DIVO

PREZENTUJE

TIMELESS
15th Anniversary



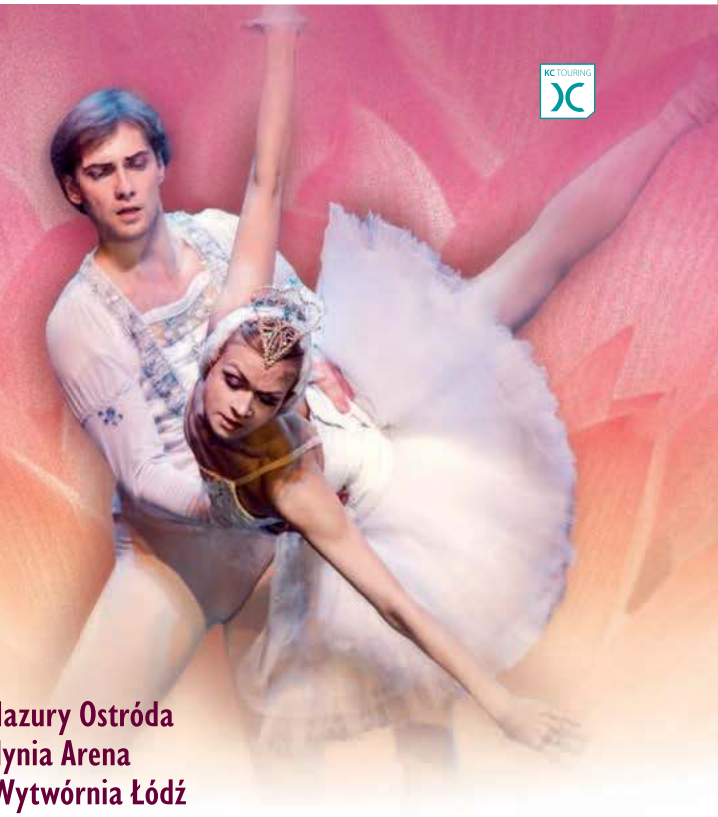
KONCERT

20 lipca 2019
Atlas Arena Łódź

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl

Prestige MJM · RMF Classic · Gazeta Bankowa · T3 · WP · cgm.pl · jazz.pl · Multikino · empik · STRÖER · VIXON MEDIA · pap · Press Service monitoring mediów

REKLAMA



JEZIORO ŁABĘDZIE

THE ROYAL MOSCOW BALLET

JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZESPOŁÓW BALETOWYCH NA ŚWIECIE

4 listopada - ICE Kraków
5 listopada - DMiT Zabrze
6 listopada - Hala Stulecia Wrocław
7 listopada - COS Torwar Warszawa
8 listopada - EXPO Mazury Ostróda
9 listopada - Gdynia Arena
10 listopada - Klub Wytwórnia Łódź
11 listopada - Sala Ziemi Poznań

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige MJM · wprost · Przegląd · Gazeta Bankowa · WP · trojmiasto.pl · Multikino · STRÖER · VIXON MEDIA · Press Service monitoring mediów · pap

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich



WYSTAWA CZASOWA

W POLSCE KRÓLA MACIUSIA

100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

DLA MAŁYCH I DUŻYCH DOROSŁYCH

polin.pl

9.11.2018 – 1.07.2019

Partnerzy:

Organizator: Mordechaj Anielewicz Living Memory; Jankilevitsch Foundation; Współorganizator: Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022; Projekt współfinansuje m.st. Warszawa

Partner wystawy: Muzeum Warszawy; Fundacja KORET na rzecz Tada Taube: KORET FOUNDATION

Partnerzy muzeum: ONICO; BOEING

Patroni medialni: Gazeta Wyborcza; sens; VOGUE; Gazeta Wyborcza; wyborcza.pl Warszawa; gazeta24; ams; naszemiasto.; czaswdrogi.pl; empik; VIVA!

REKLAMA



JARMARK JAGIELLOŃSKI

Jarmark Jagielloński | 16-18 sierpnia 2019 | Lublin | wstęp wolny

Kultura tradycyjna w najpiękniejszym wydaniu:
warsztaty, muzyka, taniec, rzemiosło

organizatorzy:

WARSZTATY KULTURY

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA LUBLIN

Lublin MIASTO INSPIRACJI

mecenas:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

REKLAMA

Zapraszanie /
Inviting
Sarkis — Kantor
15.03 — 11.08.2019

Cricoteka
ul. Nadwiślańska
2 — 4 Kraków

www.cricoteka.pl
12 442 77 70

Organizatorzy / Organisers
cricoteka

Partner projektu / Project Partner

Sponsorzy / Sponsors
SARPI VEOLIA
HSBC

Patronat medialny / Media Partners
TVP3 KRAKÓW
TVP KULTURA
SZUM
RADIO KRAKOW

REKLAMA

BILETY I KARNETY: MDAG.PL MILLENNIUMDOCSAGAINSTGRAVITY

Zobacz, czy rozumiesz świat i czy świat rozumie ciebie

10 — 24 MAJA 2019

WARSZAWA
WROCŁAW
GDYNIA
KATOWICE
LUBLIN
BYDGOSZCZ



Millennium
16th DOCS AGAINST GRAVITY
FILM FESTIVAL

MECENAS FESTIWALU
Millennium bank

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ
Kreatywna Europa MEDIA

PROJEKT WSPÓŁFINANSUJE M.ST. WARSZAWA

WSPÓŁFINANSOWANIE

WSPÓŁFINANSOWANIE
FINA

ORGANIZATOR

ORGANIZATOR
OKONAKINO

PARTNERZY
Canada · DCF · arsenal · Goethe Institut · Lufthansa · DEKOMA

PATRONI MEDIALNI
wyborcza · JUTRO NAUCI · DF · GAZETA.PL · KULTURA · POLITYKA · FOCUS · NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA · TRAVELER · VOGUE · FILMWEB · KINO · sens · krytyka polityczna · empik · Going.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Wołomińska

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

To jednak niespotykane, wyciąć kawał ziemi i nieba. Stworzyć przestrzeń łaskawą, w której będą rosły kwiaty i drzewa, gdzie możesz wejść, nie musząc się z nikim witać i żegnać. Rezerwat Homo sapiens, kotlina zadumy. Park.

W małych miastach nie sposób się nie zauważyć, nie dotknąć. Wszystko tu skurczone, niemożliwie gęste w każdym kącie. Jak na szalce Petriego. Nawet wspomnienia zaplatają się nam wspólnie, spotykamy się tam cali, w nierealności rozpiętej na szkielecie murów małego grodu. Tu jest ta błękitna pompa, tam skrzyżowanie, gdzie stary Włodek został rozjechany, tu szpaler boskich głogów, tam szkoła podstawowa numer 4. Tu dzielimy tło naszych życiowych wydarzeń. Jak w kasztanowcach na ulicy Legionów, do których od lat przyczepia się klepsydry i ogłoszenia o zagubionym psie.

Właśnie to się znowu stało. Tego psa też pamiętamy. Mignął nam przecież, dawno lub dopiero co. Połączył trajektorią swojej ścieżki, zamrugał ogonem. Piesek z Wołomina, z niedalekiej ulicy, zza rogu, obok sklepu Mors, w którym ludzie kupują pierogi i pyzy, właśnie się zgubił. Czytamy ogłoszenie. Kilka słów rozpaczy człowieka, który własnym palcem wbił cztery pinezki w martwicę korkową dębu, jego wypłakane larum. Zdjęcie psa na nowo rysuje obrazek miasta. Miasta, przez które przechodzimy w jedno popołudnie.

I w takim mieście też, a jakże, buduje się te wyjątkowe, wydzielone kąty wspólnego świata natury, odrębne zielone poczekalnie, nazywając je jeszcze parkami i chrzcząc czyimś imieniem.

Tak więc my tu w Wołominie też mamy park. Nosi imię Bohdana Wodiczki.

Rezonatorium miasta i drzew

Ale ja, wytargana krzaczorami lasów, dzikich zarośli i swobodnego powietrza, myślę teraz, że to jednak niespotykane, by wyciąć kawał ziemi i nieba. Stworzyć przestrzeń ludzko łaskawą, gdzie będą rosły kwiaty i drzewa, gdzie za darmo możesz wejść, gdzie nie musisz się z nikim witać i żegnać. Gadać też nie musisz, ani wyglądać. Wszyscy to wiedzą, nie trzeba tego pisać w regulaminach. Dzięki temu ten kawałek chmury, który się właśnie nad głowami kłębi w szarościach pary, jest twój.

Do czego to podobne? Drzewa rosną w rzędach, pod nimi rozciągnięte są szlaki ścieżek. Ludzie są tu nawet spokojni. Miejskie rezerwaty *Homo sapiens*, kotliny zadumy, nie wiadomo, co widziały i słyszały. Do czego to podobne, myślę, mając wreszcie chwilę własnego życia, kiedy nie muszę przez ten park gnać do pociągu, do domu, gdy mam czas po prostu być, nie robiąc nic, istnieć wedle tego, jak tu chyba wszystko było pomyślane, przez kogoś, dawno temu. Nie wiem, do czego to podobne, ale teraz chociaż widzę, że dziś do parku weszłam naprawdę po raz pierwszy.

I oto mam przed sobą najprawdziwszą, ażurową katedrę, wyrośniętą na kolumnach zwilgotniałych pni drzew, prześwietloną w żywych kwietniach Sainte-Chapelle. Jak to się stało, że jej nie widziałam wcześniej? Stawała się po cichu przez prawie sto lat. Objawiła mi się teraz cała, a ja się z miejsca zawstydzam na to odkrycie i boję wejść do jej dalekiego, głębokiego brzucha. Boję się wejść do wołomińskiej katedry.

Stoję przy tympanonie budki z lodami. W pomrukach miasta, słyszalnych jakby wysoki chór gotował się do śpiewu oratorium wiosny, rozciągając swe struny bez końca, roznosząc echa głosów wróbli, w szelestach stóp i jękach aut, wkładam w tę przestrzeń stopę. Rezonatorium miasta i drzew. Słucham. Tuż na prawo widzę w ścianie okienko i drzwi, jak wejście na chór. Ja też chcę tam kupić kawę, chcę usiąść pod jaworem, cała spłoszona, nie wchodząc w park od razu. Poczytam może najpierw, tak zwyczajnie posiedzę? Nie siedziałam tu jeszcze nigdy. Ludzie posilają się w radosnym szczebiocie, kupują lody i gofry. Zaraz odjadą na swoich rowerach i hulajnogach, na razie opartych o pień klonu.

Duchy święte, wielokrotne

I ja zaraz proszę o kawę, ale słysząc melodię głosu, od razu się obnażam i opowiadam. Gadam o ogrodzie botanicznym w Kijowie. I że pamiętam, jak kiedyś przyszła wycieczka botaników z ogrodu Odesskiego Narodowego Uniwersytetu, podarowując kilka odmian różaneczników. Wszyscy się ↦

REKLAMA



Prestige MJM · UTA United Talent Agency · Regent Warsaw Hotel · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · T3 · WP · Ströer · Vixon · Press Service · pap

↦ ucieszyli, ale potem, kiedy goście poszli, martwili się, gdzie te różaneczniki wcisnąć, bo brakowało słońca, a to wszystko dlatego, że zakonnicy obok nie pozwalają wyciąć ani jednego drzewa, by odsłonić w runie choć jedną plamę światła, jak jasny koc, który swobodnym gestem rozkłada się na trawie. I wtedy pani, która właśnie podaje mi kawę, mówi, że tam daleko, w swoim dawnym mieszkaniu, na parapecie miała 50 doniczek kwiatów, a tu nie ma nic.

Zadzieram głowę w brunatny strop. Jętki pędów wsparte na krokwiach wieloletniego drewna drżą na wietrze. Strasznie to wszystko wysoko. Łodygi kasztanowców w półkolach wznoszą się do nieba. Ich lepkie pąki powoli pękają, leniwie wywlekając z wnętrza zielone aniołki liści. Sterczą zaraz jak zmoczone wrony, gdy suszą swe skrzydła, siedzą i czekają. Anioły na szczytach pędów rosną, obsypywane promieniami słońca. Zaraz rozłożą swoje stelaże skrzydeł, a w maju, pełne już, piętrzyć się będą najmocniej. Odlecą dopiero jesienią. Nad całą tą gęstwiną badyli furkocze ławica gołębi. To chyba migoczące w mozaikach duchy święte, wielokrotne. Aż nagle odrywa się jeden ptak. Przeszywa cały sztafaż płątaniny kasztanowców tak szybko, że nie wiem już, czy budują je włókna drewna, czy pióra. Frunie dalej, przecina obrazek nad moją głową i zaraz do ławicy wraca. A ja wtedy go fotografuję i nie mogę wprost uwierzyć w swoje szczęście, że dał się w sieci kadru zatrzymać.

Świergoty małych ludzi

Potrzebuję zaraz trochę się przejść. Wchodzę w boczną nawę, zadzierając nos w triforium utkane z lip. Młode pędy wygięte zeszłego lata, pełne pąków pęczniejących wodą z brudnej ziemi, czekają na podmuchy ciepła. Nie tylko one czekają. Właściwie wszystko w nich i w nas jest już na to gotowe. Ale to się ciągle nie wydarza. Skurczona idę kolumnadą drzew, rozpoznając w nich osnute korą drewno klonów, lip i kasztanowców. Zerkam na ściany boczne, jasnozielone, ogromne w nich okna niedokończonych witraży. Dlatego jeszcze tu, między nami, jest dużo światła, wszyscy jesteśmy jaśni, ażurowe szkiełka listeczków lip właśnie rosną, wiem, że za miesiąc zamkną przestrzeń zieloną poświatą żywych maswerków. Teraz te potężne okna, przeszyte pobłyskami z ulicy, rozkładają jasne plamy na posadzce, więc patrzę pod stopy. A tam są rozsypane nasiona jesionów i klonów. W swobodnej fantazji leżą rozrzucone gestem dawnych, jesiennych procesji. Nic z nich nie będzie. Już zginęły w mrokach ziemi. Już gniją. Gapię się na klony. Wszystkie teraz kwitną gotowymi bukiecikami zebranymi w baldachogronach. Ja wiem, że wytęsknieni zieleni ludzie myślą, że to młode liście, a przecież to szalone kwitnienie, na zielono, to łąki drzewne, tylko po prostu inaczej wyglądające niż magnolie. Przyglądam się pniom spękanym wiekiem, kolumnadom żywym, w pograniczu zimy i wiosny, pokrytym pyłem zielonych glonów. Już zaraz w tych kolumnach popłynie woda. Filary się naciągną, konstrukcja się napręży. Spaceruję pod okapem konarów, oglądając zdrewniałe przypory, łęki okryte korą. Nie mogę oderwać oczu od iglicy lipy. Ten jej czubek, moje marzenie, jeszcze nie ma liści, a już szumi, tnie powietrze, dzieląc w przestrzenie, które rozróżniam tonami gwizdów.

Nawa główna w przepychu barwnych konstrukcji bawi dzieci. Dwie bielanki wdrapały się na ambonę i spod czerwonego baldachimu wykrzykują coś strasznie ważnego w cały świat, potem zjeżdżają, zadzierając kiecki, suną wprost w piach. Ganiają się teraz, widzę ich fale włosów, ich radosne nóżki i świsty ignorujące powagę miejsca. Ich matki wieczorem powiedzą – właśnie tak jak się tu mówi – że tego dnia ich dzieci się pięknie zbawiły. Pobiegałabym z nimi, ale jednak czekam, aż skończą. Dopiero potem podchodzę do piasku i oglądam pozostawione dołki, powidoki spontanicznej zabawy. W kącie żyją huśtawki, kolorowe wspinaczki, świergoty małych ludzi, absolutnie oddanych tej chwili. Dawno takich nie widziałam.

Prostować geometrię stawów

Między szpalerem dereni, ich pomarańczowo-czerwonych gałązek, przyciętych w bryłę prostopadłościanu zdobiących przypory lip, zauważam mały placyk, pełen rozmaitych gatunków traw. Już niedługo ta posadzka zasnuje się odcieniami zieleni, będzie strzyżona i zagęszczana. Latem przychodzą tu ludzie ćwiczyć jogę. Pod okapem drzew, pod stropem z liści, starsze panie rozciągają swoje zastygłe wiązadła i stawy. Oddychają głęboko, oddając skupioną uwagę każdej cząstce swojego ciała. Chłodne powietrze katedry wietrzy ich skórę. To czas, kiedy wreszcie czują siebie. Dopiero teraz. Mimo rozmaitych skurczów i nieposłuszeństwa swoich pogiętych kosteczek prostują geometrie stawów.

Stoję na drugiej ścianie zieleni. Dochodzę do jej końca, albo do samego początku. Jest tu mała scena, skromny ołtarz i kilka ławek. Latem wybrzmiewają melodie, a ludzie wypełniają nimi uszy. Tu była kiedyś synagoga. Dziś jest po niej cisza. Powietrze wietrzy dziurę w przestrzeni.

Odwracam głowę. Zaraz słońce łukiem zapadnie się za kamienice. Wyobrażam sobie teraz przyszłą tego trajektorię, niewidzialną ścieżkę, i wiem, że już za chwilę znajdzie się ono w samym środku nawy głównej, tuż nad chórem, rozwijając dywan światła wszystkim tu ludziom. Zawiśnie rozetą, w pobłyskach, prawdziwą jak w katedrach, do szaleństwa niemożliwą. Ale ja nie będę na nią czekać. Nie dziś. Jest mi tak zimno, że idę do domu. To rzut beretem stąd. ©

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek
do „Tygodnika Powszechnego” 17-18/2019

REDAKCJA Monika Ochędowska
PROJEKT GRAFICZNY Marek Zalejski | FOTOEDYCJA Edward Augustyn
SKŁAD Marta Bogucka
| KOREKTA Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
OPIEKA WYDAWNICZA
Maja Kuczmińska, Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
OKŁADKA Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do lasu

XXI MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

18–19 i 25–26 maja 2019

MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

dnidziedzictwa.pl

REKLAMA



Z DRESZCZYKIEM

8–19 maja 2019
KRAKÓW
- Pałac Pusłowskich w Krakowie
- Pałac Potockich w Krakowie

MAŁOPOLSKA
- Kościół pw. Nawiedzenia NMP w Iwkowej
- Kościół pw. Narodzenia NMP i zamek w Czchowie
- Beluard w Rożnowie

25–26 maja 2019
KRAKÓW
- Klasztor Duchaczek i kościół pw. Świętego Krzyża w Krakowie
- Dom Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie

MAŁOPOLSKA
- Wieś Kacwin na Spiszu
- Kościół pw. św. Bartłomieja w Niedzicy
- Organy Władysława Hasiora na Przełęczy Snozka

Organizator:

małopolski instytut kultury mik INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

KATECHECI I FRUSTRACI

Zakazywanie świeckim katechetom udziału w strajku jasno pokazuje, że kościelne władze mało obchodzi ich materialny byt oraz pracownicze prawa. Katecheza w Polsce nie jest przemyślana.

SEBASTIAN DUDA



FRANCO SILVI / EAPA / PAP

Strajk nauczycieli dość niespodziewanie wywołał znów pytania o zasadność obecności katechezy w polskich szkołach. W zdecydowanej większości katecheci nie przyłączyli się do akcji strajkowych, za co niejednokrotnie spotkał ich ostracyzm ze strony innych pedagogów.

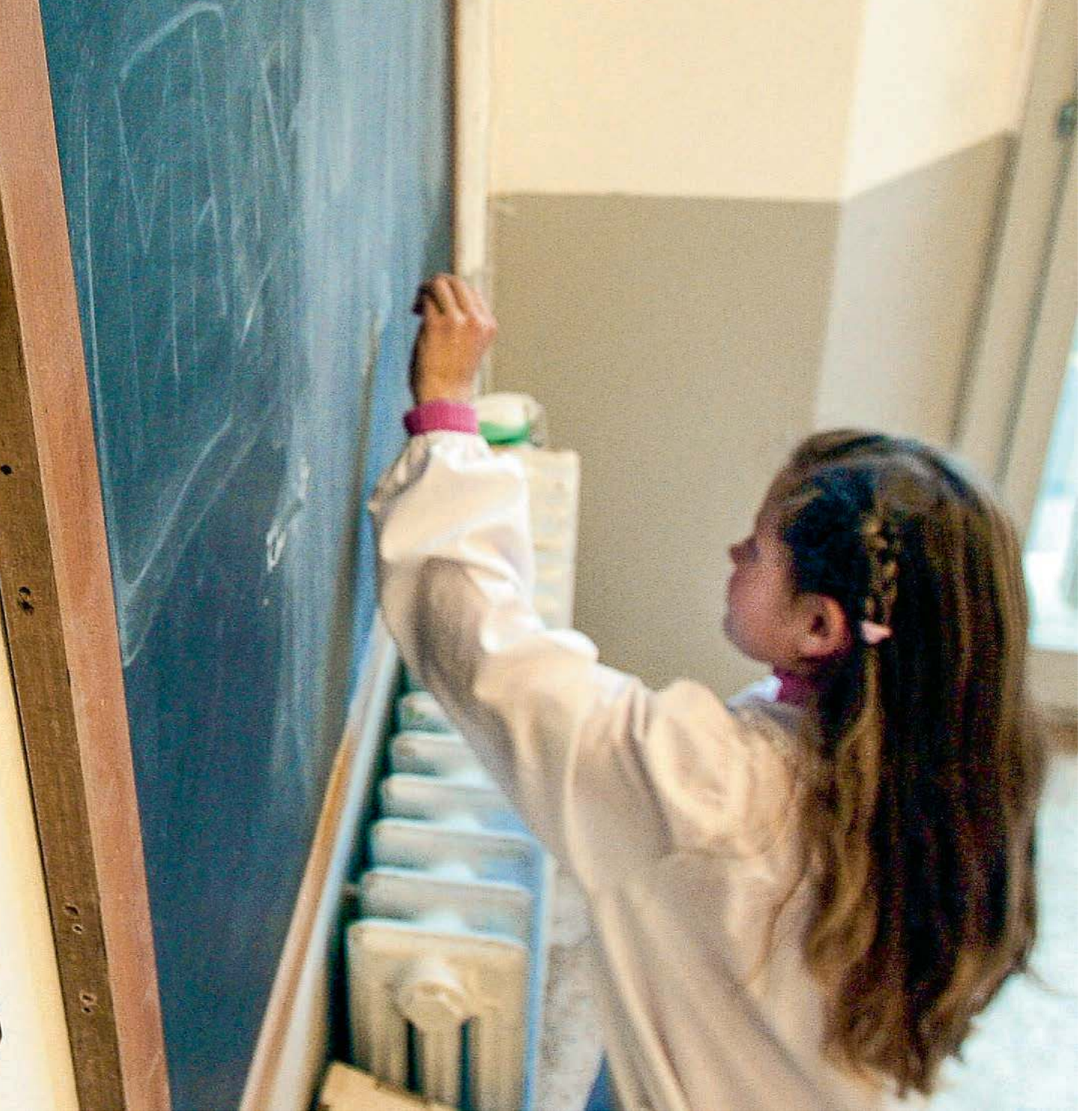
Należy jednak zaznaczyć, że wypowiedzi kościelnej hierarchii w tym przypadku ustawiały nauczycieli religii pod ścianą. Bp Marek Mendyk, przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski, zaznaczył, że w kwestii ewentualnego czynnego przyłączenia się do nauczycielskiego protestu katecheci powinni zachować ostrożność: „Jakkolwiek nie chcemy odbierać nauczycielom religii ich obywatelskiego prawa, to jednak apelujemy i uwrażliwiamy przede wszystkim na dobro dziecka", bo – jak zadeklarował – „tutaj w centrum jest człowiek i jego dobro jest najważniejsze".

Dosadniej stanowisko hierarchicznego Kościoła wyraził ks. Tadeusz Hryhorowicz z Kurii Diecezjalnej w Gliwicach: „W tego typu akcjach strajkowych w żadnym wypadku nie powinni uczestniczyć katecheci, gdyż żadne względy ekonomiczne nie usprawiedliwiają rezygnacji z głoszenia Ewangelii". Można zatem domniemywać, że jeśli katecheza w szkole utożsamiona jest z głoszeniem Ewangelii, katechetom strajkować nie wolno. W końcu nie bez powodu św. Paweł napisał: „Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii" (1 Kor 9, 16). Myślący o czynnym przyłączeniu się do strajku katecheci powinni mieć tedy świadomość, że ciąży nad nimi widmo ciężkiej przewiny. Pytanie tylko, czy należy naprawdę postrzegać lekcje religii w polskich szkołach jako ewangelizację.

Katecheza, czyli cel poza zasięgiem

Pisałem już na tych łamach (powszech.net/przekaz-wiary), że w swej większości hierarchia kościelna w Polsce widzi w powrocie lekcji religii do szkół na początku lat 90. jedno z największych dla katolików dobrodziejstw ustrojowej transformacji. Biskupom nie bardzo trafiają do przekonania argumenty, że owo dobrodziejstwo nie przekłada się na dobrostan wiary powierzonej im trzody. Statystyki są jednak nieubłagane. Spada liczba regularnie praktykujących, mniej jest alumnów w seminariach, a młodzież (nawet ta uczęszczająca na religię w szkołach) z roku na rok deklaruje coraz obojętniejszy stosunek do wiary.

Problem nieskuteczności szkolnej katechezy widzą i sami księża, także ci bardziej zachowawczy. W ostatnio wydanym przez Pawła Milcarka i Tomasza Rowińskiego (redaktorów konserwatywnego katolickiego kwartalnika „Christianitas") zbiorze wywiadów pod znamiennym tytułem „Alarm dla Kościoła. Nowa reformacja?" znalazła się rozmowa z księdzem, który, co ciekawe, postanowił zachować anonimowość (w książce występuje jako „ks. Jacek Hrabicz"). Kapłan istotnie ostro krytykuje polski kler wszystkich szcze-



bli i wolno przypuszczać, że gdyby zdecydował się wystąpić pod własnym nazwiskiem, w środowisku duchownych spotkałby się najpewniej z niezbyt życzliwymi dla siebie komentarzami.

Duża część rozmowy z „ks. Hrabiczem" poświęcona jest kondycji szkolnej katechezy.

Anonimowy rozmówca Milcarka i Rowińskiego deklaruje jasno: „Lekcje religii to samobójczy błąd Kościoła. Przecież obecne pokolenie w dużej części niepraktykujących trzydziestolatków jest »wychowane« na religii w szkole. (...) Rozumiem, że Kościół wpakował się w szkołę i teraz trudno jest to zmienić. (...) Specjaliści od katechezy deklarują, że katecheza ma być ewangelizacją. To jest bliskie niemożliwości w salce katechetycznej, a zupełnie niemożliwe w szkole. W szkole są lekcje. Stawiając wymagania niemożliwe do spełnienia, sprawiacie, koledzy utytułowani katechetycznie, że nie jest realizowany nawet cel możliwy do osiągnięcia – przekazanie minimum wiedzy o katolicyzmie".

Uczeni katecholodzy (a wraz z nimi duża część kościelnej hierarchii) uważają bowiem, że katecheza nie może być jedynie przekazem wiadomości z teologii, filozofii chrześcijańskiej czy historii Kościoła, lecz również „wtajemniczeniem" – tj. mistagogią, czyli wprowadzeniem w tajemnicę wiary i zbawienia. Czy coś takiego jest możliwe na szkolnej godzinie lekcyjnej między klasówką z matematyki a dyktandem z polskiego? Misterium, w które ma wprowadzać katecheza, nie jest przecież tylko zbiorem prawd. ↦

↦ Zadaniem mistagogii jest pomoc w poznaniu Chrystusa, by możliwe było oddanie dla Niego życia. Na szkolnych lekcjach – zgodnie z uczonymi katechetologicznymi dyrektywami – próbuje się to jednak robić. Najczęściej z porażającą nieporadnością. Trudno w takim przypadku mówić o przekazie wiary. Z drugiej strony wykład religijnej wiedzy staje się w szkole niepokojąco infantylny.

„Ks. Hrabicz" taką sytuację komentuje jednoznacznie: „katecheza jest często śmieszna. Od dawna (na szczęście) nie uczę religii, ale niedawno miałem okazję przejrzeć podręcznik do klasy IV. Trzy lekcje pod tytułem »Jezus jest moim przyjacielem«. To ma być lekcja? Jaką wiedzę te dzieci zdobywają? Kiedyś uświadomienie sobie, że do Jezusa Pana można zwrócić się per »ty«, było ożywiające, bo wyrywało z rytualizmu wiary, teraz stało się szkodliwym banałem. To jest dobre na spotkaniu modlitewnym, a nie jako temat do nauczania w szkole. Dzieci w szkole nie da się nauczyć osobistej miłości do Boga, a mówienie o Nim per »Jezus« uważam za zbliżone do bluźnierstwa. Nie da się prowadzić »katechezy« w szkole. Tam mogą być lekcje religii, podające wiedzę o wierze katolickiej, filozofii, religioznawstwie (nie w sensie akademickim, ale na przykład, czym się różni katolicyzm od islamu)".

Wniosek zdaje się oczywisty: szkoła może być dobrym miejscem do przekazu wiedzy religijnej (choć w Polsce jest nim nader rzadko), ale na pewno nie jest takim dla mistagogii. Ta ostatnia powinna odbywać się przede wszystkim w parafiach, co zresztą wielokrotnie podkreślone zostało w nauczaniu Kościoła. Benedykt XVI napisał np. w swej adhortacji „Sacramentum caritatis", że właśnie na parafiach ciąży wymóg „drogi mistagogicznej", która powinna być oparta na trzech elementach: historii zbawienia, znakach zawartych w obrzędach oraz powiązaniu tych obrzędów z życiem chrześcijańskim. Tymczasem na przekór temu stanowisku Magisterium liczni hierarchowie katoliccy w Polsce zdają się nieustannie bronić mistagogicznego wymiaru szkolnej katechezy. Abp Marek Jędraszewski w tegorocznym liście pasterskim na Wielki Post stwierdził, że szkolnej katechezy nie wolno „pojmować jako coś mało ważnego w porównaniu z innymi szkolnymi przedmiotami, jako coś, co możemy lekceważyć i z czego bez większych strat możemy się wycofać. Przykładanie odpowiednio dużej wagi do

Szkoła może być dobrym miejscem do przekazu wiedzy religijnej,

ale na pewno nie jest takim dla wtajemniczania w wiarę. To drugie zadanie powinno być realizowane przede wszystkim w parafii.

szkolnej katechezy jest naszym poważnym obowiązkiem, wynikającym z faktu przyjęcia sakramentu chrztu świętego". Pytanie tylko, co miałoby w polskich warunkach oznaczać owo „przykładanie odpowiednio dużej wagi".

Bierzmowanie, czyli teologiczna hochsztaplerka

Mylenie porządku wtajemniczenia i rzetelnego przekazu religijnej wiedzy nie prowadzi do niczego dobrego. W Polsce widać to szczególnie w przygotowaniu do sakramentu bierzmowania, w którym za istotny element uważa się tzw. egzamin z wiedzy religijnej. Kandydaci do sakramentu mają wyuczyć się na pamięć dużej liczby hasłowych formułek, co ma im zagwarantować odpowiedni poziom „dojrzałości chrześcijańskiej". Na ten moment katecheza szkolna przestaje się przejmować mistagogią. Sprawdzian z wiedzy ma stać się bramą do sakramentu.

Trzeba powiedzieć jasno, że to teologiczna hochsztaplerka. Bierzmowanie – wbrew temu, co się o nim powszechnie myśli – nie jest sakramentem „dojrzałości chrześcijańskiej" (rozumianej jako przypieczętowanie „formacji chrześcijan doskonałych", która miałaby być mierzona pozytywną oceną na szkolnym egzaminie). Katechizm Kościoła Katolickiego stanowi jasno, że „przygotowanie do bierzmowania powinno mieć na celu doprowadzenie chrześcijanina do głębszego zjednoczenia z Chrystusem, do większej zażyłości z Duchem Świętym, Jego działaniem, darami i natchnieniami, aby mógł lepiej podjąć apostolską odpowiedzialność życia chrześcijańskiego. Katecheza przed bierzmowaniem powinna także starać się obudzić zmysł przynależności do Kościoła Jezusa Chrystusa, zarówno do Kościoła powszechnego, jak i wspólnoty parafialnej. Na tej ostatniej spoczywa szczególna odpowiedzialność za przygotowanie kandydatów do bierzmowania" (KKK, 1309).

Trudno się dziwić, że człowiek, który nie doświadcza żywego Kościoła (bo doświadczeniem takim raczej nie mogą być szkolne lekcje religii), nie zostaje w nim po przyjęciu sakramentu. Potocznie od lat powtarzana jest fraza, że dla wielu młodych ludzi w Polsce to sakrament pożegnania z Kościołem. Mając tego świadomość abp Grzegorz Ryś mówi, że „do sakramentów – do Eucharystii, do bierzmowania – można prowadzić jedynie w środowisku wiary. Myślę, że najpoważniejsza zmiana, jaka nas czeka, i ona się już dzieje gdzieniegdzie, ale nie powszechnie, to jest, żeby katechezę, która prowadzi do wtajemniczenia chrześcijańskiego, wyrwać ze szkoły i przenieść ją z powrotem do środowiska wiary, jakim jest parafia – wspólnota w Kościele".

Jeśli jednak katechezę szkolną traktuje się jako niezbywalne dobrodziejstwo ustrojowej transformacji, w takim wyrwaniu szkolnej katechezy do „mistagogicznej drogi" w parafiach widzieć można chyba jedynie szkodliwe dziwactwo.

Klerykalizm, czyli utrata autorytetu

Inna rzecz, że z generalnie słabej kondycji szkolnej katechezy zdają sobie doskonale sprawę uczący w szkołach księża. Niekoniecznie zresztą myślą w tym przypadku o dobru nauczanych przez siebie uczniów. W religii w szkolnych klasach widzą za to źródło deprecjacji swojej pozycji w społeczeństwie.

Cytowany powyżej „ks. Jacek Hrabicz" opowiada: „Pamiętam, że gdy wprowadzono religię do szkół, myśmy sobie z kolegami siedzieli przy winie i w godzinę przewidzieliśmy wszystkie tego konsekwencje. Nie z powodu geniuszu prorockiego, tylko dlatego, że znając szkołę, ówczesną (!) młodzież, myśleliśmy realnie, nie życzeniowo. Myśmy sobie wtedy opisali konsekwencje religii w szkole: 1) utrata autorytetu księży – bo ksiądz czuje się zwykłym nauczycielem i to przedmiotu, który nie ma żadnego znaczenia; 2) oddalenie się młodzieży od Kościoła – bo ksiądz staje się funkcjonariuszem systemu, a poza tym jest śmieszny i nieporadny, bo nic nie może, a religia jest w szkole, więc niektórzy nawet nie wiedzą, gdzie jest ich parafia; 3) zanik duszpasterstwa grup i ruchów – bo księża po

lekcjach mają wszystkiego dość. Niestety, wszystko się sprawdziło. Co nie znaczy, że nie zdarzają się katecheci, którzy do młodzieży docierają. Ale to wyjątki. Wtedy nasze wnioski dotyczyły młodzieży. Obecnie coraz bardziej dotyczą dzieci. Może lekcje religii w szkole do III-IV klasy mają sens, bo rodzice nie muszą prowadzać dzieci poza szkołę. I dzieci w tym wieku są jeszcze jako tako posłuszne".

Co o takiej wybitnie sklerykalizowanej perspektywie na temat religii w szkołach sądzić mogą świeccy katecheci, tacy np. jak mąż pani Anny, która napisała przejmujący list do „TP" pod tytułem „Jestem żoną katechety" (powszech.net/zona-katechety)? Główną troską „ks. Hrabicza" zdaje się tracony w związku z katechizowaniem w szkołach autorytet duchownych, doświadczane poczucie śmieszności oraz zmęczenie spowodowane nauczycielskimi obowiązkami. „Ks. Hrabicz" nie wie pewnie, jak bardzo irytujące mogą być takie stwierdzenia dla świeckich – owego „gorszego sortu" katolików.

Pisze pani Anna: „Czasami myślę, że księża zamieszkują rzeczywistość, której nie ma. Są mieszkańcami utopijnej krainy, zamknięci w szklanej kuli, z dala od realiów. To, na co ja pracuję, oni najczęściej mają zapewnione – przysłowiowy wikt i opierunek, dach nad głową. Przeraża mnie to, że gdy z nimi rozmawiam, każde niemal zdanie zaczynają od »Ja«. »Ja jestem zmęczony, bo niedziela i tyle pracy, ja muszę to, ja chciałbym tamto«. Mam w rodzinie księdza i jeśli wziąć pod uwagę aspekt standardu życia (finansowy), to mnie i moich najbliższych dzielą lata świetlne od tego, jak żyje on i jego koledzy księża (są to osoby w moim wieku). Kwota, którą jednorazowo on wydaje na jedną parę butów, to dla nas roczny, a nawet dwuletni wydatek na buty dla całej rodziny. Proboszczowie wiejscy pozamykani w swoich plebaniach-współczesnych twierdzach, oddalonych od siebie o kilka kilometrów, stroniący od zwykłych ludzi, żyjący komfortowo, bez lęku, że nie starczy na leki, na książki, na raty kredytu. Żyjący w fikcji świata, jak na wakacjach. Takich spotykam wielu. Kręcą się wokół ogona własnych potrzeb i kaprysów".

I jeszcze jedno: proboszczowie wysyłają wikarych do szkół, by młodzi księża mieli opłacony ZUS. Może w tym tkwi właśnie główna tajemnica owego niezbywalnego dziedzictwa ustrojowej transformacji, za jaką w hierarchicznym Kościele uznaje się

Lekcje religii prowadzone w ramach szkolnych zajęć niektórzy hierarchowie traktują jako **niezbywalne osiągnięcie transformacji ustrojowej**. To główna przeszkoda w reformie katechezy.

szkolną katechezę? Mniejsza o dobrostan wiary świeckich wiernych, skoro w tak wygodny sposób można zabezpieczyć byt duchownych. Mistagogia w parafiach wymagałaby jeszcze duchowego wysiłku, który łatwo sobie odpuścić podczas szkolnych lekcji. Łatwiej puścić jest uczniom jeden czy drugi film, niż dać rzetelny wykład teologii, a na niemożliwe w zgiełku szkoły wtajemniczenie w wiarę wzruszyć ramionami.

Misja, czyli łamanie praw

Od choroby tej nie są też wolni świeccy katecheci, którzy jednak w odróżnieniu od księży często mają rodziny na utrzymaniu, a pozbawieni są dochodów z intencji mszalnych, pogrzebów i ślubów czy choćby z opłat za „obsługę" bierzmowania bądź pierwszej komunii.

Ostatni strajk nauczycielski pokazał zresztą jasno, że kościelne władze mało obchodzi materialny byt świeckich katechetów i ich rodzin. Prawa pracownicze nauczycieli religii zostały uznane za rzecz nieistotną. Oni przecież mają ewangelizować. Taki szantaż wywierany przez duchownych na świeckich to z pewnością nieuprawniony zamach na sprawy, które nie powinny podlegać kościelnej jurysdykcji (tzw. misja kanoniczna udzielana przez biskupów nie może skutkować ograniczaniem praw pracowników opłacanych przez państwo). Duchowni zdają się też zapominać, że ich zakaz jest w gruncie rzeczy antyewangeliczny i niemoralny.

Ten niezdrowy system na pewno wymaga zmiany. Paradoksalnie do jej wymuszenia przyczynić by się mogły prośby kierowane przez niektóre samorządy do Kościoła o zmniejszenie liczby godzin lekcji religii w tygodniu: z dwóch do jednej. Chodzi w tym przypadku o szkoły ponadpodstawowe, w których ze względu na reformę edukacji pojawi się wkrótce podwojony rocznik pierwszoklasistów i związane z tym kłopoty z salami lekcyjnymi. Komisja Wychowania Konferencji Episkopatu Polski wystąpiła przeciw takiemu rozwiązaniu, ale zgodził się już na nie np. w swej archidiecezji abp Ryś. On jednak wierzy w moc wtajemniczenia w wiarę w parafiach.

Reforma, czyli błędne koło

Sądzę, że oddzielenie szkolnych lekcji religii od mistagogii przyczyni się do koniecznych zmian w programach nauczania tego przedmiotu. W szkole uczniowie otrzymywaliby podstawowy wykład z teologii, w parafiach zaś dokonywałaby się właściwa inicjacja w wiarę. Uważam, że tej ostatniej mogliby się podjąć przede wszystkim wspierani przez parafian księża (niejednokrotnie narzekający dziś na utratę swego duchowego autorytetu). Obecność duchownych w szkołach nie byłaby konieczna. Świeccy nauczyciele religii nie mają przecież zwykle gorszego od kapłanów przygotowania teologicznego (choć duchowni często tłumią w nich zapał i żarliwą wiarę).

Wiem, że wielu może uznać te propozycje za utopijne. Szkolna katecheza bez mistagogii? Przecież byłoby to „puste religioznawstwo". Wtajemniczenie w wiarę w zasklepionych w bezrefleksyjnym rytualizmie polskich parafiach? Niewykonalne. Co z ubezpieczeniami dla księży? No właśnie.

W ten sposób bez końca można kręcić się w kółko. W swym przemówieniu na jednej z kongregacji kardynalskich przed konklawe w 2013 r. kard. Jorge Bergoglio powiedział: „Obracający się wokół siebie samego Kościół wierzy – jakby nie był tego świadomy – że ma własne światło. Przestaje być »Tajemnicą światła«, i wtedy daje miejsce każdemu straszliwemu złu »duchowej światowości«".

Coś takiego przytrafiło się chyba Kościołowi w Polsce. Niezdolność do zmian dotyczących katechezy (mimo kilku odosobnionych prób, które wiosny niestety jeszcze nie czynią) jest dojmującym tego świadectwem. © SEBASTIAN DUDA

Autor jest filozofem, teologiem i publicystą. Redaktor kwartalnika „Więź" oraz członek Zespołu Laboratorium „Więzi". Ostatnio opublikował zbiór esejów „Przesilona wątpliwość".

Nie ma Sodomy

O. JAMES MARTIN SJ

Jestem przekonany, że gdyby Jezus chodził teraz po świecie, stałby właśnie z osobami LGBT, bo to one są najbardziej marginalizowane.

ZUZANNA RADZIK: Książki Ojca są bestsellerami, także w Polsce. Zwykle nasze wydawnictwa biją się o nie. Z wyjątkiem jednej.

O. JAMES MARTIN SJ: Rozumiem, że mowa o „Building a bridge" („Budowanie mostu"), która opowiada o tym, jak Kościół katolicki i społeczność osób LGBT mogą budować relacje oparte na szacunku, wrażliwości i współczuciu. Zresztą spośród moich książek ta najszybciej doczekała się tłumaczeń. Od razu przetłumaczono ją na holenderski, francuski, niemiecki. Wiem, że jest czytana w Watykanie, w czym pomagają wydania włoskie i hiszpańskie.

Czy publikując tę niewielką książeczkę, był Ojciec świadomy, że wywoła burzę?

Zupełnie się tego nie spodziewałem. Książka miała aprobatę moich jezuickich przełożonych, została dobrze przyjęta przez kardynałów i biskupów. Nie rzuca wyzwania nauczaniu Kościoła na temat małżeństw osób tej samej płci czy związków. Uważałem, że jest dość łagodna. Nie napisałem manifestu. Byłem nawet zdziwiony pozytywną reakcją spotykanych w parafiach ludzi LGBT, którzy wybuchali płaczem, przytulali mnie i traktowali jak...

...księdza, który mówi do nich po ludzku?

Może. Po kilku tygodniach spotkań w wypełnionych po brzegi kościołach, gdzie ludzie czekali po dwie godziny, by mnie spotkać, dotarło do mnie, że choć nie mówiłem niczego nowego, dla tych ludzi ważny był sam fakt, że mówi to człowiek w koloratce. Ale byłem też zdziwiony reakcją negatywną: oczernianiem mnie i demonizowaniem. Negatywne reakcje przychodziły ze strony niewielkiej części Kościoła, niewielu biskupów, osób głównie piszących w internecie.



O. James Martin na Światowym Spotkaniu Rodzin w Dublinie, sierpień 2018 r.

Ale bardzo głośnych.

To prawda. Trzecim zjawiskiem była reakcja na reakcję. Arcybiskup Chicago kard. Blase Cupich zaprosił mnie, bym wygłosił wykład, podobnie abp Wilton Gregory – wówczas z Atlanty, dziś z Waszyngtonu. Najważniejsze zaproszenie przyszło jednak z Watykanu – na Światowe Spotkanie Rodzin w Dublinie. Otrzymałem temat: „Pokazywać gościnność i szacunek wobec osób LGBT w naszych rodzinach i parafiach". To była jedna z pierwszych sytuacji w Watykanie, kiedy użyto zwrotu „LGBT".

To jeden z najbardziej poruszających fragmentów książki: o nazywaniu ludzi tak, jak chcą być nazywani.

Odmawianie im tego jest zwyczajnie nieuprzejme. I niemądrze jest uważać, że użycie tego skrótu to rodzaj kapitulacji. Przecież osoby LGBT tak właśnie o sobie mówią – a Katechizm Kościoła Katolickiego dopomina się o szacunek dla nich. Książka sprowokowała w wielu parafiach rozmowę. Chyba jest na taką rozmowę zapotrzebowanie. Czuję, że Bóg chce, bym się podjął tej pracy.

Nie przestraszył się Ojciec katolickich grup, które chciały blokować spotkania?

Nie. Przede wszystkim mam wsparcie moich jezuickich przełożonych i braci. Ci, którzy atakują książkę, są, jak przypuszczam, homofobami – i jej nie czytali. Uważam, że napisanie jej było słuszną decyzją. Franciszek powiedział, że jako jezuici mamy posługiwać na peryferiach, a to właśnie są peryferie Kościoła.

Jeśli jednak taka demonizacja spotyka księdza-celebrytę, co może spotkać zwykłych księży?

Księżom w parafiach może być łatwiej, właśnie ze względu na brak publicznego zainteresowania. W Stanach Zjednoczonych jest wielu księży i pracowników duszpasterstw, którzy cały czas pracują z osobami LGBT. Byłem ostatnio w parafii w Santa Monica w Kalifornii, gdzie mieszka wiele takich osób i stanowią jej naturalną część.



PAUL FAITH / AFP / EAST NEWS

JAMES MARTIN (ur. 1960) jest amerykańskim jezuitą, redaktorem pisma „America". Regularnie komentuje tematy kościelne w mediach, m.in. w „New York Times" i „The Wall Street Journal". Autor bestsellerowych książek „Jezus" i „Jezuicki przewodnik po prawie wszystkim".

Z pozycji celebryty można trafić do tych, do których proboszcz nie dotrze.

Po spotkaniu staram się publikować zdjęcia tłumów, które na nie przyszły. Mówię: zobaczcie, co dzieje się w Kościele! To może sprawić, że ludzie LGBT nie będą się czuli tak samotni. Niestety wiele zależy od tego, gdzie zdarzyło im się żyć. Jeśli mieszkasz w parafii czy diecezji, która ma otwartego proboszcza czy biskupa, masz szczęście. Jeśli mieszkasz w miejscu, które nie jest tak przyjazne, to wpływa na twoje widzenie Kościoła i wiary w Boga.

W Polsce można spotkać przyjaznego księdza w konfesjonale. Ani w parafiach, ani w diecezjach nie prowadzi się pracy duszpasterskiej dla osób LGBT.

U nas działo się tak jakieś 25 lat temu.

W Kościele wydarzyły się od tego czasu dwie rzeczy. Po pierwsze: Franciszek, który jako pierwszy papież zaczął używać słowa „gej". Zadał słynne już pytanie: „Kim jestem, żeby osądzać?". Ma bardziej duszpasterskie podejście. Powołał również wielu kardynałów i biskupów, którzy nie boją się tego tematu – przynajmniej tu, w Stanach Zjednoczonych. Drugie ważne zjawisko: coraz więcej osób dokonuje coming outu i ma to wpływ na ich rodziny, a poprzez to również ich parafie.

Ten pierwszy trend może się zmienić, gdyby przyszedł inny, mniej otwarty papież. Drugi jednak się nie zmieni – ludzie będą mówić publicznie o swojej orientacji. Kościół będzie musiał zrozumieć potrzebę oferty duszpasterskiej dla tych osób i ich rodzin.

Niedawno ukazała się książka Frédérica Martela „Sodoma". Co Ojciec o niej sądzi?

Jest zbyt plotkarska, przez co wielu ludziom trudno traktować ją poważnie. Plotkarski jest język, do tego te ksywki nadawane bohaterom, opowieści o kardynale Burke'u... Mój spór z nią nie tylko na tym jednak polega. Obraz księży-gejów, jaki Martel maluje, jest tak ciemny, że to tylko utrudni im życie.

Autor tłumaczy, że to historia o konsekwencjach ukrywania homoseksualizmu i podwójnego życia. Że nie chodzi o gejowskie lobby, bo trudno o lobby, gdy każdy ukrywa się w swojej szafie.

Są w niej mocne fakty i ważne obserwacje, ale sposób opisu jest nieszczęśliwy. Owszem, wygląda na to, że w Watykanie są księża-geje, którzy nie traktują ślubów celibatu poważnie. I że milczy się na ten temat. Książka jednak nie zostawia miejsca dla tych, którzy żyją w celibacie, a w Kościele są ich tysiące. W ten sposób (być może niechcący) karmi stereotyp księdza-geja, który jest seksualnie aktywny, czy też szerzej – osoby LGBT, która nie może się od seksu powstrzymać. Ludzie niestety nie przeczytają 600-stronicowej książki, tylko nagłówki. Obawiam się, że efekt działania tej książki będzie przeciwny do zamierzonego. Ludzie jeszcze bardziej będą się bali mówić na ten temat.

Argumentu homoseksualnego lobby w Watykanie używano już przeciw Franciszkowi, wiązano ten temat również ze skandalami pedofilskimi.

Najgorzej, że wobec skandali seksualnych ludzie zrównują homoseksualność z pedofilią, co jest nieprawdziwe. Trudno byłoby czuć się komfortowo, ujawniając swoją orientację seksualną, skoro jedyni księża-geje, o jakich słyszymy, to pedofile lub bohaterowie skandali w seminariach. Myślę, że biskupi i przełożeni zakonni muszą pozwolić tym mężczyznom i kobietom mówić o swojej orientacji, a jednocześnie o swoim celibacie czy ślubach czystości.

W atmosferze stworzonej w ostatnich latach, po zakazie przyjmowania homoseksualistów do seminariów, wydaje się to mało możliwe. W niedawnym reportażu w „New York Timesie" czytamy, że księża-geje czują się w Kościele zamknięci nie tyle w szafie, ile w klatce.

To był bardzo dobry tekst i co ważne: konkretne osoby zdecydowały się w nim wystąpić pod nazwiskami. Przeważająca większość księży-gejów, których znam, żyje zwyczajnie przestrzegając celibatu jak ich heteroseksualni koledzy.

Zmroziła mnie ta metafora klatki. Z pewnością spotkaliśmy na swojej drodze wielu świetnych księży-gejów, którym jesteśmy winni solidarność. A tymczasem milczymy.

Dobra uwaga, choć oczywiście nie możemy ich wyautować. Ludziom krytycznie wypowiadającym się o księżach-gejach mówię zawsze, że pewnie byli na mszy odprawianej przez geja, ochrzcił ich dzieci czy odprawiał pogrzeby rodziców. Stereotypy i demonizacja to ostatecznie homofobia.

Czemu zwykły ksiądz miałby się zająć duszpasterstwem osób LGBT?

Odpowiedź jest prosta: bo są ochrzczonymi katolikami. Są częścią twojej parafii, nie mniej niż inni. Ktoś powie: są grzeszni. Mówisz o 13- czy 14-letnim chłopaku, który jest gejem, ale nie jest w związku, chce być przyjęty przez wspólnotę. Mówisz o lesbijce-singielce. Grzesznicy? Każdy w twojej parafii jest na jakiś sposób grzesznikiem. Nie wykluczasz ludzi okrutnych lub nieumiejących wybaczać, a to też grzech. ↦

↦ **Ale to o osobach LGBT katechizm mówi, że ich czyny są wewnętrznie nieuporządkowane.**

Nikt nie wypełnia każdej linijki katechizmu ani całej Ewangelii. Jeśli powiesz, że chcesz mieć w parafii tylko bezgrzesznych, kościelne ławki opustoszeją. Tymczasem osoby LGBT są traktowane w naszym Kościele jak trędowaci, a ich seksualną moralność bada się pod mikroskopem.

Jezus w Ewangeliach mówi, byśmy poszli do ludzi na marginesach najpierw, nie w dalszej kolejności. Kiedy spotyka rzymskiego centuriona, nie wypomina mu, że jest grzesznikiem i nie jest Żydem, ale słucha. Zacheuszowi też niczego nie wypomina, tylko mówi, że chce się u niego zatrzymać. Tłum nie jest zadowolony, bo nie zgadza się na miłosierdzie wobec kogoś, kogo marginalizował. Lubię używać przykładu Zacheusza, mówiąc o osobach LGBT – nie dlatego, bym uważał ich za bardziej grzesznych, bo wszyscy jesteśmy, ale dlatego, że tak jak Zacheusz są marginalizowane.

Rozmawiamy o etyce seksualnej, więc nie mogę nie spytać o ocenę diagnozy przyczyn kryzysu moralności ludzi Kościoła, jaką przedstawił niedawno Benedykt XVI.

Mam wielki szacunek do papieża emeryta, ale nie zgadzam się z jego analizą kryzysu związanego z molestowaniem seksualnym, wyrażoną w niedawnym liście. Obarczenie winą moralności lat 60. pomija fakt, że do molestowania w Kościele dochodziło również wcześniej. Ponadto sugerowanie, że jego źródłem jest także liberalna teologia, ignoruje fakt, iż niektórzy ze sprawców – jak założyciel Legionistów Chrystusa ojciec Marcial Maciel – byli jednymi z najbardziej „ortodoksyjnych" księży.

Jeszcze jakieś rady dla duszpasterzy?

Trzeba pamiętać o statystykach samobójstw, wśród osób LGBT wyjątkowo wysokich. Zwłaszcza wśród młodzieży. Mówimy o tematach *pro-life* – tutaj też chodzi o życie! A przyczyną samobójstwa może być sposób traktowania przez Kościół. W Stanach Zjednoczonych heteroseksualne dziecko wychowane w rodzinie religijnej rzadziej wykazuje skłonności samobójcze. W przypadku dziecka LGBT jest odwrotnie – ryzyko samobójstwa się zwiększa. Musimy być świadomi niebezpieczeństwa, że język stygmatyzuje.

O. JAMES MARTIN SJ:

Mamy skłonność do redukowania spraw osób LGBT do seksualności, a przecież ich życie jest o wiele bogatsze.

Mówimy o osobach LGBT w Kościele jako o przedmiocie działań duszpasterskich – a co z ich podmiotowością? Na przykład w Polsce istnieje Wiara i Tęcza, grupa katolików LGBT – jej liderzy sami podjęli się pracy duszpasterskiej, której nikt nie chciał się podjąć.

To racja, że nie powinniśmy patrzeć tylko przez pryzmat parafii i ich kancelarii czy biskupów. Przestrzeń dla posługi miłości i troski istnieje także w rodzinach: między siostrami i braćmi, dziećmi i rodzicami. Mamy skłonność do redukowania spraw osób LGBT do ich związków i seksualności, a przecież ich życie jest o wiele bogatsze. Chcą się spotkać z Bogiem w Eucharystii, doświadczyć Ducha Świętego we wspólnocie czy ojcowskiej miłości w Kościele. To nie tak, że większość z nich głównie szuka sposobu, jak zmienić nauczanie Kościoła. One chciałyby po prostu poczuć się w domu.

Kościół zrobił dla tych ludzi bardzo mało w krajach, gdzie są realnie prześladowani i bici, gdzie grożą im egzekucje. To wielki problem, że Kościół boi się stanąć w ich obronie. Jestem przekonany, że gdyby Jezus chodził teraz po świecie, stałby właśnie z nimi, bo są najbardziej marginalizowani.

Kościół nie tylko nie staje wraz z prześladowanymi, ale często popiera dyskryminującą ich politykę.

Niektórzy biskupi popierali dyskryminujące osoby LGBT przepisy. Małym krokiem byłoby wystąpienie przeciwko nim. Szokujące, jak niewiele Kościół zrobił dla społeczności LGBT nawet tu, w Stanach Zjednoczonych. Jednym z powodów, dla jakich napisałem swoją książkę, była strzelanina w Orlando, podczas której zginęło 49 osób LGBT. Po takich wydarzeniach biskupi zwykle wydają oświadczenie, wyrażając solidarność z ofiarami. Tym razem tak się nie stało, choć ci ludzie zginęli tylko dlatego, że byli homoseksualni. Biskupi milczeli. Jeden z moich profesorów teologii moralnej mówił, że Jezus w Ewangeliach nie krytykuje ludzi słabych, którzy jednak próbują coś zrobić, ale silnych, którym się nie chce. Dla Jezusa zaniechanie trudu kochania jest grzechem. Po Orlando mogliśmy powiedzieć coś współczującego, ale nie chcieliśmy.

Co możemy, a czego nie możemy dać?

Nauczanie Kościoła to nie tylko katechizm, ale też Ewangelie i Jezus. Mówiąc o stosunku do osób LGBT, myślimy o trzech miejscach w katechizmie. Ale nauczanie Kościoła to także sposób, w jaki Jezus traktował ludzi. Tu jest wiele miejsca na miłość, towarzyszenie, przyjaźń. W naszych własnych relacjach rodzinnych i przyjacielskich możemy wiele zrobić. Często mówię rodzeństwu czy rodzicom osób LGBT, które czują się wykluczone: to wy jesteście dla nich Kościołem. Sposób, w jaki ich traktujecie, jest sposobem, w jaki traktuje ich Kościół.

Doświadczenie rodziców jest raczej takie, że Kościół odrzucił ich dziecko i niewiele mogą z tym zrobić. A nawet gdyby chcieli opowiedzieć o tym proboszczowi czy biskupowi, nie zostaną wysłuchani.

Kościół to nie tylko księża i biskupi. Jako ochrzczona katoliczka też go stanowisz. W relacjach z osobami LGBT ty też reprezentujesz Kościół. Skoro jednak o tym mówimy – jest wielka potrzeba wsparcia dla rodziców osób LGBT. Jak służyć rodzicom, których dzieci cierpią? Z wielkim współczuciem i zrozumieniem.

Może Kościół mógłby się też od nich czegoś nauczyć?

Kiedyś pewien proboszcz powiedział mi: Możesz nie mieć w parafii osób LGBT, ale masz ich rodziców i dziadków. A jeśli żadna osoba LGBT ani nikt z jej rodziny nie przyszedł do ciebie, zastanów się, czemu tak się dzieje. Może jesteś homofobem i oni to czują? Deklarujemy w katechizmie, że będziemy traktować osoby homoseksualne z szacunkiem, a częścią szacunku jest słuchanie. Niestety świetnie radzimy sobie z nauczaniem, ze słuchaniem gorzej. To powinno się zmienić w pierwszej kolejności.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK



FRÉDÉRIC SOLTAN / CORBIS / GETTY IMAGES

Ekspozycja zwojów z Qumran, Muzeum Izraela w Jerozolimie

Niewiasty, wiejadła i inni winowajcy

MACIEJ MÜLLER

Biblia, której słowami myślą i modlą się polscy katolicy, jest przekładem pełnym językowych kalek i archaizmów. Czy da się ją poprawić?

Tak – odpowiedzieli uczestnicy 53. Sympozjum Biblistów Polskich w Toruniu we wrześniu 2015 r., gdy ks. Zygmunt Falczyński z wydawnictwa Pallotinum spytał, czy przekład Biblii Tysiąclecia powinno się ponownie przejrzeć i skonfrontować z najnowszymi badaniami. – To była odpowiedź jednomyślna – mówi ks. prof. Henryk Witczyk, przewodniczący SBP.

Niecały rok później projekt VI wydania Biblii Tysiąclecia zyskał wsparcie Episkopatu, a ks. Witczyk w czerwcu 2017 r. stanął na czele komitetu naukowego. – W młodym pokoleniu biblistów jest wielu wybitnych specjalistów w zakresie wszystkich ksiąg, nie mówiąc o znajomości hebrajskiego i greckiego – zapewnia. – Chcemy, żeby Kościół w Polsce dysponował najlepszym, najwierniej oddającym współczesny stan badań tłumaczeniem Pisma Świętego.

Podjęcie prac nad „szóstką” to decyzja strategiczna. Nada charakter życiu polskiego Kościoła na kolejne dekady. Bo z Biblii Tysiąclecia korzysta się w liturgii, a wydawnictwa sugerują autorom książek religijnych i katechizmów cytowanie Pisma Świętego właśnie w tej wersji.

Katolicy od pół wieku myślą i modlą się „Tysiąclatką”.

Od Jerozolimy do Tyńca

„Wspaniała” – powtarzał benedyktyn o. Karol Meissner, kartkując kieszonkową Biblię Jerozolimską, którą w 1958 r. przywiózł z Belgii o. Piotr Rostworowski. To wydane dwa lata wcześniej tłumaczenie na francuski z języków oryginalnych. W Polsce funkcjonowały tłumaczenia z Wulgaty, czyli z łacińskiego przekładu z IV/V w. Nie powiodły się przedwojenne starania o przekład z hebrajskiego i greki. Jakiś czas wcześniej o. Meissner znalazł w bibliotece opactwa w Tyńcu fragmenty Księgi Izajasza, wydrukowane w ramach tamtych starań. „Zdumiała mnie zrozumiałość tekstu z oryginału wobec pewnych niejasności Wulgaty” – wspominał.

Te dwa zdarzenia sprawiły, że o. Meissner zaczął coraz częściej rozmawiać z o. Augustynem Jankowskim, biblistą z Warszawy, który dopiero co przywdział benedyktyński habit. Uważał, że Jankowski podoła pracy nad tłumaczeniem Biblii z języków oryginalnych. Wspominał: „próbowałem wywrzeć nacisk na o. Augustyna przez naszego podprzeora, o. Dominika Michałowskiego, który przychylał się do pomysłu. Pewnego dnia zatrzymał mnie o. Augustyn, zirytowany, i zapytał wprost: »Czego właściwie brat chce?«”.

O. Jankowski nie palił się do projektu, uważał, że zadanie tej rangi powinno podjąć środowisko KUL. Władze klasztorne go przekonały. W 1959 r. na I zjeździe biblistów polskich zakonnik ogłosił, że jeśli KUL nie podejmie prac, Tyniec jest gotowy przyjąć rolę ośrodka ↦

↦ koordynującego. Przedstawiciel Pallotinum ks. Piotr Granatowicz zadeklarował, że jego wydawnictwo wydrukuje dzieło.

Do końca roku benedyktyn zgromadził zespół 39 tłumaczy, powołał 12-osobowy zespół rewizyjny do nanoszenia poprawek merytorycznych, namówił też do współpracy literatów (m.in. Hannę Malewską, Jana Parandowskiego i Jerzego Zawieyskiego). Odmówiło pięciu biblistów, w tym autor wielu wydań przekładów głównie z Wulgaty, ks. Eugeniusz Dąbrowski. Uznał, że polscy bibliści nie podołają tłumaczeniu z hebrajskiego. Usiłował storpedować projekt: zaproponował o. Jankowskiemu, żeby przetłumaczyli Pismo Święte we dwóch. Z Wulgaty.

Jankowski odmówił. Zdążył go już zafascynować pomysł wydania Biblii według kilku zasad: z języków oryginalnych, przy uwzględnieniu aktualnego stanu wiedzy biblistycznej oraz współczesną polszczyzną. „Chodziło nam o to, by treści zawarte w księgach świętych przekazać jak najadekwatniej – wspominał. – Na drugim miejscu natomiast stosowaliśmy kryterium estetyczne. Na korzyść tradycji zrobiliśmy ustępstw stosunkowo niewiele, tylko tam, gdzie były po prostu konieczne. Staraliśmy się, by szata językowa była nowoczesna".

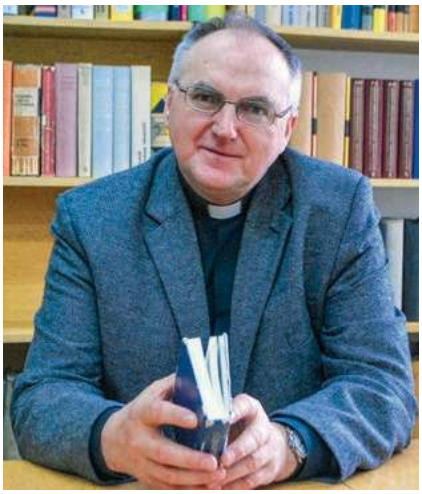
Niestety – co okaże się brzemienne w skutki – nie opracowano szczegółowych wytycznych i każdy z tłumaczy pracował na własną rękę.

Redaktorzy początkowo utrzymywali, że pracują nad Biblią Tyniecką. W 1963 r. pojawił się pomysł, by wydanie przekładu związać z obchodami tysiąclecia chrztu; prace dopingował prymas Stefan Wyszyński. Od 1965 r. mówiło się już o Biblii Tysiąclecia. O. Meissner nie był zachwycony: „Tyniec Tyńcem, ale to jednak nie to samo, co Jerozolima".

Rewizja

Do pracy nad „szóstką" ks. Witczyk zgromadził zespół ok. 30 redaktorów, ale wszystkich członków SBP zachęcono do sygnalizowania, co by chcieli zmienić. Jeden z biblistów przyznaje nieoficjalnie, że przez jakiś czas zastanawiano się nad zupełnie nowym tłumaczeniem, ale szybko tego zaniechano.

Żałuje tego Michał Wilk, wykładowca biblistyki w WSD Pijarów i Redemptorystów, założyciel portalu Orygenes.pl. – Dobra translacja przypomina trochę kod programu: ważne, by strukturę, czyli metodologię zgodną z konkretną teorią lingwistyczną, przemyśleć i konsekwentnie stosować od początku. To trudne, gdy nad każdą księgą pracuje inny tłumacz, jak w przypadku Biblii Tysiąclecia.



RAFAŁ PASTWA / FOTOGOŚĆ / FORUM

KS. PROF. HENRYK WITCZYK:

Chodzi o to, by poprawić błędy i zweryfikować tekst pod kątem badań egzegetycznych, filologicznych, archeologicznych i historycznych.

– Uważam, że nie ma potrzeby mnożenia tłumaczeń, dlatego zwracamy się do pracy nad jakością przekładu BT – podkreśla ks. Witczyk. – Zdecydowaliśmy, że prace będą miały charakter rewizyjny. W nielicznych przypadkach zajdzie konieczność nowego tłumaczenia całej księgi (dotyczy to raczej Starego Testamentu) czy perykopy. Chodzi o to, by poprawić błędy i zweryfikować tekst pod kątem badań egzegetycznych, filologicznych, archeologicznych i historycznych.

Do przodu poszły też badania nad tekstem hebrajskim i greckim: badacze odkrywają nowe manuskrypty, rozwija się metodologia krytyki tekstu. W standardach światowej biblistyki obowiązuje opublikowane w 2012 r. 28. wydanie krytyczne Nowego Testamentu.

Na czym będzie polegała rewizja? Ks. Witczyk jest specjalistą od Ewangelii św. Jana: – W perykopie 16, 8-11 czytamy, że Duch Święty „gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie. O grzechu – bo nie wierzą we Mnie; o sprawiedliwości zaś – bo idę do Ojca i już Mnie nie ujrzycie; wreszcie o sądzie – bo władca tego świata został osądzony". Filolodzy dowiedli, że sens jest tu inny: chodzi o to, że Duch Święty przekona uczniów, iż świat pozostaje w grzechu niewiary, ponieważ odrzuca definitywne objawienie Boga w Jezusie, nie rozpoznaje Go i skazuje się w ten sposób na sąd.

Współpracę z redaktorami „szóstki" podjął amerykański Nida Institute, szkolący tłumaczy. Członkowie zespołu od trzech lat, na koszt Amerykanów, regularnie jeżdżą do Rzymu na tygodniowe seminaria i zapoznają się z regułami współczesnej translatoryki. – Chodzi np. o zasady redagowania przypisów, żeby wiele mówiły, a nie były rozwlekłe – mówi ks. Witczyk.

W ramach VI wydania powstaną zupełnie nowe wprowadzenia do ksiąg. – Trzeba uwzględnić ostatnie ustalenia dotyczące czasu ich powstania, autorów, tematyki czy retoryki – wskazuje redaktor naukowy. – Przyjęliśmy żelazną regułę, której nie było w dotychczasowych redakcjach BT. Jeśli tłumacz zdecyduje się na określone oddanie danego słowa, musi się go trzymać we wszystkich przypadkach jego zastosowania w księdze. Jeśli tłumacz zastosuje różnorodność w imię upiększenia stylu, może uniemożliwić dostrzeżenie czegoś, co usiłował pokazać biblijny autor.

Po zakończeniu rewizji, którą zespół planuje na jeszcze półtora roku, nad całością pochyli się pięcioosobowa rada naukowa. Rozstrzygnie, czy proponowane zmiany są spójne. Ks. Witczyk: – Bywa, że biblista jest na tyle zafascynowany jakimś rozwiązaniem, że swoje subiektywne przekonania jest gotów przenosić na tekst.

Na końcu tekst skonsultują językoznawcy.

Michał Wilk widzi sporo plusów zespołowej pracy nad VI wydaniem. – W rewizję „Tysiąclatki" są włączeni bibliści i specjaliści od języka, księża i świeccy. Współpraca z Nida Institute gwarantuje uwzględnienie nowych teorii translatorskich. Biblia tłumaczona jest z tekstu Nestle Aland 28 z najnowszym aparatem krytycznym. Nad konkretnymi księgami pracują często autorzy odpowiadających im tomów w najlepszej polskiej serii: „Nowego Komentarza Biblijnego".

Aby język giętki

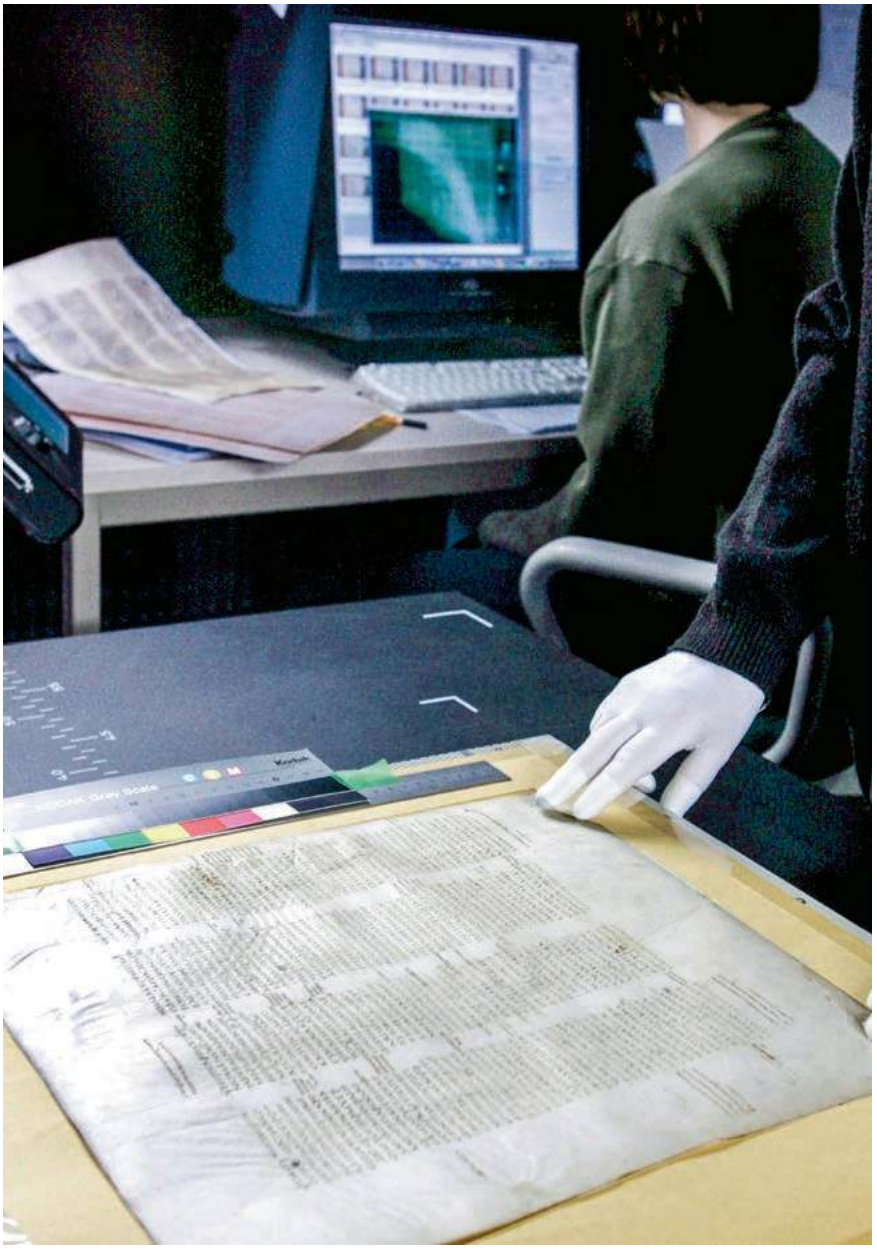
Polskie seksistowskie porzekadło porównujące tłumaczenia do kobiet jest z założenia błędne: jego autor nie rozumiał pojęcia wierności. Wierność nie dotyczy słów, lecz sensu. „Ktokolwiek pragnie tłumaczyć z jednego języka na inny i zamierza za każdym razem oddać jedno słowo przez inne, odpowiadające mu słowo, ogromnie się utrudzi i osiągnie tłumaczenie niepewne. To nie jest właściwa metoda – pisał w XII w. żydowski filozof Majmonides, komentator Talmudu. – Przeciwnie, tłumacz powinien przede wszystkim wyjaśnić bieg myśli. Następnie wyłożyć go i przekazać w taki sposób, aby sama myśl stała się jasna i zrozumiała w innym języku".

Powyższą zasadę tłumacze nazywają dzisiaj ekwiwalencją dynamiczną: tłumacz musi dobrze orientować się w kulturze języka docelowego; pozostając w kategoriach języka wyjściowego zaciemnia sens tłumaczonego tekstu. Innymi słowy: tłumaczenie nie powinno wyglądać jak tłumaczenie.

W „Tysiąclatce" Jezus jednak nie je, tylko spożywa, Jan nie chrzci, tylko udziela chrztu, Palestynę zaludniają nie kobiety, lecz niewiasty, a mężczyźni nie zdradzają żon, tylko cudzołożą. To efekt stosowania tzw. polskiego stylu biblijnego: mieszaniny słownictwa i gramatyki greki, hebrajskiego i polszczyzny. W tłumaczeniu znajdujemy „naturalne cechy języków biblijnych, które nie są naturalnymi cechami języka polskiego – wyjaśnia biblista Marcin Majewski. – Stwarzają więc wrażenie dziwności, podniosłości, sztuczności, podczas gdy w oryginale wcale nie brzmią ani sztucznie, ani podniośle".

Majewski wyróżnia elementy tego stylu: to m.in. specyficzne słownictwo (bojaźń, oblubieniec, niewiasta), semityzmy (abba, alleluja, pascha), frazeologizmy (słup soli, światłość świata), formuły (to mówi Pan), umieszczanie zaimka dzierżawczego za rzeczownikiem (Boże mój, Ojcze nasz), a czasownika na końcu (a tłumy pełne podziwu wołały). Biblista podkreśla: „hebrajski nie wytworzył hebrajszczyzny biblijnej, nie było specjalnego stylu biblijnego, więc i przekład nie powinien tworzyć specjalnej odmiany języka narodowego. Biblia w oryginale nie zaskakiwała czytelników niecodziennymi wyrażeniami i stylem".

Wydawało się, że powyższe zasady dobrze znał zespół o. Augustyna Jankowskiego.



WALTRAUD GRUBITZSCH / EPA / PAP

Prace nad digitalizacją Codex Sinaiticus – najstarszego manuskryptu Biblii, zapisanego na pergaminowych kartach. W projekcie brały udział biblioteki w Lipsku, Londynie, Narodowa Biblioteka w Petersburgu, a także biblioteka z klasztoru św. Katarzyny na górze Synaj. Lipsk, 2007 r.

Spod lady

„Postanowiliśmy nie bez pewnego lęku i żalu świadomie odstąpić od czcigodnej tradycji Wujkowej, gdy idzie o słownictwo i styl, zachowując jednak jego najgłębszą zasadę: dostojeństwo godne tekstu natchnionego – czytamy we wstępie do I wydania BT. – Pisarze święci stosowali język nie archaiczny, ale sobie współczesny. Archaizm formy łatwo może z sobą nieść sugestię, że w Piśmie Świętym mowa jest tylko o czcigodnych zabytkach przeszłości".

Prace trwały sześć lat (początkowo myślano o dwóch). O. Jankowski, jak zaznacza jego współbrat z Tyńca o. prof. Tomasz Dąbek, „jako redaktor ufał tłumaczom, rzadko ingerował, wymagający od siebie, uważał, że inni postępują podobnie". Od zasady tłumaczenia z oryginału odstąpiono w przypadku Psalmów: sięgnięto po łaciński przekład wydany w 1945 r. w Papieskim Instytucie Biblijnym.

Nie obyło się bez przejść z cenzurą, i to nie kościelną, ale państwową. Zażądała ona, żeby słowo „bezbożny" zmienić na „niezbożny". „Nie ma widoków, żeby dało się coś wytargować, bo jest to stanowisko Warszawy. Sytuacja przymusowa" – pisał do Tyńca cenzor. „Warszawa" ↦

↦ obawiała się, że tekst np. Psalmu 124, 3 („nie zaciąży bezbożne berło nad losem sprawiedliwych”) można będzie odczytać jako krytykę ateizmu.

Nakład pierwszego wydania „Tysiąclatki” „rozszedł się natychmiast. Nie ujrzano jej w ogóle na półkach księgarń. Większość egzemplarzy rozprzedano wprost z wydawnictwa” – wspominał biblista ks. Janusz Frankowski. W sukurs przybyli zachodni protestanci. W latach 1979-85 w Skandynawii wydrukowano – dzięki staraniom ks. Franciszka Blachnickiego – 645 tys. Biblii (Stary i Nowy Testament). Wydawnictwu Pallotinum przydziały papieru pozwalały na bez porównania mniej: do 1985 r. wydrukowano 200 tys. egzemplarzy.

Zwierzątka naziemne

Przeciw „Tysiąclatce” ciężką artylerię wytoczył ks. Eugeniusz Dąbrowski, o którym o. Dąbek pisze elegancko, że „stał na pozycjach tradycyjnych, z czasów rzymskich studiów w okresie międzywojennym”. Bardziej złośliwi mówili zaś, że Dąbrowski nie tyle żyje Pismem Świętym, co żyje z Pisma Świętego i źle znosi zarówno utratę monopolu, jak i zmierzch epoki Wulgaty. Biblię Tysiąclecia nazwał „Biblią tysięcy błędów, merytorycznych i formalnych, a zwłaszcza językowych”. W książce wydanej w Londynie, bo żadne polskie wydawnictwo nie chciało jej wydrukować, punktował, że tłumacze podpierali się rozwiązaniami francuskiej Biblii Jerozolimskiej, nie przełożyli Psałterza z hebrajskiego oryginału, nie liczyli się z „językową tradycją polskich przekładów biblijnych”, użyli „zbyt żargonowego i nieudolnego języka”, a przede wszystkim, że „jakiejś teorii przekładu w żaden sposób doszukać się nie można”.

Zespół podszedł do krytyki bardzo poważnie. Wykaz poprawek między I a II wydaniem (1971 r.) liczył ok. 3 tys. pozycji. Hebrajski tekst Psalmów wzięli na warsztat o. Jankowski i ks. Leon Stachowiak. Redaktorzy szczególnie przejęli się zarzutem opierania się na Biblii Jerozolimskiej. W rezultacie – jak wskazuje biblista ks. prof. Stanisław Hałas – zrezygnowano z niektórych dobrych rozwiązań na rzecz kalki językowej: tak, jakby chciano ostentacyjnie podkreślić, że to tłumaczenie z oryginału.

Zamieniono np. formę „odbiera on ducha wojownikom” na „obezwładnia on ręce żołnierzy” (Jr 38, 4) albo „Pan ma staranie o życie prawych” na „Jahwe zna dni nienagannych” (Ps 37, 18). „Płazy” zmieniły się w „zwierzątka naziemne” (np. Rdz 1, 24), co szczególnie uroczo wybrzmiało w Księdze Ozeasza, w której Bóg zapowiada: „zawrę przymierze ze zwierzątkiem naziemnym” (Oz 2, 20).

> Wpisanie „Tysiąclatki” do lekcjonarzy wywołało **proces zwany kanonizacją tłumaczenia.** Słyszymy je najczęściej, i to w okolicznościach najważniejszych dla życia religijnego.

III wydanie, z kolejnymi poprawkami, choć nie tak licznymi, ukazało się w 1980 r.: język przystosowano w nim do użytku liturgicznego – m.in. imię Jahwe zastąpiono formą „Pan”. Wydanie IV (bez zmian) ukazało się w 1983 r., V (z pewną liczbą retuszy i nowymi wstępami do ksiąg) w 1999 r. Wszystkie pod redakcją o. Jankowskiego.

Co się w niej poczęło

– Byłoby dobrze, by w VI wydaniu Biblia Tysiąclecia została odarchaizowana – wskazuje Michał Wilk. – Archaizacja języka liturgicznego to nie wynik niewiedzy, tylko świadome zamierzenie. Wypływa ono z przekonania, że język stylizowany na stary jest formą okazania szacunku Słowu Bożemu. Z jednej strony to rozumiem, z drugiej: warto pamiętać, że oryginał grecki Nowego Testamentu nie jest stylizowany na dawny język.

Ks. Henryk Witczyk: – Przekładu Biblii Tysiąclecia używa się w liturgii, dlatego musi być sporządzony językiem dostojnym. To nie może być polszczyzna z ulicy, z codziennych rozmów. Ale oczywiście nie mówię o języku archaicznym i niezrozumiałym.

To fakt, że w porównaniu ze starszymi tłumaczeniami, choćby ks. Dąbrowskiego, Biblia Tysiąclecia zrezygnowała z wielu semityzmów. Ks. Wujek, zgodnie ze składnią oryginału, rozpoczynał zdania od spójnika: „A natychmiast Duch wygnał go na puszczą. I był na puszczy czterdzieści dni i czterdzieści nocy, i był kuszon od szatana”. W „Tysiąclatce” takich ekstremów nie ma.

Wilk wskazuje na inne przekłady Nowego Testamentu jako dobry przykład współczesnej, ale eleganckiej stylistyki. – Dopiero gdy je sobie porównamy, widzimy silną tendencję „Tysiąclatki” do archaizowania. Maryja „była brzemienna”, a nie w ciąży, Józef „powziął myśl, by Ją oddalić”, a nie zastanowił się i zamierzał po cichu z nią się rozstać, następnie „nie zbliżał się do Maryi”, zamiast po prostu: nie współżył z Nią. Uważam, że niezbyt szczęśliwe jest też bezosobowe sformułowanie: „to, co się w niej poczęło”. Zwłaszcza że dziś sporo dyskutujemy o tym, że dziecko jest osobą od samego poczęcia.

– W pewnej mierze taką stylistykę w przekładzie forsują niektórzy poloniści, zwolennicy tzw. polskiego stylu biblijnego – opowiada Wilk. – To ciekawy kierunek, ale raczej z punktu widzenia badań nad historią polskich tłumaczeń. W przypadku wydanej w 2005 r. Biblii Paulistów niektóre rozwiązania tłumaczeniowe motywowane polskim stylem biblijnym okazały się niezbyt trafne. Mam nadzieję, że w przypadku „szóstki” unikniemy takich sytuacji.

Uderzyć się w biodro

Rozwiązaniem jest wspomniana zasada ekwiwalencji dynamicznej, ale i jej trzeba wyznaczyć granice.

– Dla takich rzeczowników jak wiejadło czy omłot trudno znajdować współczesne słowa polskie, tłumacz jest zobowiązany do wierności tekstowi – uważa ks. Witczyk. – Niejasności trzeba objaśnić w przypisie. Nie mamy autorytetu, by zmieniać greckie czy hebrajskie słowa tylko dlatego, że dziś się ich nie używa. Już ojcowie Kościoła uczyli, że wyrażenia niezrozumiałe zobowiązują, by zgłębić znaczenie danego fragmentu.

Biblia Poznańska i Piotr Zaremba zamiast wiejadła zaproponują sito, ks. Popowski: szuflę. – Jednak szukanie współczesnego słownictwa nie może iść za daleko, by nie przekroczyć granicy dobrego smaku – zauważa Wilk. – Tłumaczenia angielskie mają niekiedy skłonność do popadania w przesadę. Jeden z tłumaczy protestanckich tak bardzo chciał podkreślić fakt objawienia, czyli ukazania się Boga na zewnątrz, że greckie „*apokalypsis*” oddał jako „*exhibition*”. Tłumaczenie „*euangelion*” jako „*good fame*” też wydaje się słabym pomysłem.

Redaktorzy „szóstki” dyskutują nad sposobem tłumaczenia idiomów: od-

dane dosłownie bywają niezrozumiałe (zob. ramka). – Są zwolennicy szukania odpowiednich idiomów polskich, ale przeważa głos tych, którzy optują za zachowaniem dosłownego brzmienia – mówi ks. Witczyk. – Chodzi o to, że niektóre wyrazy, szczególnie określające części ciała, mają w Piśmie Świętym głęboką symbolikę; zatarcie tego w tłumaczeniu pozbawi nas istotnych odniesień wewnątrz Biblii jako całości.

Wyrażenie semickie „uderzyć się w biodro" oznacza akt skruchy (np. Jr 31, 19). Tłumaczenie dynamiczne nakazywałoby sięgnąć po polski idiom „uderzyć się w pierś". Ale wtedy zanikają powiązania z innymi fragmentami Pisma, w których jest mowa o biodrze – np. gdy tajemniczy przeciwnik Jakuba uszkadza mu w walce staw biodrowy (Rdz 32, 25). Nie dotyczy to jednak takich idiomów jak zupełnie niezrozumiałe „okrycie sobie nóg" (Sdz 3, 24), które oznacza udanie się na stronę (przed wypróżnieniem się opuszczano wierzchnią szatę, okrywając nogi). Tu od tłumaczy „Tysiąclatki" precyzyjniejszy był ks. Wujek, przekładając ten idiom na „sobie wczas czynić".

– Istota myśli biblijnej tkwi nie tylko w semantyce, ale i w strukturach literackich – tłumaczy Michał Wilk. – Np. w zakończeniu Ewangelii Mateusza czytamy: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni...". Można by to przełożyć stylistycznie lepszym: „pozostanę z wami". Ale wtedy stracilibyśmy inkluzję, jaką tworzy to zdanie z Bożym imieniem Emmanuel, czyli „Bóg jest z nami", na samym początku Ewangelii.

– Przyjrzyjmy się poza tym, jak postępują Ewangeliści. Oni pisali po grecku, ale, przynajmniej niektórzy, myśleli po aramejsku i idiomy aramejskie oddawali w grece dosłownie – ciągnie Wilk. – Święty Jan w scenie wyrzucenia przekupniów ze Świątyni cytuje Psalm 69, 10: „gorliwość o dom twój pożera mnie". To semickie wyrażenie idiomatyczne oznacza: „dodaje mi odwagi". Ale Jan cytuje Septuagintę, żeby utrzymać odniesienie do Starego Testamentu, a tylko zmienia czas czasownika z przeszłego na przyszły, by odnieść tę scenę do męki i zmartwychwstania. Skoro on jako tłumacz wybrał taką metodę, cóż nas upoważnia do innej? Poza tym, skoro Biblia Tysiąclecia jest przekładem liturgicznym, jest niezwykle istotne, żeby słuchacze wychwytywali teologiczne relacje między pismami Starego i Nowego Testamentu. Dlatego kluczowe słowa trzeba oddać tak samo.

Zapewniam was

Wpisanie „Tysiąclatki" do lekcjonarzy wywołało proces zwany kanonizacją tłumaczenia. Słyszymy je najczęściej, i to w okolicznościach najważniejszych dla życia religijnego, więc staje się punktem odniesienia. „Liturgia to najbardziej radykalny środek asymilacji przekładu" – pisze Marcin Majewski. Wyrażenia takiego przekładu wchodzą do języka, tak jak „drzazga w oku", choć poprawniej byłoby mówić o trocinie.

Nawet brzmiące niezręcznie wyrażenia zaczynamy uważać za prawdziwe Słowo Boże. W efekcie na Biblię Paulistów – poza zasłużonymi wyrazami uznania – spadły gromy ze strony sądzących, że Chrystus musi powiedzieć „Zaprawdę, powiadam wam", a nie „Zapewniam was", i że „błogosławieni cisi", to raczej „szczęśliwi łagodni".

– Przy zmianie tekstów lekcjonarza na V wydanie BT wielu starszych księży, przyzwyczajonych do określonego brzmienia danego zdania, reagowało konsternacją. Dlatego jeżeli zaproponujemy nowe rozwiązania, poprzedzimy je pracą informacyjną – zapewnia ks. Witczyk. – Zmiany nie mają szokować, tylko pogłębić rozumienie tekstu.

Zespołowi o. Augustyna Jankowskiego udało się zakończyć epokę stylu ks. Wujka w polskiej biblistyce. Przyczynili się jednak do stworzenia nowego polskiego stylu biblijnego. Wygląda na to, że polski katolicyzm pozostanie mu jeszcze długo wierny.

Chyba że kiedyś na pytanie o kontynuację tradycji „Tysiąclatki" polscy bibliści odpowiedzą: „Nie". ©℗ MACIEJ MÜLLER

Korzystałem m.in. z książek: „Biblia Tysiąclecia jako wyzwanie. Język-kultura-duchowość"; „Jak przekłady zmieniają Biblię" (materiały do kursu Marcina Majewskiego na portalu Orygenes.pl); R. Pietkiewicz „Biblia Tysiąclecia w tradycji polskiego edytorstwa biblijnego"; M. Wojciechowski „Słabe punkty polskiego tłumaczenia Ewangelii w Biblii Tysiąclecia".

Zbyt krótka ręka tłumacza

„PAN JEST BLISKO SKRUSZONYCH W SERCU" – czytamy w Biblii Tysiąclecia (Ps 34, 19). Pada tu hebrajskie wyrażenie *szawar* lew, oznaczające „złamać serce". Tyle że po polsku oznacza to „przeżyć zawód miłosny", po hebrajsku natomiast, ze względu na szersze znaczenie metaforyczne serca – „przeżywać ogromny strach", „mieć zdruzgotanego ducha". Biblia Poznańska wspomina z kolei o tych, „których serce złamane", a Roman Brandstaetter o „ludziach o złamanym sercu". Przekłady te „sugerują, że chodzi o nieszczęśliwie zakochanych. Przekład BT sugeruje błędnie, że chodzi o nawróconych grzeszników" – wskazuje Marcin Majewski. Lepsze jest tłumaczenie Biblii Paulistów: „Pan jest blisko cierpiących udrękę".

„CZYŻ ZBYT KRÓTKA JEST MOJA RĘKA, ŻEBY WYZWOLIĆ?" – proponuje BT we fragmencie Iz 50, 2. Biblia Warszawsko-Praska podobnie: „Czym miał rękę za krótką, aby was ocalić?". Tłumacze zdecydowali się na dosłowność. „Tłumaczenie dynamiczne – pisze Majewski – mogłoby wyglądać tak: »Czy odkupienie nie leży w mojej mocy?«. Lub: »Czy nie jestem dość potężny, aby przyjść na ratunek?«".

„NIE STAWIAJCIE OPORU ZŁEMU" (Mt 5, 39) – to tłumaczenie jako błędne wskazuje prof. Michał Wojciechowski. „Greckie *antistenai* nie oznacza stawiania oporu, lecz przeciwstawianie się z podobną siłą". Należałoby więc przełożyć „»nie odpłacajcie złem za zło«. Tłumacz zrobił z zakazu zemsty pacyfistyczny nakaz bierności wobec złoczyńców".

„KTO POŻĄDLIWIE PATRZY NA KOBIETĘ, JUŻ SIĘ W SWOIM SERCU DOPUŚCIŁ Z NIĄ CUDZOŁÓSTWA" czytamy natomiast w Kazaniu na Górze (BT, Mt 5, 27). Według Wojciechowskiego tłumacz „z planowego przypatrywania się (czasownik *blepo*) zrobił spojrzenie. Jezus uznał za grzech zamiar cudzołóstwa, a tłumacz samo pragnienie, nawet spontaniczne. Pomylił grzech z pokusą". Powinno być raczej: „Kto przygląda się mężatce, żeby jej pożądać, już popełnił z nią cudzołóstwo w sercu (czyli w myśli)".

©℗ MAM



BIBLIOTEKA KONGRESU USA

Dzielnica włoska w Nowym Jorku (Mulberry Street), ok. 1900 r.

Sprzedawcy marzeń

EDWARD AUGUSTYN

„Mój ojciec dwa razy przeprawiał się przez ocean, żebym został zakonnikiem" – mówił najsłynniejszy święty XX wieku. Mylił się i co do liczby przepraw, i co do ich motywów.

Statek s/s „Berlin", zbudowany w stoczni A.G. Waser w Bremie w 1908 r., miał cztery silniki, podwójną śrubę, dwa kominy i dwa maszty. Rozwijał zawrotną jak na tamte czasy prędkość 17 węzłów i mógł pokonać ocean w dziesięć dni. Do tej pory podróż z Neapolu do Nowego Jorku trwała prawie miesiąc.

W trzeciej klasie, na dolnym pokładzie, obok hałasującej dzień i noc maszynowni, gnieździło się 2,7 tys. pasażerów, podzielonych według płci. Jedni wyjeżdżali na zawsze, często z rodzinami, czasem od rodziny uciekając; drudzy – na rok, dwa, by potem z zarobionymi pieniędzmi wrócić do swoich. Jeszcze inni – zwani *golondrinas* (jaskółki) – po zakończeniu prac polowych we Włoszech wypływali do Ameryki Południowej, by zdążyć na nowy sezon, po czym, z początkiem europejskiej wiosny, wracali do swoich gospodarstw.

Przedstawiciele kompanii morskich dzień w dzień przemierzali miasta i wioski, sprzedając ludziom marzenia. Bilet do Nowego Jorku kosztował w trzeciej klasie 40 dolarów. Włoski robotnik rolny musiał pracować na niego trzy miesiące. Ale wystarczyła niewielka zaliczka, podpisanie zobowiązania, że resztę odpracuje się na miejscu, i można było szykować się do drogi. Statki wypełnione biedotą odpływały z Neapolu i Palermo co kilka dni. W latach 1901-10 za pracą wyjechało 5 mln Włochów (4 mln z samego Południa).

Dramat w sześć sekund

W Archiwum Narodowym w Waszyngtonie przechowywane są rejestry pasażerów – ponad 22 mln nazwisk włoskich, irlandzkich, polskich, rosyjskich... Można je wyszukać online, o ile osoba przepisująca dane z pokładowych kart prawidłowo je odczytała. W przeciwnym wypadku pozostaje mozolne, strona po stronie, przeglądanie skanów.

Po dopłynięciu do celu pasażerowie pierwszej i drugiej klasy przechodzili krótką kontrolę dokumentów i mogli zejść na ląd. Ci z trzeciej klasy trafiali do „stacji emigracyjnej", gdzie spędzali kilka godzin w oczekiwaniu na dokładniejsze badania. Najsłynniejsza mieściła się na Ellis Island, zwanej „wyspą łez", tuż przy wejściu do portu w Nowym Jorku. Administracja federalna wybudowała ją w 1892 r., gdy okazało się, że dotychczasowa stacja, Castle Garden na Manhatta-

nie, nie radzi sobie z odprawą coraz większej liczby imigrantów.

Rejestry, zwane „manifestami", sporządzano na podstawie listy pasażerów. Po sprawdzeniu nazwisk urzędnik imigracyjny pytał o cel przybycia, przeszłość, poglądy polityczne, środki na pobyt. Potem następowało badanie lekarskie, ze względu na warunki nazywane „badaniem sześciu sekund", które decydowało o dalszym losie biedaka. Za krótkimi, suchymi informacjami, dopisanymi na marginesie – „zmarł podczas rejsu", „odesłany do szpitala", „zatrzymany do dalszego przesłuchania", „deportowany" – kryją się ludzkie dramaty.

Uparty góral spod Benewentu

On miał 157 cm wzrostu, był żonaty (żona Giuseppina). Zawód: robotnik rolny, narodowość włoska, rasa: południowy Włoch. Włosy siwe, cera ciemna, oczy brązowe. Zdrowy. Znaków szczególnych brak.

Płynęło z nim jeszcze czterech mieszkańców tej samej miejscowości – Pietrelciny koło Benewentu. Był z nich najstarszy i najbardziej doświadczony; miał 49 lat i trzeci raz wybierał się do Ameryki. Nazywał się Grazio Forgione, choć w miasteczku wszyscy mówili na niego Zi'Razio (wujek Orazio).

Miasteczko było małe, ale ludne. U początku XX wieku liczyło 4 tys. dusz. Jego najstarszą część nazywano dzielnicą zamkową, mimo że zamku – zapewne z czasów normandzkich, a może nawet longobardzkich – dawno już nie było. Została wysoka skała, na której poutykano, jeden na drugim, kamienne domy z kamiennymi dachami, wzdłuż kamiennych, wąskich ulic, gubiących się w zaułkach bez wyjścia. Skała i kamień (*pietra*), brzmiące w nazwie miasta, łączą się z imieniem wróżki Elce, która według legendy ukrywała się w tamtych stronach.

Wiara we wróżki, strzygi i czarownice była dla mieszkańców rzeczą oczywistą. Nie przeszkadzała nic a nic w wyznawaniu jedynej, świętej i katolickiej religii. Dzieci zaraz po urodzeniu niosło się do chrztu, a z kościoła – do wieszczki, by odczyniła uroki. Pobliski Benewent znany był we Włoszech, niczym nasza Łysa Góra, jako miejsce zlotu czarownic, które raz w roku, nad rzeką Sabato, zasiadały z diabłami do uczty. Ale nie ograniczały się tylko do rozkoszy podniebienia.

O ludziach z tego regionu dziennikarz Guido Piovenne pisał w swoim najbardziej znanym zbiorze reportaży „Podróż po Włoszech": „są różni charakterem od reszty mieszkańców Kampanii: twardsi, bardziej skryci, bardziej alpejscy". Jak – nie przymierzając – polscy górale. Nawet czuwa nad nimi podobna góra w kształcie leżącej postaci, La Dormiente, tyle że włoscy chłopi widzą w niej piękną kobietę, a nie śpiącego rycerza. Twardy, skryty (choć na włoską miarę) i uparty był też nasz bohater, Grazio, realizujący marzenia, nawet jeśli trzeba było za nie płacić wysoką cenę.



MATERIAŁY PRASOWE / VOCE DI PADRE PIO

Grazio Forgione, ok. 1910 r.

Kandydat znany ze skąpstwa

Urodził się wraz z nowym włoskim państwem – w 1860 r. Jego dziadkowie byli jeszcze bezrolnymi chłopami (*braccianti*), najmowanymi do najgorzej opłacanych prac w polu. Rodzice dorobili się już spłachetka ziemi i trzech małych izb w „dzielnicy zamkowej". Zapamiętano go jako człowieka pogodnego, który w młodości, w wesołym towarzystwie, chadzał pod okna dziewcząt i śpiewał miłosne piosenki. Głos miał ciepły i miły. Niejedna się w nim kochała, z jedną już miał się żenić, kiedy w oko wpadła mu starsza o półtora roku Giuseppina De Nunzio, dziewczyna z bardziej zamożnej rodziny, której – jak mówiono – nie był wart. Mieszkała niedaleko, w piętrowej kamienicy, zwanej „wieżyczką" (*torretta*), a we wianie miała jeszcze ładny kawałek pola.

Grazio nie umiał czytać ani pisać. Liczył tylko na palcach, ale za to dokładnie. Jeśli hagiografowie piszą, że „znany był z cnoty oszczędności", to znaczy, że był po prostu skąpy. Oszczędnością i pracą może się nie wzbogacił, ale za to głodu w domu nie było.

Zaczynał dzień przed piątą, zawijał w płótno kawał chleba, siodłał osiołka, przywiązywał do niego kozę i ruszał na Piana Romana, niecałe 3 km od domu, gdzie miał pole, kawałek łąki i małą, wymurowaną z białego kamienia *masserię*, żeby skryć się przed południowym skwarem. W ciągu dnia dołączała do niego żona, z czasem i dzieci. Mieli zagon pszenicy, trochę pomidorów i karczochów, parę oliwnych drzewek, winorośl i grządkę z jarzynami. Do domu wracali późnym wieczorem. Pracowali sami, czasem tylko, do zbiorów, najmowali dwóch, trzech stojących na placu *bracciantich*.

Nadzieję pokładał w synach. Najstarszy, Michele, był jego oczkiem w głowie: zdrowy, robotny i zaradny. Szkołę rzucił po drugiej klasie, jak wielu chłopaków w tych stronach. Prawo nakazywało trzy lata nauki, ale jeśli rodzice deklarowali, że dziecko będzie uczone w domu, nikt tego nie kontrolował.

Podobnie miało być z młodszym Franceskiem. Do szkoły w ogóle nie poszedł, pobierając naukę alfabetu u któregoś ↦

↦ z wujków. Ale na oko było widać, że praca w polu będzie ponad jego wątłe siły. Nadawał się jedynie do pasania owiec. Był za to pobożny.

Złote dachy

Raz w tygodniu okoliczne wsie i miasteczka odwiedzał kapucyński jałmużnik, brat Camillo, z pobliskiego klasztoru w Sant'Elia a Pianisi. Wyglądał inaczej niż miejscowy proboszcz – miał długą brodę, powycierany, brązowy habit, przepasany grubym sznurem, i zniszczone sandały. Zbierał od ludzi plony ziemi na klasztorny stół i chętnie opowiadał o św. Franciszku albo o życiu w zakonie. Mały Francesco zamarzył, by zostać kapucynem.

Grazio był dobrym chrześcijaninem, więc pomysł, by jedno z dzieci służyło Bogu i wypraszało dla rodziny specjalne łaski, wcale go nie zmartwił. Tyle że kandydat do zakonu musiał mieć skończone 15 lat i aż pięć klas podstawówki. A Francesco, wtedy już 11-letni, był lekko opóźniony w nauce.

Grazio i Giuseppina zapisali go do jednej z kilku prywatnych szkół w miasteczku. Najwyraźniej kierowali się ceną, skoro mały Forgione trafił pod opiekę 55-letniego Domenica Tizzaniego. Był to nauczyciel z niewielkim doświadczeniem, bo ledwie dwa lata wcześniej zrzucił księżowską sutannę, by ożenić się z kobietą, z którą miał – o czym wszyscy wiedzieli – 20-letnią córkę. Za dogodną cenę zgodził się uczyć chłopaka, ale po pewnym czasie orzekł, że to tuman i powinien wrócić do pasania owiec.

By opłacić Tizzaniego, Grazio pożyczył 100 lirów, co spędzało mu sen z powiek. Klęska nieurodzaju i pierwszy wielki kryzys gospodarczy w zjednoczonym państwie spowodowały, że tysiące Włochów szukało zarobku za granicą. O domach ze złotymi dachami, jakie mają ludzie w Ameryce, krążyły legendy.

Gdy postanowił wyjechać po raz pierwszy, miał 38 lat. Żonę zostawił z piątką dzieci i szóstym w drodze. Uważał, że Giuseppina da sobie radę: była silna i pracowita, a w miasteczku takim jak Pietrelcina, gdzie życie toczyło się na ulicach i wszyscy wszystko o sobie wiedzieli, mogła liczyć na pomoc rodziny, przyjaciół, sąsiadek. Zresztą najstarszy syn, Michele, miał już 16 lat i mógł zastąpić ojca na gospodarstwie. Więc nikogo jego decyzja nie zdziwiła.

RODZINA OJCA PIO





Maria Giuseppa De Nunzio
(1859–1929)
matka, żyła 70 lat



Grazio (Zi'Razio) Forgione
(1860–1946)
ojciec, żył 86 lat

Pobrali się w 1881 r.
Mieli 8 dzieci:



Michele (1882–1967)
brat, żył 85 lat

Francesco (1884–1884)
brat, żył 3 tygodnie

Amelia (1885–1887)
siostra, żyła 2 lata



Francesco (1885–1968)
ojciec Pio z Pietrelciny
żył 83 lata
kanonizowany w 2002 r.

Felicita (1889–1918)
siostra, żyła 29 lat



Pellegrina (1892–1944)
siostra, żyła 52 lata



Grazia (1894–1969)
siostra (brygidka s. Pia),
żyła 74 lata

Mario (1899–1900)
brat, żył 1 rok

Lepsze życie

„Jeśli zaś chodzi o pretensje do mamy za moją podróż do Pompejów, to mieliście po tysiąckroć rację. Jednak musicie pamiętać, że w przyszłym roku, jak Bóg da, skończą się dla mnie wszystkie przyjemności i rozrywki, jako że porzucam to życie, by posiąść lepsze" – pisał w liście do ojca 14-letni Francesco.

Grazio wiedział, że chłopiec nie zrezygnował z marzeń, by zostać „zakonnikiem z brodą". Że za przysyłane z Ameryki pieniądze matka nie tylko spłaciła dług, ale przeniosła syna do innej, droższej, ale pewniejszej szkoły, prowadzonej przez pana Caccavo. I że Francesco uczy się solidnie, a po pierwszym roku pojechał z klasą na wycieczkę do Neapolu i Pompejów. O to miał żal. W liście, napisanym z pomocą życzliwych osób, wyrzucał żonie, że trwoni owoce jego ciężkiej pracy.

Gdy wrócił do domu, w połowie 1903 r., dzieci były już duże. Francesco rozpoczął kapucyński nowicjat. Michele miał 21 lat, Felicita 14, Pellegrina 11, Grazia 9. Tylko najmłodszego, Maria, nie zdążył zobaczyć: urodził się po jego wyjeździe, zmarł przed powrotem.

W domu nie zabawił długo. Wszystko wskazuje, że dwa lata później znów wypłynął do Nowego Jorku. Dokumenty tej podróży nie zachowały się (niektórych kart w bazie Ellis Island nie da się odczytać, inne uległy całkowitemu zniszczeniu), nie ma też korespondencji z rodziną. Ale w rejestrze pasażerów statku „Italia" z marca 1906 r. widnieje Michele Forgione, przy którego nazwisku dopisano informację, że zamierza zatrzymać się w Nowym Jorku u swego ojca. Najpewniej Grazio wyruszył za ocean pierwszy, kilka miesięcy wcześniej, a potem ściągnął do siebie najstarszego syna. Dowodem, że do wyjazdu doszło i że okazał się owocny, były również inwestycje poczynione przez rodzinę Forgione w kolejnych latach: powiększenie gospodarstwa na Piana Romana i zakup trzyizbowego mieszkania dla Michele. Najstarszy syn ożenił się po powrocie, odczekał, aż urodzi się dziecko i zaraz potem ponownie emigrował. A w jego domu zamieszkał młodszy brat, Francesco, teraz znany pod imieniem Pio.

Cena marzenia

Przyjmując habit, zakonnicy zmieniali też imię, na znak zerwania z dotychczasowym życiem. Ale nowe, lepsze życie, o którym marzył młody Forgione, oka-

EDWARD AUGUSTYN / ZDJĘCIA: DOMENA PUBLICZNA

zało się trudniejsze, niż przypuszczał. Ciężkie warunki w klasztorze i słaba kondycja fizyczna brata Pio sprawiły, że szybko podupadł na zdrowiu. Wysokiej gorączce, wymiotom i osłabieniu organizmu towarzyszyły ekstazy, widzenia i walki z mocami ciemności. Szatan kusił go (w zjawie nagiej kobiety), zwodził (podszywając się pod przełożonych zakonnych lub świętych), straszył (przyjmując postać groźnego psa), a nawet fizycznie atakował (biczując do krwi, ciskając meblami). Lekarze nie potrafili zdiagnozować choroby. W październiku 1907 r. przełożeni po raz pierwszy poprosili rodziców, by zabrali młodego zakonnika do domu. Grazio przyjechał po niego wagonem pierwszej klasy, potem zamówił dorożkę.

Pobyt w rodzinnych stronach okazał się dla brata Pio zbawienny. Natomiast każdy powrót do klasztoru wiązał się z nawrotem choroby. Zakonnik coraz więcej czasu spędzał poza klauzurą, miał opóźnienia w nauce. Przełożeni, bojąc się, że nie pożyje długo, poprosili Watykan o dyspensę na święcenia kapłańskie przed ukończeniem 24. roku życia. Przyjął je w sierpniu 1910 r. w katedrze w Benewencie, ale nadal nie wracał do klasztoru, czego przepisy nie przewidywały. Groziło mu usunięcie z zakonu, proboszcz załatwiał już formalności z przeniesieniem do diecezji. Nie doszło do tego jedynie dzięki niezwykłej wyrozumiałości nowego prowincjała, ojca Benedetto, który z cierpliwością przyjmował coraz to nowe wyjaśnienia. Przełożony był pod wrażeniem mistycznych doznań ojca Pio. Prosił, by wszystko dokładnie opisywał mu w listach, co młody zakonnik sumiennie czynił, od czasu do czasu posiłkując się dopiero co wydanymi wspomnieniami Gemmy Galgani, stygmatyczki z Lukki. Sam stygmatów jeszcze nie miał, dojdzie do tego w 1918 r.

Poza klasztorem, w domu brata Michele, ojciec Pio spędził ponad sześć lat. A jako że we Włoszech wiadomości rozchodzą się z szybkością wprost proporcjonalną do stopnia ich poufności, wszyscy wiedzieli o jego nadprzyrodzonych zdolnościach – wizjach, bilokacjach, czytaniu w myślach – i otaczała go aura świętości. W 1916 r. przełożeni podjęli ostatnią próbę przywrócenia go do zakonnej wspólnoty. Przeniesiony do San Giovanni Rotondo, został tam aż do śmierci w 1968 r. Za konsekwentnie realizowany ideał zakonnej świętości, przemawiający do wyobraźni i serc tysięcy osób, płacił wysoką cenę: nieustannych oskarżeń o oszustwo, megalomanię, nieposłuszeństwo i grzeszne relacje z kobietami.

Ostatnia podróż

Statek „Berlin" cały dzień cumował na rzece Hudson, czekając na wejście do portu. We wtorek, 13 kwietnia 1910 r., Grazio Forgione przeszedł kontrolę „sześciu sekund". Oświadczył, że ma zamiar zatrzymać się u syna, Michele, we Flushing (dziś dzielnica Nowego Jorku), posiada przy sobie 23 dolary (z 30 zadeklarowanych w Neapolu), nie jest anarchistą ani poligamistą, nie miał konfliktu z prawem i nie był wcześniej w Ameryce.

Trzecia wyprawa przyniosła mu bodaj największy dochód: został kierownikiem ekipy robotników na farmie pod Nowym Jorkiem, z odpowiednio wysokim wynagrodzeniem. Ale były i koszta: zabrakło go na prymicjach syna i ślubie najstarszej córki. Nie było go w domu, gdy druga córka, Pellegrina, urodziła nieślubne dziecko i zerwała kontakty z rodziną. Miał świadomość, ile stracił: pod koniec życia z żalem wspominał, że nigdy żadnego ze swych dzieci nie wziął na ręce. Trudno go winić. Starał się, najlepiej jak potrafił, zadbać o dobrobyt rodziny.

To była jego ostatnia podróż do Ameryki. Być może plany pokrzyżowała wojna, może zaostrzone po niej amerykańskie przepisy imigracyjne (odmawiano prawa pobytu analfabetom), a może po prostu uznał, że jest zbyt stary i słaby. Poza tym zamieszanie wokół najmłodszego syna, któremu na dłoniach i stopach pojawiły się krwawe ślady, nie pozostało obojętne dla reszty rodziny. Już w latach 20. do Pietrelciny zaczęli przyjeżdżać, zwabieni medialnym szumem, pierwsi czciciele ojca Pio, chcący poznać jego bliskich i rodzinne miasto. Pojawili się dziennikarze i autorzy biografii, dla których Grazio stał się nieocenionym źródłem historii i anegdot. Szacunek i sława spłynęły, choćby po części, także na niego.

San Giovanni Rotondo odwiedzał często. Po śmierci żony przeniósł się tam na stałe, znajdując wsparcie i opiekę u „córek duchowych ojca Pio" – grona kobiet, które wiernie służyły stygmatykowi i szerzyły jego kult. Zamieszkał u jednej z nich, Amerykanki Mary Pyle. Była przyjaciółką słynnej pedagog Marii Montessori i tłumaczką jej dzieł. Przebywając na wakacjach we Włoszech, odwiedziła kapucyńskiego mistyka i urzeczona jego osobą postanowiła przy nim pozostać. Obok klasztoru wybudowała trzypiętrowy dom, w którym spotykali się czciciele ojca Pio – każdy mógł u niej dostać posiłek i nocleg. W czasie II wojny stacjonowali tam amerykańcy żołnierze. Grazio lubił spędzać z nimi czas, grając wieczorami w teletombolę albo karty, wspominając podróże do Ameryki i opowiadając o swoim synu. Zmarł w 1946 r. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"



SZCZEPANÓW O „MARLENE"

W piątek 26 kwietnia KATARZYNA KUBISIOWSKA odwiedzi Bibliotekę Publiczną w Szczepanowie, żeby wspólnie z uczestnikami lekcji przeczytać fragmenty „Marlene" Angeliki Kuźniak i porozmawiać o tym, czym jest biografia reporterska.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quadgraphics · SALES MANAGO marketing automation

SZYMON

Hołownia: *Co sprzedaje?*



Jednym z nieusuwalnych źródeł napięcia pomiędzy chrześcijaństwem a polityką jest fakt, że o ile polityka (zwłaszcza ta partyjna) inwestuje tylko w tę grupę ludzi, którzy są w stanie zapewnić wyborcze zwycięstwo (tzw. żelazny elektorat plus parę czy parenaście procent, które trzeba pozyskać, a często komuś podebrać), o tyle chrześcijaństwo nie może osiąść na laurach po uformowaniu stabilnych 51 proc., bo ono ze swojej natury musi mówić do wszystkich bez wyjątku (i dlatego przez niektórych postrzegane jest dziś jako instytucja totalitarna, zagrożenie dla demokracji).

Ze skutecznością tego mówienia – jak widzimy – bywa różnie. Mimo że nasi religijni liderzy (piszę to z perspektywy katolika) w ciągu ostatnich dekad zrobili z kwestii zakazu aborcji sztandarowy postulat publiczny naszej wspólnoty, przeprowadzone na początku kwietnia na zlecenie „Gazety Wyborczej" przez Kantar badanie reprezentatywnej grupy Polaków wykazało, że 58 proc. moich rodaków popiera prawo do aborcji – uwaga – „na żądanie" do końca trzeciego miesiąca ciąży. Ten wskaźnik rośnie niezmiennie od chwili, gdy PiS wraz z ruchami pro-life próbował obalić obecny „zgniły kompromis aborcyjny" i zaostrzyć prawo.

Gdy pada pytanie o prawa, jakie państwo powinno przyznać osobom LGBT (to kolejny ulubiony obszar inwestycji sił, środków i energii naszego instytucjonalnego Kościoła), dokładnie połowa Polaków odpowiada, że jest za umożliwieniem zawierania im związków partnerskich. Za prawem do zawierania małżeństwa jest 41 proc., za umożliwieniem adopcji dzieci takim związkom opowiada się z kolei 18 proc. respondentów.

Te badania to oczywiście arcyciekawy temat do analizy dla socjologów, gołym okiem widać z nich bowiem, że stanowiska w sprawach światopoglądowych nie pokrywają się z wielkością elektoratów partii, które, upraszczając, identyfikujemy jako „konserwatywne" czy „liberalne" (33 proc. wyborców PiS popiera „aborcję na żądanie" w opisanym wyżej kształcie, przeciwko niej jest niemal 20 proc. wyborców Koalicji Europejskiej). Są one też jednak ewidentnym dowodem porażki naszej, kościelnej, obyczajowej krucjaty prowadzonej w tym zakresie z naprawdę nieprzeciętnym zaangażowaniem i kosztem.

Gdy patrzymy na inne dane: wyniki niedzielnej frekwencji w kościołach (a to nie tylko miernik osobistej religijności, to ważna składowa informacji o tym, jakiej jakości jest nasza wspólnota), interesuje nas w nich (i napawa poczuciem sukcesu) wyłącznie to, że 39 proc. katolików do kościoła chodzi. Nikogo (bo jeszcze nie słyszałem takiego głosu) specjalnie w tym kontekście nie mobilizuje i nie porusza to, że 61 proc. do tegoż kościoła nie chodzi. Trudno byłoby więc chyba oczekiwać, że na kimś na naszych kościelnych szczytach zrobi wrażenie zacytowany wyżej sondaż. Swoją drogą, to ciekawe: ilu Polaków musiałoby opowiedzieć się za absolutną dowolnością aborcyjną, by do naszych biskupów, księży i prolajferów dotarło, że coraz głośniejsze krzyczenie na ludzi „Nie rób tego!", budzące złość wszystkich poza ich organizatorami happeningi urządzane pod szpitalami albo wymachiwanie kobietom przed nosem kajdankami – doprowadzą do tego, że wkrótce będziemy mieć tu prawo jak to, które niedawno wprowadzono w stanie Nowy Jork (pisałem o tym w numerze 6 „Tygodnika")? Dwie trzecie? Jesteśmy już przecież bardzo blisko.

Czy to tylko społeczna przekora: skoro ktoś chce dokręcić śrubę, pokażemy mu, gdzie raki zimują? Wydaje mi się, że nie tylko. Świadectwem naszej głębokiej ewangelizacyjnej porażki jest fakt, że statystyczny Polak (przeprowadzałem kiedyś dla siebie takie testy), zapytany na ulicy o stanowisko Kościoła katolickiego w dowolnej kwestii obyczajowej, będzie odpowiadał z werwą i godzinami. Zapytany zaś o Jezusa Chrystusa, albo żachnie się, że to prywatna sprawa, albo wyduka parę zdań wkutych w prawiekach na lekcji religii. Kościół w oczach zbyt wielu moich rodaków jest dziś swoistym seksualno-prokreacyjnym Sanepidem, instytucją, której sensem istnienia, misją, jest roszczenie sobie prawa do normalizacji i publicznej kontroli prywatnych sfer życia u całości społeczeństwa.

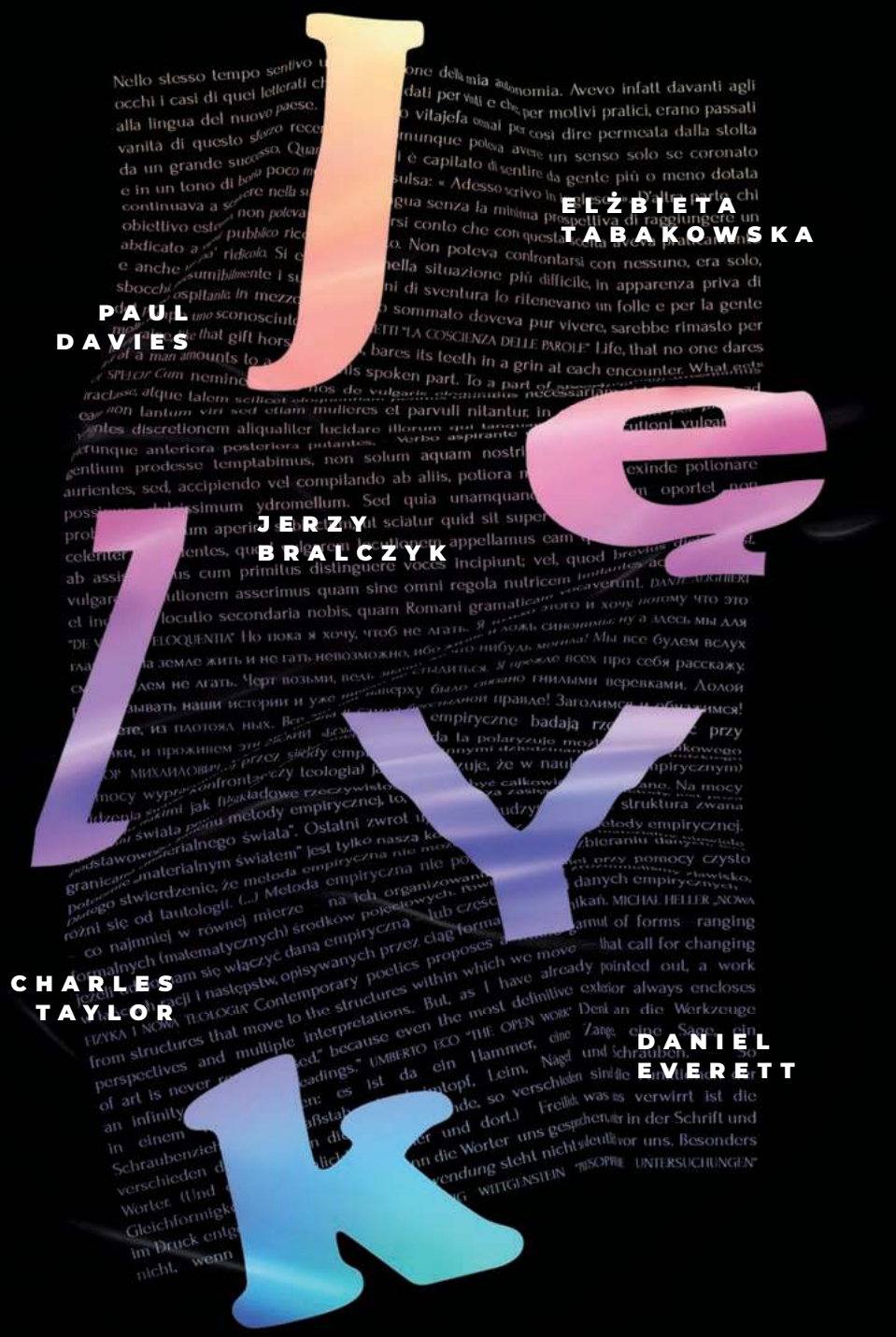
To bardzo krzywdzący obraz. Tylko czy my rzeczywiście nie zachowujemy się czasem jak młynarz, który mając u siebie najwyższej jakości mąkę, upiera się, że osiągnie mistrzostwo w sprzedawaniu ludziom – również rzecz jasna potrzebnych w wielu obszarach życia – gwoździ? Unikatowym „towarem" chrześcijaństwa, „towarem" próby takiej, że do tego poziomu nie jest w stanie zbliżyć się (choć próbowało wielu) nikt inny, nie jest etyka seksualna czy koncept społeczny. One pojawiają się później, jako skutki, jako operacjonalizacja. Prymarna i najważniejsza jest bowiem zawsze oparta na Zmartwychwstaniu nadzieja. Parafrazując jedną z myśli papieża Franciszka: jeśli jesteś chrześcijaninem, człowiek ze spotkania z tobą powinien wyjść nie tyle mądrzejszy (bo wtedy nadajesz się na nauczyciela) albo w bardziej walecznym nastroju (bo wtedy raczej idź pracować do wojska), on – niezależnie od tego, jak powikłane jest obecnie jego życie – ma wyjść z mniejszą sumą lęku, z większą sumą nadziei. I na tym fundamencie dopiero może budować swoje decyzje, w tym te o przerwaniu lub nie ciąży, przyjęciu uchodźców, podzieleniu się majątkiem etc.

Powtórzmy: chrześcijanin ma być superspecem od jednego – nadziei. Z tym mamy się kojarzyć, jak z niczym innym, bo to nadzieja pozwala żyć w nas miłości, na czym w sumie polega przecież nasza wiara. I właśnie z tym kojarzymy się wielu dziś ludziom najmniej. Nie jest to temat na głębszy rachunek sumienia? Metropolita Nowego Jorku kardynał Timothy Dolan tłumaczył kiedyś, że świat marketingu żyje w przekonaniu, iż „*sex sells*" (seks sprzedaje), więc wystarczy dodać tu i ówdzie aluzję do seksu, by człowiek towar kupił. Popatrzcie jednak na polityków, na bankierów, nawet na sprzedawców aut – nie seks sprzedają, a nadzieję. Powtórzmy więc po raz trzeci: mamy dokładnie to, czego ludzie najbardziej w naszym pochrzanionym do imentu świecie potrzebują. I właśnie tego tym ludziom najmniej dajemy. I właśnie dlatego przestają do nas przychodzić. Bo ile razy jeszcze mają się przekonać, że nie da się upiec chleba z naszych wspaniałych gwoździ? ©

REKLAMA

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL 2019: JĘZYK



ELŻBIETA TABAKOWSKA

PAUL DAVIES

JERZY BRALCZYK

CHARLES TAYLOR

DANIEL EVERETT

21–26.05.2019

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

Kraków
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY



KONIEC BURZLIWEJ EPOKI

Współczesną Japonię można odmalować w dwóch barwach: mrocznej i całkiem jasnej. Rzeczywistość rozpina się gdzieś pomiędzy. To trochę jak z oceną kończącej się właśnie ery Heisei.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Japończycy używają jednocześnie dwóch kalendarzy. Obok gregoriańskiego czas dzielą na ery, które odpowiadają panowaniu kolejnego monarchy.

Gdy zatem we wtorek 30 kwietnia abdykuje obecny cesarz Akihito, skończy się też trwająca 31 lat era Heisei (jap. osiągnąć pokój). Następnego dnia cesarzem zostanie następca tronu Naruhito i Japonia powita pierwszy rok nowej ery, dla której wybrano nazwę Reiwa (jap. piękna harmonia).



CHARLY TRIBALLEAU / AFP / EAST NEWS

Shibuya – dzielnica handlu i rozrywki w Tokio, 20 marca 2019 r.

Choć po roku 1945 – po klęsce, którą Japonia poniosła podczas II wojny światowej – cesarz wyrzekł się swojej boskości i odtąd pełni jedynie symboliczne funkcje, przejście w nową erę oznacza coś więcej niż wymianę kalendarzy, pieczątek czy oprogramowania komputerowego. Tak jak „okres wiktoriański" budzi określone skojarzenia w odniesieniu do XIX-wiecznej Anglii, tak też podobnie jest w Japonii: era Meiji (1868–1912) stała się synonimem utworzenia nowoczesnego państwa, panowanie zaś cesarza Hirohito i era Showa (1926–1989) to najpierw militaryzm i klęska wojenna, a potem pacyfizm oraz cud gospodarczy Japonii.

Nic więc dziwnego, że kiedy w 2016 r. schorowany 83-letni Akihito poinformował, że chce odejść, w Japonii przystąpiono do podsumowań minionych trzech dekad: od rankingów artystów i sportowców, po analizy w poważnych czasopismach i specjalnie wydanych książkach. Spytano też Japończyków, jaki wyraz najlepiej definiuje erę Heisei.

Wygrało słowo „burzliwy", wyprzedzając słowo „stagnacja".

Numer jeden

Kiedy w 1989 r. Akihito wstępował na tron cesarski, Japonia była w apogeum rozwoju.

Firmy japońskie zalewały świat elektroniką i samochodami, inwestowały w wieżowce Manhattanu i studia filmowe Hollywood, a ceny akcji i gruntu w Japonii biły kolejne rekordy. W pewnym momencie działka pod pałacem cesarskim w centrum Tokio była warta więcej niż całe terytorium Kanady.

Książka „Japan as Number One" („Japonia jako numer jeden") amerykańskiego socjologa Ezry Vogela z 1979 r. jest do dziś – obok Harry'ego Pottera – największym zagranicznym bestsellerem w Japonii. Autor przekonywał, że nie tylko w gospodarce, ale właściwie w każdej dziedzinie życia Japonia jest najlepsza na świecie.

Za sukcesami szła coraz większa arogancja: Japończycy przypisywali ludziom Zachodu lenistwo, brak dyscypliny i ogólnie dekadencję.

Pierwsze ostrzeżenie przyszło już pod koniec 1990 r., gdy w krótkim czasie indeks japońskiej giełdy stracił połowę swej wartości. W kolejnych miesiącach, a potem latach, gospodarka rozwijała się coraz wolniej, by ostatecznie pogrążyć się w stagnacji. Pojawiła się deflacja, a spadające ceny gruntów doprowadziły do bankructwa kilku banków, które udzielały kredytów pod hipotekę. Jak mówią Japończycy: pękła bańka mydlana.

Z prymusa Japonia stała się chłopcem do bicia. Chorobą dotknięte miało być też społeczeństwo: starzejące się, pesymistyczne, samotne. I coraz bardziej nieufne wobec własnych polityków. W pierwszych dwóch dekadach ery Heisei Japonia miała aż 14 premierów – polityków w większości słabych i bezbarwnych, których nazwiska trudno sobie dziś przypomnieć.

O ile na początku lat 90. XX w. mogło się jeszcze wydawać, że Japonia popadła tylko w chwilową zadyszkę, to po wydarzeniach roku 1995 Japończycy musieli już spojrzeć na siebie inaczej: mit japońskiej doskonałości sypał się na ich oczach.

Podwójny cios

17 stycznia tamtego roku w mieście Kobe zatrzęsła się ziemia, zginęło blisko 6,5 tys. ludzi.

Tymczasem zaledwie kilka miesięcy wcześniej – po obejrzeniu szkód spowodowanych przez trzęsienie ziemi w Los Angeles – japońscy inżynierowie przekonywali, że Japonia może czuć się bezpieczna: że Amerykanie są mniej zaawansowani technicznie i japońskie konstrukcje wytrzymają nawet silniejszy wstrząs. Ich arogancja została ukarana: w Kobe zniszczeniu uległy nie tylko domy zwykłych ludzi, ale też nowe drogi i estakady.

Potem przyszedł 20 marca i zamach w metrze tokijskim, dokonany gazem bojowym przez sektę Aum. Zginęło 12 osób, 50 zostało poważnie rannych, ponad tysiąc poszkodowanych miało potem kłopoty ze wzrokiem. Szokujący był sam akt terroru, dokonany w jednej z najbezpieczniejszych metropolii na świecie. Ale jeszcze bardziej to, że „żołnierzami" na wpół obłąkanego guru, głoszącego katastroficzną wizję świata, zostawali absolwenci elitarnych uniwersytetów, głównie nauk ścisłych, poszukujący sensu życia.

To, że obsesja na punkcie wzrostu gospodarczego po II wojnie światowej wyjaławia duchowo Japończyków, było częstym motywem japońskiej sztuki już od lat 50. XX w. Problem wyostrzył się jednak dopiero teraz, w erze Heisei. Z jednej strony utrzymały się bowiem sztywne reguły konformistycznego społeczeństwa (zakładające poświęcenie dla korporacji, w zamian za stabilność zatrudnienia do emerytury i rosnącą konsumpcję). Jednak – z drugiej strony – słabnąca gospodarka i niepewność jutra nie zapewniały już tej gratyfikacji co kiedyś, w postaci pewności zatrudnienia i rosnącej konsumpcji. Wielu ludzi, zwłaszcza młodych, nie potrafiło odnaleźć się w nowej sytuacji. Mogli pytać, po co takie życie – nie dość, że mało ekscytujące, to jeszcze bez nagrody, jaką mieli ich ojcowie i dziadkowie.

Haruki Murakami, najsłynniejszy japoński pisarz, twierdził wtedy, że Japonia ma szansę na pierwsze pokolenie nonkonformistów, które – nawet jeśli uboższe od ↦

↦ rodziców – porzuci stary model i będzie szukać własnej indywidualnej drogi rozwoju i spełnienia, na własną rękę. Tak jak uczynił to on sam: w latach 70., po studiach, zamiast zatrudnić się w korporacji, otworzył bar jazzowy w Tokio, próbując jednocześnie pisać książki.

Z czasem Murakami odniósł wielki sukces, ale czy jego życie stanowić może wzór dla młodego pokolenia? Media piszą o studentach zakładających start-upy albo spełniających się w sektorze pozarządowym. Jednak dla większości „fantastów" – jak nazywa ich znany socjolog Masahiro Yamada – główny nurt społeczeństwa ma wciąż niewiele wyrozumiałości. Wyjście poza jego ramy kończy się często nie tyle indywidualnym spełnieniem, co samotnością.

Słownik ery Heisei

20-letni syn moich tokijskich znajomych od kilku lat nie wychodzi z domu. Swój pokój opuszcza tylko w nocy, a czas spędza, grając na komputerze. Pierwsze problemy pojawiły się w gimnazjum, gdy koledzy zaczęli mu dokuczać, że jego urodzona w Tajlandii matka „śmiesznie" mówi po japońsku, a on sam nie jest prawdziwym Japończykiem.

Ten młody człowiek to tzw. *hikikomori*, jeden z fenomenów ery Heisei. To aż milionowa grupa osób, które w jakimś momencie życia odcięły się od społeczeństwa, przedkładając wirtualny świat ponad realne więzi międzyludzkie. Żyją na koszt najbliższych, czasem emerytowanych już rodziców.

Inną grupą charakterystyczną dla ery Heisei są tzw. *waakinpua* (z ang. *working poor*), czyli „pracujący, ale biedni" – problem szczególnie bolesny w społeczeństwie, które do czasu kryzysu niemal w całości uważało się za klasę średnią. Tymczasem od lat 90. XX w. coraz więcej firm, zamiast etatu, zaczęło oferować jedynie niską stawkę godzinową – wystarczającą, aby przeżyć, ale już niestarczającą na to, żeby np. założyć i utrzymać rodzinę.

Wywołało to turbulencje na rynku matrymonialnym. Wedle japońskich zwyczajów mężczyzna bez stabilnego zatrudnienia (tj. jedna firma do emerytury) ma niewielkie szanse na zawarcie małżeństwa. Wielu z nich nawet nie próbuje szukać partnerki. Rośnie zatem liczba singli, również dlatego, że kobiety nie potrafią obniżyć oczekiwań wobec partnera.

Wspomniany już socjolog, prof. Yamada, ukuł w latach 90. słowo *parazaito single* (pojedynczy pasożyt) – o kobietach, często już po trzydziestce, które nie wychodzą za mąż i choć pracują, to żyją na utrzymaniu rodziców. Tak jest im wygodniej, bo dochody mogą przeznaczać na przyjemności. A poza tym czekają na idealnego kandydata, którego znaleźć niełatwo. Jeśli wychodzą za mąż, to późno, z wszelkimi tego konsekwencjami dla demografii. W Japonii wskaźnik dzietności wynosi tylko 1,4 – natomiast rodzina liczy średnio 2,2 osoby. Aż 23 proc. mężczyzn i 14 proc. kobiet po 50. roku życia nigdy nie brało ślubu. Populacja 126-milionowego kraju kurczy się o 300 tys. ludzi rocznie.

Wiele krajów rozwiniętych ma podobne problemy. Spadek liczby ludności czy niedobór rąk na rynku pracy łagodzą zwykle przyjmując imigrantów. Jednak dla wyspiarskiej Japonii zawsze stanowiło to wyzwanie.

Syndrom Galapagos

Zapytano kiedyś Dalajlamę, czego życzy Japonii. Wbrew oczekiwaniom, nie wspomniał nic o wartościach duchowych. Rzucił tylko: „Znajomości angielskiego!".

W istocie – na tle innych Azjatów Japończycy słabo radzą sobie z językami obcymi. Problem jest jednak szerszy, w skrócie określić go można „syndromem Galapagos". Pojęcie to zawładnęło japońskimi mediami na początku XXI w. Oznacza rozwój, ale w izolacji od świata.

Japończycy zaczęli się wtedy zastanawiać, dlaczego w niektórych dziedzinach dali się wyprzedzić zagranicznym konkurentom. Wszak koreański Samsung ewidentnie zdystansował firmy takie jak Sony czy Sharp. Albo dlaczego to nie Japonia podbiła świat odpowiednikiem Facebooka, Twittera i Google'a?

Pytanie tym bardziej zasadne, bo przecież na wiele pomysłów japońscy specjaliści IT wpadli szybciej niż ich odpowiednicy z amerykańskiej Doliny Krzemowej. To w Japonii pojawił się przykładowo pierwszy telefon komórkowy z dostępem do internetu oraz z wbudowanym aparatem fotograficznym. Kłopot w tym, że pracował w systemie niekompatybilnym z resztą świata. Często Japończycy nie potrafili dokonać zaledwie drobnej korekty, choćby inaczej opakować produkt, by z sukcesem sprzedać go za granicę. Pokazuje to przykład z rynku AGD w Indiach: Koreańczycy pobili na nim japońskich rywali, bo podpatrzyli, że Hindusi często montują zamek w swoich lodówkach.

Japonia wciąż produkuje więc elektronikę na najwyższym poziomie, tyle że sprzedaje ją często w obcej obudowie, a więc i z mniejszym zyskiem. Produkty Apple'a czy Samsunga naszpikowane są japońskimi komponentami. Jak z sarkazmem zauważa jednak Yasuchika Hasegawa, szef organizacji przedsiębiorców Keizai Doyukai, marka „*made in Japan*" została zastąpiona przez „*inside Japan*" (wewnątrz Japonia).

Najazd obcych

Jednak naturalny odruch izolowania się Japonii od świata w ostatniej dekadzie ery Heisei zderzył się z przeciwnym zjawiskiem: lawinowo wręcz rośnie liczba turystów, którzy chcą zobaczyć Kraj Kwitnącej Wiśni. W 2013 r. było ich 10 mln, w zeszłym roku już prawie 30 mln, a w przyszłym (rok letnich igrzysk olimpijskich w Tokio) ma przyjechać ponad 40 mln.

Coraz więcej pojawia się też imigrantów zarobkowych. Obcokrajowcy, zwykle Azjaci, pracują w sklepach, na roli, w rybołówstwie. Nie oznacza to, że Japonia pokochała obcych – 40 proc. z nich skarży się na dyskryminację. Górę bierze pragmatyzm: turyści dostarczają gospodarce gotówki, a imigranci zarobkowi, zatrudniani zwykle za najniższe stawki, wypełniają rosnącą lukę na rynku pracy. Jeden przykład: szacuje się, że w najbliższych latach Japonia potrzebować będzie nawet 700 tys. osób personelu do opieki nad starszymi ludźmi. Podnoszenie wieku emerytalnego i aktywizacja zawodowa kobiet mogą temu nie sprostać.

Dotąd Japończycy zawsze znaleźli sposób, by w odpowiednim momencie – choćby przez specyfikę przepisów imigracyjnych – ograniczyć lub wręcz pozbyć się obcych ze swojego terytorium. Teraz mogą jednak stanąć przed wyborem: albo otworzymy się szeroko na obcych i zachowamy dotychczasowy poziom życia, albo godzimy się z jego spadkiem.

Odpowiedź na ten dylemat wcale nie jest oczywista.

Japoński dylemat

Takeshi Kitano – znany za granicą jako reżyser filmowy – to w Japonii człowiek-instytucja świata mediów i rozrywki. Od lat nie schodzi z ekranów, komentując rzeczywistość, często we frywolny sposób.



THE ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

Ogłoszenie Reiwy, nowej ery w dziejach Japonii – ulice Tokio, 1 kwietnia 2019 r.

W 2017 r., po kolejnych doniesieniach o rosnącej imigracji oraz o braku manier u obcokrajowców, Kitano stwierdził, że Japonia „poświęca integralność swojej kultury za pieniądze". „Czy nie lepiej zostać biednym?" – pytał.

Jako gwiazda rozrywki Kitano raczej nie narzeka na brak gotówki, można mu więc zarzucić hipokryzję. Ale dylemat, który postawił – utrzymania kulturowej homogeniczności, nawet kosztem dobrobytu – wcale nie jest w Japonii czymś wyjątkowym. W 2005 r. eseista Masahiko Fujiwara sprzedał dwa miliony egzemplarzy swojej książki noszącej tytuł „Godność narodu". Fujiwara pisał o „kulcie wzrostu PKB" w Japonii oraz o tym, że pogoń za rozwojem gospodarczym oślepiła Japończyków. Postulował wręcz jakąś formę powrotu do czasów, zanim Japonia została „zanieczyszczona" brutalnym amerykańskim kapitalizmem.

Dyskusja ta ożyła po wycieku radioaktywnym w elektrowni w Fukuszimie, a zwłaszcza po tym, gdy ukazał się raport komisji parlamentarnej badającej przyczyny tej awarii. Stwierdzono, że była wynikiem błędów ludzkich oraz filozofii forsowania „cudu gospodarczego" za wszelką cenę, nawet kosztem norm bezpieczeństwa.

Wiele osób w Japonii i za granicą pytało wtedy, czy tragedia ta jakoś zmieni Japonię. Z perspektywy lat widać, że jedynym namacalnym wydarzeniem stało się w 2012 r. objęcie teki premiera przez Shinzo Abe (jest szefem rządu do dziś). Zapowiadał walkę z deflacją, zmianę pacyfistycznej konstytucji i odejście od „masochistycznej" edukacji, czyli bicia się w piersi za wojenną przeszłość.

W niepewnych czasach i przy rosnącej u boku chińskiej potędze Japończykom odpowiada zapewne ktoś taki jak Shinzo Abe, z wizerunkiem silnego człowieka. Nawet nowa era Reiwa, o której nazwie ostatecznie to premier Abe decydował, da się po japońsku czytać na różne sposoby. Nie tylko jako „piękna harmonia", ale też, jak podkreślają przeciwnicy premiera, jako harmonia narzucona siłą, rozkazem.

Gdzie ten kryzys?

O ile na przełomie wieków mówiło się o utraconej dla Japonii dekadzie, a potem o kolejnej, o tyle dziś rzadko słychać, że cała era Heisei jest do spisania na straty.

Skutki kryzysu światowych finansów, który zaczął się w 2008 r., pokazały, że japońska choroba wcale nie jest taka wyjątkowa. Wiele państw rozwiniętych nie potrafi uporać się z niskim wzrostem gospodarczym, groźbą deflacji czy rosnącym długiem publicznym. Co więcej, zaczęto nawet dostrzegać atuty Japonii. Pewien angielski dziennikarz, który znał ten kraj jedynie z doniesień medialnych, po wizycie w Tokio napisał: „Jeśli tak wygląda stagnacja, to ja chcę mieć ją u siebie".

Przyjrzyjmy się twardym danym. W erze Heisei gospodarka Japonii wzrosła nominalnie tylko o 20 proc., a amerykańska i brytyjska prawie trzykrotnie. Tylko że różnica ta wynika z japońskiej deflacji oraz ze wzrostu liczby ludności w tamtych krajach. Bo już według parytetu siły nabywczej dochód na jednego mieszkańca w tym okresie zwiększył się u całej trójki o podobną wartość.

Owszem, Japonia ma sięgający 250 proc. dług publiczny, ale jest on w ręku własnych obywateli. Tymczasem Włosi, Francuzi czy Grecy zadłużeni są wprawdzie trochę mniej, ale w niemałym stopniu u obcych, będąc przez to narażonymi na ataki spekulacyjne. Owszem, dziś Samsung wygrywa z japońskimi konkurentami, ale np. w liczbie Nagród Nobla z nauk ścisłych – za sam okres Heisei – Japonia ma 18 laureatów (sic!), a Korea Południowa żadnego.

Trudno nie dostrzec też względnej zamożności Tokio i innych dużych miast. Może nie kipią już taką energią jak kiedyś, ale ludzie są dobrze ubrani, jest czysto, bezpiecznie, uprzejmie, a pociągi odjeżdżają punktualnie. Przewrotnie można by nawet zapytać, czy niektóre choroby ery Heisei (jak zjawisko *hikikomori*) nie są dowodem osiągniętej zamożności? Wszak utrzymywanie przez lata dorosłego człowieka w kraju, który tani nie jest, sporo kosztuje. I czy faktycznie aż takim problemem będzie, gdy liczba ludności Japonii, położonej na kilku górzystych wyspach, spadnie nieco z obecnych 126 mln? To, że Japończycy są jednym z najbardziej długowiecznych narodów na świecie, też świadczy o poziomie rozwoju społeczeństwa, a na pewno o dobrze funkcjonującej służbie zdrowia. Nawet jeśli wielu starszych ludzi odczuwa samotność.

Współczesną Japonię można zatem odmalować w dwóch barwach: mrocznej i całkiem jasnej. Rzeczywistość rozpina się gdzieś pomiędzy. To trochę jak z oceną kończącej się ery Heisei. Starsi, którzy pamiętają czas dynamicznego (choć i na pokaz) rozwoju, oceniają ją bardziej krytycznie. Natomiast dla młodych jest to jedyna Japonia, jaką znają, i w większości są z niej zadowoleni. © PIOTR BERNARDYN

Wirtualny front ukraiński



PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA

Od początku wojny w Donbasie Ukraina jest celem nie tylko rosyjskiej armii i kampanii propagandowej, ale też rosyjskich hakerów. Kreml traktuje ją jak poligon cyberwojny. Tak będą wyglądać konflikty przyszłości.

Kompleks biurowy we wschodniej części Kijowa wyróżnia się na tle okolicy, w której dominuje zabudowa niska i stara. Na ostatnim piętrze znajdziemy biuro Information Systems Security Partners (ISSP) – firmy, która zajmuje się bezpieczeństwem oraz zagrożeniami w cyberprzestrzeni.

Choć działa na tutejszym rynku od 10 lat, to dopiero ostatnie pięć były naprawdę wymagające. Od 2014 r. doszło nie tylko do rosyjskiej agresji na Krym i Donbas, lecz także do całej serii cyberataków, których ofiarami padały serwery i komputery zarówno w sektorze publicznym, jak też prywatnym.

Cyberataki wielokrotnie paraliżowały instytucje państwowe i siały zamieszanie – co było dodatkowym jeszcze ciężarem dla kraju wciągniętego w konflikt zbrojny, w którym po stronie ukraińskiej zginęło co najmniej 13 tys. ludzi (żołnierzy i cywilów), 30 tys. zaś odniosło rany (strona rosyjska i donbascy separatyści nie podają oficjalnie swoich strat).

Cel: chaos i niepokoje

Do pierwszego cyberataku – zidentyfikowanego jako powiązany z tym, co stało się na Ukrainie w wyniku Majdanu – doszło tuż przed wyborami prezydenckimi. Zaplanowane na koniec maja 2014 r., miały wyłonić głowę państwa w miejsce zbiegłego do Rosji Wiktora Janukowycza.

Wówczas zaatakowano Centralną Komisję Wyborczą. Powiązana z Rosją grupa hakerów, występująca pod nazwą „Cyber Berkut" (zapewne nieprzypadkowo taką właśnie: nazwę „Berkut" nosiły wcześniej, za rządów Janukowycza, oddziały specjalne policji), włamała się na serwery tuż przed ogłoszeniem wyników wyborów. Jej wtargnięcie wykryto w ostatnim momencie – dzięki temu nie zostały ogłoszone fałszywe rezultaty. Zgodnie z nimi – wprowadzonymi do serwerów przez Cyber Berkut zwycięzcą miał zostać nie Petro Poroszenko, lecz Dmytro Jarosz, ówczesny lider nacjonalistycznego Prawego Sektora.

Wówczas hakerzy zaatakowali ponownie Centralną Komisję Wyborczą przed wyborami parlamentarnymi, które odbyły się w październiku 2014 r. Szkody nie były wielkie, choć strona Komisji nie działała przez jakiś czas.

Obawa przed ingerencją Rosji w ukraińskie systemy wyborcze jest więc duża także w tym roku, gdy odbywają się dwa ważne głosowania. Najpierw prezydenckie [ich druga tura 21 kwietnia, w której spotkali się Poroszenko i Wołodymyr Zełenski, odbyła się już po oddaniu tych kolumn „Tygodnika" do druku – red.], a jesienią parlamentarne. Podczas pierwszej tury nie było zakłóceń. Ale wcześniej – w grudniu 2018 r. i pod koniec lutego tego roku – doszło do prób wyłudzenia danych do logowania, przez zmasowane kampanie phishingowe. Co będzie w kolejnych miesiącach, nie wiadomo.

– Kluczowym celem Rosji może być wzniecenie fali niezadowolenia i protestów, aby stworzyć obraz Ukrainy jako państwa upadłego – twierdzi Ołeh Derewjanko.

44-letni Derewjanko jest prezesem ISSP. Ubrany w puchową kamizelkę i szarą koszulę, w trakcie rozmowy w śnieżnobiałym biurze buja się na krześle.

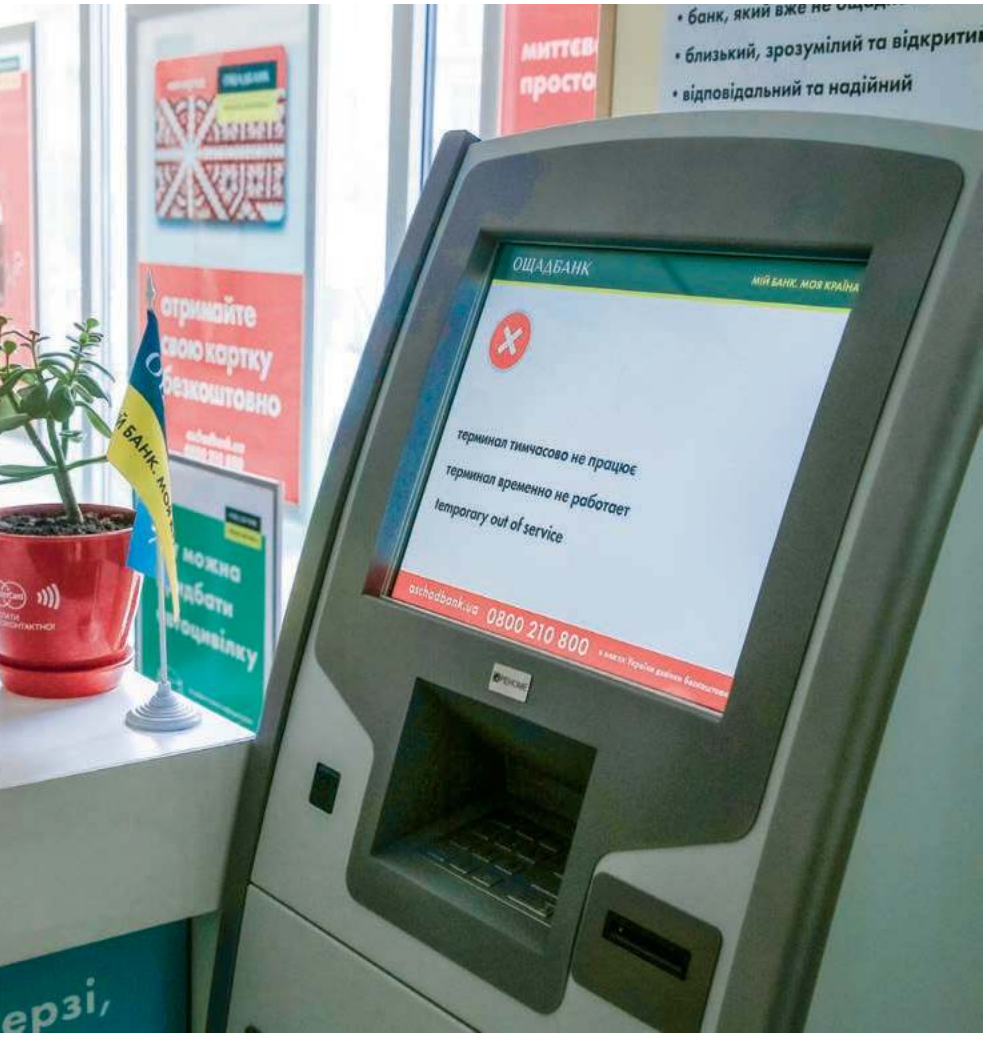
Ołeh Derewjanko uważa, że ten cel Rosji może zostać osiągnięty, jeśli hakerzy przeszkodzą w wyborach, a różnica między poszczególnymi partiami będzie nieznaczna. Wtedy łatwo o to, aby przegrani uznali je za sfałszowane i wezwali na pomoc ulicę, by „przywróciła sprawiedliwość".

Poligon Ukraina

W przypadku „klasycznej" wojny, która od pięciu lat trwa na wschodniej Ukrainie, łatwo jest określić, gdzie znajduje się linia frontu między wojskami ukraińskimi a wspieranymi przez Rosję separatystami, których oddziały zasilają rosyjscy wojskowi, rosyjski sprzęt i rosyjskie zaopatrzenie. Trudniej jednak zrobić to w przypadku cyberwojny – jak określa ją dziś wielu ekspertów na świecie.

Podobnego pojęcia używa Ołeh Derewjanko. – Tutaj nie da się znaleźć takiej linii frontu. Frontem jest tak samo Ukraina, jak Stany Zjednoczone, Niemcy, Austria czy Polska – twierdzi informatyk. – Ona jest wszędzie. Ale nie wszędzie jest tak, że jakiś kraj funkcjonuje jako swego rodzaju „laboratorium testowe".

Takim „poligonem" jest właśnie Ukraina. „Uważam Ukrainę za punkt zero, jeśli chodzi o zagraniczne wtrącanie się w wybory, bo stawka dla Rosji jest duża" – mówił w wywiadzie dla „Washington Post" były sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Miał na myśli wydarzenia z 2014 r., do których doszło na dwa lata



VALENTYN OGIRENKO

Kilka godzin po cyberataku – w oddziale państwowego Oszczadbank, Kijów, 27 czerwca 2017 r.

przed wyborami prezydenckimi w USA. Zwyciężył w nich Donald Trump, a Rosjanie są oskarżeni, że ingerowali w przebieg kampanii wyborczej, także za pomocą ataków hakerskich.

Jednak rok 2014 – to był dopiero początek ukraińskich problemów w cyberprzestrzeni. W latach 2015-16 hakerskie cyberataki na ukraińską infrastrukturę dwukrotnie doprowadziły do rozległej awarii zasilania. W grudniu 2015 r. niemal ćwierć miliona ludzi zostało pozbawionych prądu. Rok później światło zgasło w północnej części Kijowa i okolicznych miejscowościach. To były wyjątkowe cyberataki w skali globalnej.

– Wszystko odbyło się zdalnie. Te ataki pokazały, jak można przejąć kontrolę nad sieciami energetycznymi bez fizycznej obecności na miejscu – wyjaśnia Derewjanko.

Mniej więcej w tym samym okresie, gdy doszło do ataku w Kijowie, hakerzy uderzyli też na serwery kolei państwowej, ministerstwa infrastruktury, ministerstwa finansów i skarbu państwa. O mały włos doszłoby do utraty danych, na podstawie których wypłacane są emerytury i renty.

„Pietia" uderza podczas weekendu

Te wszystkie ataki to było jednak nic w porównaniu z tym, co stało się 27 czerwca 2017 r. Tego dnia doszło do finałowej fazy najbardziej skomplikowanego i destruktywnego ataku, jakiego doznała Ukraina.

Wszyscy szykowali się do długiego weekendu, bo tego dnia przypada święto państwowe: Dzień Konstytucji. Czujność była uśpiona. Także Ołeh Derewjanko wybierał się na urlop poza Kijów.

Gdy pojawiły się pierwsze informacje o cyberataku, nie przejął się zbytnio, gdyż do cyberataków na mniejszą skalę dochodzi nieustannie. Przekazał zadania swojej grupie i kontynuował trasę na wieś. Dopiero gdy dotarł w okolice domu letniskowego, zrozumiał, że wydarzyło się coś do tej pory niespotykanego. Z odpoczynku nic nie wyszło – cały czas przesiedział przed ekranem komputera.

Początkowo zbagatelizowany cyberatak szybko zbierał żniwa. Padały po kolei sieci kolejnych instytucji: państwowego Oszczadbanku, rządu, ministerstwa infrastruktury, kolei, lotnisk, poczty, a także państwowego operatora sieci telefonicznej UkrTelekom. Rykoszetem oberwały też niektóre media i prywatne firmy.

Nie wiadomo dokładnie, ile komputerów zostało zarażonych przez złośliwe oprogramowanie, ale ich liczba zapewne przekroczyła 100 tysięcy. Ogromna większość znajdowała się na Ukrainie, ale „NotPetya" – jak nazwano ów wirus – uderzył także w sprzęt informatyczny w Niemczech, Polsce i USA. Według Białego Domu straty poniesione z tego tytułu wynosiły jakieś 10 mld dolarów. Amerykański magazyn informatyczny „Wired" uznał to za jeden z najbardziej niszczycielskich cyberataków w dziejach internetu.

Była to długo planowana operacja. Niemal trzy miesiące przed finalną fazą ataku została utworzona luka w systemie firmy MeDoc. To producent najpopularniejszego na Ukrainie programu do rozliczania podatków. 27 czerwca 2017 r. automatycznie dokonała się aktualizacja programu – już ze zmienionym złośliwym oprogramowaniem. Przechwytywało hasła do sieci, podmieniało pliki, szyfrowało je i zarażało inne komputery. Dane były nie do odzyskania, nawet jeśli ofiary wpłacały okup (w wysokości mniej więcej 300 dolarów – zgodnie z poleceniem, które wyświetlało się na ekranie zainfekowanych komputerów).

– „NotPetya" miał kilka celów. Chodziło o przetestowanie tej nowej broni, o sprawdzenie szybkości regeneracji systemów, a także o przetestowanie skuteczności zwodniczej operacji w cyberprzestrzeni, jako że ten atak miał wyglądać jak próba wyłudzenia pieniędzy – wylicza Derewjanko. – Chodziło też o sprawdzenie, jak duże zamieszanie można w ten sposób wywołać. A także o zatarcie śladów po poprzednich działaniach.

– Należy zakładać, że hakerzy wciąż mają dostęp do wielu komputerów – dodaje informatyk.

Clausewitz obowiązuje także w cyberprzestrzeni

Metody ofensywnych działań w cyberprzestrzeni Rosja testuje i udoskonala od lat. ↦

↦ To jej są przypisywane ataki w Estonii z 2007 r. Wówczas władze tego kraju chciały przenieść pomnik, który upamiętniał sowieckich żołnierzy poległych w bitwie o Tallin, zbudowany w czasach Związku Sowieckiego – dla Estończyków żołnierze Armii Czerwonej byli okupantami.

Usunięcie pomnika nie spodobało się Rosji ani rosyjskiej mniejszości, która licznie zamieszkuje ten kraj. Zaczęły się protesty na ulicach, a wkrótce po nich doszło do zmasowanych ataków DDOS – to sytuacja, gdy wiele komputerów, często tzw. zombie (tj. przejętych przez hakerów), próbuje połączyć się z danym serwerem, przez co go przeciąża i blokuje. Za sprawą tych cyberataków nie działały serwery rządu, banków (niemożliwe były transakcje przez internet) i mediów.

Był to pierwszy atak na taką skalę. Potem, po raz kolejny Rosja zastosowała cyberataki w trakcie wojny z Gruzją w sierpniu 2008 r. Były to jednak proste metody, mające na celu chwilowe odwrócenie uwagi lub utrudnienie dostępu, jak wspomniane ataki DDOS.

Dopiero na Ukrainie połączono i zastosowano na wielką skalę złożone operacje, na które składały się: konwencjonalna akcja wojskowa, działania w cyberprzestrzeni, broń elektroniczna i operacje z dziedziny tzw. wojny informacyjnej (z użyciem mediów tradycyjnych i internetu, w tym serwisów społecznościowych).

– W końcu dla państw cyberwojna i cyberoperacje dyktowane są doktryną Clausewitza – mówi Ołeh Derewjanko. – To są tylko środki, narzędzia do osiągnięcia celów politycznych i ekonomicznych.

Derewjanko przedstawia to w militarnych kategoriach. Celem państwa jest zdobycie jak najszerszego dostępu i kontrola nad jak największym terytorium. W tym ujęciu każdy komputer można porównać do żołnierza rezerwy. Maszyny mogą być uśpione latami, aż wreszcie, gdy przyjdzie czas, zostaną wykorzystane do wyznaczonego zadania.

Żołnierze walczący na wschodniej Ukrainie często powtarzają, że zupełna cisza na froncie bywa gorsza niż aktywna faza działań, gdyż oznacza, że przeciwnik coś szykuje. Podobnie jest na cyberfroncie.

– Powinniśmy bardziej obawiać się ciszy na cyberfroncie niż widocznych już cyberataków. Gdy są już widoczne, możemy je zanalizować i przeciwdziałać. Tymczasem gdy ich jeszcze nie widzimy, tworzy to iluzję spokoju – mówi Derewjanko.

Haktywiści na cyberfroncie

Nie wiadomo nic na ten temat, aby państwo ukraińskie miało na swoich usługach potężne grupy hakerskie. Zamiast tego są jednak aktywiści, którzy próbują napsuć krwi Rosji.

– My nie strzelamy, nie siedzimy w okopach. Ale też chcemy bronić naszego kraju przed wrogiem i robimy to w taki sposób, w jaki potrafimy najlepiej – pisze do mnie w mailu Sean Townsend, rzecznik prasowy Ukraińskiego Cyber Aliansu.

Sean jest haktywistą. Określenie to pochodzi od słów haker i aktywista. Najbardziej znaną grupą tego typu byli Anonymous: przez lata atakowali serwery instytucji państwowych w krajach, które łamały demokrację, naruszały prywatność obywateli lub stosowały różne formy dyskryminacji. Swoimi działaniami często łamali prawo.

Ukraiński Cyber Alians to zrzeszenie różnych grup ukraińskich oraz zagranicznych (proukraińskich), które publikują przecieki i informacje o działaniach rosyjskich wojsk na Ukrainie. Sean Townsend twierdzi, że są niezbyt liczną i niezależną grupą, która od nikogo nie przyjmuje pieniędzy ani zleceń. Jak wyjaśnia, chcą pomóc w zwycięstwie nad Rosją.

Ukraiński Cyber Alians atakował więc strony internetowe i serwery rosyjskich instytucji państwowych, powiązanych z Kremlem mediów, a także cele w dwóch parapaństwach w obwodzie donieckim i ługańskim. W ostatnim czasie grupa szuka też luk w serwerach ukraińskiego rządu, aby zwrócić uwagę, że wciąż są źle zabezpieczone.

– O ochronie Centralnej Komisji Wyborczej mówiło się bardzo wiele, przydzielono pieniądze, był monitoring i kontrola, ale rezultat jest zerowy. W ciągu ostatnich kilku lat znaleźliśmy wraz z wolontariuszami, którzy nam pomagają, pięć luk w serwerach Centralnej Komisji oraz Państwowego Rejestru Wyborców – twierdzi Townsend.

Czasami przyczyną istnienia takiej luki jest komputer bez hasła oraz z dostępem do wspólnego dysku. Potem taki komputer zostaje podłączony do internetu i wszystkie dane są widoczne dla hakerów jak na dłoni. Innym sposobem jest osadzenie na stronie internetowej kodu dostępu, co daje możliwość modyfikowania strony.

– Czasami wystarczy postawić cudzysłów we właściwym miejscu. Specjalnie dla pana znalazłem takie miejsce na stronie premier.gov.pl – napisał mi Townsend i na dowód wysłał screenshota (kopię widoku z ekranu). Po wejściu na odpowiednią podstronę wyświetlało się okno z napisem „*POWNED*", co w internetowym żargonie oznacza posiadane, zdobyte, zawłaszczone.

– To bardzo prosta luka, która nazywa się „odbity XSS". Mógłbym przerysować całą stronę polskiego premiera i każdy człowiek, który wszedłby na nią przez ten konkretny link, zobaczyłby moją twórczość – pisze Townsend.

Haktywista dodaje, że dzięki temu można na przykład ukraść tzw. token, a przez to zdobyć dostęp do strony i manipulować nią.

Czy Townsend rzeczywiście dostał się na serwery polskiego rządu, tego w „Tygodniku" nie byliśmy w stanie zweryfikować.

Kolejny cyberatak trwa

Mimo tych braków, pierwszą turę wyborów prezydenckich udało się przeprowadzić bez problemów. „CKW działa, systemy także, cyberbezpieczeństwo zadziałało we właściwy sposób" – mówiła podczas konferencji prasowej po pierwszej turze Tetiana Slipaczuk, przewodnicząca Centralnej Komisji.

Ale to nie znaczyło, że zagrożenie minęło. Ołeh Derewjanko uważa, że jest dokładnie na odwrót: że to, co działo się dotąd na ukraińskim cyberfroncie, to dopiero początek.

Gwałtowny rozwój technologii i sieci internetowej, a także rosnąca liczba przedmiotów użytkowych, które można do niej podpiąć, jak też coraz bardziej skomplikowane kody – wszystko to powoduje, że także ataki hakerów będą coraz bardziej skomplikowane, a także o coraz większym zasięgu. Ukraina, która pięć lat temu postanowiła wyemancypować się ze strefy wpływów Rosji, bez wątpienia będzie często mierzyła się z kolejnymi cyberatakami.

Kiedy Derewjanko spodziewa się następnego?

Informatyk odpowiada, że się go nie spodziewa, gdyż kolejny cyberatak bez wątpienia właśnie trwa. Tylko nie wiemy jeszcze, w jakiej fazie się znajduje. Oraz co jest jego celem.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK



GETTY IMAGES

Likwidacja celi egzekucyjnej w więzieniu w kalifornijskim San Quentin, 13 marca 2019 r.

Nie spieszmy się ze śmiercią

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Kara śmierci to w USA gorący temat. Dowiódł tego gubernator Kalifornii Gavin Newsom, który wprowadził moratorium na wykonywanie w tym stanie egzekucji.

Jest środa 13 marca, kolejny słoneczny dzień w Kalifornii. Pracownicy więzienia stanowego San Quentin taszczą dwa zielone, metalowe krzesła i nosze na kółkach.

Sprzęt, który przez lata znajdował się w tutejszej sali przeznaczonej na egzekucje, ląduje na pace ciężarówki. W więzieniu o podwyższonym rygorze, gdzie przebywa prawie 4 tys. przestępców, to niecodzienny widok. Tak samo jak wywieszka na drzwiach sali egzekucji, znajdującej się we wschodnim bloku więzienia: „Zamknięte z powodu rozporządzenia".

Wiosenne porządki w San Quentin to efekt decyzji gubernatora stanu Kalifornia, który w połowie marca podpisał moratorium wstrzymujące wykonywanie egzekucji wobec 737 więźniów przebywających w celach śmierci. Gubernator Gavin Newsom argumentował, że najwyższy wymiar kary to „porażka" dyskryminująca „oskarżonych, którzy cierpią na choroby psychiczne, są czarni, brązowi lub nie stać ich na drogich prawników".

Odniósł się przy tym do statystyk, według których ponad 60 proc. osób czekających na egzekucję w Kalifornii ma inny kolor skóry niż biały. Newsom wspomniał też historię Petera Pianezziego, który w 1940 r. został oskarżony o podwójne morderstwo – i o mały włos nie został skazany na śmierć. Jak się okazało 40 lat później, był niewinny. „Świadomość, że wśród więźniów może znajdować się niewinny człowiek, nie daje mi spokojnie spać" – powiedział gubernator.

Słowa krytyki, wyrazy uznania

Moratorium Newsoma, które obowiązuje do końca jego czteroletniej kadencji, wzbudziło wiele emocji.

Środowiska popierające karę śmierci zagroziły złożeniem pozwu. Krytycznie o decyzji Newsoma wypowiadała się m.in. Michele Hanisee, szefowa stowarzyszenia prokuratorów z hrabstwa Los Angeles (Los Angeles County Association of Deputy District Attorneys). Protestowały też rodziny tych ofiar, które zginęły z rąk przestępców skazanych na śmierć. Suchej nitki na gubernatorze Kalifornii nie pozostawił prezydent Donald Trump, który grzmiał na Twitterze: „Przyjaciele i rodziny zawsze pomijanych ofiar nie są zachwyceni, ja również nie!".

W stronę Newsoma popłynęły jednak też słowa uznania: odwagi przy wprowadzeniu moratorium gratulowali mu członkowie Partii Demokratycznej, m.in. spikerka Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, senatorka Kamala Harris czy senator Scott Wiener.

Decyzja gubernatora ucieszyła też z pewnością 25 więźniów, którzy wyczerpali drogę odwoławczą i są pierwsi w kolejce do egzekucji. Wśród nich Robert Fairbank (skazany za brutalne ↦

↦ zabójstwo 24-letniej studentki), seryjny morderca Anthony Sully, a także David Raley, który w 1985 r. zgwałcił dwie nastolatki, ranił je nożem, związał i wrzucił do wąwozu.

Wszyscy oni czekają na wykonanie wyroku śmierci już od ponad 30 lat. W Kalifornii, gdzie w celach śmierci przebywa jedna czwarta wszystkich skazanych w Stanach na najwyższy wymiar kary, kolejka do sali egzekucji jest wyjątkowo długa. Od przywrócenia w tym stanie kary śmierci w 1978 r. wykonano tam zaledwie 13 egzekucji. Zaledwie – wobec liczby skazanych na karę główną.

Zestaw KFC przed zastrzykiem

Ostatnia egzekucja w Kalifornii odbyła się 17 stycznia 2006 r. Śmiertelny zastrzyk dostał wówczas 76-letni Clarence Ray Allen, skazany za zlecenie potrójnego morderstwa. Mężczyzna, który spędził w celi śmierci 23 lata, chorował na cukrzycę, był już niewidomy i poruszał się na wózku inwalidzkim.

Ubiegając się o wstrzymanie egzekucji, jego obrońcy argumentowali, że zabicie schorowanego człowieka w podeszłym wieku byłoby czynem niehumanitarnym. Jednak apelację w sprawie Allena odrzucił Sąd Najwyższy USA, a ówczesny gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger nie skorzystał z prawa łaski.

Na pięć godzin przed podaniem śmiertelnego zastrzyku skazany mężczyzna zjadł ostatni posiłek. Poprosił o stek wołowy, kurczaka z KFC, ciasto orzechowe i lody. Tuż przed egzekucją powiedział: „To dobry dzień na umieranie. Dziękuję za wszystko i kocham was wszystkich. Do zobaczenia".

Niedługo po straceniu Allena sędzia federalny w Kalifornii stwierdził, że procedura związana z podaniem składającego się z trzech substancji śmiertelnego zastrzyku jest „niekonstytucyjna". I że władze Kalifornii powinny wypracować bardziej humanitarną metodę podania zastrzyku, aby nie narażać skazańców na przesadne cierpienie.

Choć od tej pory minęło już 13 lat, nie udało się doprowadzić w tej sprawie do przełomu. Co prawda w zeszłym roku Kalifornijski Departament Więziennictwa i Resocjalizacji ogłosił nowe przepisy dotyczące wykonywania egzekucji, jednak natychmiast spotkały się one z serią pozwów, m.in. ze strony Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich (ACLU).

Równolegle z walką sądową o sposób wykonywania egzekucji w Kalifornii trwa walka o zniesienie kary śmierci w ogóle. Władze stanowe już dwukrotnie przeprowadziły referendum w tej sprawie. Podczas głosowania, które odbyło się przy okazji listopadowych wyborów w 2012 r., za zniesieniem kary śmierci opowiedziało się 48 proc. mieszkańców Kalifornii, cztery lata później tego zdania było 47 proc.

W tym samym głosowaniu z 2016 r. wyborcy jednocześnie opowiedzieli się za propozycją, która ma przyspieszyć procedurę odwoławczą w przypadku przestępców skazanych na karę śmierci. Do tej pory mogło minąć nawet 25 lat, zanim więźniowie wyczerpią wszystkie możliwości odwoławcze. Inicjatywa, przyjęta większością zaledwie 2 procent głosów, skraca ten okres do pięciu lat. Na fali pozwów złożonych przeciwko tej reformie jej losy są wciąż jednak niejasne.

Egzekucja na papierze

Ogłaszając moratorium na wykonywanie kary śmierci, Gavin Newsom poszedł w ślady gubernatorów Oregonu, Colorado, Pensylwanii. W 2018 r. nastąpił też przełom w stanie Waszyngton, gdzie tamtejszy stanowy Sąd Najwyższy uznał karę śmierci za „niekonstytucyjną".

W niektórych stanach nie potrzeba jednak oficjalnych kroków, aby kara śmierci była martwym zapisem. W Montanie, Karolinie Północnej i Nevadzie egzekucje nie są wykonywane od 2006 r. Do rekordzistów należy Kansas, gdzie ostatni raz karę śmierci wykonano w 1965 r., czy też New Hampshire, gdzie ostatnia egzekucja odbyła się 80 lat temu – w roku 1939.

Według danych Pew Research Center w 10 spośród 30 stanów, które zezwalają na stosowanie kary śmierci, nie wykonano ani jednego takiego wyroku od co najmniej dekady. Natomiast ostatnia egzekucja federalna – tj. będąca konsekwencją wyroku, jaki wydał sąd federalny – miała miejsce w 2003 r., a wojskowa w 1961 r.

Na przeciwległym biegunie znajdują się stany Teksas, Wirginia i Oklahoma, gdzie wykonywanych jest najwięcej wyroków śmierci.

COPERNICUS FESTIVAL

ZAPRASZA NA

„LEONARDO DA VINCI – GRAMATYKI TWORZENIA"

KONCERT INAUGURACYJNY W WYKONANIU:

SŁAWOMIRA ZUBRZYCKIEGO – VIOLA ORGANISTA
DANIELA ELGERSMY – KONTRATENOR

WTOREK
21.05.2019
GODZ. 19:00

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE
GMACH GŁÓWNY

Bezpłatne wejściówki do pobrania na powszech.net/copernicus

COPERNICUS FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Jak wynika z danych Death Penalty Information Center, w 2018 r. w całych Stanach wykonano 25 egzekucji, z czego 13 w Teksasie. W 2018 r. wydano też 42 wyroki śmierci. To i tak relatywnie niewiele w zestawieniu z realiami z lat 90. XX w., gdy skazywano na śmierć ponad 300 osób rocznie. W rekordowym 1999 r. wykonano 98 egzekucji.

Zabić, ale jak?

W Stanach Zjednoczonych coraz częściej dochodzi do sytuacji, w której łatwiej jest wydać wyrok śmierci, niż go wykonać.

Z danych cytowanego już Death Penalty Information Center wynika, że na egzekucję w całych Stanach czeka obecnie ponad 2,7 tys. skazanych. Oprócz długich batalii sądowych, coraz częstszą przeszkodą w przeprowadzeniu egzekucji jest brak tiopentalu sodu – substancji używanej do śmiertelnego zastrzyku.

Problemy z tiopentalem zaczęły się w 2011 r., gdy w Stanach zakończono jego produkcję. Jednocześnie Unia Europejska, w ramach sprzeciwu wobec kary śmierci, wprowadziła embargo na eksport tego rodzaju środków do USA.

Aby zaradzić nowej sytuacji, niektóre stany zaczęły składać zamówienia m.in. u indyjskich firm farmaceutycznych. W 2015 r. szerokim echem odbiła się próba sprowadzenia przez władze stanu Arizona tiopentalu sodu, który nie miał atestu Federalnej Agencji ds. Żywności i Leków (FDA). Przesyłka warta 27 tys. dolarów została przechwycona na lotnisku w Phoenix, stolicy stanu. Kilka miesięcy po tym wydarzeniu w tarapaty wpadły też władze Nebraski, które za zamówienie leku zapłaciły ponad 54 tys. dolarów. W wyniku nacisków ze strony FDA, wysyłka paczki z Indii została wstrzymana.

Upolitycznienie kary głównej

Na przestrzeni ostatnich 20 lat zmalała też liczba Amerykanów, którzy opowiadają się za karą śmierci. Z badań Pew Research Center wynika, że o ile w roku 1996 jej stosowanie popierało 78 proc. mieszkańców USA, to w 2018 r. podobnie myślało 54 proc. (można by powiedzieć: tylko – lub aż). Zeszłoroczny wynik, jak i ten z 2016 r. (za najwyższym wymiarem kary opowiedziało się wówczas 49 proc. respondentów), ukazuje największy spadek poparcia dla kary śmierci od 1976 r.

Aprobata dla stosowania kary śmierci jest wyższa wśród białych ewangelików oraz mężczyzn. Mniej entuzjastycznie nastawione są do niej kobiety i osoby z wyższym wykształceniem.

Z biegiem lat w Stanach doszło również do upolitycznienia kary śmierci. Jeszcze dwie dekady temu zarówno wyborcy popierający Republikanów, jak i ci głosujący na Demokratów mieli podobne stanowisko w sprawie tej kary. Wśród tych pierwszych popierało ją 87 proc., a wśród drugich – 71 proc.

Tymczasem w 2018 r. odpowiedzi respondentów były zupełnie inne: za karą śmierci opowiada się 35 proc. Amerykanów popierających Demokratów, natomiast wśród elektoratu Republikanów najwyższy wymiar kary pochwalało 77 proc. osób. Aprobata dla stosowania kary śmierci jest też wyższa wśród białych ewangelików (73 proc.) oraz mężczyzn (61 proc.). Znacznie mniej entuzjastycznie do egzekucji nastawione są kobiety (46 proc.), czarnoskórzy Amerykanie (36 proc.) oraz osoby posiadający wyższe wykształcenie (42 proc.).

Spadek poparcia dla kary śmierci ma coraz częściej przełożenie na działania prokuratorów okręgowych. Pokazuje to przypadek Kim Ogg, prokuratorki z teksańskiego hrabstwa Harris, od lat uznawanego za „bastion" kary śmierci. To za urzędowania Kim Ogg, w 2017 r., po raz pierwszy od 40 lat w tym hrabstwie nie wykonano ani jednej egzekucji. Jak podkreśliła Kim Ogg w wywiadzie dla dziennika „Houston Chronicle": „zmieniło się podejście ludzi, zmieniło się podejście prokuratorów i moje również".

Do szeroko komentowanych w USA zmian doszło też na Florydzie oraz w Alabamie, gdzie sędziowie nie mogą już – wbrew orzeczeniu ławy przysięgłych – wydać wyroku skazującego na karę śmierci.

Dożywocie bez warunku

Coraz częstszą alternatywą dla egzekucji jest dziś w Stanach kara bezwzględnego dożywocia, bez możliwości zwolnienia warunkowego. Jak wynika z danych Sentencing Project z 2016 r., taki wyrok w Stanach odsiaduje ponad 53 tys. osób. To jedna trzecia wszystkich amerykańskich więźniów, którzy otrzymali karę dożywocia (pozostali mogą ubiegać się o jej złagodzenie).

Ale choć tego rodzaju rozwiązanie uważane jest za bardziej humanitarne, niesie ze sobą nowe wyzwania. W przeciwieństwie do przestępców czekających w celach śmierci, więźniowie skazani na dożywocie mają ograniczoną drogę odwoławczą i nie przysługuje im pomoc prawna z urzędu.

Dobrze pokazuje to przypadek Josepha Sledge'a z Karoliny Północnej, który w 1978 r. został niesłusznie skazany za podwójne morderstwo. Ale zanim to ustalono, jedynym, co mu pozostało po oddaleniu apelacji, było wysyłanie do sądu samodzielnie przygotowanych wniosków. Sledge domagał się m.in. przeprowadzenia badania DNA włosów, które znaleziono na miejscu morderstwa.

Choć w 2003 r. sąd przychylił się do wniosku mężczyzny, to przez lata nie było postępów w tej kwestii. Sprawa ruszyła dopiero, gdy sytuacją Sledge'a zajął się prawnik z North Carolina Center on Actual Innocence – organizacji świadczącej więźniom pomoc prawną. Ostatecznie w 2015 r., po prawie czterech dekadach odsiadki (sic!), 70-letniego Sledge'a oczyszczono z zarzutów i wypuszczono z więzienia. Gdyby nie pomoc tego prawnika, mężczyzna spędziłby pewnie za kratami resztę swoich dni.

Kara dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego nazywana jest przez więźniów powolnym wyrokiem śmierci. To (na pozór) paradoks, ale boją się jej też niektórzy przestępcy skazani na śmierć. Gdy w 2012 r. w Kalifornii zapowiadano referendum w sprawie zniesienia kary śmierci, Tim Young – przebywający w celi śmierci w San Quentin – napisał list otwarty, w którym się sprzeciwiał temu rozwiązaniu. Powód? W przypadku pozytywnego wyniku referendum jego wyrok zostałby zamieniony na karę dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego. Straciłby wtedy możliwość składania kolejnych apelacji.

Niektórych więźniów przebywających w celach śmierci przy życiu trzyma najwyraźniej już tylko nadzieja.

© MARTA ZDZIEBORSKA



ALEXANDER JOE / AFP / EAST NEWS

Nelson Mandela na wiecu przedwyborczym w Durbanie, RPA, 16 kwietnia 1994 r.

Rok 1994, ćwierć wieku później

WOJCIECH JAGIELSKI

Dwa dramaty rozegrały się wtedy w Afryce. Zaważyły na jej dziejach i wiele mówiły o naturze człowieka. Południowoafrykański dowodził, że tkwiące w nim Dobro jest silniejsze od Zła. W rwandyjskim Zło objawiło się w całej grozie.

6 kwietnia 1994 r. Wieczorem szykowałem się do podróży do Afryki. Nazajutrz wybierałem się do Johannesburga, gdzie miałem przyglądać się ostatecznemu upadkowi apartheidu, ustroju rasowej segregacji i dyskryminacji. Umierał już czwarty rok, odkąd białe władze – uznawszy, że stare porządki się przeżyły – wypuściły z więzienia Nelsona Mandelę i podjęły targi w sprawie podziału władzy z czarnoskórą większością.

W końcu wyznaczono datę „pogrzebu": termin pierwszych wolnych wyborów. Głos ubezwłasnowolnionych dotąd czarnoskórych miał się liczyć tak samo jak białych, potomków osadników z Europy, którzy uciekli do Afryki przed prześladowaniami i biedą, ale skazali na nie z kolei tubylców, Afrykanów.

Pożegnaniu z apartheidem towarzyszyły uliczna wojna, skrytobójcze mordy, paraliżujący strach przed nieodgadnioną przyszłością, w której wszystko miało być nowe i nigdy wcześniej nieznane. Panowało jednak przekonanie, że bez względu na to, jak zakończą się wybory – triumfem umiaru i rozumu czy wojną – będą jednym z najważniejszych wydarzeń roku 1994 w świecie.

Lot do Afryki

Pakowałem plecak, gdy zadzwonił redaktor dyżurny z mojej ówczesnej gazety. Powiedział, że przed chwilą światowe agencje przekazały jako pilną króciutką depeszę, iż w stolicy Rwandy, Kigali, rozbił się samolot z dwoma prezydentami na pokładzie, rwandyjskim i burundyjskim. I że w mieście słychać strzelaninę. Zapytał, czy to ważna wiadomość.

Kończyła się środa, w piątek miałem być w Johannesburgu. Powiedziałem, że odezwę się z Afryki i zajmę tą rwandyjską historią, jeśli okaże się, że będzie miała ciąg dalszy.

W tych dwóch bliźniaczych krajach, Rwandzie i Burundi, od lat dochodziło do wojen i pogromów między ludami Tutsi i Hutu. Hutu stanowili trzy czwarte ludności w jednym i drugim kraju. W Rwandzie, tuż przed ogłoszeniem niepodległości, chłopi Hutu dokonali krwawej rewolucji i obalili rządy garstki Tutsich, wojowników i pasterzy. W odpowiedzi Tutsi, stanowiący taką samą nieliczną, lecz rządzącą garstkę w Burundi, przystąpili do pogromów Hutu, aby przemocą i strachem utrzymać ich w poddaństwie. W Burundi co rusz dochodziło do powstań, brutalnych pacyfikacji, mordów.

W Rwandzie, gdzie rządziła większość Hutu, a mniejszości Tutsi pozostawało w milczeniu i bez skargi znosić krzywdy i upokorzenia, panował więzienny spokój. Dopiero w 1990 r. wygnańcy Tutsi w sąsiedniej Ugandzie skrzyknęli się w partyzantkę i wszczęli wojnę również w Rwandzie. Krwawe porachunki Tutsich i Hutu

doskonale układały się w afrykański stereotyp: jądra ciemności, kontynentu podzielonego sztucznymi granicami, wyniszczanego nieustannymi wojnami narodowościowymi, religijnymi czy sąsiedzkimi, skazanego na klęskę, tyranię i barbarzyństwo.

Czekając na grozę

W Johannesburgu, pochłonięty bez reszty gwałtownością tamtejszych wydarzeń, zapomniałem o Rwandzie.

Długo zresztą nie było wiadomo, co tak naprawdę się w niej dzieje. Niewielu było tam dziennikarzy, bo prawie wszyscy zjechali do Republiki Południowej Afryki, żeby być naocznymi świadkami historii pisanej z największej litery.

Okazało się jednak, że walki w Rwandzie przybrały postać masakr, trwały dłużej niż zwykle i wszystko wskazywało, że ginęły w nich tysiące ludzi. Redakcje gazet dały swoim dziennikarzom wolny wybór: sami mieliśmy zdecydować, czy zostajemy w RPA, czy wyruszamy do Rwandy.

Prawie wszyscy postanowiliśmy zostać w RPA. Nie z powodu niepewności czy obaw przed rwandyjską wyprawą, lecz z przekonania, że właśnie w RPA rozgrywać się będą sprawy ważniejsze, i że jeśli w ostatniej chwili obrońcy starych porządków i apartheidu zerwą wybory, tu właśnie dojdzie do prawdziwej apokalipsy: wojny czarnych z białymi, która przyćmi wszystkie inne.

Cud i zbrodnia

Jednak w RPA zdarzył się cud. Gdy zdawało się, że nic już nie uratuje jej przed katastrofą, zwaśnieni przywódcy, którzy dotąd podżegali do wojny lub bezradnie przyglądali się, jak ona nabrzmiewa, nagle oprzytomnieli. Otrząsnęli się z letargu. W jeden dzień pokończyli wszystkie bitwy, dobili wszystkich targów, postanowili zaufać nieprzyjaciołom, pozawierali zawieszenia broni i pokojowe układy.

Wybory się odbyły, a po nich Nelson Mandela – niedawny więzień, odsiadujący dożywocie za walkę z apartheidem – został pierwszym czarnoskórym prezydentem RPA. W pierwszym orędziu zapowiedział nastanie czasu prawdy i pojednania. Wezwał rodaków, aby tego, co było, nie wymazywali z pamięci, lecz aby znaleźli w sobie siłę i w imię wspólnej przyszłości wybaczyli krzywdy, tak jak on wybaczył swoim prześladowcom. Obywatele RPA mieli się stać Ludem Tęczy: wielobarwnym, bogatym rozmaitością, żyjącym w zgodzie. W zgodzie z innymi oraz z samym sobą.

W tym czasie w Rwandzie dokonywane przez Hutu pogromy Tutsich przybrały rozmiar ludobójstwa – jednego z ostatnich, w jakie obfitowało XX stulecie (bo w 1995 r. doszło do rzezi w bośniackiej Srebrenicy). W zaledwie sto dni zamordowano milion ludzi. Dziesięć tysięcy dziennie, prawie tysiąc co godzinę. Zabijano nie strzałami z karabinów, na odległość, lecz maczetami, pałkami, motykami, siekierami, nożami, mając ofiarę na wyciągnięcie ramienia.

Masakrą Tutsich dowodziło rządowe wojsko i bojówki Interahamwe („Ci, którzy działają zgodnie"), natomiast tak naprawdę w rzeziach uczestniczyli prawie wszyscy Hutu, mężczyźni, kobiety i dzieci, młodzi i starzy. Philip Gourevitch – autor najlepszej chyba (obok książek Jeana Hatzfelda) reporterskiej książki o rwandyjskim ludobójstwie – napisał, że „wszyscy Hutu zostali wezwani, by wymordować wszystkich Tutsich".

Wcześniej Rwanda była jednym z najgęściej zaludnionych krajów świata. Ludzie gnieździli się tu na spłachetkach ziemi, ściśnięci. Mordowani znali więc swoich zabójców: sąsiadów, kolegów z pracy, ze szkolnej ławki. W ciągu stu dni zginęło trzy czwarte wszystkich rwandyjskich Tutsich, a tym, którzy ocaleli, pisane było życie w upodleniu. Ocalili życie, ale odebrano im godność. Pragnienie życia sprawiało, że popełniali czyny odzierające z człowieczeństwa.

A kiedy koszmar się skończył, im też kazano wybaczyć prześladowcom. Ludobójcze mordy przerwali partyzanci Tutsi, którzy nadciągnęli z obozowisk w Ugandzie, zajęli Kigali i zdobyli władzę. Rządowe wojsko, odurzone krwawą orgią, nie próbowało stawić im czoła.

Koniec końca historii

Cud z RPA miał być ostatecznym dowodem, że nastał czas końca historii, a po globalnej zimnej wojnie na świecie zapanują porządki jej zwycięzców: demokracja, wolny rynek, prawa człowieka.

Dawne „zastępcze" wojny, wywoływane przez Zachód i Wschód na Południu, były teraz wygaszane. Namibia, Angola, Mozambik, Etiopia, Afganistan, Kambodża. Podpisywano jeden po drugim układy pokojowe, strzelały korki od szampana, Niemcy zachodnie jednoczyły się ze wschodnimi, a Jemen północny z południowym. Wrogowie mieli odtąd być przyjaciółmi lub przynajmniej dobrymi sąsiadami.

Mandela i de Klerk, ostatni biały prezydent RPA, otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla. Podobnie symboliczne znaczenie miał Pokojowy Nobel dla Palestyńczyka Jasera Arafata i przywódców Izraela Icchaka Rabina i Szimona Peresa. Pokojowy upadek apartheidu i korona dla Mandeli też miały znamionować nowe lepsze czasy i nowy lepszy świat.

↦

Chłopiec z sierocińca w Nyanza koło Kigali czeka na dopasowanie protez, Rwanda, czerwiec 1994 r.



JEAN-MARC BOUJU / AP / EAST NEWS

↦ Jeśli kwiecień 1994 r. w RPA miał być końcem historii, to sto kwietniowych, majowych i czerwcowych dni w Rwandzie zwiastowało koniec końca historii. Zachód, który po zwycięskiej zimnej wojnie gasił na świecie konflikty, zaprowadzał pokój (na swoich i miłych sobie warunkach) i demokrację, nie zrobił nic, by uratować Rwandę. Stacjonującym w niej wojskom ONZ zabroniono mieszać się w wewnętrzne sprawy Rwandyjczyków. Gdy zaczęły się pogromy, żołnierze w błękitnych hełmach wywozili z Rwandy cudzoziemców, ale nie wolno im było udzielić pomocy tubylcom. Przedstawicielka USA Madeleine Albright stawała na głowie, by w potępiających rezolucjach nie znalazło się słowo „ludobójstwo", które zobowiązywałoby Stany do interwencji zbrojnej.

Amerykanie mieli chwilowo dość naprawiania świata. Po wojnie w Zatoce Perskiej z lat 1990-91 – podczas której międzynarodowa koalicja pod wodzą USA wyzwoliła Kuwejt spod irackiej okupacji – wylądowali w Somalii, by ocalić jej ludność od wojny domowej i śmierci głodowej. W Mogadiszu szybko ugrzęźli jednak w tamtejszym konflikcie. Jesienią 1993, a więc pół roku przed ludobójczymi rzeziami w Rwandzie, próba zatrzymania jednego z lokalnych watażków zamieniła się w uliczną bitwę – Amerykanie stracili w niej 18 żołnierzy, prawie stu zostało rannych; po drugiej stronie zginęło tysiąc Somalijczyków.

Prezydent Bill Clinton postanowił wtedy wycofać wojska z Somalii i nie posyłać ich więcej do Afryki. Francuzi, traktujący Afrykę (zwłaszcza frankofońską) jako swoją wyłączną strefę wpływów, owszem, posłali wojska i Legię Cudzoziemską do Rwandy. Jednak nie po to, aby powstrzymać ludobójców z zaprzyjaźnionego rządu Hutu, lecz żeby im pomóc w ucieczce z kraju przed partyzantami Tutsi, przed karą i zemstą.

Wyrzut sumienia

Wyrzuty sumienia z powodu rwandyjskiej bierności sprawiły, że Zachód pozwalał potem nowym władzom Rwandy na wszystko i nie śmiał ich za nic krytykować. Tymczasem nowy gospodarz w Kigali – niedawny partyzancki komendant Paul Kagame – zaprowadził w kraju koszarowe porządki. Wszystko miało być na rozkaz, a wydawać rozkazy mógł tylko on. Nie pozwalał na żadną opozycję, żaden sprzeciw.

Zachód, który po zimnej wojnie gasił konflikty, na swoich i miłych sobie warunkach zaprowadzał pokój i demokrację, **nie zrobił nic, by uratować Rwandę.**

Kagame zakazał pod karą więzienia używania słów Hutu i Tutsi – i w ogóle odwoływania się do narodowościowych różnic. „Wszyscy w Rwandzie jesteśmy Rwandyjczykami" – ogłosił, a jego poddani, ze strachu przed tyranem, nie ośmielali się nawet myśleć o zemście. Zwolennicy Kagamego twierdzą, że jedynie dyktatura mogła ocalić Rwandę przed niekończącymi się wojnami i pogromami, że to dzięki niej kraj żyje już ćwierć wieku w pokoju, a gospodarka się rozwija. Przeciwnicy uważają, że Kagame może i tak rzeczywiście myślał, ale kiedyś, na przełomie wieków, natomiast dzisiaj jedynie usprawiedliwia w ten sposób swoją tyranię, która trwa już trzecią dekadę.

Innych, którzy rządzą tak jak Kagame, Zachód potępia jako satrapów, karze ostracyzmem i sankcjami. Kagamego zaś wynosi się pod niebiosa jako władcę surowego, lecz oświeconego, może nieprzestrzegającego demokracji, ale za to skutecznego zarządcę, dbającego o gospodarkę i porządek. Nie spotkał się z potępieniem nawet wtedy, gdy kazał swojemu wojsku najechać na sąsiednie Kongo, gdzie za miedzą ukryli się ludobójcy Hutu.

Zbrojne zajazdy Kagamego na Kongo przerodziły się w największą i najkrwawszą, grabieżczą wojnę współczesnej Afryki. Od kul, chorób i głodu na przełomie wieków zginęło lub umarło ok. 5 mln ludzi. W kongijskiej wojnie uczestniczyło pół tuzina afrykańskich państw z bliższego i dalszego sąsiedztwa. Pamięć o tym, co w Rwandzie zdarzyło się przed ćwierćwieczem, sprawia jednak, że nikt nie śmiał nazwać Kagamego wojennym podżegaczem, zarzucić mu zbrodnię.

Tęczowe mercedesy

RPA nie stała się wzorem dla Afryki. Jako prezydent Mandela panował tylko pięć lat. Po nim nastali Thabo Mbeki (1999–2008), Jacob Zuma (2009-18) i Cyril Ramaphosa. Ten ostatni głową państwa jest od roku i sposobi się właśnie do majowych wyborów, w których poprowadzi rządzący Afrykański Kongres Narodowy. Wygra je, bo czarnoskórzy w RPA wciąż wierzą, że władza należy się Kongresowi za lata walki z apartheidem. Ale z każdym rokiem sprawowania władzy Kongres coraz bardziej się przepoczwarza – z ruchu wyzwoleńczego w zwyczajną partię, której przywódcom idzie wyłącznie o władzę i wynikające z niej przywileje.

Już za panowania Mandeli rozpoczęto akcję afirmatywną, jak nazwano odgórnie zarządzony awans czarnoskórych. Miał wynagrodzić doznane od białych krzywdy, ułatwić życiowy start czarnej młodzieży, sprawiedliwiej podzielić bogactwo kraju, a także przyczynić się do jak najszybszych narodzin licznej czarnej klasy średniej, fundamentu społecznej stabilności i zapory przed populistycznym fermentem i rewolucjami.

Większość białych firm poszła na współpracę i większość zamierzonych celów udało się osiągnąć, ale akcji afirmatywnej towarzyszyły też wynaturzenia, trudne do uniknięcia. Przymuszani przez władze, na partnerów w interesach biali dobierali sobie najchętniej dygnitarzy z Kongresu, którzy zapewniali znajomości i względy w ministerstwach, dostęp do informacji, preferencyjnych kredytów itd. Odpowiadało to także partii rządzącej, bo obecność jej towarzyszy w radach nadzorczych koncernów sprawiała, że nigdy nie odmawiały one szczodrych datków na kampanie wyborcze i do partyjnego skarbca.

W rezultacie jednym ze skutków ubocznych południowoafrykańskiej transformacji stało się uwłaszczenie dawnych rewolucjonistów i ich przemiana w oligarchów, głównych beneficjentów wielkiej zmiany. W Johannesburgu i Kapsztadzie nazywa się ich „*wa-benzi*" (ludźmi-mercedesami) – od marek najdroższych limuzyn, w jakich teraz zaczęli gustować.

Ćwierć wieku po upadku apartheidu panujący prezydent Cyril Ramaphosa powołał specjalną komisję śledczą. Ma zbadać, jak głęboko zaraza korupcji, złodziejstwa i kumoterstwa przeżarła południowoafrykańskie państwo. To, w którym o Ludzie Tęczy wspomina się już tylko w okolicznościowych przemówieniach podczas państwowych świąt.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

REKLAMA



59.KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
59th KRAKOW
FILM
FESTIVAL

26.05 — 2.06.2019
krakowfilmfestival.pl

fot. *Spuśćcie psy,* reż. Emmanuelle Fleytoux

Producent:
KRAKOWSKA FUNDACJA FILMOWA KRAKOW FILM FOUNDATION

Współorganizator:
Stowarzyszenie Filmowców Polskich
100 LAT NIEPODLEGŁEJ POLSKI

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:
Kraków
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
POLISH FILM INSTITUTE
MAŁOPOLSKA



DAJCIE TU STAŃCZYKA!

150 lat temu weterani powstania styczniowego zaczęli w Galicji wielką debatę na temat politycznych postaw Polaków i myślenia o państwie.

PIOTR HAPANOWICZ

Nazwano ich „stańczykami". Nazwa wzięła się od „Teki Stańczyka": tak zatytułowali serię swoich satyrycznych publikacji, ukazujących się na łamach wydawanego w Krakowie miesięcznika „Przegląd Polski".

Moment ich wystąpienia był szczególny: rok 1869 to czas głębokiej depresji na ziemiach polskich po klęsce powstania styczniowego (1863-64). Czas przygnębienia wśród elit dotykał nie tylko ziem zaboru rosyjskiego, lecz także Galicji: zabór austriacki był zapleczem dla powstania; tu formowały się oddziały, często z młodych ludzi, studentów czy rzemieślników, które szły walczyć do Kongresówki. Czasem niewielu z tych oddziałów wracało.

Pod wrażeniem klęski, przekonani, że trzeba zweryfikować strategię – stańczycy podjęli próbę przewrotu umysłowego. Jak pisał jeden z nich, Stanisław Koźmian, „dążyli do naprawy obyczaju politycznego [Polaków]". Ważne było dla nich zwłaszcza myślenie państwowe: próbowali uczyć sami siebie świadomości państwowej, a potem społeczeństwo – choć nie dysponowali przecież niepodległym państwem.

Austro-Polsko-Węgry

Trzy lata wcześniej, w 1866 r., gdy w zaborze rosyjskim trwały popowstaniowe represje, Sejm Krajowy w Galicji przyjął adres skierowany do cesarza Franciszka Józefa. Kończyły go słynne słowa: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy".

Deklaracja ta, uznana za program polityczny konserwatystów, była wyrazem akceptacji dla ówczesnej reformy państwa Habsburgów – i zmierzała do uzyskania największej możliwej autonomii, w ramach podległości Wiedniowi. Konserwatyści uważali, że jedyną szansą na odzyskanie państwa jest pomoc Zachodu lub jednego z zaborców, a najgroźniejszego wroga widzieli w Rosji. Gdy w następnym roku Węgrzy uzyskali własne państwo w unii z Wiedniem, celem galicyjskich konserwatystów stało się przekonanie cesarza do przekształcenia monarchii w potrójną unię, składającą się z trzech państw: Austrii, Węgier i Polski.

Wtedy też, na początku doby autonomicznej w Galicji, w 1866 r. powstało w Krakowie czasopismo „Przegląd Polski". Przez kilkadziesiąt lat, do 1914 r., był to organ myśli politycznej krakowskich konserwatystów o kolosalnym znaczeniu: idee przedstawiane na jego łamach inspirowały i wywoływały polemiki, głównie z przedstawicielami demokratów liberalnych czy narodowych demokratów, ale także wśród przedstawicieli innych środowisk konserwatywnych.

Trzydziestoletni po przejściach

Kulisy założenia tego miesięcznika Koźmian opisywał tak: „Na wiosnę 1866 r. Stanisław Tarnowski, wyszedłszy z więzienia [trafił tam za udział w strukturach powstańczego państwa polskiego], spotkał na Rynku krakowskim piszącego tę rzecz. »Cóż poczniemy, cóż robić będziemy?« – zapytał. »Wydawać będziemy pismo polityczne«. »Dobrze, ale jak to, my dwaj?«. »I Szujski«. »Szujski? Ależ przecież on niezupełnie takie jak my ma przekonania i zapatrywania«. »O, Szujski zupełnie się odmienił«".

Obaj rozmówcy poszli do historyka Józefa Szujskiego; pozyskali też hrabiego Ludwika Wodzickiego. 1 lipca 1866 r. wyszedł pierwszy zeszyt „Przeglądu Polskiego".

Czterej redaktorzy mieli około trzydziestki, ale posiadali już doświadczenie polityczne. Tarnowski, Wodzicki i Koźmian przed powstaniem przeszli praktykę w „szkole" emigracyjnego Hôtel Lambert, pod okiem takich osobowości jak sędziwy książę Adam Jerzy Czartoryski i gen. Władysław Zamoyski. Potem cała trójka weszła w skład utworzonej w lipcu 1863 r. Rady Prowincjonalnej Galicji Zachodniej, podległej powstańczemu Rządowi Narodowemu w Warszawie. Po upadku powstania zostali aresztowani przez Austriaków. Tarnowski siedział najdłużej, prawie dwa lata (jego brat Juliusz zginął w walce).

Doświadczenia czwartego założyciela „Przeglądu", Szujskiego, były inne. Na przełomie lat 50. i 60. związał się ze środowiskiem galicyjskich tzw. „przedburzowców". W 1863 r. z ramienia tajnej Ławy Głównej Krakowskiej dostarczał broń dla powstania i redagował podziemne pismo „Naprzód".

Liberum conspiro

Te biografie są ważne, gdyż udział w powstaniu, więzienie i wykazana osobista odwaga umożliwiły przyszłym stańczykom przeprowadzenie z czystym sumieniem krytyki strategii zbrojnej walki o niepodległość. Po upadku powstania, zwątpiwszy w jej skuteczność, stali się bowiem przeciwnikami wszelkich wystąpień, które mogłyby wywołać nowy rozlew krwi. Sprzeciwiali się kontynuowaniu tradycji powstańczej i romantycznemu myśleniu o polityce.

Założenie „Przeglądu Polskiego" było też wyrazem opozycji wobec zbyt konserwatywnej, ich zdaniem, linii krakowskiego dziennika „Czas", reprezentowanej przez polityków starszego pokolenia, którzy – jak Paweł Popiel – odmawiali wręcz uczestnikom powstania moralnego prawa do uczestnictwa w legalnym życiu publicznym Galicji.

Głównym myślicielem „Przeglądu" został Szujski. W 1865 r. pisał: „Jesteśmy wprawdzie konserwatystami wielu pogwałconych lub zapomnianych idei w świecie skłonnym do przeczenia i materializmu, jesteśmy przedstawicielami wiary i ducha, ale nie możemy być konserwatystami starych form, a przeczeniem naszym jest owe zapomniane świętości wnieść do świątyni przyszłego, doskonalszego społeczeństwa".

Cechą polskiego myślenia – pisał dalej – był „patriotyzm zwrócony raczej na wewnątrz, jak na zewnątrz, patriotyzm, który dla zachowania wolnych instytucji zapomniał o zachowaniu całości kraju (...) Utopia ta polityczna rozrosła się w duchu narodowym w miarę (...) jak się cisnęły burze na starą budowlę Polski (...) Po upadku Rzeczpospolitej, który właśnie w chwili wyzuwania się starych obłędów nastąpił, patriotyzm wolności stał się niepodległości patriotyzmem. Wady pierwszego udzieliły się drugiemu, a liberum veto znalazło się w liberum conspiro".

W formowaniu się przekonań tego środowiska dużą rolę odegrał Zygmunt Krasiński: w twórcy „Nie-Boskiej komedii" dostrzegli oni nie tylko wybitnego literata, ale też – a może przede wszystkim, jak pisze Krzysztof Karol Daszyk – „[głębokiego] mędrca, [trzeźwego] myśliciela i [racjonalnego] polityka". Podziwiali u niego to, co było antyromantyczne: „przewagę rozumu nad fantazją, myślenia nad marzeniem". Krasiński stał się patronem duchowym stańczyków.

Porozumienie z Austrią

Po stłumieniu powstania znaczny odłam polskiej emigracji pozostał wierny koncepcji, która zakładała konspirację ↦

Rysunek Karola Frycza przedstawiający Michała Przybyłowicza w roli Stańczyka w „Weselu" Wyspiańskiego, 1902 r.

ZBIORY MUZEUM LITERATURY





MUZEUM HISTORYCZNE MIASTA KRAKOWA x 3

↦ i ogólnonarodowy zryw jako środki prowadzące do politycznej niezawisłości. W Galicji zjawili się działacze emigracyjni, zachęcali na nowo do tworzenia organizacji konspiracyjnych.

Przeciwdziałając tej akcji, w 1867 r. Szujski opublikował broszurę „Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważeniu w chwili obecnej", która stała się programowym tekstem „Przeglądu Polskiego". Wykazywał w niej konieczność zupełnego zwrotu: przez stanowcze zakończenie epoki konspiracji, przez potępienie (jak to nazywał) „*liberum conspiro*", a w bieżącej polityce przez oparcie się na Zachodzie przeciw Moskwie. W tym zwłaszcza przez polityczne porozumienie z katolicką Austrią, która była skazana w przyszłości na militarne starcie z Rosją.

Rozwijając te postulaty, Szujski kwestionował ideę konspiracji jako nieodłącznego elementu polskiego myślenia o niepodległym bycie narodu. Analizując dzieje Polski, zwracał uwagę na przejawy lekceważenia rządów, państwa, siły politycznej i militarnej, a także zbytnie przywiązanie do wolności indywidualnej, rozumianej egoistycznie.

Za ostatni przykład zgubnego triumfu „*liberum conspiro*" Szujski uważał powstanie styczniowe. Inaczej jednak niż Popiel i inni krytycy powstania, nie potępiał ludzi i samej idei. Proponował zakończenie sporów o powstanie i pogodzenie się co do tego, że było ono aktem nieprzemyślanym i zakończyło się tragicznie. Głosił konieczność rozpoczęcia przebudowy świadomości politycznej i społecznej w takim kierunku, który zapewni wzrost wewnętrznej siły społeczeństwa. Jednym słowem – opowiadał się za pracą organiczną.

O myślenie państwowe

Szkoła „stańczykowska" przeciwstawiała się temu, co można by nazwać ostentacyjnym patriotyzmem gestu. Szujski ironizował: „Dziwna też to zaiste rzecz, jak nasi tak zwani gorący patrioci mało ufają narodowi swojemu, jak mało jego zasobom przeszłości, jego cywilizacyjnemu znaczeniu, jak ciągle wołają: Krzycz i demonstruj, żeś Polak, bo przestaniesz być Polakiem".

Istotę praktycznego patriotyzmu stańczyków wyjaśniają słowa Koźmiana, zawarte w „Rzeczy o roku 1863": pisał on, że „dla społeczeństwa podbitego i państwowo upadłego, najwznioślejszym i najszczytniejszym celem pozostaje wprawdzie odzyskanie niepodległości, ale najpierwszym obowiązkiem musi być zachowanie bytu narodowego".

Jak pisze Rafał Matyja, z tekstów stańczyków wynika podstawowe przesłanie, że duch narodowy – choćby patriotycznie motywowany – nie jest gwarancją utrzymania państwa, jeśli nie ma ono wsparcia w instytucjach, silnej armii, administracji, systemie podatkowym itd. A po drugie, że akcje powstańcze nie mogą być podejmowane bez analizy sytuacji międzynarodowej, szans militarnych, rachunku zysków i strat. Po trzecie wreszcie, że życie narodu może toczyć się nie tylko w warunkach pełnej niepodległości.

Dla stańczyków myśl państwowa oznaczała więc świadomość hierarchii celów i myślenie w kategoriach odpowiedzialności za całość społeczeństwa, wykluczające rozwiązania skrajne.

Satyra jako oręż

Dla środowiska wokół „Przeglądu Polskiego" polemika z ideą „*liberum conspiro*" oznaczała walkę z realnym przeciwnikiem: postyczniową emigracją i jej zwolennikami w kraju. Najmocniejszym akordem w tej walce stała się „Teka Stańczyka".

Jej publikacja przypada na moment szczególny dla Galicji. Sukces Węgrów w 1867 r. – uzyskanie własnego państwa, w unii z Wiedniem – działał mobilizująco. Zdawało się, że cel polskich polityków z Galicji – uczynienie z niej trzeciego członu cesarstwa – jest realny. 24 września 1868 r. Sejm Krajowy we Lwowie uchwalił rezolucję do cesarza, postulując rozszerzenie autonomii Galicji: zwiększenie kompetencji ustawodawczych jej Sejmu, powołanie dla niej rządu (zajmującego się administracją, policją, oświatą i kulturą), sądu najwyższego oraz ministra dla Galicji w rządzie wiedeńskim.

Podczas tamtego sporu politycznego – gdy chodziło o to, czy twardo żądać większych swobód, czy też iść na ugodę z Wiedniem – konserwatyści krakowscy poparli ugodę. Stali jednak na stanowisku bardziej postępowym niż tzw. podolacy (prawicowa grupa ziemian z Galicji Wschodniej) i popierali dążenia niepodległościowe. Obawiali się jednak, że ruch opozycyjny może ulec radykalizacji. Przeciwstawiali się więc wszelkim manifestacjom, a zwłaszcza spiskom.

Tymczasem już rok później stało się jasne, że nie spełniły się nadzieje na uzyskanie dla Galicji „najzupełniejszej autonomii". Wywołało to wśród Polaków rozgoryczenie. Obawiano się, czy polskie społeczeństwo galicyjskie wytrwa przy programie ugody z Austrią, czy nie posłucha zwolenników irredenty.

Roszczeniową postawę wobec Wiednia inspirowali demokraci lwowscy, urządzając patriotyczne demonstracje i nabożeństwa za ojczyznę – do czego okazją była 300. rocznica unii lubelskiej. W Krakowie zaś temperatura wzrosła w związku ze sprawą powtórnego wawelskiego pochówku prochów króla Kazimierza Wielkiego (właśnie ekshumowanych i przebadanych).

Pragnąc zapobiec podgrzewaniu nastrojów opozycyjnych wobec Wiednia – aby nie doprowadziły do wycofania się Austrii z dotychczasowych koncesji dla Galicji – publicyści „Przeglądu Polskiego" sięgnęli po satyrę polityczną, gdyż – jak pisał Koźmian – „satyra nie tylko najsilniej, najjaskrawiej uwydatnia ujemne strony





MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Krakowscy stańczycy, którzy w 1869 roku – wtedy jako ludzie 30-letni – założyli miesięcznik „Przegląd Polski", główny organ środowiska (od lewej): Stanisław Koźmian (dyrektor Teatru Miejskiego w Krakowie), Stanisław Tarnowski i Józef Szujski (rektorzy UJ) oraz Ludwik Wodzicki (później marszałek Sejmu Krajowego we Lwowie, tu na obrazie Henryka Siemiradzkiego).

rzeczy i ludzi, ale najdzielniej je ubezwładnia".

Na łamach „Przeglądu" od maja do grudnia w 1869 r. (z przerwą w listopadzie) opublikowali serię 20 anonimowych tekstów w formie listów, nazwanych „Teką Stańczyka" (w 1870 r. wydano je jako osobną książeczkę). Satyra ta wzorowana była na wcześniejszych o sto lat angielskich „Listach Juniusa" – głośnym pamflecie na angielski rząd, który ukazał się w Londynie (za ich autora uchodzi Sir Philip Francis).

Listy z zaświatów

W swej formie „Teka Stańczyka" była cyklem listów satyrycznych, zebranych rzekomo w zaświatach przez błazna Stańczyka – tego, który w polskiej tradycji stawał się akurat wtedy symbolem rozsądku i sceptycyzmu politycznego.

Autorami „Teki" byli znani nam już twórcy „Przeglądu Polskiego", a najwięcej listów wyszło spod pióra Tarnowskiego i Koźmiana. Osoby publiczne przedstawiali pod pseudonimami, łatwymi do odszyfrowania. Listy pisane były do anonimowych adresatów przez fikcyjne osoby galicyjskiego życia publicznego, reprezentujące różne poglądy: od arystokratyczno-legalistycznych (Poloniusz – szambelan) po demokratyczno-radykalne (jak Optymowicz – właściciel apteki „Pod Czerwonym Kosynierem" w Głupiówce nad Szumówką). Fikcyjni korespondenci, noszący cechy znanych polityków, wypowiadali się na temat spraw czy miejsc, skrytych za pseudonimami. Np. Chaopolis oznaczał Wiedeń, Tygrysów – Lwów, Gawronów – Kraków, Antenor – Agenora Gołuchowskiego, a dziennik „Wieczność" – „Czas".

Twórcy „Teki" błyskotliwie i ostro występowali przeciw idei „nieprzerwalności powstania" (tj. dalszej konspiracji) i „demonstracjomanii" (bo demonstracje odciągają od „codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy" i „mogą wywołać represję lub też znowu rozpaczliwy czyn"), a także tromtadracji (polityce pustych haseł). Tarnowski podkreślał potem, że autorzy „Teki" chcieli „upomnieć patriotyzm lekkomyślny, który chcąc dobrze, dobrze myśleć i działać nie umie; opamiętać patriotyzm sentymentalny, dziecinny, który pozór bierze za rzecz, a frazes za czyn; wreszcie odsłonić patriotyzm fałszywy, faryzejski, któremu ojczyzna służy za pretekst, a celem mniej lub więcej świadomym jest zawsze »ja« tego lub owego człowieka".

„Teką Stańczyka" jej autorzy toczyli więc batalię na dwóch płaszczyznach: na polu ogólnonarodowym zwalczali myśl radykalnej postyczniowej emigracji, w sferze lokalnej zaś atakowali tych galicyjskich polityków, którzy stawiali na opozycję wobec Wiednia. „Teka" umacniała więc pozycję krakowskiego grona konserwatywnego na scenie politycznej Galicji.

A także – wywołała sensację: wielu gorszyła, budziła polemiki. Szujski pisał, że wywołała „piekielny hałas". Koźmian, że „była skutecznym środkiem", czego dowodem „wywarte przez nią wrażenie".

W istocie, oddźwięk w Galicji jej autorzy mieli zapewniony.

Miejsce w historii

A skąd nazwa „stańczycy"?

Tak twórców „Teki" ochrzciła – w swym zamyśle: pogardliwie – „Gazeta Narodowa", pismo lwowskich demokratów, pragnąc przedstawić środowisko „Przeglądu Polskiego" jako ludzi niepoważnych.

Ale tu nastąpiła rzecz nieoczekiwana: autorzy satyry nie poczuli się obrażeni, przeciwnie: nazwę uznali za pochlebną i ją zaakceptowali. Szujski wspominał, że była ona jak dowód, że „pocisk uderzył, gdzie mierzył". Tarnowski notował: „Nazwę przyjęliśmy chętnie, nawet wdzięcznie, wiedząc z historii, że przydomek dany w gniewie przez przeciwnika na wzgardę i urągowisko staje się czasem tytułem chwały. (...) Przypadkiem i niechcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię jako stronnictwu". Koźmian zaś pisał: „Nas, redaktorów »Przeglądu«, nie mógł doprawdy większy spotkać zaszczyt. (...) nie można było marzyć o większym tryumfie"; tym sposobem „Teka" ma „zapewnione miejsce w historii".

Dodajmy, że stańczycy odwoływali się nie tyle do historycznego błazna króla Zygmunta Starego (niewiele przecież o nim wiadomo), lecz do postaci z obrazu Jana Matejki „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony, kiedy wieść przychodzi o utracie Smoleńska". Powstał on w 1862 r., a Stańczyk z obrazu to nie błazen, lecz dalekowzroczny i zatroskany o przyszłość jagiellońskiego państwa myśliciel – ktoś na miarę współczesnego mu Machiavellego. Stańczyk z obrazu umie przewidzieć skutki wydarzeń – wszak smoleńska twierdza, na rubieżach państwa polsko-litewskiego, blokowała ekspansję Księstwa Moskiewskiego.

Tarnowski tak opisał postać z obrazu: „Kiedy Stańczyk siedzi sam jeden w pustej komnacie, za drzwiami tańczące pary i dźwięki muzyki, a przy nim na stole karta z wiadomością o utracie Smoleńska, kiedy ręce rozpaczliwie załamał i splótł, a oczy wpatrzył gdzieś daleko w przyszłość, on ma w sobie te wszystkie złe przeczucia, które dręczyły mądrych w XVI wieku".

Takiego Stańczyka środowisko Tarnowskiego uznało za patrona i symbol swej „szkoły patriotyzmu politycznego". ↦

Psychologiczna przepaść

↦ Z tym miejscem stańczyków w historii jest jednak pewien kłopot.

Pamięć o okolicznościach powstania „Teki" szybko się zatarła, a w społecznej świadomości utrwalił się mit, że stańczycy zrezygnowali z niepodległości. Tarnowski żalił się po latach: „Zostaliśmy uznani za zdrajców kraju przez »patriotyczną opinię«". Było to bolesne, gdyż niepodległość – choć odległa – była dla nich, jak powtarzali, celem najwyższym, a kształtowanie świadomości politycznej narodu zadaniem, które miało przybliżać ten właśnie cel.

Posądzenie o zdradę nie ułatwiło im pozyskania zwolenników dla programu reform społecznych. Tymczasem nie chcieli oni zachowania *status quo*, lecz reform – uzasadniając to fatalnym stanem społeczeństwa Galicji. Stańczycy opowiadali się za sprawnym systemem rządzenia, silnymi samorządami, upowszechnieniem oświaty, równouprawnieniem ludności ukraińskiej i równymi prawami dla Żydów w sferze społecznej, politycznej i ekonomicznej. Dostrzegali też konieczność rozwiązania kwestii chłopskiej.

Niestety, satyryczną „Teką" zamknęli sobie drogę do politycznych sojuszy. Podejmowane przez nich po 1870 r. próby realizacji programu przebudowy stosunków społecznych napotykały opór stronnictwa demokratycznego. Nawet nie ze względu na różnice ideowe – od współpracy z nimi powstrzymywało demokratów wspomnienie, jak zostali ośmieszeni w „Tece Stańczyka".

Psychologiczny klincz, jaki wytworzyła „Teka" między konserwatystami a demokratami, powodował, że inicjatywy stańczyków w Sejmie Krajowym były z zasady torpedowane przez demokratyczną opozycję. Wybitny jej przedstawiciel Tadeusz Romanowicz pisał wprost: „Myśl naprawdę organiczna nakazywała między konserwatyzmem a demokracją nie wykopywać przepaści (...) Wyście ją wykopali Teką Stańczyka". A w 1882 r. tak formułował cel walki ze stańczykami, wyolbrzymiając ich winy: „Z grabarzami idei państwowego bytu Polski, z tymi co nam stwarzają trzy patriotyzmy [austriacko-polski, rosyjsko-polski i prusko-polski] w miejsce dawnego polskiego, z tymi co doktrynami swymi obniżają poziom moralności publicznej w Polsce, z tymi co skutkiem tego wszystkiego nawet w skromnym spraw krajowych zakresie bezpłodnymi się okazali – nie masz kompromisów, nie masz porozumienia".

Debaty o strategii

Kampania stańczyków nie była jedyną próbą przewrotu umysłowego, podjętą po powstaniu styczniowym. Nieco później (co tłumaczy trudniejsza sytuacja w zaborze rosyjskim) próbę taką – choć motywowaną innymi poglądami ideowymi, ale też zmierzającą do zmiany stanowiska społecznego wobec idei irredentystycznej – podjęli warszawscy pozytywiści, na czele z Aleksandrem Świętochowskim.

Choć różnice między nimi a stańczykami były znaczne, jedni i drudzy stawiali pytanie, jak kontynuować życie społeczne i narodowe w czasach niewoli? Jakie formy ma przyjąć, gdy walka zbrojna jest bez szans? Krytyka postaw Polaków pojawia się później, na początku XX w., także w „Myślach nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego czy w publicystyce Stanisława Brzozowskiego.

Z kolei odbiciem myśli stańczyków w nauce stała się tzw. szkoła historyczna krakowska. Jej przedstawiciele – zwłaszcza Szujski, a także Walerian Kalinka i Michał Bobrzyński – proponowali nową interpretację dziejów Polski i przyczyn jej upadku. Zwana czasem pesymistyczną, szkoła ta głosiła, że rozbiory nastąpiły z winy samego narodu (zwłaszcza szlachty) i słabości władzy monarszej, zaś potem kolejne powstania prowadziły do jeszcze większych nieszczęść.

„Wszystko w ich rękach"

Z biegiem czasu stańczycy, zawarłszy sojusz z konserwatystami spod znaku krakowskiego „Czasu", osiągnęli wysokie stanowiska akademickie i polityczne. Byli posłami na Sejm Krajowy; Szujski i Tarnowski pełnili funkcję rektora UJ, Koźmian został dyrektorem Teatru Miejskiego w Krakowie. Związani ze stańczykami byli m.in. Julian Dunajewski (wybitny minister finansów Austrii) i Mikołaj Zyblikiewicz (marszałek galicyjskiego Sejmu Krajowego z siedzibą we Lwowie).

Wspominając Kraków czasów swej młodości (a więc z okresu Młodej Polski), Tadeusz Boy-Żeleński tak pisał na temat stańczyków – ugrupowania politycznego, które od końca lat 60. XIX w. aż po pierwsze lata XX stulecia dzierżyło „rząd dusz" w tym mieście, a także kształtowało znacząco życie polityczne w całej Galicji: „Po ich stronie był sukces. Koncesje użyczone krajowi [tj. Galicji] przez Austrię były – w porównaniu z dawniejszym stanem rzeczy – olbrzymie, a stańczycy umieli je pochwycić prawie niepodzielnie w [swoje] ręce. Mieli ten rozum, aby wyjść po trosze z ciasnego kręgu szlachetczyzny i wciągnąć do swego obozu czołową inteligencję, zwłaszcza z kół profesorskich. W rezultacie na kilka dziesiątków lat administracja, mandaty poselskie, teki ministerialne, katedry uniwersyteckie, Akademia Umiejętności, Rada Szkolna [Krajowa], wszystkie prawie instytucje przedstawiające jakąś siłę, wszystko bez mała znalazło się w ich rękach".

Z perspektywy stulecia

Trwająca kilkadziesiąt lat kariera stańczyków zakończyła się na przełomie wieków XIX i XX – w związku z pojawieniem się partii masowych: ludowców, socjalistów i narodowych demokratów. Ugrupowania elitarne, a takim byli krakowscy konserwatyści, zaczęły tracić na znaczeniu.

Ostateczny kres ich koncepcjom położyła I wojna światowa. Po pierwszej euforii z roku 1914, gdy galicyjskie pułki c.k. armii szły na front z polskimi pieśniami i przekonaniem, że wiedeński cesarz pobije cara Rosji i odbuduje państwo polskie, opcja proaustriacka miała doświadczać kolejnych ciosów.

Jest paradoksem historii, że to twierdza stańczyków stała się latem 1914 r. miejscem, z którego garstka niepodległościowych socjalistów wokół Józefa Piłsudskiego podjęła czyn zbrojny pod polskim już sztandarem (z nieudaną próbą wywołania antyrosyjskiego powstania w Kongresówce na samym początku). I że później, jesienią 1918 r., to także miasta Galicji, jak Kraków i Lwów, zaczęły zbrojne powstanie – zakończone odbudową państwa polskiego.

Choć może to wcale nie paradoks? Może była to, patrząc z dzisiejszej perspektywy, w gruncie rzeczy realizacja tego, o co apelowali stańczycy, ci weterani roku 1863? Przecież to oni powtarzali, że czyn zbrojny nie może być podjęty bez analizy sytuacji międzynarodowej, szans militarnych oraz rachunku zysków i strat.

Tymczasem jesienią 1918 r. właśnie to miało miejsce.

© PIOTR HAPANOWICZ

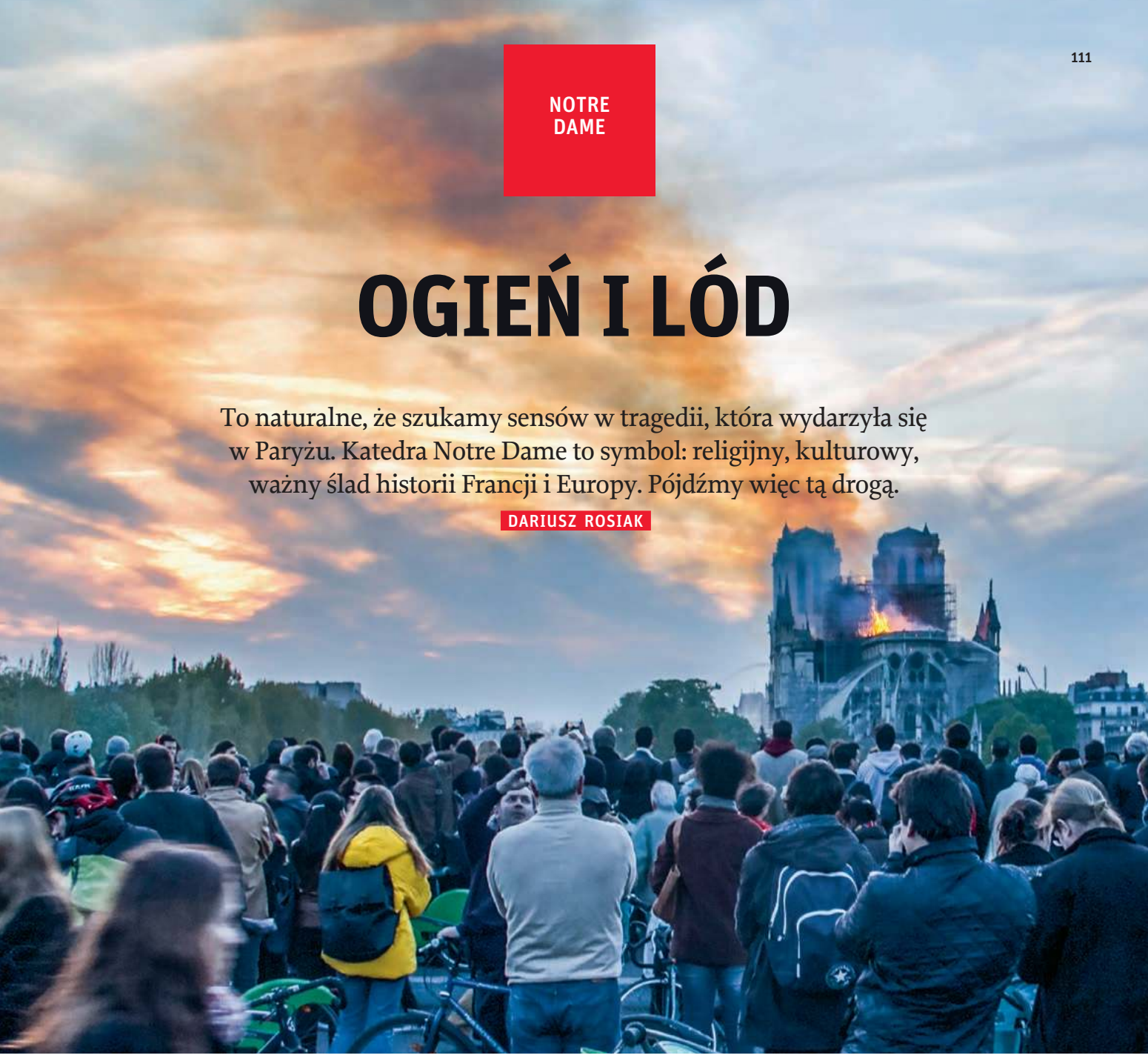
Autor jest historykiem, starszym kustoszem Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

NOTRE DAME

OGIEŃ I LÓD

To naturalne, że szukamy sensów w tragedii, która wydarzyła się w Paryżu. Katedra Notre Dame to symbol: religijny, kulturowy, ważny ślad historii Francji i Europy. Pójdźmy więc tą drogą.

DARIUSZ ROSIAK



Paryż, poniedziałkowy wieczór, 15 kwietnia 2019 r.

DAVID CORDOVA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Płonie muzeum
Jak słoma
Pali się piękno
Czczone przez pokolenia
Bezcenne
Jak ciało człowieka.

Człowiekowi, który żył na świecie
Tylko po to, żeby strzec muzeum
Udało się przybiec na czas.

Jeśli przeżyje, zaświadczy
Dla przyszłych pokoleń,
Jak pięknie umierało w płomieniach
Piękno.

Ten wcale nie tak dawny wiersz Anny Świrszczyńskiej pochodzi z czasów, gdy nie każdy zabierał głos w sprawie symbolicznych znaczeń nieszczęśliwych wydarzeń dotykających człowieka. Do niedawna to była sfera zarezerwowana dla duchownych oraz poetów, filozofów i teologów, które to funkcje zresztą często spełniali ci sami ludzie. To oni określali znaczenie i sensy zdarzeń budzących zadumę, a zwłaszcza strach zwykłych śmiertelników. Ci także wymyślali własne sensy, czasem niezgodne z przyjętymi przez rządzących umysłami. Ale kilka wieków temu groziło im za to spalenie na stosie albo banicja, a w świecie nowoczesnym nikt nie zwracał uwagi na ich przesądy.

Wyjaśnianie rzeczy, których wyjaśnić nie sposób, jest nam niezbędne – bo przecież życie pozbawione warstwy symbolicznej byłoby martwe, bez tej trudno definiowanej przestrzeni, w której możemy mieć nadzieję, że to, co nas w życiu spotyka, wykracza poza powszedniość. Zwłaszcza pożar starego budynku, który sam w sobie jest znakiem przeszłości i czasu, który bezpowrotnie odszedł, nadaje się na rozmyślania symboliczne.

To naturalne zatem, że szukamy również sensów w tragedii, która wydarzyła ↦

↦ się w Paryżu. Sama katedra Notre Dame jest symbolem: religijnym, kulturowym, śladem historii Francji i Europy. Ten kościół, zbudowany w czasach, gdy wznoszenie katedr było formą komunikacji z Bogiem – i niszczony w czasach, gdy zabijanie Boga stawało się chwytliwym programem polityczno-kulturalnym – niesie w sobie zapis myślenia ludzi różnych epok o Bogu, o sobie samych, o religii, polityce, sztuce. Jest także świątynią, miejscem kultu religijnego, do którego przychodzili nieliczni francuscy katolicy w nadziei – zwykle płonnej, bo turyści im to utrudniali – na chwilę skupienia i modlitwy.

Nie ma zatem nic złego ani dziwnego w tym, że poszukujemy metafizycznego sensu w wydarzeniu, które nas tak silnie porusza. A jednak trudno uniknąć wrażenia, że te poszukiwania, prowadzone przy okazji pożaru katedry Notre Dame, wiodą nas w sferę wcześniej nieznaną, słabo zagospodarowaną, a dziś rozwijającą się w zastraszającym tempie.



CHRISTOPHE PETIT TESSON / AFP / EAST NEWS

Nawa główna katedry, wtorek, 16 kwietnia 2019 r.

Z modlitwą na ustach i plątaniną myśli

Na odbudowę Notre Dame zebrano już prawie miliard euro. W kilka dni. Przeznaczmy je na biedne dzieci w Porto Rico albo na wodociągi w afrykańskiej Gomie. Chrystusa nie interesowało malowane szkło w oknach, tylko ludzie.

Dobrze brzmi, prawda?

Bardzo dobrze. Nie szkodzi, że nie ma związku między witrażami z Notre Dame a losem dzieci w Porto Rico czy w Afryce. Myślenie magiczne właśnie na tym polega, że łączy się rzeczy z różnych miejsc i porządków po to, aby znaleźć sens w wydarzeniu, którego sens nam umyka. Trudno nam przyjąć, że katedra, którą budowano dwieście lat, i która stała następnych kilkaset, spłonęła, bo jakiś robotnik nie zgasił peta albo nastąpiło zwarcie instalacji, albo też ogień sam się zaprószył, nie wiem jak – nie jestem strażakiem. W chwili, gdy piszę te słowa, nikt nie wie. I założę się, że gdy strażacy wreszcie się wypowiedzą, a ich wersja nie będzie wystarczająco spiskowa, natychmiast odezwą się ci, którzy podadzą inną, „prawdziwszą" prawdę.

Trudno przyjąć, że w czasach, w których dorobiliśmy się sztucznej inteligencji, wysyłamy sondy na Marsa i ożywiamy martwe komórki w uciętej głowie świni – że w takich czasach przychodzi ogień, a my stajemy wobec niego bezradni, z sikawką w ręku, z modlitwą na ustach i z plątaniną myśli w głowie. Żyjemy w głęboko niesprawiedliwym i niezrozumiałym świecie, w którym jedną z niewielu rzeczy rozdawanych za darmo stało się słowo. Każdy może mówić, co chce, pisać, co chce – i znajdzie chętnych do rozmowy. Albo do czegoś, co mgliście ją przypomina.

No to rozmawiamy: jeden procent Brytyjczyków posiada połowę ziemi w Wielkiej Brytanii. Jeden samolot F35 kosztuje nieco poniżej 100 mln dolarów. Może gdyby zabrać hektary angielskim posiadaczom ziemskim i nie kupować F35, świat byłby sprawiedliwszy? Kto wie, może byłby, choć pewności nie ma – takie próby już podejmowano, z nie najlepszym skutkiem.

Trzeba jednak czynić świat sprawiedliwszym. Co nie ma związku z pożarem paryskiej katedry. Tym niemniej wszystkie wątki, o których dotąd piszę, znalazłem w różnych komentarzach osadzone w kontekście tej tragedii.

W Polsce – kraju, który szczyci się mianem katolickiego – zastanawiamy się, czy przypadkiem to nie Pan Bóg podpalił Notre Dame w proteście przeciwko bezbożności Francuzów albo może pedofilii księży. Czy to może być przypadek, że w „muzułmańskiej Francji" płonie katolicka katedra?

Stanisław Lem wyznał kiedyś: „Dopóki nie skorzystałem z Internetu, nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów" – i dotknął tym chyba istoty problemu. Nie chodzi o to, że ludzkie zidiocenie postępuje obecnie w tempie szybszym niż w przeszłości. Znacznie szybciej niż kiedyś postępuje natomiast rozpowszechnianie głupoty. Przypomnijmy sobie, z jaką wzgardą traktowane były teorie spiskowe po zamachach na World Trade Center w 2001 r. Dzisiaj, przy okazji paryskiego pożaru, nie tylko wszystko jest dozwolone, ale wszystko, albo prawie wszystko, traktowane jest poważnie. Każda, choćby najbardziej szaleńcza opinia ma swoich wyznawców, w każdej może „tkwić ziarnko prawdy", zwłaszcza jeśli prawdą jest to, co za nią uznamy.

„Katedra każdego Francuza"

A przecież powinno być miejsce na rzeczową dyskusję o tym, jak ten pożar wpłynie na Francję i Europę.

Jesteśmy w przededniu wyborów do Parlamentu Europejskiego, prezydent Macron znalazł się w ogniu być może najważniejszego sporu polityczno-społecznego

ostatnich dekad. Pod koniec maja Europejczycy wybiorą swoich przedstawicieli do instytucji, która w coraz większym stopniu wpływa na ich życie. Wygląda na to, że wskażą wielu, którzy chcieliby uczynić z Europy zupełnie inny twór niż ten, który istniał pod kierunkiem obecnych zarządców Unii.

W poniedziałek wieczorem Emmanuel Macron przygotowywał się do wygłoszenia swego kluczowego przemówienia: podsumowania debaty narodowej, zainicjowanej przez prezydenta w związku z protestami „żółtych kamizelek". Dwie godziny później, zamiast analizować medialne reakcje na swoje słowa, wygłaszał inne, które pewnie przez lata będą odtwarzane dla przypomnienia wydarzeń z 15 kwietnia: „Notre Dame to nasza historia, nasza literatura, epicentrum naszego życia, katedra każdego Francuza i Francuzki".

Co konkretnie miał na myśli? Czy Macronowi chodziło o to, by przy okazji tragedii zjednoczyć naród, aby – wracając do sfery symbolicznej – wybić się w przyszłość całkiem powszednią i przeliczalną na poparcie społeczne?

Z jednej strony poniedziałkowy pożar może okazać się dla niego ogromną szansą na zmobilizowanie społeczeństwa. Francuzi są dziś narodem rozdartym i zagubionym, o czym świadczy choćby ich reakcja na ruch „żółtych kamizelek".

W manifestacjach bierze dziś udział tak minimalna grupa ludzi, że w normalnych okolicznościach nikt nie zwróciłby na nich uwagi.

Jednak to nie są normalne okoliczności: Francuzi może nie wychodzą masowo na ulice, ale wielu czuje, że ich kraj przeżywa dramatyczny kryzys. Nawet jeśli nie wspierają „żółtych kamizelek", nawet jeśli widzą słabości i błędy tego ruchu, to nie ma wątpliwości, że oczekują fundamentalnych zmian.

Świat kwestionowany

W tym sensie płonąca Notre Dame jest symbolem zupełnie innym, niż chcieliby niektórzy polscy felietoniści albo politycy niemieckiej AfD. Podobnie jak Grenfell Tower – płonąca w czerwcu 2017 r. w środku najbogatszej dzielnicy Londynu – stała się dla wielu Brytyjczyków symbolem upadku ich kraju, tak też obraz paryskiej katedry pogrążonej w ogniu, dymie i popiele przypomina o społecznych, politycznych i duchowych traumach, jakie dotykają Francuzów.

Pożar na L'Île de la Cité – historycznej wyspie na Sekwanie, na której stoi także katedra – znacząco podniósł stawkę następnego przemówienia Macrona. To nie może być wyłącznie odniesienie do protestu „żółtych kamizelek". Francja potrzebuje prezydenta, wokół którego będzie mogła się zjednoczyć na dłużej.

Wiemy z grubsza, co miało być treścią niewygłoszonego przemówienia Macrona: zapowiedź obniżenia podatków dla klasy średniej, zawieszenie tzw. podatku ekologicznego podnoszącego ceny paliwa, rewizja (choć nie zniesienie) wcześniejszej decyzji o obniżce podatków od nieruchomości dla bogatych, więcej referendów w sprawach lokalnych, zmniejszenie liczby posłów, a także likwidacja lub ukrócenie rangi Krajowej Szkoły Administracji, która od lat produkuje *establishment* kraju i dla wielu Francuzów jest symbolem wszystkiego, czego nienawidzą: bogactwa, nieuzasadnionych wpływów, kumoterstwa i dożywotniego prestiżu gwarantowanego absolwentom szkoły, uczącym się tam tylko dlatego, że mają odpowiednie kontakty.

Paradoksalnie fakt, że tak niewielu ludzi wychodzi na ulice w protestach przeciw rządowi, pokazuje, jak trudne zadanie czeka Macrona. Francja, podobnie jak wiele innych krajów Europy, przeżywa dziś bunt społeczny, który nie jest skierowany przeciw konkretnym politykom, lecz całym klasom zarządzającym państwem. Podważane są fundamenty liberalnej demokracji, która jeszcze kilka lat temu miała być nieusuwalną częścią społeczno-politycznego krajobrazu zachodniego świata. Dziś chwieje się niemal każdy z filarów podtrzymujących dotychczasowy porządek w państwach europejskich: systemy wyłaniania przedstawicieli, założenia gospodarcze i finansowe, liberalne dogmaty dotyczące narodowej tożsamości, zasad debaty publicznej, akceptacji dla odmienności. „Żółte kamizelki" nie dają sensownej alternatywy. Może gdyby dawały, świat byłby prostszy i bardziej przewidywalny.

Ale nie jest. Miał rację rzecznik francuskiego rządu Benjamin Griveaux, gdy w środowym przemówieniu w Zgromadzeniu Narodowym mówił: „Nie mamy do czynienia z opozycją polityczną, tylko z opozycją wobec republiki".

Nie wygląda na to, by ta opozycja uległa rozwodnieniu przy pomocy sikawek gaszących pożar Notre Dame. Wręcz przeciwnie – zarówno Macron, jak i „żółte kamizelki" wiedzą, że podobnie jak każdy publiczny przejaw społecznej solidarności, także ten szybko się wypali. Ludzie wrócą do domów i pracy, a katedra zacznie odgrywać w ich życiu dokładnie taką samą rolę jak przed pożarem: niemego świadka wydarzeń, który co najwyżej wzbudza entuzjazm turystów. Codziennie innych. Kolejne miliony ludzi będą szukać najlepszego ujęcia części katedry strawionej przez pożar, żeby potem umieścić je na Facebooku i Instagramie. A gdzieś w ich tle będą przesuwać się paryżanie – zatopieni w teraźniejszości, a nie w przeszłości, z obawami o przyszłość.

Wybór (nie tylko) Macrona

Prezydent Emmanuel Macron zapowiedział, że „przemieni gniew w rozwiązania". Aby choć mieć szansę na taką przemianę, jego nowa przemowa musiałaby się różnić od wcześniej planowanej. Musi wybiec znacznie dalej w ambicjach i nadać Francuzom kierunek, o którym przed feralnym poniedziałkiem Macron nawet nie myślał.

Jeśli mu się uda, przejdzie do historii jako wielki lider Francuzów. A dzień, w którym płonęła katedra Notre Dame, uznany zostanie być może za przełomowy dla jego politycznej kariery. A jeśli się pomyli? Jeśli nie będzie wystarczająco ambitny, jeśli nie doceni tej kluczowej cechy, która coraz silniej ogarnia kolejne zachodnie społeczeństwa – nienawiści do rządzących?

Nam wszystkim pozostanie kontemplowanie symboli. Jak pisał Robert Frost (a tłumaczyła Ludmiła Marjańska), ogień ma swoje lustrzane odbicie, równie śmiertelne:

Jedni mówią, że świat zniszczy ogień.
Inni, że lód.
Iż poznałem pożądania srogie,
Jestem z tymi, którzy mówią: ogień.
Gdyby świat zaś dwakroć ginąć mógł,
Myślę, że wiem o nienawiści
Dość, by rzec: równie dobry lód
Jest, aby niszczyć,
I jest go w bród.

© DARIUSZ ROSIAK

NAUKA

NIE PRÓBUJCIE TEGO SAMI

Wielu lekarzy testowało nowe leki i procedury medyczne na samych sobie, w pogoni za wiedzą lub chwałą. Jednym przyniosło to Nobla, innym – przedwczesną śmierć.

BARTOSZ KABAŁA

W „Aforyzmach" Hipokrates zawarł jeden z najpełniejszych opisów medycyny: „Życie trwa krótko, sztuka – długo, sposobność jest przelotna, doświadczenie – zawodne, ocena – trudna". Nawet dzisiaj to główne wyzwania, z jakimi mierzą się lekarze. Życie jednego człowieka trwa zbyt krótko, by zdążyć pojąć całość sztuki medycznej, a z wiedzy zdobytej dzisiaj, często w konsekwencji śmierci pacjenta, w pełni skorzysta dopiero kolejne pokolenie lekarzy. Jednak polskie tłumaczenie tej sentencji różni się od greckiego oryginału i tłumaczenia łacińskiego, w których jest mowa nie o „zawodnym doświadczeniu", ale o „niebezpiecznym eksperymencie" (*experimentum periculosum*).

Ludzie i skazańcy

Chcąc zdobyć wiedzę, w starożytności lekarz-naukowiec musiał narazić pacjenta na utratę zdrowia lub życia. Ale takie zachowanie stoi w sprzeczności z kolejną hipokratejską maksymą: „po pierwsze nie szkodzić". W czasach, gdy medyczny eksperyment nieodzownie wiązał się z ryzykiem, problemy etyczne lekarzy-naukowców sprowadzały się do pytania o to, czy można eksperymentować na ludziach.

Dla nauki to pytanie kluczowe. W ciągu wieków filozofowie, etycy i lekarze nie chcąc hamować postępu wiedzy, manipulowali definicją człowieka wedle potrzeb. Wykluczano z tego grona osoby skazane na śmierć – czy to cywilną, czyli pozbawienie wszelkich praw, czy biologiczną. Sam eksperyment mógł być karą, a jeśli się udał, stawał się ułaskawieniem dla skazańca.

Medycyna musiała poznać, zrozumieć i zbadać. Nie było to możliwe bez ciała. Anatom potrzebował zwłok, które zdobywał raz podstępem, raz dzięki transakcji z katem, a czasem sam skazany sprzedawał swoje ciało przed egzekucją. Chirurg, by samemu nie stać się skazańcem, szukał dublerów, na których ćwiczył procedurę przed zoperowaniem wpływowych osób. W imię nauki eksperymentowano na więźniach, umysłowo chorych, prostytutkach i niewolnikach. Ciągłe modyfikacje definicji człowieka musiały doprowadzić do horroru XX w. Machina Holokaustu dostarczała niemieckim lekarzom nieludzko traktowane ciała, które można było poddać każdej, nawet najbardziej bezsensownej próbie. Skutkiem zbrodni i pseudoeksperymentów były procesy norymberskie i, co równie ważne, Kodeks norymberski, będący pierwszym międzynarodowym dokumentem dotyczącym eksperymentów medycznych. To w nim po raz pierwszy pojawia się zasada eksperymentowania na samym sobie. W przypadku doświadczenia, które zakłada uszczerbek na zdrowiu lub utratę życia, lekarz może je wykonać, jeśli on sam będzie uczestnikiem.

To pierwsza prawna wzmianka o autoeksperymencie, jednak samo zjawisko jest dużo starsze. Doktor Allen B. Weisse w artykule „Self-Experimentation and Its Role in Medical Research" przeanalizował tę praktykę na 514 przykładach. Większość z nich dotyczyło jednej z czterech dziedzin: chorób zakaźnych, anestezjologii, fizjologii lub farmakologii. Znaleźć można wśród nich zarówno autoeksperymenty kuriozalne, jak i takie, które zaowocowały Nagrodą Nobla (w przeanalizowanej grupie Weisse znalazł aż 13 noblistów). Większość wymagała ogromnej odwagi i ciekawości bliskiej obsesji.

Autoeksperyment jest wygodny dla naukowca. Własny organizm mamy zawsze przy sobie, gotowy do podjęcia próby badawczej. Problemem staje się narażanie samego siebie na niebezpieczeństwo. Czy naukowiec może tak nierozważnie postępować ze swoim ciałem? Czy jest to poświęcenie usprawiedliwione? Grégoire Chamayou w dziele „Podłe ciała" zauważa, że te wątpliwości nawiązują „do klasycznych sporów filozoficznych o prawo do popełniania samobójstwa lub samookaleczania". Przywołuje jednocześnie dwa argumenty przeciwko podejmowaniu takiej próby. Pierwszy z połowy XIX w. nazywa „argumentem arystokratycznym" – życie naukowca, lekarza jest zbyt cenne, by narażać je na niebezpieczeństwo; można

↦

Dr Jonas Salk (1914–1995), wynalazca szczepionki na polio, w swoim laboratorium. Połowa lat 50. XX w.

PHOTOQUEST / GETTY IMAGES



↦ przecież zastąpić je życiem więźnia. Drugi argument jest bardziej uniwersalny i wywodzi się z nauki Kościoła katolickiego, traktującej „ciało człowieka jako ziemski depozyt duszy".

Ofiary się nie mylą

Autoeksperymenty bywały zabójcze. W 1900 r. trzech naukowców amerykańskiej armii – James Carroll, Aristides Agramonte i Jesse Lazear – umyślnie zaraziło się wirusem żółtej febry. Była to udana próba udowodnienia, że choroba, która zdziesiątkowała armię USA w trakcie wojny hiszpańsko-amerykańskiej, przenoszona jest przez komary. Ofiarą eksperymentu padł Lazear i pozostawił po sobie dokładny opis tego, jak choroba rozwijała się w jego ciele. Na żółtą febrę zmarł także włoski lekarz Eusebio Giacinto Valli, który w 1816 r. udał się w podróż do Ameryki. Tam, jak podaje Jean-Antoine-François Ozanam, „dwudziestego pierwszego września, zobaczywszy, że jeden z żeglarzy zmarł na skutek żółtej febry, zdjął z niego koszulę, potarł nią uda, klatkę piersiową, ręce i twarz, powąchał, a następnie nagi położył się obok ciepłych jeszcze zwłok". Nazajutrz zdiagnozowano u niego żółtą febrę, a dwa dni później zmarł.

Tragicznie zakończył się również słynny autoeksperyment studenta medycyny Daniela Carrióna (1857–1885), który chcąc udowodnić, że brodawka peruwiańska i gorączka Oroya to różne manifestacje tej samej jednostki chorobowej, wprowadził do swojego organizmu krew pacjenta z brodawką. Po kilku dniach wystąpiły objawy gorączki Oroya, na którą wkrótce potem zmarł.

Na autoeksperyment zdecydował się także Edwin Katskee, niemiecki proktolog, badający różne metody anestezji i zwalczania bólu. W 1936 r. postanowił poeksperymentować z kokainą, stosowaną w leczeniu uzależnienia od morfiny, także w okulistyce i laryngologii. Po przyjęciu bardzo dużej ilości tego narkotyku przez całą noc skrupulatnie spisywał obserwacje i objawy na ścianie swojego biura. Rano został znaleziony martwy.

Bliski śmierci bywał rumuński medyk sądowy Nicolae Minovici, który w swoim bukareszteńskim laboratorium regularnie wieszał się na linie. W eksperymentach starał się wyłapać jak najwięcej objawów niedotlenienia. Biegłość w wieszaniu się pozwoliła na publikację 200-stronicowego podręcznika traktującego w całości o tym rodzaju samobójstwa.

Lekarz sądowy Nicolae Minovici w swoim laboratorium **regularnie wieszał się na linie.** W eksperymentach starał się wyłapać jak najwięcej objawów niedotlenienia.

Naukowcy badali wpływ prądu na przewód pokarmowy, przypinając jedną elektrodę do ust, a drugą do odbytu, **wstrzykiwali sobie radon czy pili szklankę ciężkiej wody**.

Dowód na bezpieczeństwo

Autoeksperyment można uznać za najmocniejszy argument w naukowej dyskusji. Lekarz własnym przykładem chce potwierdzić prawdziwość swojej tezy, zapewnić o bezpieczeństwie danej metody. Tak jak Werner Forssmann, niemiecki kardiolog, który jako pierwszy na świecie zacewnikował serce. W 1929 r. Forssmann przekonany o tym, że istnieje możliwość wprowadzenia cewnika do prawej komory serca poprzez obwodowe naczynia żylne, bez uszczerbku na zdrowiu i zagrożenia życia, wykonał taką procedurę na samym sobie. Dokonał tego wbrew szefom kliniki, wcześniej zmuszając pielęgniarkę do asysty. Dowodem skuteczności zabiegu było zdjęcie rentgenowskie cewnika w prawej komorze jego własnego serca. Sukces nie uchronił Forssmanna przed konsekwencjami niesubordynacji – został wyrzucony z pracy. Jednak 27 lat później za swoje dokonanie otrzymał Nagrodę Nobla. Jego pionierski zabieg pozwolił na rozwinięcie się kardiologii inwazyjnej i interwencyjnej, a dziś cewnikowanie serca jest podstawową metodą diagnostyczną i terapeutyczną, umożliwiającą np. założenie stentów do naczyń wieńcowych.

Autoeksperyment jako dowód na bezpieczeństwo metody nigdzie tak się nie sprawdza, jak w dyskusji o szczepieniach. Bezpieczeństwo szczepionek frapuje społeczeństwa od samego początku wakcynologii. Za czasów Edwarda Jennera i jego pierwszej szczepionki przeciwko ospie prawdziwej, którą uzyskiwał z krowich wymion, szczepienia jawiły się jako masowy „bydlęcy eksperyment". Wyrazem strachu były karykatury ludzi z krowimi pyskami, które miały im wyrosnąć po zaszczepieniu.

W latach 50. XX w. w Stanach Zjednoczonych wirus polio doprowadzał do paraliżu około 20 tysięcy dzieci rocznie. Intensywne prace nad szczepionką zaowocowały powstaniem kilku preparatów. Twórcą jednego z nich był amerykański lekarz Jonas Salk, który stworzył szczepionkę zawierającą zabity wirus polio. W maju 1955 r., chcąc udowodnić skuteczność i bezpieczeństwo swojej metody, zaszczepił na oczach dziennikarzy siebie, swoją żonę i trójkę dzieci. Salk stwierdził wówczas, że jego „odwaga [jest] oparta na pewności, nie brawurze, a ta pewność wynika z doświadczenia". Wkrótce potem szczepionkę wprowadzono i rozpoczęto masowe szczepienia, które pozwoliły ograniczyć epidemię.

Autoeksperyment jako zagrywka PR-owa może służyć zwalczaniu powszechnie przyjętych praktyk. W latach 90. XX w., gdy nauka pracowała nad metodami ograniczającymi rozprzestrzenianie się wirusa HIV, część naukowców i zwolenników medycyny alternatywnej głosiła, że wirus ten wcale nie powoduje zespołu nabytego niedoboru odporności (AIDS). Jednym ze sceptyków był Robert Willner, który przez lata próbował leczyć pacjentów z AIDS terapią ozonową, za co odebrano mu prawo wykonywania zawodu lekarza. Pod koniec 1994 r. zwołał konferencję prasową. Po krótkiej przemowie i zaprezentowaniu dziennikarzom pacjenta rzekomo zakażonego HIV, wyciągnął igłę i ukłuł najpierw jego, a potem siebie. Z igłą wbitą w palec triumfalnie pozował przed kamerami przekonany, że wirus nie spowoduje u niego żadnego uszczerbku na zdrowiu. Wynik tego autoeksperymentu nie jest jednak jasny, gdyż Willner zmarł na zawał serca kilka miesięcy później.

Powątpiewanie w zakaźność chorób nie jest wymysłem nowoczesności. W połowie XIX w. Pierre Frédéric Longueville

pisał: „Pośród wielu faktów, które lekarz przywołuje i które świadczą przeciw zakaźności cholery, zacytuję te, które wydają mi się najważniejsze: 1. Doktor Jaehnichen z Moskwy, który inokulował sobie krew, a następnie treść wymiocin chorych na cholerę. 2. Doktor Foy z Polski, który powtórzył te próby inokulacji, a dodatkowo spróbował wymiocin (...). Tacy ludzie są chwałą tej sztuki i zasługują na nasz podziw i szacunek". Dziś wiadomo, że przecinkowiec cholery, odkryty przez Roberta Kocha pod koniec XIX w., rozprzestrzenia się przede wszystkim poprzez wodą skażoną ludzkimi odchodami i atakuje układ pokarmowy, wywołując biegunki i znaczne odwodnienie.

Wodór w jelitach

Niektóre z historycznych autoeksperymentów mogą wydawać się dziś kuriozalne. Pomysłowi naukowcy badali wpływ prądu na przewód pokarmowy, przypinając jedną elektrodę do ust, a drugą do odbytu (Franz Karl Achard, 1753–1821), wstrzykiwali sobie radon (Hermann Blumgart, 1895–1977), pili szklankę ciężkiej wody – D_2O, używanej do chłodzenia reaktorów jądrowych (Klaus Hansen), albo jak Joseph Barcroft sprawdzali zachowanie organizmu w bardzo niskiej temperaturze i wysokim ciśnieniu.

Na osobne wspomnienie zasługuje doktor Nicholas Senn, amerykański chirurg, który badał metody wykrywania perforacji przewodu pokarmowego w wyniku postrzału. W latach 80. XIX w. był to nie lada problem diagnostyczny. Jak podają źródła, doktor Senn w 1886 r. doodbytniczo wpompował do swojego przewodu pokarmowego kilka litrów wodoru. Wcześniej przećwiczył tę metodę na psach postrzelonych w brzuch. Jeśli kula naruszyła przewód pokarmowy, to po przyłożeniu ognia do rany ulatujący wodór powinien się zapalić. Doświadczenie Senna miało sprawdzić, czy to bezpieczna metoda diagnozy. Eksperyment się powiódł, a metoda znalazła uznanie wśród XIX-wiecznych chirurgów.

Senn miał także wszczepić sobie podskórnie fragment zmienionego nowotworowo węzła chłonnego pobranego od pacjenta. Była to jedna z wielu w historii prób zarażenia się nowotworem. Wcześniej takie wyzwanie podjął m.in. francuski dermatolog Jean-Louis-Marc Alibert. W 1808 r. zaaplikował sobie fragment raka piersi. Podobny eksperyment wykonał polski hematolog prof. Julian Aleksandrowicz. W 1957 r. dwukrotnie przetoczył sobie krew pacjenta chorego na przewlekłą białaczkę limfatyczną. Żadnemu z nich nie udało się zarazić chorobą nowotworową.

Psychonauci

Motywacją do wypróbowania medycyny na samym sobie może być także doświadczenie lekarza w obserwowaniu skutków działania, efektów i drobnych zmian, które pacjent może zignorować lub przeinaczyć. Metoda autoeksperymentu może być wówczas bardziej obiektywna, szczególnie jeśli dotyczy leków i substancji wpływających na umysł. Na taki eksperyment zdecydował się Friedrich Sertürner, który w 1804 r. wyizolował morfinę z opium. Chciał udowodnić, że substancja boga snu i marzeń sennych Morfeusza odpowiada za pożądane właściwości opium. W tym celu publicznie, wraz z trzema innymi naukowcami zażył morfinę.

Inny Niemiec – Arthur Heffter – w 1897 r. wyizolował z kaktusa zwanego jazgrzą Williamsa alkaloid – meskalinę. Związek ten oddziałując na receptory serotoninowe w mózgu wywołuje wizje i duchowe doświadczenia, zaburza percepcję rzeczywistości i powoduje synestezję. Heffter zapisywał swoje obserwacje w notatniku. Oto przykład z 23 listopada 1897 r:

„11:45 – Wzięto 0,15g chlorowodorku meskaliny. Puls z 78 na minutę do godziny 13:00 spadł do 66 na minutę. 12:06 – Uczucie ciężkiej głowy. Fotofobia. Umiarkowanie rozszerzone źrenice. (...) 13:50 Puls 72 na minutę. 14:00 – Fioletowe i zielone punkty pojawiły się w trakcie czytania na papierze. Po zamknięciu oczu pojawiają się fioletowe i zielone plamy, zlewające się, później pojawiają się wzory dywanów i sklepienia żebrowe. (...) Później widoki, hale i sceny architektoniczne (przykładowo kolumny udekorowane kwiatami)".

To właśnie Heffter został nazwany przez pisarza Ernsta Jüngera psychonautą. Wtedy to pojęcie pojawiło się po raz pierwszy. Psychonauta to osoba, która bada na sobie działanie substancji psychoaktywnych i opisuje swoje subiektywne odczucia. Psychonautami często nie byli naukowcy czy lekarze, ale artyści i pisarze jak Aldous Huxley i Philip K. Dick. Odkrywca LSD, szwajcarski farmakolog Albert Hofmann stał się psychonautą przez przypadek. Próbował zsyntetyzować z kwasu lizergowego lek pobudzający ośrodek oddechowy i naczynioruchowy ↦

Skala bólu Schmidta

GDY MOWA O POŚWIĘCENIU dla nauki, trudno przebić entomologa Justina Schmidta, badacza mechanizmów obronnych błonkoskrzydłych, który w ramach obowiązków służbowych postanowił dać się użądlić 78 gatunkom owadów. Swoje doznania bólowe wyraził w postaci skali bólu Schmidta o zakresie 1-4, okraszonej obrazowymi adnotacjami. Ból poziomu pierwszego, spowodowany na przykład przez atak zwykłej mrówki, określił jako lekki, „niemal przyjemny, jak gdyby kochanka zbyt mocno ugryzła cię w płatek ucha". Przykładowy ból poziomu drugiego, wywołany przez osę z rodzaju *Vespula*, był już „gorący i dymny, jak gdyby ktoś ugasił na tobie papierosa". Na szczycie skali znalazło się użądlenie przez mrówkę *Paraponera clavata* [na zdjęciu], określanej w rodzimej Ameryce Południowej jako *hormiga bala* albo *hormiga veinticuatro*, czyli, kolejno, „mrówka-pocisk" albo „mrówka-dwadzieścia cztery" (bo tyle godzin trwa ból). „Czysty, intensywny, klarowny ból... jak spacerowanie po rozżarzonych węglach z trzycalowym gwoździem wbitym w piętę".



Niecodzienne dokonanie przyniosło badaczowi Nagrodę IgNobla w 2015 r., a jego skala doczekała się też istotnych uzupełnień – w 2014 r. neurobiolog Michael L. Smith opublikował pracę dokumentującą wpływ miejsca użądlenia pszczoły na intensywność odczuwania bólu. Jak dotąd ustalenia Schmidta nie znalazły ściśle medycznych zastosowań. ©℗ ŁL

↦ w mózgu (analeptyk). Nieumyślnie przeniósł niewielkie ilości zsyntetyzowanego LSD do ust i oka. Tyle wystarczyło, by wywołać efekt i odkryć psychodeliczne właściwości tej substancji. Przez resztę życia Hofmann bezskutecznie próbował znaleźć zastosowanie dla LSD. Psychodelik został powszechnie zakazany, pomimo tego jego twórca nazywał go „lekarstwem dla duszy".

Jeszcze dalej w swoich rozważaniach poszedł Jacques-Joseph Moreau de Tours, który stwierdził, że lekarz musi przeprowadzać na samym sobie eksperymenty z lekami i substancjami – i to wielokrotnie. Francuz przez lata badał działanie haszyszu. W 1845 r. pisał: „Uważam, że nie ma prawa mówić o działaniu haszyszu ten, kto nie mówi w swoim imieniu, ten, kto sam nie doświadczył jego działania i z wystarczającą do badań regularnością nie stosował tego narkotyku".

Autoeksperymenty przyczyniły się do rozwoju medycyny, a ich autorzy zbierali najważniejsze wyróżnienia. Poza opisanym już Forssmannem Nagrodę Nobla otrzymał m.in. sir Frederick Banting, kanadyjski lekarz, który wsławił się odkryciem insuliny. W ramach badań zaaplikował sobie kilka jednostek tego hormonu. Kolejnym noblistą był Gerhard Domagk, który odkrył nową grupę antybiotyków – sulfonamidy, a sprawdzanie ich skuteczności i bezpieczeństwa rozpoczął od siebie. W najnowszej historii Nobla za autoeksperyment otrzymał Barry Marshall. Australijczyk chciał udowodnić związek pomiędzy bakterią *Helicobacter pylori* a zapaleniem błony śluzowej i wrzodami żołądka. W tym celu zarażał się bakterią, wykonywał biopsję śluzówki, leczył infekcję i znów zarażał. Za swoje badania został nagrodzony w 2005 r.

W przemowie na bankiecie po odebraniu nagrody Marshall przywołał postać Macfarlane'a Burneta – innego słynnego australijskiego noblisty. W 1951 r. Burnet zaraził się wirusem myksomatozy, chcąc udowodnić, że dla człowieka nie jest chorobotwórczy. Miało to przekonać społeczeństwo, że rozprowadzenie tego wirusa w środowisku w celu wybicia ogromnej populacji królików nie spowoduje epidemii u ludzi. Odnosząc się do tej historii, Marshall powiedział: „Pomimo tego, że Burnet wstrzyknął sobie wirusa myksomatozy króliczej, a ja zaraziłem się *Helicobacter pylori*, nie sugeruję aspirującym australijskim naukowcom, że ten proceder zagwarantuje im Nagrodę Nobla".

Choć pewnie niejedna nagroda za udany autoeksperyment zostanie jeszcze przyznana.

© BARTOSZ KABAŁA

Dziedzictwo dinozaurów

SZYMON DROBNIAK

Barwne pióra, niewielkie rozmiary, inteligentne zachowania i... kontakty z człowiekiem. Zwykle nie to przychodzi nam do głowy, gdy myślimy o dinozaurach. A powinno.

Określenie „dinozaury" ma w sobie coś z popkulturowej, zadziornej wersji nauki. Wiemy doskonale, że naukowcy mają ściśle usystematyzowany protokół nazywania organizmów żywych. Stąd tak wiele dziwacznych, trudnych do zapamiętania nazw gatunków i grupujących je wyższych jednostek taksonomicznych. Od czasu do czasu zdarza się jednak, że ktoś – świadomie lub nie – tworzy nazwę tak chwytliwą, że na zawsze wrasta ona w świadomość ludzi, przecieka do popkultury, mediów i potocznego języka. Kiedy wielki brytyjski anatom i paleontolog Richard Owen w połowie XIX w. wymyślił swoje „dinozaury", nie spodziewał się popularności, jaką ten termin wywoła. Dla niego złożenie greckich słów *deinos* (straszliwy, potężny) i *sauros* (jaszczur, gad) było sposobem na wyrażenie gigantyczności odnajdywanych w zapisie kopalnym zwierząt. Owen nigdy nie miał zamiaru nadawać im żadnych wyjątkowo morderczych atrybutów – chciał tylko podkreślić rozmiary większości dinozaurów, wyraźnie odbiegające od standardów typowych dla współczesnych gadów. Nie da się jednak ukryć, że dinozaury działały na wyobraźnię, zresztą nie tylko badaczy ze Starego Kontynentu. Chińczycy określają je słowem *konglong* – co w wolnym tłumaczeniu oznacza „przerażającego smoka". Raz powołane do życia smoki przeszłych czasów szybko zaczęły żyć własnym życiem, inspirując pokolenia badaczy i artystów.

Straszliwe ptaki

Charakterystyczną cechą idei „zaraźliwej" kulturowo, do jakiej zaliczyć należy prehistoryczne smoki, jest jej migrowanie poza ścisłe naukowe ramy i rygorystyczne definicje. Dla większości nienaukowców dinozaury to wszystkie gady z przeszłości: nie tylko popularne np. w serii filmów o Parku Jurajskim tyranozaury, gigantyczne brachiozaury, raptory czy powolne stegozaury – ale też latające pterozaury, żyjące w wodzie ichtiozaury i plezjozaury, czy wreszcie przypominające krokodyle bestie żyjące na długo przed ikonicznym tyranozaurem. Definicja formalna dinozaurów, opierająca się na taksonomicznej poprawności, jest zaskakująca – zaliczamy do nich wszystkie organizmy, które pochodzą od wspólnego przodka trzech głównych linii ewolucyjnych, formalnie wyznaczonych przez trzy gatunki: *Triceratops horridus* (rogaty dinozaur z kryzą kostną), *Saltasaurus loricatus* (dinozaur o przysadzistym, nisko zawieszonym ciele i masywnej szyi) oraz *Passer domesticus* (dinozaur o niewielkich rozmiarach ciała, pokryty czarnymi i brązowymi piórami, często odwiedzający w zimie karmniki).

Zaraz, zaraz... dinozaury odwiedzające karmnik w zimie? Brzmi mało komfortowo – ale tylko do chwili, kiedy przestaniemy utożsamiać dinozaury z wymarłymi, wyposażonymi w zestaw morderczych zębów jaszczurami. Obecny naukowy konsensus – jakkolwiek surrealistycznie by on brzmiał – jednoznacznie umieszcza wszystkie współcześnie żyjące ptaki wśród dinozaurów. Najwyższy czas więc zacząć odkłamywać dotyczące dinozaurów mity. Dinozaury nie wymarły zupełnie. Przedstawiciele odłamu ich jednej konkretnej linii ewolucyjnej prawdopodobnie właśnie wyjadają ziarno z twojego karmnika dla ptaków. Albo



biegają po twoim podwórku, wykopując z ziemi dżdżownice i nasiona. Albo wreszcie krążą nad twoją głową, wypatrując w gęstej trawie pobliskiej łąki smakowitych gryzoni – skądinąd również będących znacznie odleglejszymi krewniakami dinozaurów (także ssaki wywodzą się z linii ewolucyjnej gadów). Ptaki **są** dinozaurami – tak ewolucyjnie (ich linia ewolucyjna nie oddzieliła się w żaden cudowny sposób od gałęzi drzewa życia, na której przesiadują prehistoryczne smoki, ale stanowi ich naturalną, ciągłą kontynuację), jak i morfologicznie (spróbuj przyjrzeć się z bliska głowie kury domowej – pomijając skalę, jej pokryta łuskami, wyposażona w ostry dziób głowa jest niemalże miniaturą głów najbardziej ikonicznych, rządzących ziemią w jurze i kredzie jaszczurów). *Passer domesticus*, który wraz z ceratopsami i saltazaurem definiuje linię ewolucyjną określaną wspólnym mianem dinozaurów, to nic innego jak wróbel domowy, gatunek tak bardzo „ptasi", że trudno wyobrazić sobie lepszego przedstawiciela tej latającej, jedynej w swoim rodzaju gromady zwierząt. No właśnie – czy aby na pewno „gromady"?

Kapsuły czasu

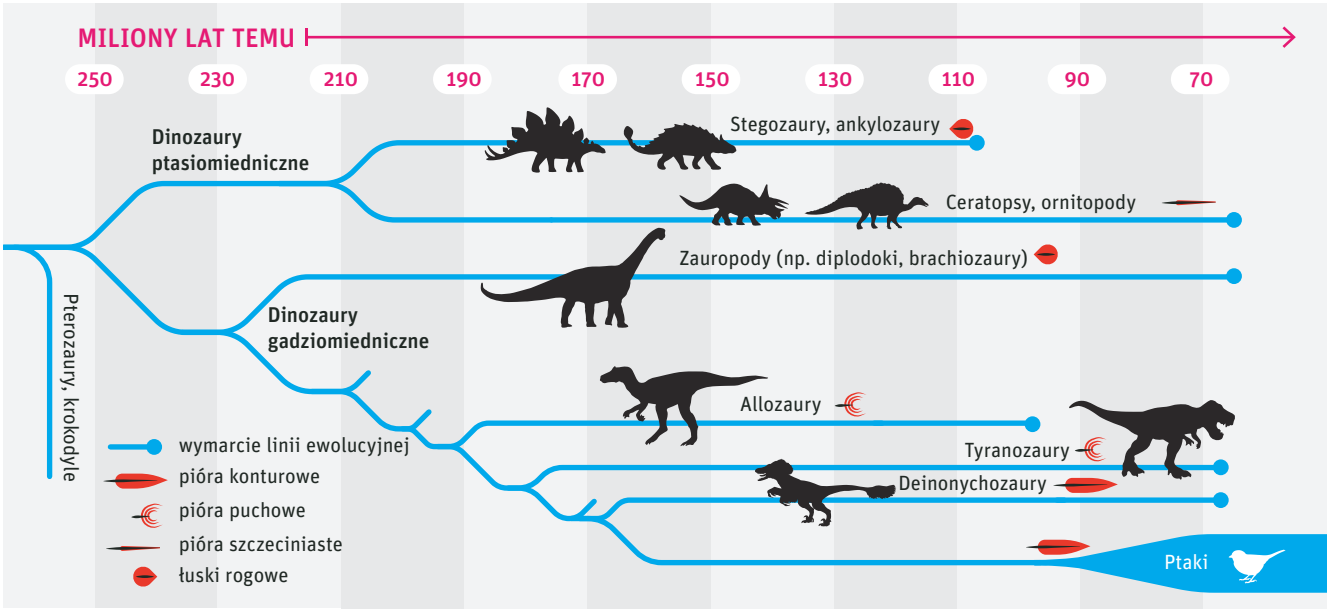
Ranga ptaków jako gromady zwierząt dla wielu biologów jest oczywista. Jest to niezwykle zróżnicowana grupa organizmów – ptaki uległy jednej z największych radiacji adaptacyjnych w historii ewolucyjnej zwierząt. W zderzeniu z nieprzebranym bogactwem wolnych nisz ekologicznych ptaki eksplodowały różnorodnością biologiczną, różnicując się w istny kalejdoskop form, zachowań i zwyczajów. Trudno byłoby zaakceptować ich degradację do grupy niższej rangi w nadrzędzie dinozaurów. Badania molekularne jasno jednak potwierdzają taki układ. Najsłynniejsze to opublikowane kilka lat temu analizy sekwencji białek tkanki miękkiej (głównie kolagenu) wyizolowanych ze skamieniałych kości tyranozaura. Zachowanie się tego typu materiału w skamieniałościach sprzed przeszło 65 mln lat jest ekstremalnie mało prawdopodobne. Zęby i kości zwierząt (zwłaszcza ich wewnętrzne jamy) są idealnymi kapsułami czasu przechowującymi materiał biologiczny w stanie mało zmienionym przez długie okresy – ale nie przez miliony lat. Mimo wszystko z kości tyranozaura znalezionego w Chinach udało się wyizolować fragmenty miękkiej tkanki naczyń krwionośnych, a następnie określić ich sekwencję aminokwasową (oraz typ modyfikacji chemicznych, jakim uległy – co oddala zarzut zanieczyszczenia tego materiału współczesnymi białkami). Badania te jasno wskazały, że spośród wszystkich żyjących organizmów właśnie ptaki (wykorzystano kolagen kury domowej) są najbliższymi krewnymi tyranozaura.

Oczywiście debata na temat tego, czy w zimowy dzień do naszego karmnika przylatują dinozaury, czy też może inne starożytne i ewolucyjnie starsze jaszczury, nie wygasła. Ptaki są jedną z kilku linii ewolucyjnych grup dinozaurów: w obecnej klasyfikacji, opierając się na budowie szkieletu, dinozaury dzielimy na tzw. ptasiomiedniczne (głównie roślinożerne gady o masywnej budowie ciała; najlepiej znani przedstawiciele to stegozaur ↦



ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA / UIG / GETTY IMAGES

ARCHAEOPTERYX. Nazwa tego gatunku teropoda oznacza z greki „starożytne pióro". Przez długi czas uznawano, że jest jedynym opierzonym dinozaurem (część uczonych zaliczała go już do gromady ptaków). Żył około 150 mln lat temu na terenie dzisiejszych południowych Niemiec. Mógł osiągać około pół metra długości.



↦ z rzędem kostnych płyt na grzbiecie i ankylozaur z kostną buławą na końcu ogona) oraz gadziomiedniczne. Te ostatnie dzielą się na dwie grupy: zauropodomorfy (głównie długoszyje giganty, żywiące się liśćmi z czubków mezozoicznych drzew) oraz teropody (to wśród nich są najbardziej ikoniczne tyranozaury, dilofozaury, owiraptory, *Archeopteryx* czy wreszcie – choć to mało intuicyjne – współczesne ptaki). Aktualnie trwa debata, czy ptaki faktycznie są częścią grupy teropodów, czy może powinniśmy ich ewolucyjną gałąź przyczepić znacznie wcześniej do drzewa ewolucyjnego, poza linią dinozaurów. W takiej interpretacji ptaki wciąż byłyby bezpośrednimi potomkami starożytnych gadów (tzw. archozaurów) – ale już nie dinozaurów.

Pióro niezgody

Dywagacje na temat realnych pokrewieństw pomiędzy dinozaurami a ptakami przybierają obecnie formę drobiazgowych analiz ich wzajemnych podobieństw. Za dinozaurowym pochodzeniem ptaków przemawia budowa ich szkieletu (choć wciąż nie ma konsensusu, które konkretnie palce dłoni zachowują się u dorosłych ptaków – co pomogłoby rozwiązać tę filogenetyczną zagadkę), prawdopodobnie czterokomorowe serce dinozaurów, posiadanie przez nie złożonego systemu worków powietrznych (podobnie jak u współczesnych ptaków) czy szereg zachowań (np. chowanie głowy pod skrzydło/ramię w czasie spania, co udało się wykazać na przykładzie kilku skamieniałych, „śpiących" teropodów). Jednym z najważniejszych argumentów – a zarazem jedną z najważniejszych kości niezgody w odtwarzaniu relacji ptaków i dinozaurów – jest posiadanie przez obydwie grupy piór.

O tym, że kolejne popularne wyobrażenie na temat dinozaurów – że były to szaro-brązowe giganty o gładkiej, łuskowatej skórze – możemy włożyć między bajki, wiemy już od dawna. Przez długi czas sądzono, że „praptak" *Archeopteryx* był jedynym opierzonym dinozaurem. Z czasem znajdowano jednak kolejne dowody na obecność piór u innych gatunków dinozaurów. Obecnie sądzimy, że pióra w różnej postaci – od prostych szczecinowatych filamentów, poprzez delikatne pióra przypominające ptasie pierze, aż do piór z dobrze wykształconą chorągiewką (przypominających lotki i sterówki współczesnych ptaków) obecne były w większości grup dinozaurów gadziomiednicznych oraz u niektórych dinozaurów ptasiomiednicznych. Wygląd wielu gatunków dinozaurów, wcześniej wyobrażanych jako nagie, pokryte łuską zwierzęta, uległ niezwykłej transformacji po odkryciu skamieniałych piór w zapisie kopalnym dinozaurów. Nagle w menażerii prehistorycznych jaszczurów pojawiły się stwory takie jak *Epidexipteryx*, który prawdopodobnie posiadał ogon z pióropuszem neonowo pomarańczowych piór. Innym spektakularnym przykładem jest *Sinornithosaurus milenii*, który mógł być pokryty jaskrawymi pomarańczowo-brązowymi piórami, udekorowanymi czarnymi prążkami.

Rekonstrukcja wzorów barwnych kopalnych piór możliwa była dzięki odnalezieniu w nich skamieniałych melanosomów, czyli mikroskopijnych struktur obecnych w piórach, odpowiedzialnych za nadawanie im koloru. Okazały się one nie tylko bardzo podobne do czarnych eumelanosomów i czerwono-brązowych feomelanosomów współczesnych ptaków – ich rozmieszczenie również idealnie zgadzało się z tym, co wiemy o budowie i rozwoju piór współczesnych ptaków. Dzięki porównawczym analizom kopalnych i współczesnych melanosomów wiemy choćby to, że niektóre dinozaury (np. *Microraptor* czy *Caihong*) posiadały prawdopodobnie ubarwienie iryzujące, tzn. zmieniające swój odcień w zależności od kąta padania światła. Taki rodzaj ubarwienia jest bardzo powszechny u współczesnych ptaków (np. u kolibrów, a też u sroki czy kawki) i powstaje dzięki specyficznie rozmieszczonym warstwom uporządkowanych melanosomów.

Odkrycie barwnych piór dinozaurów jest ważne z jeszcze jednego powodu. Niektórzy paleontolodzy właśnie pióra wykorzystują do podważenia dinozaurowego rodowodu współczesnych ptaków. Argumentują, że złożone pióro ptaków (zbudowane z sieci zazębiających się promieni i promyków, tworzących jednolitą powierzchnię nośną) jest różne od szczeciniastych, pozbawionych promyków piór prehistorycz-

nych dinozaurów. Według tej interpretacji ptasie skomplikowane pióro mogło powstać tylko raz i nie może być „potomkiem" szczeciniastych piór dinozaurów mezozoicznych. Jednak zaskakująca zgodność struktury i rozkładu melanosomów piór kopalnych dinozaurów i ptaków stanowi bardzo ważny argument za ciągłością ewolucyjną – i wzmacnia dinozaurową naturę pospolitego wróbla.

Zminiaturyzowane mózgi

Postawienie współczesnych ptaków obok krwiożerczych tyranozaurów czy masywnych brachiozaurów wydaje się być wystarczającym wstrząsem dla powszechnych wyobrażeń o biologii prehistorycznych jaszczurów. Powszechna wiedza o dinozaurach pełna jest jednak równie spektakularnych nieporozumień – mimo że w wielu przypadkach dostępny zapis kopalny już dawno doprowadził do ich weryfikacji.

Dinozaury najczęściej uznawane są za stworzenia gigantyczne – naszą wyobraźnię rozpalają przede wszystkim olbrzymy z filmów o Parku Jurajskim (zębate tyranozaury, długoszyje brachiozaury czy morskie olbrzymy liopleurodony). Okazuje się jednak, że większość dinozaurów była znacznie mniejsza – obok ikonicznych gigantów aż roiło się od mniejszych gatunków wielkości indyka, kota, królika czy wręcz przepiórki. Jednak kości tych mniejszych gatunków rzadziej się zachowują (szybciej ulegają rozpadowi), mniej też rzucają się w oczy.

Pochodną postrzegania dinozaurów jako olbrzymów było również przekonanie o ich niezbyt zaawansowanej inteligencji. Faktycznie, w przypadku licznych większych gatunków dinozaurów stosunek wielkości ich mózgu (wywnioskowanej na podstawie objętości zachowanych kopalnie czaszek) do wielkości ich ciała był ekstremalnie mały – trudno jednak na tej podstawie wnioskować o ogólnym poziomie inteligencji tych zwierząt. Z behawioralnego punktu widzenia dinozaury – zwłaszcza gatunki drapieżne – musiały mierzyć się z rozwiązywaniem skomplikowanych problemów związanych z polowaniami i koordynacją wielu źródeł informacji o środowisku. Z pewnością musiały posiadać dobrze rozwinięte zdolności kognitywne i umiejętność przetwarzania dużych ilości informacji. Swego rodzaju symbolem „ptasiego móżdżku" dinozaurów stał się *Stegosaurus* – powolny, masywny roślinożerca. Wnioskując z wielkości jego puszki mózgowej, stegozaur miał – przy blisko 5 tonach masy ciała – mózg wielkości orzecha włoskiego, ważący 80 gramów. Wydaje się jednak, że jest to raczej wyjątkowa niż typowa dysproporcja wśród dinozaurów. Co ciekawe, ostatnie badania wskazują, że stegozaur mógł mieć „drugi mózg". W środkowej części jego kręgosłupa mógł znajdować się silnie rozwinięty zespół zwojów nerwowych wspomagających właściwy mózg w koordynacji ruchów i pozycji ciała.

Właściwa skala

Największym chyba – i najbardziej niesprawiedliwym – nieporozumieniem, jakie często pojawia się w kontekście dinozaurów, jest ich zmierzch i wyginięcie ikonicznych, największych gatunków pod koniec kredy, 65 mln lat temu. Pomijając dyskusje dotyczące faktycznych przyczyn tego wyginięcia (kolizja Ziemi z asteroidą, masowe erupcje wulkaniczne, ewolucja zjadliwych, śmiercionośnych mikroorganizmów), częsty pogląd stawia dinozaury w pozycji swego rodzaju „porażki" ewolucji. Postrzegamy je często jako prehistorycznych władców Ziemi, którzy nie zdołali przystosować się do gwałtownej zmiany w środowisku. Ich wyginięcie miałoby więc być głównie ich „winą", wynikać z braku ekologicznej elastyczności.

Słysząc taką argumentację, za każdym razem powinniśmy zmusić się do bardzo prostego, pouczającego ćwiczenia. Historia ewolucyjna człowieka rozumnego sięga 300 tysięcy lat w przeszłość. Idąc nawet „chwilę" dalej, w kierunku pierwszych dwunożnych hominidów, cofamy się około 3-4 mln lat. Wydaje nam się, że jako odnosząca sukces linia ewolucyjna rządzimy naszą planetą już całkiem długo. Jeśli jednak spojrzymy na dinozaury, szybko okaże się, jak niepozorna i mało znacząca jest nasza ewolucyjna historia. Dinozaury wymarły ok. 65 mln lat temu – ale do tego czasu niepodzielnie władały Ziemią przez przeszło 150 mln lat. Ich ewolucja i bogactwo rozciągnięte były w tak niesamowitej skali czasowej, że tyranozaury z powodzeniem mogły „podziwiać" skamieniałości stegozaurów pod koniec kredy. Ich zagłada i niemalże zupełne zniknięcie (pamiętajmy o ptakach!) były z jednej strony zupełnie losowym wydarzeniem, a z drugiej – jedyną szansą, jaką nasi ssaczy przodkowie otrzymali od losu.

Czytając ten tekst, jesteś żyjącym świadectwem potęgi przypadku, który zmiatając z powierzchni ziemi „straszne jaszczury" dał twoim i moim przodkom nowe, wyjątkowe nisze ekologiczne, a wraz z nimi możliwość szybkiej ewolucji w niespodziewanych kierunkach. Bez tego przypadku potomkowie dinozaurów celebrowaliby pewnie dzisiaj 230 mln lat nieprzerwanych rządów gadów na Ziemi.

© SZYMON DROBNIAK

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK SPECJALNY

Pokolenie A

Pokolenia X i Y weszły już w dorosłość i w opisie polskiej młodzieży pora wrócić do początku alfabetu. „A" – to aspiracje, ambicje i aktywność. Trzy dekady po przemianie ustrojowej przedstawimy zbiorowy portret polskiej młodzieży.

W dodatku m.in.:
- Jakiego świata chcą? Aspiracje i zaangażowanie obywatelskie młodych Polaków.
- W pułapce skrajności. Dlaczego radykalne idee przekonują młodych z miast?
- Czy młodzież uratuje ideę wspólnej Europy?
- Wielka zmiana, czyli młodzi z polskiej wsi – ich dążenia i plany.

Dodatek wraz z „Tygodnikiem" od środy 8 maja.

Konrad Adenauer Stiftung

Komisja Europejska

Publikacja powstaje we współpracy z Przedstawicielstwem Komisji Europejskiej w Polsce

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Anna Bikont, Mikołaj Grynberg, Magdalena Kicińska, Michał Okoński i Jacek Leociak, „O polskich Żydach". Pałac Czeczotki, Conrad Festival 2018.

CONRAD 1/3

W listopadzie ubiegłego roku Fundacja Tygodnika Powszechnego, współorganizator Festiwalu Conrada, największego literackiego wydarzenia w Polsce i jednego z najważniejszych w Europie, aplikowała do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w programie Promocja Czytelnictwa 2019 o dotację w określonej regulaminem tego programu kwocie po 300 tys. zł, na trzy kolejne lata: 2019, 2020 i 2021 – z przeznaczeniem na organizację trzech kolejnych edycji Festiwalu. 300 tys. zł na rok stanowi ok. 30% łącznego budżetu pojedynczej edycji Festiwalu, która, poprzedzona całorocznymi przygotowaniami, trwa 7 dni, a składa się na nią blisko 150 wydarzeń z udziałem ponad 120 gości z kraju i zagranicy oraz łącznie ponad 20-tysięcznej publiczności.

Po raz pierwszy od 11 lat nasz wniosek został odrzucony. Od decyzji tej odwołaliśmy się, wykazując, że projekt Festiwalu Conrada wypełnia określone w regulaminie programu warunki dla uzyskania dotacji. Z informacji opublikowanych 15 kwietnia br. na stronie MKiDN wynika, że po rozpatrzeniu odwołania ostatecznie przyznano nam dotację w wysokości 100 tys. zł z przeznaczeniem na jedną edycję Festiwalu, która odbędzie się w bieżącym roku. Podobny skutek przyniosły odwołania złożone przez organizatorów festiwali Literacki Sopot i Pyrkon. Fakt, że dotacje te ostatecznie przyznano, po złożonych przez nas – wnioskodawców – odwołaniach i przy szerokim społecznym poparciu, którego udzielili nam pisarki i pisarze, aktywistki i aktywiści literaccy – polscy i zagraniczni (w tym grono twórców i intelektualistów z Czech i Słowacji – autorzy listu otwartego do MKiDN), uczniowie, seniorzy, a także osadzeni, jest wymownym dowodem na to, że opinia publiczna może mieć istotny wpływ na decyzje dotyczące sposobów wydatkowania publicznych pieniędzy. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni wszystkim, którzy wspierali nas, nie tylko proponując pomoc, ale też śląc do MKiDN petycje i wyrazy wsparcia w sprawie naszego Festiwalu.

Jako organizator Festiwalu Conrada uważamy, że środki publiczne powinny być przeznaczane na takie formy promocji czytelnictwa, jakimi są największe festiwale literackie o wieloletniej tradycji, międzynarodowej renomie i kilkudziesięciotysięcznej publiczności. Dotację w przyznanej wysokości i jednorocznym trybie przyjmiemy i wykorzystamy jak zawsze, z najwyższą dbałością o efektywność ponoszonych wydatków. Musimy jednak zwrócić uwagę, że tak duże przedsięwzięcie jak cyklicznie organizowany międzynarodowy festiwal wymaga stabilnego zaplecza – zarówno finansowego, jak i logistycznego. Właśnie dlatego, tak jak organizatorzy podobnych wydarzeń literackich, które są efektem całorocznej pracy niemałego zespołu, aplikowaliśmy o dofinansowanie na trzy lata. Decyzja o przyznaniu dofinansowania tylko na jeden rok komplikuje nasze działania, choć z drugiej strony otwiera możliwość starania się na nowo o dotację na kolejne lata w następnej edycji Programów MKiDN.

Wraz ze współorganizatorami festiwalu – Miastem Kraków i Krakowskim Biurem Festiwalowym – pragniemy zapewnić naszych gości oraz naszą publiczność, że dołożymy wszelkich starań, by zgromadzić resztę środków finansowych potrzebnych na przeprowadzenie tegorocznej edycji Festiwalu. Organizując ją, jak zawsze zadbamy o najwyższe standardy merytoryczne i instytucjonalne. I już teraz zapraszamy do Krakowa w czwartym tygodniu października na XI edycję Festiwalu Conrada, który tak naprawdę należy do Was.

Aleksander Kardyś
Prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE // WOJCIECH WANDZEL / FESTIWAL CONRADA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

Pragnących wesprzeć Festiwal finansowo informujemy, że można to zrobić poprzez: przekazanie 1% podatku, darowizny wpłacane bezpośrednio na konto Fundacji pod adresem powszech.net/dar lub w systemie FaniPay – pod tekstami na stronie TygodnikPowszechny.pl

Moniuszko 200.
2019 ROKIEM STANISŁAWA MONIUSZKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

TYGODNIK POWSZECHNY

muzyka W TYGODNIKU
Dodatek specjalny 17-18/2019



Pan Moniuszko zaprasza na urodziny

Konkurs na 86 głosów

JAKUB PUCHALSKI

Nie zaskakuje, że do konkursu stają śpiewacy, którzy wiodą już własne kariery – jeżeli spojrzy się na skład jury.

Co łączy tak wybitnych artystów operowej sceny, jak Aleksandra Kurzak, Urszula Kryger, Małgorzata Walewska, Mariusz Kwiecień, Ewa Tracz czy Jakub Józef Orliński? Wszyscy są laureatami lub przynajmniej finalistami Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki. Dla każdego był on trampoliną na określonym etapie budowania kariery – choć dziś kariery te przerastają wszelkie turniejowe laury.

Przez długi czas Konkurs – zainaugurowany w 1992 r. staraniem Marii Fołtyn, pozostającej później jego długoletnim dyrektorem do śmierci w roku 2012 – wysoką pozycją cieszył się głównie w Polsce (stąd taka właśnie lista wybitnych jego uczestników), obecnie można stwierdzić, że jego ranga stała się w pełni międzynarodową. W tym roku do jubileuszowego, X Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki zgłosiło się aż 378 śpiewaków z 57 krajów; po eliminacjach dopuszczono do niego 86 młodych artystów z 31 państw.

Turniej rozpocznie się w dniu urodzin kompozytora – w samo ich dwustulecie 5 maja, a potrwa do 11 maja. W tym czasie odbędą się trzy etapy przesłuchań; w ostatnim, z udziałem orkiestry, nie samego fortepianu, finaliści obowiązkowo wykonywać będą muzykę twórcy polskiej opery narodowej. Czy sprawi im trudności?

Nie musi. Twórczość Moniuszki należy do międzynarodowego nurtu XIX-wiecznego belcanta i śpiewacy dysponujący powszechnie pożądanymi przymiotami powinni świetnie sobie z nią poradzić.

Ale może. Moniuszko stosuje bowiem nie tylko trudny w śpiewie język polski, ale też chętnie sięga po rytmy polskich tańców narodowych. Do tego często mistrzowsko łączy muzykę ze słowem, co powoduje, że naprawdę trzeba znać i rozumieć tekst, wartość znaczeniową poszczególnych głosek, by pokazać wszelkie walory utworów – no i umieć je wyartykułować.

Dozowane trudności

Moniuszko to jednak nie jedyna trudność konkursu, choć program przesłuchań uderza otwartością. Śpiewacy mają do wyboru bardzo szeroki, praktycznie nieograniczony zestaw utworów, z którego muszą zdecydować się na jedną arię oraz polską pieśń w pierwszym etapie, oraz w drugim etapie na dwie arie – jedną z XVIII lub XIX wieku, drugą z XIX lub XX wieku – a także pieśń z repertuaru powszechnego. Finałowy trzeci etap to polska aria (niekoniecznie Moniuszki) oraz aria ze światowego repertuaru operowego (XVIII-XX wiek).

Istotnym punktem wydaje się dopuszczenie utworów XX-wiecznych (przy czym nie liczy się do nich włoskiego weryzmu wraz z Puccinim) – co może okazać się znaczące dla charakteru i wyników Konkursu, jest zaś bardzo ważne w obliczu świetnego funkcjonowania na światowych scenach oper z ubiegłego stulecia: nie tylko Richarda Straussa i Janáčka, lecz i Bartóka, Szymanowskiego, Brittena, Strawińskiego, Poulenca i innych – a także oper współczesnych. Opera bynajmniej nie jest sztuką umarłą – świetnie, że regulamin konkursu dostrzegł znaczenie jej aktualnego oblicza.

Konkurs naturalnie pełni przy tym rolę propagatora muzyki polskiej: pojawia się ona obowiązkowo w pierwszym i w trzecim etapie – z tym że najpierw jedynie w formie pieśni, która może być wykonana w tłumaczeniu, i dopiero w finale ma zabrzmieć w oryginalnej wersji aria z repertuaru polskiego. Bardzo rozsądnie: należy zacząć od wyłonienia najlepszych śpiewaków, a potem wśród nich dopiero prowadzić dalszą selekcję, także sięgając po kryterium repertuarowe i językowe.

Moc jurorów

Powiedzmy to szczerze: dewaluacja konkursów muzycznych od dawna już sięga wymiarów kojarzonych z hiperinflacją. Jest ich zbyt wiele – dziś nawet wygrana na dużych i uznanych turniejach nie gwarantuje nie tylko sukcesu w karierze, ale nawet nie świadczy rzetelnie o jakości muzyka. W każdej kolejnej edycji do konkurencji stają nie tylko uczestnicy, ale także sama impreza, czująca na plecach oddech dziesiątek przedsięwzięć realizowanych na całym świecie, na które pożądliwie spoglądają młodzi muzycy – co więc może zapewnić jej sukces i znaczenie?

Tak naprawdę jest to pytanie o sens organizowania turniejów muzycznych: czy mają wyłaniać specjalistów od jakiejś dziedziny, dostających glejt od ekspertów, czy może raczej po prostu powinny pomóc budować karierę – z założeniem, że dopuszczeni do niej zostaną najlepsi z najlepszych? Konkurs Moniuszkowski – idąc w trochę innym kierunku niż np. Chopinowski – opowiedział się za tym drugim rozwiązaniem. Skądinąd miał ku temu lepsze warunki, gdyż świat opery zorganizowany jest inaczej niż świat fortepianu.

Życiem koncertowym, zwłaszcza poza kilkoma wybranymi centrami, sterują przeważnie wielkie agencje, działające poniekąd jak hurtownie artystów. Zazwyczaj jest im obojętne, którego z muzyków pozostających pod ich opieką umieszczą w programie instytucji muzycznej, która do nich się zgłosi. Te same agencje zawiadują też śpiewakami, ale w praktycznie każdym teatrze operowym (czego nie można powiedzieć o filharmoniach) stykają się z osobą odpowiedzialną za kreowanie obsad – tej zaś z reguły nie jest obojętne, kogo zatrudni do roli, jaką ma obsadzić. Nawet jeśli szuka wśród nowych, nieznanych jeszcze śpiewaków, kluczową sprawą są nie tylko dwie na krzyż recenzje samozwańczych influencerów z Facebooka, lecz przede wszystkim typ głosu i dopasowanie do reszty obsady – co wymaga indywidualnej opinii owego menadżera sceny. W przeciwieństwie więc do rynku koncertowego, na który bardzo mocno wpływają agencyjni biznesmeni, w świecie opery – nawet w mniejszych teatrach – istotny głos należy do fachowego konsultanta obsad.



Z ARCHIWUM KONKURSU MONIUSZKOWSKIEGO

Izabella Kłosińska – przewodnicząca jury, oraz Salome Jicia – I nagroda w kategorii głosów kobiecych w IX Konkursie Moniuszkowskim

Jaki krok wykonali więc organizatorzy Konkursu Moniuszkowskiego? Odpowiednio dobrali grono sędziów. Jury składa się w większości nie z profesorów śpiewu, nawet nie ze słynnych śpiewaków (choć ich nie zabraknie), lecz z dyrektorów ds. obsad. I to z nie byle jakich teatrów: Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Staatsoper w Berlinie, Royal Opera House Covent Garden w Londynie, Opéra National de Lyon, Staatsoper Stuttgart, Lyric Opera w Chicago, a także, po gospodarsku, z Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Niektórzy z nich piastują to samo stanowisko także na festiwalach operowych: Salzburger Festspiele i Glyndebourne Festival Opera, poza tym znalazł się też ich odpowiednik z Aix-en-Provence. W gronie sędziów jest także dyrektor branżowego stowarzyszenia Opera Europa, a ponadto redaktor naczelny „Opera Magazine", szef studia operowego przy Bayerische Staatsoper oraz jeden agent. I wreszcie – *last*, ale absolutnie *not least* – troje wybitnych śpiewaków: Ewa Podleś, Izabella Kłosińska oraz Piotr Beczała.

Taki skład jury obiecuje kandydatom, że przedefilują bezpośrednio przed ludźmi, którzy są najważniejsi dla ich przyszłych losów. Z jednej strony zostaną fachowo ocenieni (na tym polu zawsze pozostawać będzie zresztą pole do dyskusji), ale z drugiej będą mieli szansę pokazać się wybornemu gronu, które decyduje o ich potencjalnych angażach w najbliższych sezonach – prawdziwy klucz do kariery. W tym przypadku maleje nawet znaczenie samych nagród. Istotniejsze jest, by oczarować decydentów, którzy mogą dać śpiewakowi szansę w swoim teatrze, nawet jeżeli w konkursie nie udało mu się wspiąć na szczyty. Nie dziwi więc, że wśród kandydatów znaleźć można postaci, które znane są już z dobrze notowanych scen europejskich. Udział w warszawskim turnieju może być dla nich przepustką do Met, do Londynu czy Berlina oraz na największe festiwale.

Siła nagród

Rzecz jasna nagród też nie należy nie doceniać. Wielkie polskie konkursy muzyczne – jak Chopinowski (także w swej odmianie „na instrumentach historycznych"), a także zrealizowany po raz pierwszy w ubiegłym roku Konkurs im. Karola Szymanowskiego – plasują się pod względem ich wartości na bardzo solidnym międzynarodowym pułapie. Tak też lokuje się Konkurs Moniuszkowski. Wysokość nagród w euro to kolejno: I – 15 tys., II – 11 tys., III – 9 tys., IV – 7 tys., V – 5 tys., VI – 4 tys., pozostali finaliści otrzymają po 2 tys., a dodatkowo przyznane będą nagrody specjalne: im. Marii Fołtyn za najlepsze wykonanie utworu Moniuszki – 8 tys., za najlepsze wykonanie pieśni Mieczysława Wajnberga – 2 tys. oraz dla najlepszego pianisty (śpiewacy przecież w dwóch etapach występują z pianistami) – 1,5 tys. Odrębną pulę stanowią Nagrody Fundacji Kościuszkowskiej, ufundowane przez Ann Cox Zagoreos – związaną od lat z instytucjami kultywującymi sztukę i pamięć gwiazdy scen europejskich i nowojorskiej Met, Marceliny Sembrich-Kochańskiej, a w efekcie także z Konkursem Moniuszkowskim – nagroda im. Carla Marii Giuliniego za duchowy pierwiastek w interpretacji (5 tys. dolarów, oddzielnie w głosach męskich i żeńskich), nagroda im. braci Reszków za najlepsze wykonanie polskiego utworu przez zagranicznego uczestnika (3 tys. dol) oraz nagroda im. Marty Eggerth i Jana Kiepury dla najbardziej obiecującego polskiego głosu (2 tys. dol). Jest o co się ubiegać – także w zestawieniu z innymi międzynarodowymi konkursami.

Młodzi śpiewacy mają jednak tyleż do wygrania podczas turnieju, ile Konkurs ma do wygrania u nich – dla polskiego repertuaru. Kto inny będzie niósł go w świat i w przyszłość, jak nie młodzi wykonawcy z ponad 30 krajów? ©

Przebieg Konkursu Moniuszkowskiego śledzić można na: moniuszkocompetition.pl, vod.teatrwielki.pl, operavision.eu, w TVP Kultura oraz w Programie 2 PR.

Święto ulicy Moniuszki

Obchodzona w tym roku jubileuszowa, dwusetna rocznica urodzin Stanisława Moniuszki przypada 5 maja. Obchodzona – ale w jaki sposób?

„(...) niezwykle istotne jest też przedsięwzięcie o zasięgu ogólnopolskim, które umownie nazywamy »świętem ulicy Moniuszki«. Chodzi o to, aby wszędzie tam, gdzie jest ktoś szalony, z wyobraźnią i z pasją, powstał moment świętowania jubileuszu na miarę możliwości: czy to małego miasteczka, czy to dużej metropolii. Tu chór parafialny, tam dzieci z miejscowej szkoły recytujące Mickiewicza, a za chwilę ktoś śpiewający pieśni Moniuszki. Chodzi mi o stworzenie atmosfery święta zapraszającego do udziału nawet tych, którzy na co dzień z muzyką klasyczną niewiele mają do czynienia. Chciałbym, żeby tych wydarzeń było jak najwięcej, chciałbym wykreować aurę specjalnej radości, bo chodzi tu o twórcę polskiej opery narodowej, jednego z najświetniejszych kompozytorów swoich czasów" – mówił w wywiadzie w naszym poprzednim dodatku poświęconym dwusetnej rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, Waldemar Dąbrowski. Dziś TW-ON, jako koordynator Roku Moniuszkowskiego, dysponuje już zestawem informacji o wydarzeniach czekających nas w pierwszych dniach maja w całej Polsce. Ponieważ, jak udało nam się ustalić, ze względów obiektywnych (np. terminów przyznania dotacji) pewne przedsięwzięcia musiały zostać przesunięte, poniższe ich kalendarium rozciągnęliśmy aż do początku czerwca – trzeba jednak pamiętać, że część imprez urodzinowych (np. w Przemyślu) musiała zostać przeniesiona na późniejsze miesiące.

DOLNOŚLĄSKIE

LEGNICA

1-3 maja

Rynek, Park Miejski, Akademia Rycerska, Katedra – „Legnicka wiosna ze Stanisławem Moniuszką". W programie szeroki zakres wydarzeń oraz animacji, w których skład wchodzą m.in.: miejski piknik, warsztaty dla dzieci i koncerty estradowe.

WROCŁAW

3 maja

Opera Wrocławska – „Halka": film niemy z muzyką na żywo oraz koncertowe wykonanie fragmentów opery Bolesława Wallka-Walewskiego „Pomsta Jontkowa", będącej kontynuacją „Halki".
Balety z Moniuszką – warsztaty tańców narodowych.



5 maja

„Śpiewnik domowy" – koncert najpiękniejszych pieśni Stanisława Moniuszki w wykonaniu artystów Opery Wrocławskiej. Publiczność będzie miała możliwość nie tylko wysłuchania utworów, ale także przyłączenia się do wspólnego śpiewania.

KUJAWSKO-POMORSKIE

LUBOSTROŃ

5 maja

„Odtańczymy przed pałacem mazura" – przed klasycystycznym pałacem w Lubostroniu zainscenizowane zostaną mówione scenki z oper Moniuszki oraz uroczyście odtańczony będzie mazur (we współpracy z Zespołem Szkół w Lubostroniu).

BYDGOSZCZ

5 maja

„Wyspa Moniuszki" – zamieni się w nią Wyspa Młyńska, na której zorganizowany zostanie kilkugodzinny festyn, inspirowany twórczością kompozytora. W programie koncert zespołu Opery Nova w amfiteatrze nad Brdą, występ zespołu baletowego Opery Nova, koncerty innych zespołów artystycznych, występy i plenerowe lekcje śpiewu w wykonaniu studentów, obnośny teatrzyk papierowy, przedstawienie teatralne oparte na „Śpiewniku domowym" Moniuszki, wianki na Brdzie. Organizatorzy obiecują też zanurzenie w atmosferze dworu Miecznika w Kalinowie („Straszny dwór") wraz z jarmarkiem kuchni staropolskiej.
Ponadto bydgoskie przedszkolaki wraz z rodzicami urządzą koncert „Przedszkolaki Moniuszce", a w ramach „Majówki z kulturą i sztuką" zorganizowana zostanie impreza plenerowa poświęcona muzyce Moniuszki, mająca na celu włączenie w życie kulturalne miasta osób niepełnosprawnych.

TORUŃ

5 maja

Dwór Artusa – „Straszny dwór" Moniuszki w wersji estradowej, z wykonawcami w strojach z epoki szlacheckiej.



MATERIAŁY PRASOWE

„Straszny dwór" w Dworze Artusa w Toruniu

„Moniuszko rapuje" – nagranie teledysku hiphopowego z Pezetem (Jan Paweł Kapliński), w technologii VR (Virtual Reality

– po raz pierwszy w Polsce w takich okolicznościach).

LUBELSKIE

5 maja
„Święto ulicy Moniuszki”.
W województwie lubelskim jest jedenaście miast, w których znajdują się ulice im. Moniuszki (m.in. Biała Podlaska, Chełm, Kraśnik, Zamość) – wszędzie odbywać się będą korowody i wspólne tańczenie poloneza Stanisława Moniuszki, prowadzonego przez zespoły taneczne. Odsłaniane też mają być popiersia kompozytora i pamiątkowe tablice.

LUBLIN

5 maja
Urodziny kompozytora na osiedlu im. Stanisława Moniuszki w Lublinie. Seria działań animacyjnych z paradą, odtańczeniem poloneza i konkursami muzycznymi dla młodzieży.

LUBUSKIE

GORZÓW WIELKOPOLSKI

5 maja
Moniuszkowski Turniej Dwóch Orkiestr – impreza zorganizowana na błoniach obok Filharmonii Gorzowskiej. Pomyślana jest jako turniej dwóch orkiestr wykonujących na przemian repertuar moniuszkowski, ze wspólnym finałem z udziałem publiczności. Wystąpi Orkiestra Filharmonii Gorzowskiej pod batutą Jacka Kraszewskiego przeciwko Gorzowskiej Orkiestrze Dętej pod dyrekcją Anny Wiśniewskiej. Umowna, przewrotna rywalizacja pomiędzy „zimnymi profesjonalistami” a „entuzjastycznymi miłośnikami” korzystać będzie z repertuaru składającego się głównie z pieśni i uwertur z oper Moniuszki. Koncert poprowadzi konferansjer, który wystąpi w roli sędziego ringowego. Imprezie towarzyszyć będzie otwarcie wystawy archiwalnych plakatów oper Moniuszki i okolicznościowe zabawy.

ŁÓDZKIE

ŁÓDŹ

5 maja
Plac Dąbrowskiego (przed Teatrem Wielkim) – na plenerowej scenie odbywać się będzie świętowanie urodzin Stanisława Moniuszki. Finał dnia: „Niestraszny straszny dwór” – widowisko oparte na operze „Straszny dwór”.

10 maja
Filharmonia Łódzka – koncert oratoryjny „Viva Moniuszko – Stanisławowi Moniuszce w 200-lecie urodzin”: w programie „III Litania Ostrobramska”, jednoaktowa opera „Verbum nobile” (wykonanie koncertowe), „Sonety krymskie” (wybór).

MAŁOPOLSKIE

KRAKÓW

3 maja
Lekcja Śpiewania – w ramach cyklu wydarzeń odbywających się na krakowskim Rynku tym razem publiczność będzie słuchać i śpiewać kompozycje Stanisława Moniuszki.

4-5 maja
Opera Krakowska w Krakowie – gala operowa na Zamku Królewskim na Wawelu: Stanisław Moniuszko „Straszny dwór”.



MATERIAŁY PRASOWE

„Straszny dwór” na Wawelu

7 maja
Opera Krakowska – koncertowe wykonanie „Beaty” Moniuszki, połączone z promocją płyty CD.

PAŁECZNICA

6 maja
Obchody nadania imienia Stanisława Moniuszki Szkole Muzycznej I stopnia oraz rozstrzygnięcie konkursu ASP na popiersie kompozytora. Zwycięski projekt zostanie przekazany szkole.

MAZOWIECKIE

WARSZAWA

5 maja
Filharmonia Narodowa – na rogu Pasażu Rowickiego i ul. Moniuszki koncert plenerowy poświęcony twórczości autora „Strasznego dworu”. Ulicą Moniuszki zaplanowano przejście grup rekonstrukcyjnych z okresu życia kompozytora. Zorganizowane zostaną animacje i konkursy dla najmłodszych, a dla zwiedzających otwarty zostanie gmach Filharmonii Narodowej. Wśród wydarzeń zaplanowano m.in. Jarmark Moniuszkowski, koncert w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej i koncert Chóru Filharmonii Narodowej w Pasażu Rowickiego.

5 maja
Pałac Prezydencki, Krakowskie Przedmieście – plenerowy koncert na dziedzińcu.

OPOLSKIE

NYSA

1-3 maja
Nysa, Katedra – „Śladami Stanisława Moniuszki”: warsztaty wokalno-instrumentalne Orkiestry Symfonicznej PSM I i II stopnia w Opolu i Jasnogórskiego Chóru Chłopięco-Męskiego Pueri Claromontani. W programie Msza Es-dur oraz „III Litania Ostrobramska”.

OPOLE

5 maja
Muzeum Polskiej Piosenki – lekcja śpiewania połączona z minirecitalem „Śpiewnik domowy otwarty”.

8 maja
Koncert z udziałem chóru PSM, orkiestry symfonicznej PSM, zespołu wokalnego PSM oraz absolwentów szkoły – sala koncertowa PSM w Opolu.

PODKARPACKIE

RZESZÓW

3 maja
Scena na Rynku w Rzeszowie – „Straszny dwór” (obszerne fragmenty), w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego w Rzeszowie oraz absolwentów i studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie pod batutą Marty Kluczyńskiej. Reżyseria: prof. Ryszard Cieśla.

↦

↦ **5 i 6 maja**
Filharmonia Podkarpacka – „Stanisław Moniuszko – Gala operowa", wykonawcy: ks. Paweł Sobierajski (tenor, słowo o muzyce) oraz laureaci Międzynarodowego Konkursu Solowej Wokalistyki Sakralnej „Ars et Gloria", Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego w Rzeszowie, dyrygent: Sławomir Chrzanowski.

8 maja
Zakończenie konkursu plastycznego „Mój Moniuszko" dla uczniów szkół podstawowych realizujących przedmiot „plastyka". Uczniowie mieli za zadanie przedstawić swoje wrażenia ze słuchania muzyki Moniuszki w wersji oryginalnej i opracowaniach jazzowych. Prace oceniane są przez profesjonalne jury złożone z trzech artystów malarzy. Owocem konkursu będzie wystawa nagrodzonych prac w Miejskiej Galerii Zespołu Szkół Plastycznych w Rzeszowie.

8 maja – 8 czerwca
„Miesiąc Stanisława Moniuszki w Rzeszowie".

JASŁO
5 maja
Park Miejski – koncert plenerowy.

PRZEMYŚL
5 maja
„Święto ulicy Stanisława Moniuszki" – ogłoszenie konkursu plastycznego dla uczniów szkół z Podkarpacia. Inne wydarzenia organizowane przez Centrum Kulturalne w Przemyślu w późniejszych terminach.

STALOWA WOLA
5 maja
Sala Widowiskowa Miejskiego Domu Kultury – „Urodziny Mistrza – Koncert galowy Vivat Moniuszko", wykonawcy: soliści z towarzyszeniem fortepianu, a także chór i orkiestra. Program: pieśni, utwory chóralne oraz arie i fragmenty oper Stanisława Moniuszki.

PODLASKIE

BIAŁYSTOK
4 maja
Opera i Filharmonia Podlaska – „Dwieście lat, panie Moniuszko!" – koncert Zespołu Pieśni i Tańca Kurpie Zielone z repertuarem pieśni i opracowań scenicznych tańców do muzyki Stanisława Moniuszki.

5 maja
„Moniuszko w ogrodach" – koncerty plenerowe organizowane przez Operę i Filharmonię Podlaską, w wykonaniu artystów i Chóru Dziecięcego Opery i Filharmonii Podlaskiej oraz Młodzieżowej Orkiestry Dętej działającej przy Zespole Szkół Elektrycznych w Białymstoku pod opieką Stanisława Krucińskiego.

Opera i Filharmonia Podlaska – uroczysta gala: Koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego „Romantyczna podróż przez krainę muzyki Stanisława Moniuszki". W programie najsłynniejsze fragmenty oper oraz pieśni w opracowaniach na orkiestrę symfoniczną i fragmenty baletu „Na kwaterunku". Koncert zainauguruje XV Moniuszkowski Festiwal „Cztery Pory Roku 2019".

5-31 maja
Zegarowy kurant – fragment arii z opery „Straszny dwór" emitowany codziennie w południe, po hejnale z wieży białostockiego ratusza.

POMORSKIE

GDAŃSK
5 maja
Opera Bałtycka w Gdańsku – premiera opery „Hrabina" pod kierownictwem muzycznym Moniki Wolińskiej i w reżyserii Krystyny Jandy.



BYTÓW
7 maja
Zamek w Bytowie (Sala Portretowa Muzeum Zachodniokaszubskiego w Bytowie) – koncert moniuszkowski w ramach cyklu „Muzyka na Zamku" (organizator: Bytowskie Centrum Kultury).

WEJHEROWO
1 czerwca
Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej – koncert „Vivat dla Moniuszki".

ŚLĄSKIE

NOSPR – Dni Muzyki Stanisława Moniuszki
2 maja: Stanisław Moniuszko – Kwartety smyczkowe, Józef Wieniawski – Kwartet smyczkowy op. 32, wykonanie: Nikola Frankiewicz, Grzegorz Witek, Beata Raszewska, Łukasz Tudzierz.
3 maja: gala operowa „Czasy Moniuszki" – Aleksandra Kurzak i NOSPR pod batutą Yvana Cassara wykonywać będą muzykę Verdiego i Moniuszki.
9 maja: NOSPR kameralnie – koncert kwintetu dętego z muzyką Stanisława Moniuszki.

3 maja
Akademia Muzyczna im. K. Szymanowskiego w Katowicach – „Straszny dwór", wykonanie: soliści, chór i orkiestra Akademii Muzycznej w Katowicach, reżyseria: Wiesław Ochman.

CZĘSTOCHOWA
4 maja
XXIX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej Gaude Mater w Częstochowie – „Śladami Stanisława Moniuszki": warsztaty wokalno-instrumentalne Orkiestry Symfonicznej PSM I i II stopnia w Opolu i Jasnogórskiego Chóru Chłopięco-Męskiego Pueri Claromontani. W programie Msza Es-dur oraz „III Litania Ostrobramska".

ŚWIĘTOKRZYSKIE

PACANÓW
5 maja
„Urodziny Stasia Moniuszki" – w Centrum Bajki im. Koziołka Matołka: Waldemar


MATERIAŁY PRASOWE

Centrum Bajki w Pacanowie

Malicki z Filharmonią Dowcipu, spektakl dla dzieci „Smyki do muzyki”, warsztaty muzyczne „Mini opera – przedstawienie śpiewane” oraz „Twórczość Stanisława Moniuszki nie jest nam obca”, prezentacja filmu animowanego „Moni i Uszko” na podstawie książki Grzegorza Kasdepke-go, wystawa książek poświęconych życiu i twórczości kompozytora i inne atrakcje.

WIELKOPOLSKIE

POZNAŃ

5 maja – urodziny w Teatrze Wielkim im. Stanisława Moniuszki



MATERIAŁY PRASOWE

„Halka” w Teatrze Wielkim w Poznaniu

11.00 „najnajMoniuszko” – warsztaty dla najmłodszych dzieci i rodziców, opierające się „na powtarzalności i stopniowym wprowadzaniu poszczególnych elementów tworzących muzyczną balladę – od pojedynczych dźwięków do pełnych liryzmu fraz”.
16.00 Happening w Parku Stanisława Moniuszki i przed Teatrem Wielkim. „Na schodach opery odbędzie się koncert Międzypokoleniowego Chóru Dziadów i Bab, który wykona napisaną specjalnie dla Szacownego Jubilata pieśń. Śpiewać będą także studenci Akademii Muzycznej (...). Ponadto odbędą się warsztaty chóralne prowadzone przez dyrygenta Grzegorza Wierusa, więc każdy będzie mógł spróbować swoich sił. Wokół teatru odbędą się animacje dla dzieci, quizy, uruchomimy też operową garderobę pełną teatralnych kostiumów, które będzie można przymierzyć i zrobić sobie w nich zdjęcie” – napisali organizatorzy imprezy, na której nie zabraknie też urodzinowego tortu.
18.00 „Halka” – zakończenie urodzin spektaklem w Teatrze Wielkim.

8 maja
Teatr Wielki – „Kontuszowy Moniuszko”: spektakl studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Poznaniu z fragmentami „Strasznego dworu” i „Verbum nobile”.

KONIN

5 maja
Święto ulicy Moniuszki – odtańczenie przez mieszkańców poloneza z „Halki” wzdłuż ulicy, koncerty, występy zespołów tanecznych w parku nad jeziorem Zatorze i na Bulwarach Nadwarciańskich.

ZACHODNIOPOMORSKIE

SZCZECIN

3 maja
Akademia Sztuki w Szczecinie – „Urodziny czas zacząć! Vivat 200 lat Moniuszko!”: koncert studentów wydziału wokalnego.

5 maja
„Majówka z Moniuszką” – odtańczenie poloneza Moniuszki przez 200 par mieszkańców miasta w parku na Jasnych Błoniach, poprzedzone warsztatami i uzupełnione piknikiem z tortem urodzinowym oraz wystawą plenerową. Na Jasnych Błoniach planowana jest także gra multimedialna o Moniuszce.



MATERIAŁY PRASOWE

Opera na Zamku w Szczecinie

Zamek Książąt Pomorskich – koncert wokalny „W hołdzie Stanisławowi Moniuszce”; w programie pieśni i arie Moniuszki. Wykonawcy: I Cantanti Ensemble – artyści Towarzystwa Muzycznego Schola Cantorum Posnaniensis.
Opera na Zamku – Noc Moniuszki w Szczecinie i spektakl „Alfabet Moniuszki”, w wykonaniu solistów i Orkiestry Opery na Zamku pod dyrekcją Pawła Osuchowskiego.

8 maja
Miejski Ośrodek Kultury Delta – „Po nocnej rosie... – imieniny Pana Stanisława”: koncert chóru Akademii Aktywnego Seniora, Orkiestry Dętej MOK oraz młodzieży Pracowni Teatralnej MOK. Wydarzeniu towarzyszyć będzie wystawa prac plastycznych „Opery Pana Stanisława”.

KOSZALIN

3 maja
Filharmonia im. Stanisława Moniuszki – „Litanie ostrobramskie I-IV”, wykonanie: Chór Chłopięcy i Męski Filharmonii Poznańskiej Poznańskie Słowiki, soliści i Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej, dyrygent: Jakub Chrenowicz.

10 i 11 maja
Filharmonia im. S. Moniuszki – „Halka” w wykonaniu koncertowym; wykonanie: Joanna Zawartko, Paweł Skałuba, Jadwiga Postrożna, Michał Partyka, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej, Chór Politechniki Koszalińskiej Canzona, dyrygent: Jakub Chrenowicz.

POŁCZYN-ZDRÓJ

4 maja
Amfiteatr – koncert kwartetu smyczkowego i solistów Opery na Zamku w Szczecinie w związku z nadaniem imienia Stanisława Moniuszki miejskiemu amfiteatrowi.

CHOSZCZNO

5 maja
Szkoła Podstawowa nr 1 – wykonanie autorskiej, nowoczesnej wersji pieśni „Prząśniczka” wraz z teledyskiem, w którym biorą udział uczniowie.

TUCZNO

5 maja
Rynek przy Zamku – koncert kwartetu smyczkowego z udziałem solistów Opery na Zamku w Szczecinie.

Opr. na podst. materiałów TW-ON – JP

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 17-18/2019
REDAKCJA: Jakub Puchalski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn OKŁADKA: Marek Zalejski // HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES // ADOBESTOCK
SKŁAD: Andrzej Leśniak KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk

ŚWIAT BEZ ŚRODKA

Pojedziemy boczną drogą – wzdłuż torów, którymi w stronę granicy wolno toczą się towarowe składy, z pustym horyzontem i zardzewiałymi znakami. I z pieśniami tych stron.

TEKST MARCIN ŻYŁA ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Pierwszy telefon: „Tak, możemy porozmawiać. W Warszawie? Świetnie byłoby w Pasiekach, w Puszczy, ale tam jadę dopiero w maju. W stodole obok leśniczówki mieliśmy wesele. Żeby tańczyć, zbiliśmy z desek podłogę. Najlepiej, jak po prostu pojedziemy na Podlasie".

Później wysyła skan kartki A4. Marszrutę zapisała w nocy, ołówkiem, jak sen, żeby nie zapomnieć: „Strych, droga z jabłoniami, wagary = wioski pod Białymstokiem, Wiola, powroty, koniec drogi, jajka od pani Raisy". Plus tuzin nazw. Szkoda, w dwa dni nie wszędzie zdążymy: Stelmachowo, Krynki, Odrynki, Kruszyniany, Królowy Most.

Religie i podsłuchy

W samochodzie Karolina Cicha – kompozytorka, wokalistka i instrumentalistka nurtu folk i world music, rocznik 1979 – czuje się jak w domu. Volkswagena caddy, z podwyższonym zawieszeniem i pojemnym bagażnikiem, w którym po złożeniu siedzeń da się nawet spać, prowadzi pewnie. Na sportowej bluzce wymalowała kolorowe wzory. „Tak żeby się zgadzały z muzyką" – tłumaczy.

Jej „Wieloma językami" (2013) trafiło właśnie na listę najlepszych polskich albumów folkowych ostatniego ćwierćwiecza, sporządzoną przez Radiowe Centrum Kultury Ludowej – obok nagrań Grzegorza z Ciechowa, Trebuniów-Tutków, Cracow Klezmer Band czy zespołu Hańba!. Rekonstruując i interpretując stare pieśni Cicha przypomina o wielokulturowej tradycji jej rodzinnego Podlasia. Śpiewa po litewsku, białorusku, ukraińsku, romsku, rosyjsku. I w językach nieobecnych: jidysz i tatarskim, zapomnianym jeszcze w XVI w.

Pół roku temu razem z aktorką i wokalistką Elżbietą Rojek Cicha wydała album „Jeden – wiele" – zbiór pieśni, które przez wieki wykonywano w podlaskich świątyniach: jest na nim i prawosławny utwór z Liturgii świętego Bazylego, i Al-Fatiha, pierwsza sura Koranu. – Wiesz, że komunijną piosenkę „Idzie mój Pan" śpiewa się na melodię *nigun*, szabasowej pieśni bez słów? Gdzieś kiedyś musiano ją podsłuchać w synagodze – mówi. – Tu wszystkie religie nawzajem się podsłuchiwały.

Przez kilka lat wydawała płytę za płytą. Co teraz? Śmieje się: – Coś nowego. Może disco?

Ruska strona

Najpierw zajeżdżamy do Walił, do domu malarza i profesora sztuk plastycznych Leona Tarasewicza. Jest późno i ozdobne kury, które hoduje, weszły już na najwyższe grzędy i poszły spać. Gdzieś po drodze przejechaliśmy niewidzialną granicę – znaleźliśmy się w innej geografii, w świecie, gdzie nie ma centrum, a nowe linie rozdzieliły dawne państwa w najdziwniejszych miejscach.

– Na Podlasiu granica zaborów, granica mentalna, była na Narwi. Po tamtej stronie do dziś siano układa się na jednym drągu, a tutaj na trzech drągach – opowiada Tarasewicz.

Siedzimy w pokoju-ptasiarni (ściana z klatkami), pokoju-szklarni (ściana z kilkudziesięcioma roślinami doniczkowymi), pokoju-ikonostasie (ściana ze złotymi i miedzianymi lampionami). Na stole: ciasta, winogrona w dwóch kolorach, wino. – Na nas mówią: „ruska strona". Tam byli Polacy i Żydzi. Tu zaś mieszanka: Polacy, Białorusini, Litwini, Tatarzy, Żydzi, Ormianie, Karaimi. I zupełnie inne punkty odniesienia. Do nas Polska przyszła ↦









↦ dopiero w 1918 r., teraz jest dopiero drugi raz – mówi gospodarz, z pochodzenia Białorusin. Opowiada o źródłach kultury, wpływie Bałtów, Jaćwingów, rzeczywistości bez Warszaw i Białychstoków.

Cicha: – Świat bez centrów jest możliwy. Występowałam na parunastu festiwalach, które organizowali kustosze muzeów czy bibliotekarki, a które przyciągały tłumy. Wystarczy talent animacyjny i wsparcie jakiejś instytucji, żeby coś zrobić. Zobaczymy jeszcze takie miejsca po drodze.

Tarasewicz: – Nalepa i Breakout pochodzili z Rzeszowa – odlegli, niezależni, stworzyli własną jakość. Ile Niemen zrobił dla polskiej muzyki z tych białoruskich Wasiliszek! Okazuje się, że ojciec Możdżera był z Grodna. Szczecin też wiele dał polskiej muzyce. Te wszystkie ostatnie pociągi, które dalej już nie miały dokąd jechać...

A Warszawa? Dla profesora jest tak samo daleko jak Wilno. Dla Cichej – która dopiero po zamieszkaniu w niej zaczęła świadomie odkrywać wielokulturowe Podlasie – stolica to po prostu świetne miejsce do życia. – Warszawa zaakceptowała mnie od razu, pokazała swoje tożsamości. Fascynowało mnie, że to miasto ma pamięć swojej historii – opowiada.

Jej mąż, Szczepan Żurek, jest geografem i aktywistą społecznym. Był jednym z pomysłodawców akcji „Korona Warszawy" (zdobywania najwyższych szczytów miasta), współautorem „Przypuszczy", przewodnika po okolicach Puszczy Białowieskiej. I, przy okazji, odpowiedzią na pytanie o Warszawę: to dobre miasto, bo może pomieścić wszystkie pomysły. Także ekologiczne, zwiększające świadomość globalną, upuszczające trochę powietrza z oficjalnych haseł. Ze złej polityki.

– Dziś to w ogóle jest heroiczna sytuacja – ludzie bronią wartości kulturowych samodzielnie, w domach. Już raz kultura polska opierając się o dwór obroniła się przed zrusyfikowaniem. Może teraz też jest taki czas? – zastanawia się Tarasewicz.

W porzeczkach

– Urodziłam się w Białymstoku, ale w moim dzieciństwie to miasto nie za bardzo istniało – mówi Cicha.

Usamodzielniła się szybko: już jako 12-latka mieszkała samodzielnie. Wcześniej była głównie droga na dworzec i autobus do domu dziadków, gdzie spędzała większość wolnego czasu. – W weekendy Białystok pustoszał. Miasto wyjeżdżało na wieś, do swoich, nie było komu stworzyć o nim narracji. Wszystkie moje emocje, to, gdzie sięgała rodzina, wychodziło z niego.

Cicha jest multiinstrumentalistką-samoukiem. Na scenie, otoczona klawiszami, samplerem perkusyjnym, z darbuką, janczarami, klawesynem, trzymając akordeon, wygląda jak serce wielkiej muzycznej instalacji. Swój pierwszy instrument dostała od dziadka. Kupił go w Białymstoku, na starym cmentarzu żydowskim, gdzie komuniści urządzili rynek.

– Był to syntezator marki Casiyo, podróba Casio – opowiada. – Uczyłam się grać na dwie ręce, jak zaczarowana. Moja siostra miała gitarę, więc zaczęłam sama rozkminiać, jak to jest, że akordy gitarowe można przenieść na klawisze. Niesamowita chwila – muzyk odkrywa harmonię. Kiedy zagrałam dziadkowi „Fale Dunaju", kupił mi pianino. Zapisali mnie na lekcje, żebym uczyła się nut. Chodziłam dwa lata. Nie bardzo mi się chciało grać klasyczne pioseneczki. Miałam już swoje melodie.

Jak przychodziły? – Komponowałam w porzeczkach – mówi. – Zbiór porzeczek to były wyjęte z wakacji dwa tygodnie czerwca. Robiłam to w Stelmachowie-Kolonii, kilkanaście kilometrów od Białego-



Po lewej: Wielka Synagoga w Tykocinie; Karolina Cicha z malarzem Leonem Tarasewiczem w Waliłach k. Białegostoku. Po prawej: o zabytkowym meczecie w Kruszynianach opowiada Dżemil Gembicki. Na kolejnych stronach: rynek w Tykocinie, wiosna 2019 r.

stoku, gdzie kilka domów stało w odległości nawet kilkuset metrów od siebie.

Właśnie tu jesteśmy: łagodnie pofalowane łąki, równe lasy na horyzoncie, świeże, rześkie powietrze. Wspólnota, jakich mało: tu owdowiałe żeniły się z sąsiadkami, wszystko zostawało „w rodzinie".

Pierwszą piosenkę – odę do bocianów i czapli – napisała, zanim skończyła 10 lat. Nosiła tytuł „W porzeczkach", a jakże. Pamięta też drugą. – Mogę zaśpiewać: „Biję rekord Guinnessa dla sukcesu, dla sukcesu / Biję rekord Guinnessa w kęsach, biję rekord Guinnessa. – Teraz zwolnienie: Zjeść dwie jaszczurki, zjeść dziewięć żmij – i teraz pianino pirirrirrirri – zjeść osiem ślimaków, niezliczona ilość smaków!".

Mówi, że w tych polach i lasach wszystko usłyszała: – Nie znałam obrzędowości i tradycyjnych śpiewów, w mojej rodzinie nie były już tak żywe. Natomiast znałam przyrodę, bo się włóczyłam, łapałam kleszcze, drzewa znosiłam do domu. Miałam przez kilka lat taką wielką wierzbę chopinowską na fortepianie. Jak ją niosłam, ustrzeloną przez piorun, była mojej wysokości. Muzyka się zaczynała w tych wszystkich drzewach.

Trzy zniknięcia Tykocina

Za Stelmachowem jest Tykocin – dziś dwutysięczne miasteczko pod Białymstokiem. Czasem przyjeżdżała tu na wagary.

Miasteczko najładniej wyglądało od strony Narwi, która tak meandrowała, że zamiast jednego mostu była ich cała seria: most, grobla, następny most. Kościół, XVIII-wieczna fundacja hetmana Jana Klemensa Branickiego, oddzielał od siebie dwie części miasta, jak izbę białą od czarnej. Za nim zaczynało się Nowe Miasto, schodzące ku rzece: stocznie rzeczne, składy i magazyny – handlowano stąd z Gdańskiem. Od przodu był park i „uluki", czyli zaułki między domami. Za potokiem, na który mówiono Kacza Woda, zaczynała się dzielnica żydowska. W niej – najważniejsza synagoga między Krakowem a Wilnem.

Tu, w Tykocinie, są źródła „Jidyszland", wydanej w 2015 r. płyty inspirowanej muzyką żydowską, napisanej do tekstów poetyckich. W jednym z nich Morris Rosenfeld, piszący sto lat temu, dzieli się radością z narodzin syna. „Dziecko jest tak słodkie, tak piękne, że kiedy ojciec patrzy na nie, ma poczucie, że cały świat należy do niego" – opisuje Cicha.

Mówi: – Nie jestem typowym etnomuzykologiem, nie zbieram muzyki. Nagrań źródłowych jest dużo, w Instytucie Sztuki PAN, w zbiorach Polskiego Radia. Kiedy już upatrzę sobie jakąś pieśń, szukam kogoś, kto przeczyta mi ją w tym języku.

Tak nagrywała Leona Tarasewicza po białorusku, a po tatarsku mieszkającą w Warszawie panią Faridę. Ewa Wroczyńska, wieloletnia kierowniczka Muzeum w Tykocinie, czytała jej teksty w jidysz i opowiadała historie: o burmistrzach pijakach, o tym, jak żydowski Tykocin walczył o wpływy z Wilnem... Na przykład: – Kiedy w 1638 r. Purim zbiegło się z katolicką Wielkanocą i przypadło w Wielki Czwartek, kilku podchmielonych Żydów wybiegło zza rogu prosto na procesję idącą z figurką Jezusa. Potem musieli przeprosić proboszcza i biskupa, ale właściwie to oni wygrali: od tego czasu procesja nie szła główną ulicą, tylko opłotkami.

Wroczyńska dodaje: – W XX w. Tykocin upadał trzy razy. Najpierw zniknęli Żydzi. Potem komuniści odebrali prawa miejskie (przywróciła je dopiero premier Suchocka). W końcu, gdy uregulowano Narew, odwrócono miasto od rzeki.

Ze Szczepanem Karolina płynęła kiedyś kajakiem Wisłą, z Krakowa do Gdańska. Spływała też Narwią przez Tykocin. Od rzeki miasto wygląda najpiękniej. Skrzyżowania brukowanych ulic (rdzawy bruk musi pięknie odbijać światło po deszczu), stara ulica obiegająca kościół w stronę Nowego Miasta – to jeszcze stary Tykocin, ten, który może pamięta z wagarów.

Skąd się wzięło disco polo

Mówi, że natury w tekstach ma jeszcze za mało. Że czasem czuje się uwiązana, że chce się wyrwać. Jeździła wprawdzie na warsztaty śpiewu tradycyjnego, ale uczyła się też śpiewać estradowo: po to, aby jej śpiewanie nie było takie zupełnie pierwotne, puszczańskie, krzyczane – żeby tam było trochę poezji, liryki. Lubi, gdy na scenie wydarza się coś na pograniczu epifanii. – Coś, co jest większe od ciebie, coś, do czego nie dorastasz jako człowiek, a potem ludzie przychodzą i mówią, że to ty, a to nie do końca ty – mówi.

Czemu zatem disco?

– Chciałabym, żeby ludzie na koncertach tańczyli. To plan na ten rok: nie wydawać nic, tylko popracować nad groove'em i zrobić, żeby to podrywało. Gdy sama idę na koncert, kocham się ruszać, gdy słucham muzyki, ruch jest mi strasznie potrzebny. Gdyby go dobrze wymyślić, koncert mógłby wręcz działać terapeutycznie. Zobacz: ludzie biją brawo, klaszczą rytmicznie. Kiedy jest groove, kiedy w rytm wrzuca się jakąś emocję, człowiek może bardziej wyrażać siebie, w tańcu, w ciele.

Głośno myśli: – Może powinnam wprowadzić jeszcze jedną osobę dialogu? ↦

↦ Wycofać się z nóżek, z perkusji, nauczyć się grać na basie? Myślałam, że akordeon udźwignie bas – specjalnie taki budowałam, żeby miał głębokie, niskie tony. Ale widzę, że to nie to samo, co uderzenie struny. Lewą ręką mogłabym akompaniować na akordeonie, a prawą cisnąć bas.

Mówi też o wprawianiu ludzi w trans. Że nie można kończyć na tym, jak po prostu tańczą. Że chodzi o stan, w którym można przestać myśleć słowami.

– Ale marzy mi się, żeby ktoś mnie zaprosił do zagrania na potańcówce – dodaje.

Od pierwszych sukcesów scenicznych: drugiego miejsca na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu (2006) i trzech latach w Ośrodku Praktyk Teatralnych w Gardzienicach, przeszła długą drogę. Wydawała płyty i koncertowała. Śpiewała poetów: Gajcego, Różewicza, Hartwig.

Teraz jednak jedziemy na południe. Gdzieś nieopodal jest Grabówka , w której mieszka Zenon Martyniuk. Pytam, czy disco polo to odpowiednik dawnej muzyki tradycyjnej, takiej, która przekazuje treści, obrzędy i zwyczaje? Teraz się śmieje: – Taka będzie moja następna płyta. Jestem w końcu z Podlasia, gdzie jest stolica disco polo. I zawsze mi się wydawało, że ta muzyka wzięła się z folku: że to coś innego niż przetłumaczone na polski italo disco.

– Oczywiście nie chcę zrobić płyty disco polo – precyzuje. – Chcę, żeby to było transowe, w innym sensie tradycyjne. Chcę zbadać, czy moje teksty pasują do tradycyjnych pieśni. I pisać o rzeczach, które wychodzą z tego, o czym są dane słowa, lecz poruszać sprawy uniwersalne. Niby nie ma już tego ducha i scenografii, ale problemy i emocje się nie zmieniają. Np. płacz dziewczyny z powodu odchodzącej młodości.

Jak przetrwa kultura

Mirosław Samosiuk przedstawia się tak: – Pracuję w Polskich Liniach Kolejowych. Zakład Infrastruktury Białystok, Sekcja Eksploatacji Hajnówka, centrala w Warszawie przy Targowej.

Jesteśmy w Gminnym Ośrodku Kultury w Czeremsze, powiat hajnowski, na południowych skrajach Puszczy Białowieskiej, na pograniczu polsko-białorusko-ukraińskim. Na piętrze próba przed koncertem jazzowym. Na drzwiach gabinetu szefowej ośrodka, Barbary Kuzub-Samosiuk – rozpiska ubiegłorocznej edycji Festiwalu Kultur i Narodów „Z wiejskiego podwórza”.

– Każdy zakład ma swój tabor: drezyny, pługi odśnieżne, odśnieżarki – kontynuuje Samosiuk. – I drezynownie: garaże śmierdzące smarem, brudne, pełne niedopałków. Kiedyś Teatr Dramatyczny w Białymstoku zorganizował w takiej drezynowni spektakl pt. „Fantom bólu” Sigarjewa. Wezwał mnie dyrektor i powiedział: „Panie Mirku, pan tu różne takie dziwne rzeczy robi po pracy, to może coś jeszcze wymyślimy?”. Mnie się tunel kolejowy skojarzył z podkową. Tak powstała Podlaska Odjazdowa Drezynownia Kolejowa – PODKoffA – festiwal mający promować podlaskie zespoły. Jedną z pierwszych do wypromowania była Karola.

A „dziwne rzeczy” to działający od 26 lat zespół Czeremszyna, śpiewający pieśni z tutejszego pogranicza. Mirosław i Barbara są jego liderami.

Karolina: – Gdy w 2012 r. przygotowywałam materiał do płyty „Wieloma językami”, właśnie do Mirka dzwoniłam z pytaniem, czy to jest kultura bardziej ukraińska, czy bardziej białoruska, i który to język. A on tłumaczył: to skomplikowane. Kogo nie zapytasz, powie, że to nasza pieśń.

Mirosław: – Nasza gwara jest ukraińska, lecz system, w którym mieszkaliśmy lata temu, wmawiał nam, że jest białoruska. Że nie ma tu Ukraińców i że wszyscy jesteśmy Białorusinami.



Barbara: – Kiedy poszłam do podstawówki, połowa dzieci ze wsi nie mówiła po polsku. Ale nauczyciel nie wspierał tego, że ktoś pielęgnował swoje tradycje w domu. Gdy zaczynałam tu pracować, przyjeżdżała milicja patrzeć, czy Ukraińcy nie spiskują. Skąd ci Ukraińcy? Skąd się nagle wzięli?

Gdy przyszła wolność, uwolniła się też muzyka. Lata 90. to w Polsce pierwsza fala popularności folku. Czas, gdy muzyka etniczna wyszła poza regiony, zdobyła publiczność. Czas eksperymentowania z muzyką tradycyjną, działalność lubelskiej Orkiestry św. Mikołaja. Fenomen Grzegorza z Ciechowa, popularnego projektu lidera Republiki.

– Grając naszą muzykę – mówi dziś Mirosław – marzyłem o tym, żeby ludzie tu mieszkający przestali się tego wstydzić.

Cicha: – Ale z drugiej strony jest też bardzo silny prąd tej starej tradycji. Ta nowa polega na przetwarzaniu muzyki tradycyjnej, działa też jednak warszawskie stowarzyszenie Dom Tańca, Adam Strug, są oberki Janusza Prusinowskiego: wszyscy oni dbają, żeby było archaicznie, z niezmienioną melizmatyką i nutą, i uczą się bezpośrednio od skrzypków wiejskich. Tam nie ma miejsca na improwizację, chodzi bardziej o utrwalenie i zarchiwizowanie. A my chcemy pokazać, że to jest żywe. Że działa i się rozwija, dodajemy swoją aranżację i interpretację.

Podobno między tymi dwoma prądami jest napięcie.

Karolina Cicha: – W Warszawie odbywa się teraz mnóstwo imprez oberkowych. Dziewczyny noszą wiejskie kiecki, uczą się tańców i przytupów, chodzą na kursy i tańcują tak, jak tańcowało się kiedyś. To co z tego, skoro to się wciąż nie dzieje na wsi? Może kiedyś wieś na powrót zarazi się tym od miasta?

Pytam Cichą – która w graniu wciąż eksperymentuje, będąc tak daleko od muzealnictwa, jak tylko się da – jak daleko można się posunąć, przetwarzając muzykę?

– Chopin inspirował się mazurkami – odpowiada. – Ale posłuchaj sobie jego utworów, te mazurki naprawdę trzeba wysłyszeć, wykombinować, co on miał w mózgu, co z tych mazurków wymyślił. To jest tak unikalne, tak fenomenalnie dziwne, że wszędzie można z tym pójść. Tylko jakość jest granicą.

Cisza na pograniczu

Zbliżamy się do końca podróży. Miejsce z „Płyty tatarskiej" (2017), jeszcze jedno, w którym Karolina, spacerując pustą szosą z akordeonem, wygląda i brzmi naturalnie jak fragment krajobrazu.

Ale postój w Kruszynianach się przeciąga. Dżemil Gembicki, klucznik drewnianego meczetu, przybiega pokazać wnętrze świątyni; na zwiedzanie załapie się kierowca, który zawracał ciężarówką („Ja nie stąd, tam można wejść? A oni mają Wielkanoc? Jak z tym alkoholem?"). Dżennecie Bogdanowicz przed rokiem spłonęła Tatarska Jurta; odbudowa już się kończy, na razie częstuje kołdunami i jagnięciną w Centrum Edukacji i Kultury Muzułmańskiej Tatarów Polskich. Po nowym budynku, z częścią muzealną, ale i salą, w której w zgodzie z tradycją odbywają się śluby i obrzędy pogrzebowe, oprowadzi Bronisław Talkowski, przewodniczący gminy muzułmańskiej.

Teraz droga prowadzi na południe: szutrowymi, gruntowymi drogami wzdłuż granicy białoruskiej. Dziesiątki kilometrów łagodnych pól, pustki i wsie, których mieszkańcy umarli, wyjechali, schowali się w domach. Bieszczady – tylko bez gór.

W Pasiekach, małej osadzie w Puszczy Białowieskiej, Karolina przystaje pod drewnianymi drzwiami stodoły – tej, w której tańcowali na weselu. Nabiera powietrza do płuc, mruży oczy, unosi głowę do góry. To chyba ostatni taki zimny dzień tej wiosny – chłodne, wilgotne powietrze poniesie jej głos we wszystkich kierunkach, daleko między drzewa.

©℗ MARCIN ŻYŁA



Edmund Maksymalny

MAREK BIEŃCZYK

Dla niego literatura była w wymiarze biologicznym drugim ciałem twórcy. Organizmem, który nie może przestać działać, który choć zacina się, słabuje, to korzysta z danych mu zasobów aż do całkowitego wyczerpania.

Czas temu w prowincjonalnym włoskim miasteczku zobaczyłem klepsydrę z nazwiskiem niedawno zmarłego mężczyzyny. Eros Samaritani, żył dobrą osiemdziesiątkę. Jemu już było wszystko jedno, ja przez chwilę nie mogłem powstrzymać śmiechu, wyobrażając sobie seksualnego dobroczyńcę, który przez całe swe lokalne istnienie miłosiernie udziela rozkoszy potrzebującym. Nazwisko, czułem, zasługiwało na jakiegoś półkomicznego, ćwierćtragicznego bohatera powieściowego. Kogoś rodem z książek Edmunda Niziurskiego, którego protagoniści swoją „godnością" (jak określa to wykwintny żargon urzędniczy) rozśmieszali nas, jego czytelników, od zawsze.

Z wydanej właśnie obszernej biografii Niziurskiego autorstwa Krzysztofa Vargi zatytułowanej „Księga dla starych urwisów" i będącej zwieńczeniem pełzającej w jego i moim pokoleniu niziurskomanii, dowiedziałem się, że pisarz niekiedy poszukiwał nazwisk dla swoich bohaterów na cmentarzach; pożałowałem, że nie natrafił na tamtą włoską klepsydrę.

ALE NAWET MORMOŃSKI SPIS WSZYSTKICH ZMARŁYCH nie byłby dla Niziurskiego wystarczający. Jego onomastyczna inwencja, a w każdym razie odwaga nie miała granic; czerpał z niej wyraźną przyjemność żonglera i magika, zwłaszcza przy łączeniu imion z nazwiskami. Kilka z nazwisk i ksywek przeszło do historii: uczniowie Zasępa i Ciamciara, Wątłusz Pierwszy i Pumeks Pierwszy (oraz Pumeks Drugi), przestępcy Wieńczysław Nieszczególny i Chryzostom Cherlawy; inne, odkrywane na nowo przy powtórnych lekturach, nie przestają cieszyć, harcerze-detektywi Pirydon i Nudys, kolejny opryszek Eulaliusz Trel, uczennica – czarująca – Adela Wigor oraz, *last but not least*, Cymeon Maksymalny.

Najtrafniejsza może książka o Edmundzie Niziurskim składa się zresztą z samych nazw. Językoznawca Józef Głowacki z Uniwersytetu Gdańskiego opublikował niegdyś cudny spis, „Nazewnictwo literackie w utworach Edmunda Niziurskiego". Autor zadał sobie między innymi trud sprawdzenia, które z użytych nazwisk są autentyczne (i nieraz zapewne znalezione na cmentarzu), a które wymyślone. Antyporowicz i Ciemiężny są autentyczne. I – niestety – Cypałło i mój ukochany Zasępa też.

Wolałbym jednak, by Niziurski sam to ostatnie wymyślił, chwała byłaby pełniejsza. Ale liczą się jeszcze nazwy miejsc, zwłaszcza te nacechowane intencją symboliczną, jak, dajmy na to, Wielka Kołomyja Elementarna, czyli łaźnia, w której toczą się boje wrogich chłopięcych plemion w powieści „Siódme wtajemniczenie". Odkąd usłyszałem to wyrażenie, natrętnie wraca za każdym razem, gdy ktoś obok albo w tekście wspomina o redukcji fenomenologicznej Husserla.

WYBÓR IMIENIA I NAZWISKA dla powieściowego bohatera jest jak wynalezienie rakiety odpalającej opowieść; wszystko już może być gotowe, lecz dopiero odpowiednie ochrzczenie postaci ustawia całą rzecz i nadaje ton. Wiedział o tym najlepiej Roland Barthes, który – jak wyznał – nie umiał nazwać osób mających zapełnić jego powieść i mimo gotowego mniej więcej projektu nie zdołał jej wystartować. W przypadku Niziurskiego gra toczyła się jednak o coś więcej: w jego nazewniczej wyobraźni potrzeby żartu przekraczały potrzeby opowieści. Rozdając imiona i nazwiska bawił się językiem; co więcej, jako bodaj jedyny z pisarzy „młodzieżowych" rozumiał, że w ogóle nie ma co oszczędzać na figurach stylu, dostosowywać się do domniemanych możliwości czytelnika. Przy zachowaniu wszelkich proporcji było coś w tym – na małą ludyczną miarę – z „Ferdydurke", ale też z gestu poezji lingwistycznej. To znaczy rozwirować słowa, pozmieniać im naturalne sąsiedztwo, trochę w nich pogrzebać, leciutko poszaleć.

Przy kombinacjach z nazwiskami Niziurskiemu szło to najlepiej. Ale też w tych kilku najbardziej udanych książkach, a już zwłaszcza w „Sposobie na Alcybiadesa", dla większości jego miłośników dziele najlepszym, przetwarzając językowe gotowce funkcjonujące w gadce urzędniczej, instytucjonalnej, naukowej i młodzieżowej, tworzył w całości nieistniejący żargon, wolapik, który trochę przedrzeźniał oficjalną polszczyznę, a trochę ją rozszerzał. Podobne próby w powieściach napisanych później, już po 1989 r., wobec slangu „kapitalistycznego" były o wiele słabsze; krzywe lustra podstawiane mowie (i nowomowie) najciekawsze efekty literackie dawać mogły za komuny. Bo też komuna jako źródło cierpień była w literaturze zarazem źródłem językowych rozkoszy, będących jednocześnie ukrytą formą obocznego, przeniesionego na sam język cichego sprzeciwu. Najlepszym przykładem Białoszewski.

Z mojego rozpoznania wśród zaprzyjaźnionych rodziców wynika, że atrakcje te są dziś dla ich progenitury mało zrozumiałe i atrakcyjne. Mówiłem przed chwilą o „przechodzeniu nazwisk do historii", muszę teraz szybko uściślić: „do pewnej zamkniętej historii", do niziurskomanii siłą rzeczy już nieco senilnej. Jak wyznał mi jeden z ojców, udało mu się wcisnąć do głowy syna uwielbienie dla Talking Heads, lecz Niziurskiego młoda głowa odrzuciła.

POZOSTAJE ON PISARZEM ISTOTNYM dla parunastu roczników; dla facetów już starszych, lecz przy Niziurskim wciąż maleńkich, *puer senex*. Jak głosi tytuł książki Vargi, właśnie dla „starych urwisów", którzy, podejrzewam, zabiorą go ze sobą do trumny, gdzie czekają już ułożeni ze świeczkami w dłoniach Karol May, Alfred Szklarski i paru innych naszych idoli tamtych dzieciństw.

Krzysztof Varga wpadł na ładny i mądry pomysł oddania głosu kilku takim miłośnikom Niziurskiego; jego książka pisana jest niejako w imieniu pisarskiego fanklubu, bez prywatnego zawłaszczania. O swej miłości do niego mówią żarliwie m.in. Jerzy Pilch (teraz widać wyraź-





TOMASZ WIECH / AGENCJA GAZETA

Spotkanie z Edmundem Niziurskim, Kraków 2005 r.

niej, skąd czerpał natchnienie dla nazwisk swych bohaterów), Zygmunt Miłoszewski, Grzegorz Kasdepke, Mariusz Czubaj. Wszyscy dobrzy styliści.

Ich entuzjazm każe myśleć o dziwnych drogach naszych pisarskich inspiracji. Na sztandary łatwiej wciągać jest Płatonowa, Tołstoja, Hemingwaya czy Flauberta, lecz po grzecznym zasalutowaniu wraca się do prawd szczenięcych wyobraźni, która zawsze jest kapryśna, marginalna, opłotkowa; która szpera po zaułkach, piwnicach i śmietnikach, daleko od głównych dróg. I zapamiętuje pierwszorzędne zagrania pisarzy drugo- czy trzeciorzędnych, nasącza się nieistotnymi zdawałoby się zdaniami i obrazkami, cwanymi chwytami zwykłego, świetnego, lecz nie arcydzielnego rzemiosła pisarskiego. Chłonie inteligencję niemającą nic wspólnego z wielkością idei czy z epokowym odkryciem powieściopisarskiej poetyki (czasem niedokonanym u Flauberta, reporterską zwięzłością Hemingwaya albo wynalazieniem przez niego nowej formy dialogu), lecz ze sprawnością opowiadania i z wystrzałową trafnością takiego czy innego zwrotu, wyrażenia, zdania.

Wiadomo na wieczność, że „wszystkie rodziny szczęśliwe są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób", lecz bliższe ciału jest poetyckie uniesienie Wątłusza Pierwszego, licealnego boksera i zawadiaki, którego nieszczęśliwy przypływ melancholii przemienia w wierszokletę. „Wątłusz Pierwszy jest nie tylko przygnębiony – powiedział Kicki. – Wątłusz Pierwszy znajduje się w stanie rozbicia zasadniczego". Tak jakby – wstyd może się przyznać – coś nieistotnego, „głupotka", na przykład greps o „rozbiciu zasadniczym", przemawiały wyraziściej niż uniwersalna sentencja, filozoficzne rozpoznanie. Tak jakby z głębi pamięci promieniowała siła dla nas bardziej osobista, ważniejsza.

Książka Vargi, solidnie udokumentowana i pełna streszczeń powieści także zapomnianych, uświadamia, jak wiele Niziurski, istny Kraszewski naszych czasów, napisał. Ponad 50 książek, za dużo zapewne, bardzo wiele z nich, i pierwszych, i zwłaszcza tych późnych, jest nieprzyjemnie słabych. Jakby ostatecznie – można odnieść wrażenie – literatura okazywała się dla niego pragnieniem gadania za wszelką cenę, syzyfowym wysiłkiem wtaczania na górę opowieści bez wytchnienia, w każdych warunkach. Przy żadnym może naszym pisarzu nie da się odczuć tego, czym może być literatura w wymiarze biologicznym: drugim ciałem twórcy. Organizmem, który nie może przestać działać, który choć zacina się, słabuje, to korzysta z danych mu zasobów aż do całkowitego wyczerpania.

PRZEGLĄDAJĄC OWO MROWIE OPOWIEŚCI, mieszaninę świetności i słabizny, widzimy całe to dziwne, bardzo osobliwe ciało Niziurskiego: plazmę opowieści, która przelewa się, nie zamyka w poszczególnych książkach, niesie naprzód i zawraca. Bo tyle tu jest powtórzeń, tyle wariantów kilkunastu schematów narracyjnych, tylu powracających bohaterów w nowych-starych sytuacjach, tyle auto-remake'ów, cytatów z siebie, tyle różnych tytułów dla tych samych lub lekko tylko zmienionych w kolejnych wydaniach książek. To prototyp *pulp fiction*, w której mieszają się wszystkie tony od wysokich do niskich, i gatunki od groteski i burleski przez ludyczne *science fiction* po powieść realistyczną. To, co było u Niziurskiego instynktowną właściwością twórczą, chwilami cokolwiek niezdarną, stanie się później, w latach 90., i aż do dzisiaj, jednym z dominujących wzorców estetycznych literatury, kina i teatru.

Niziurski napisał też parę kryminałów, które potwierdzają jego umiejętności warsztatowe. „Przystań Eskulapa" fabularnie zapięta jest na ostatni guzik; jednością miejsca i akcji przypomina powieści Agathy Christie; brakuje natomiast w nastroju „tego czegoś", co zamienia spryt narracyjny w książkę pełną gębą. Podobnie jest z kilkoma innymi powieściami dla „dorosłych".

Niewielki, kompletnie zapomniany stustronicowy „Wyraj" z roku 1964 rozgrywa się w czasie wojny. Przeczytałem go teraz po raz pierwszy, rzecz intrygująca i dziwna. Znowu: spryt narracyjny, lecz nie książka pełną gębą. Znowu: nie książka pełną gębą, lecz trudno się od niej oderwać. Dzieje się na domniemanej Kielecczyźnie podczas wojny, którą jako młodzian Niziurski (urodzony w Kielcach w roku 1925) przeżył na miejscu. A dokładniej od drugiej połowy roku 1940, gdyż wcześniej ojciec uciekł z nim na Węgry; po kilkunastu miesiącach wrócili.

To historia młodego lekarza, który wcześniej brał udział w ruchu oporu, lecz teraz, gdy wojna zbliża się do końca, myśli raczej o tym, jak przeżyć. Nie on jeden; pełno wokół cwaniaków, małych handlarzy, którzy, ↦

↦ wymieszani z partyzantami, tworzą „społeczny przekrój" ludności pod okupacją. Jest nawet w miarę dobry Niemiec, który też wypatruje kresu wojny; całe miasteczko opisane przez Niziurskiego chciałoby już tylko spokojnie przetrwać. Oczywiście nie jest to takie proste, lekarz *volens nolens* uczestniczy w partyzanckich działaniach, ma coś z obywatela Piszczyka wmieszanego w nie całkiem jego sprawy, zdarza się też romans, który nagle wyprowadza książkę z jej obyczajowego tła, z małego realizmu, w inne rejony gatunkowe, a wszystko opowiedziane jest, jak to u Niziurskiego, w błyskawicznym tempie, bez żadnego watowania tekstu opisami.

POMYŚLAŁEM, ŻE MOTYW PRZETRWANIA był istotny w całym jego pisarstwie. Dla jego czytelników, którzy wychowali się i dorośli w PRL-u, nie tylko i nie tyle mały realizm, nasza mała codzienność, pozostawały istotne. Nie tylko to gagowa, to podpatrująca codzienność wyobraźnia, umiejętnie mieszająca porządek fantazyjny z realistycznym. Nie tylko sprawność w tworzeniu prawdopodobnych i nieprawdopodobnych przygód. Lecz raczej, ponad to wszystko, szczególna umiejętność mimikry. Albo może inaczej: umiejętność wykreowania literackiej postaci mimikry. Czyli takiej jej formy, która nadawała podstawowemu w PRL-u stylowi zachowań, jakim było sprytne dopasowanie się, walor artystyczny i w ten sposób zbawiała naszą przeciętność i kameleonizm. Dostarczała jej nieco zwariowany język, szlachetną groteskowość, odrobinę magii, smak mikroutopii; wprowadzała średniactwo, to całe nasze ograniczone życie, gomułkowską i postgomułkowską siermiężność, w wyższe rejony.

Przestrzenie szkolne i przestrzenie chłopięcych zabaw (powojenny pejzaż Polski najczęściej prowincjonalnej z jej ruinami, z jej nieczynnymi jeszcze miejscami) były jak najbardziej konkretne; poetyki niektórych powieści, jak „Księgi urwisów" (1954), socrealistyczne, dydaktyka i zgodność z pedagogicznymi imperatywami literatury młodzieżowej niekiedy ewidentne. Żaden cenzor czy inny czynnik nie mógł się otwarcie przyczepić i nie ma co robić z Niziurskiego pisarza bojownika. Lecz zarazem, niekiedy gdzieś pod spodem, niekiedy bardziej z mostu, jak w odbitym echu, jak w krzywym zwierciadle, pojawiały się dryfy odwrotne, ujawniające przestrzenie wolności, którą życie (to smutny przekaz Niziurskiego) będzie chciało stłamsić, lecz której smaki – jak smak wielkiej Zgrywy przeciw Ciału belferskiemu w „Sposobie na Alcybiadesa" – pozostają niezapomniane. Władza belferska czy inna będzie istniała zawsze, nie da się jej zwalczyć, trzeba z nią zawierać cwane kompromisy, wycinać w jej systemie własne korytarze i antysystemowa młodzież Niziurskiego umie to robić.

„Sposób na Alcybiadesa" (1964) – pewne miejsce w kanonie polskiej literatury powojennej – najmocniej ze wszystkich powieści Niziurskiego rzutuje na jego dzisiejszy odbiór, nie tylko mój. Nie dlatego wyłącznie, że łączy w idealnych proporcjach wybujałą stronę językową i stronę narracyjną. W moim odczuciu z jeszcze jednego, kiedyś może bardziej marginalnego, powodu. Zygmunt Miłoszewski określa go trafnie „inicjacją w inteligencką".

Im dalej od „Księgi urwisów", powieści „dickensowskiej", klasowej, mocno osadzonej w społecznych realiach, z dzieciakami wywodzącymi się z górniczej biedoty, tym bardziej podziały się mieszają, ludzi zaczyna różnić raczej poziom inteligencji i sprytu niż pochodzenie. Poziom ogólnej kultury wręcz; taki milicjant Trepka we wspomnianym kryminale umie porównać jakąś budowlę do falansteru Fouriera, młodzież od Alcybiadesa operuje wysoko-niskim żargonem; nawet jeśli drży przed każdą klasówką, cytuje w zawadiackich rozmowach Mickiewicza, nosi ksywki typu Szekspir.

No dobrze, pięknie wymyślone. Ale w czasach, gdy premier myli cytaty Mickiewicza z wersami Kochanowskiego, gdy zyskuje dzisiaj na skuteczności w polityce i w internecie język antyinteligencki i antyelitarny, neogomułkowszczyzna, gdy odniesienia kulturowe w naszych wypowiedziach trzeba oddzielnie tłumaczyć od a do z, gdy utknęliśmy w rozbiciu zasadniczym, tamten świat błyszczy przyjemnie i nostalgicznie. Chciałoby się znowu stanąć przed jego tablicą, tylko jak to szło?... Mierz energie na intencje?... Mierz siły na zamiary?... Podpowiedzże no, Zasępa!

© MAREK BIEŃCZYK

Zwodnicza Raja

PAWEŁ BRAVO

Nie ma nic prawdziwszego od dobrze napisanej fikcji – mówi Elena Ferrante. Sama wie o tym najlepiej, bo nie zaznała biedy na przedmieściach Neapolu, jak próbuje nam wmawiać w wywiadach.

Tego nie mógłby napisać mężczyzna. Słyszałem to nieraz od osób, którym podsuwałem parę lat temu nie tak jeszcze sławne książki Eleny Ferrante. Deklarowali mi tak przeważnie mężczyźni, a w ich oczach widziałem bojaźń. Ich konkluzja nie była protekcjonalnym skwitowaniem miękkości, czułości i rozbudowanej palety w opisie uczuć, czyli tego, co od zawsze służyło do zamykania dowolnej autorki w babińcu („Pióra o giętkich stalówkach" – nie ma lepszego ujęcia tego stereotypu niż tytuł szkicu o kobiecej literaturze lat 30. Czesława Straszewicza).

Nie była też kpiną z pozowanej drapieżności typowej dla projektów pisanych pod wyznaczoną z góry misję emancypacji jako zemsty. Jej pazury są zbyt ostre, żeby od razu nie było widać, że wystawiono je na pokaz.

Nie, to był wyraz lekkiego przestrachu, że powieści z cyklu „Genialna przyjaciółka" stawiają czytelnika płci męskiej przed dziwnego rodzaju Nieznanym: nie celebrują fundamentalnej obcości doświadczeń obu płci i nie roszczą sobie pretensji do ekskluzywności („ty, facet, nigdy tego nie zrozumiesz, więc może lepiej odłóż tę książkę, bo nie jest dla ciebie"). Raczej składają poważną, ale niepokojącą propozycję: opowiem ci cały ciężar i paskudztwo egzystencji, czyli to, co pisarze-mężczyźni od zawsze traktowali jako jedną z najmocniejszych walut literackich, ale opowiem to od innej, kobiecej strony. Opowiem wam o tym, jakimi jesteście dla nas sukinsynami, ale nie po to, żeby was zniszczyć. Tylko tak, żebyście



MATERIAŁY PRASOWE HBO

Margherita Mazzucco jako Elena i Gaia Girace jako Lila w serialu HBO „Genialna przyjaciółka" na podstawie powieści Eleny Ferrante

umieli sobie uobecnić, co się w naszym, kobiecym, życiu dzieje, ale zostali z niespełnieniem, z niepokojącą pewnością, że coś wam umyka.

Przeklęte miasto

Ludzi powołanych do życia w tym cyklu powieściowym, targanych przez los (to słowa jednej z bohaterek pytanej przez nauczyciela w liceum o to, czym powinna zajmować się literatura), spowija prawie przezroczysta zasłona. Pozwala poczuć ich ciepło i zapach, ale odmawia czytelnikowi ostatecznej, najbliższej formy kontaktu. Niewątpliwie ma z tym do czynienia rodzaj głosu i postawy narratorki.

Oto dojrzała kobieta, zawodowa literatka spisuje zawiłe dzieje swojego związku z tytułową genialną przyjaciółką. To jest wyraźnie podkreślone, że nie opowiada, ale spisuje właśnie. Szuka w strukturze słowa pisanego sensu zdarzeń, których zwykłe wspomnienie, gnieżdżące się w głowie, ale nieprzerzucone na papier, nie ujmuje. Spisuje dzieje na tyle długie, a zarazem domknięte jej zniknięciem, że rekonstrukcja zdarzeń jest automatycznie refleksją umysłu znającego przyszłość, jaka przypadła w udziale bohaterkom i konstelacjom postaci z kilku splątanych ze sobą rodzin.

Przy czym ten przywilej późnego spojrzenia nie zapewnia jakiejkolwiek spokojnej pewności co do sensu życiowych zmagań i próby mądrego, statecznego godzenia się z losem. Im bliżej współczesności, im więcej przybywa nam odsłon, w jakich Elena, narratorka, ogląda siebie i Lilę w coraz starszym wieku, tym mniej wszystko staje się zrozumiałe, spójne, logiczne i brak tu tego, co bywa nieznośną wadą niejednej powieściowej sagi – krągłych pocieszycielskich formułek zawierających mądrości życiowe człowieka, który wreszcie zrozumiał wszystko.

Owszem, godzenie się z urządzeniem świata jest jednym z centralnych tematów tych książek. A ściślej: odkrywanie na własnej skórze przez kobiety, czego oczekują od nich mężczyźni. Obie dziewczynki dorastają w endemicznie biednej dzielnicy Neapolu. Nietkniętej, tak jak większość włoskiego południa, wpływami oświecenia, o XX-wiecznych rewolucjach społecznych nie wspominając.

Jedynym obowiązującym w takim świecie językiem jest przemoc. „Wyrosłyśmy w przekonaniu, że obcemu nie wolno nas nawet tknąć, ale rodzic, narzeczony i mąż mogą nas spoliczkować, kiedy chcą – z miłości, dla przykładu, dla nauki" (przeł. Lucyna Rodziewicz-Doktór). Dla obu jednak głównych bohaterek całe życie będzie grą podjętą z tym przemocowym otoczeniem. Albo poprzez otwarty bunt, który podejmuje bez żadnej taryfy ulgowej Lila – po to, by za każdym razem opaść z sił i poddać się logice męskiej siły. Albo poprzez awans, ucieczkę z dzielnicy nędzy i upodlenia, zdobyty dzięki wykształceniu Eleny. W obu jednak przypadkach gesty i zdobycie podmiotowości będą niecałkowite, skażone przeświadczeniem, że wszystko to może się łatwo odwrócić, unicestwić.

Całe pisarstwo Ferrante – także w drugim cyklu, z którego po polsku wyszła „Obsesyjna miłość" i „Córka" – krąży wokół obsesji niepełności istnienia, niedokończenia projektów, połowiczności wszelkich sukcesów. „Odkąd pamięta, wysila się i przekonuje, że życie ma solidne krawędzie, bo od dziecka wie, że tak nie jest" (przeł. L. Rodziewicz-Doktór) – mówi przerażona Lila podczas aż nazbyt symbolicznej sceny trzęsienia ziemi, rzucającego jako tako urządzone mieszkanko ↦

↦ w stan pierwotnego chaosu. Emblematem tego rozmycia konturów egzystencji jest sam Neapol, miasto dzikie, żyjące wedle swoich praw dżungli i posługujące się – kiedy chodzi o coś naprawdę ważnego – własnym dialektem zamiast oficjalnej włoszczyzny, której dzieci uczą się dopiero w szkole i traktują trochę jak niedzielne ubranko do kościoła, przyciasne i nieprzydatne w codzienności.

Bohaterki Ferrante prześladuje lęk, że starczy niewiele, drobny wstrząs, żeby spod politury ustatkowanej egzystencji wydobyło się z trzewi dialektalne przekleństwo, że „dzielnica", czyli plebejskie korzenie, przypomni o sobie, przywracając je w stan raz na zawsze wyznaczonej podległości. Los komunikuje się z kobietami głównie językiem bólu i upokorzenia i nigdzie w złożonym świecie powieści Ferrante – nawet gdy jesteśmy z dala od przeklętego Neapolu – nie ma na dobre przed tym ucieczki.

Nie jestem zmyślona

Choć Ferrante ma już w dorobku opasłą tetralogię i cztery inne powieści, jest właściwie pisarką tego jednego tematu. Ale ten wybór strategii pisarskiej dotyczy w jej przypadku w sposób wyjątkowy nie tylko samego tekstu, ale i autorki.

Decyzja o tym, by pozostać za szczelną zasłoną pisarskiego pseudonimu, jest czymś więcej niż tylko sposobem, by zagrać na nosie biznesowi wydawniczemu, który metodę „na celebrytę" posunął do granic mdłości. I to wcale nie jest choroba, która toczy nas dopiero teraz, gdy – jak wyznaje mi pewien ważny polski wydawca – głównym kanałem promocyjnym nawet bardzo poważnych książek jest Instagram. Na wiele lat przed wynalezieniem mediów społecznościowych byłem wszak świadkiem sytuacji, gdy redakcja tygodnika chlubiącego się tradycją inteligencką odrzuciła ciekawy wywiad z Dubravką Ugrešić z prostego powodu, że jest ona za stara na to, by jej twarz pojawiła się w piśmie.

Kiedy się czyta kilkanaście wywiadów, jakich Ferrante udzieliła korespondencyjnie różnym gazetom (a potem wydała, wraz z wyborem listów do wydawców i współpracowników w tomie „Frantumaglia", czyli „Rupieciarnia"), widać, że igranie z manią grzebania pisarzom w życiorysie i szukania w ich biografii prostych kluczy do twórczości sprawia jej niewątpliwie frajdę.



Neapol, Via Toledo

Jest przy tym cierpka nie tylko wobec płytkich dziennikarzy, ale też poważniejszej krytyki, która działa bardziej jak portier na imprezie towarzyskiej niż czuły radar literackiej wartości. Na pytanie, jak reaguje na giełdę nazwisk, które próbowano, stosując nieraz zawiłe metody analizy narracji i stylu, „dopasować" do niej, kiedy tylko osiągnęła pewien poziom rozgłosu, odrzekła, że pochlebia jej, iż przypisuje się jej twórczość paru dobrym, uznanym pisarzom. Ale zarazem kąśliwie zauważyła: „Dlaczego nikomu z krytyków nie przyszło do głowy zapełnić całą stronę gazety rozważaniami nad hipotezą, że moje książki napisał jakiś emerytowany archiwista albo początkująca urzędniczka z banku?".

Choć oczywiście musi sobie zdawać sprawę, że aura tajemnicy też potrafi okazać się skuteczną dźwignią marketingową i że aby to dobrze działało, należy mylić tropy, podsuwać zmienne i sprzeczne poszlaki. Tym bardziej gdy chce się podjąć grę z oczywistym czytelniczym odruchem, który każe nam mocniej przejąć się

narracją, jeśli sądzimy, że wyrasta wprost z przeżyć autorki, że nie jest zatem „zmyślona".

Stąd Ferrante podrzucała regularnie sugestie, że cały ten biedny, brutalny Neapol zna z autopsji, że wyszła wprost z zatęchłych podwórek i ścinającej skrzydła biedy. Że jej matka była prostą krawcową – w paru miejscach pogłębiła ten temat, kreśląc oniryczne, nasycone niemal schulzowską aurą wspomnienia dziewczynki błądzącej wśród beli materiałów i ożywiających siłą wyobraźni wypadające spod ręki matki ścinki. Że wyrosła w rozdwojeniu między elitarnym językiem włoskim a ulicznym dialektem: „W mojej głowie pozostają dwa wrogie sobie języki, a neapolitański umie opowiedzieć o mnie, o moich przyjaciółkach i naszym życiu wiele rzeczy, których się wstydzę". Że zatem cały ładunek rozpaczy wobec niemożności stworzenia siebie na nowo, z dala od ograniczeń narzuconych przez głupi los, wzięła z własnych trzewi.

Śladem przelewów

Nie rozbiory stylistyczne i filologiczne krojenie tekstu na plasterki, tylko zwykłe dziennikarstwo śledcze, stosujące prostą jak budowa cepa zasadę *follow the money*, było potrzebne, żeby zdemaskować, że w całej tej opowieści prawdziwe jest tylko jedno: osoba kryjąca się za pseudonimem jest faktycznie kobietą.

Dwa lata temu dziennikarz gazety finansowej „Il Sole" sobie tylko znanym szwindlem zdobył kopie przelewów wychodzących z malutkiej oficyny, która od samego początku książki Ferrante wydawała i zbiła na tym majątek, kiedy po latach zyskały one status bestsellerów. Adresatką milionowych transferów okazała się Anita Raja, znana w branży książkowej jako tłumaczka z niemieckiego, a także jako żona dość popularnego pisarza Domenica Starnonego, skądinąd wymienianego wcześniej na liście postaci, które mogą się kryć za pseudonimem.

Odtąd to Starnone będzie na salonach funkcjonował jako mąż „prawdziwej Ferrante" – a może i nawet współpracownik lub doradca... pewne stylistyczne pokrewieństwo można wyśledzić np. w znakomitej, a u nas przegapionej powieści „Sznurówki". Jeśli zresztą bawić się we wpływologię i poszukiwanie literackich pokrewieństw, to trzeba też dodać, że Raja tłumaczyła na włoski Christę Wolf, z którą utrzymywała bliską znajomość – kiedy już wyszło szydło z worka, znawcy twórczości niemieckiej pisarki zaczęli wskazywać na inspirację np. jej „Rozmyślaniami nad Christą T.".

Dziennikarza (a także prestiżowe „New York Review of Books", które jego rewelacje przedrukowało) spotkało potępienie za naruszenie prywatności i tajemnicy, tym bardziej karygodne, że powiązane – jakież to nieliterackie – z grzebaniem w pieniądzach. Tymczasem, jak sądzę, wyrządził wielką przysługę Anicie Rai, trudno bowiem nie pokłonić się z jeszcze większym podziwem przed nią, od kiedy wiemy mniej więcej, kim jest i skąd się wzięła.

Owszem, w Neapolu się urodziła, ale wyjechała z niego do Rzymu w wieku trzech lat. I nie wyrosła z biedy. Jej ojciec był prokuratorem, matka – Golda z domu Petzenbaum – germanistką, autorką podręczników językowych, która w dialekcie neapolitańskim nie mówiła, a włoski kaleczyła do końca życia niemieckim akcentem. Urodziła się bowiem w Niemczech, jej ojciec był Żydem z Wadowic, który w latach 20. przeniósł się do Wormacji, by stamtąd uciec w latach 30. przed Hitlerem do Mediolanu. Wprowadzone w 1938 r. przez Mussoliniego ustawy rasowe sprawiły, że Petzenbaumowie, wciąż z polskim obywatelstwem, zostali zesłani do obozu internowania na głębokim południu Włoch, co zapewne ocaliło im życie, ponieważ już w 1943 r. tamte okolice wyzwolili Amerykanie. Golda tymczasem została wysłana na wszelki wypadek do Szwajcarii, gdzie doczekała końca wojny.

Mniejsza zresztą o te żydowskie (a pośrednio polskie, przez miejsce pochodzenia dziadka) ślady rodzinne Anity Rai – to tylko ciekawe tło dla tego, co nas tutaj szczególnie obchodzi. Raja, obudowując pustą postać Eleny Ferrante (zanim zaczęła o sobie „opowiadać" szerzej w wywiadach, pobrzmiewał w pseudonimie tylko fonetyczny hołd dla Elsy Morante) neapolitańskimi, plebejskimi atrybutami, pozwoliła swoim postaciom ukształtować siebie jako autorkę. Udzieliły jej trochę swojego biednego życia, tak jak ona udzieliła im swojego, deklarowanego raz po raz w wywiadach poczucia, iż kobieta istnieje tylko poprzez swoją niespójność i, jak to mówiła Lila, rozkonturowanie.

W tym sensie nie jest to tylko prosta mistyfikacja zastosowana dla zabawy, zmyślenie dla uwiarygodnienia siebie przed żądnymi „biografizmu" mediami, tylko gest, na który sama naprowadza, cytując bliskiego sobie Itala Calvina: „W jakim stopniu »ja«, który nadaję formę postaciom, to w rzeczywistości »ja«, któremu to moje postaci nadały formę?".

Nie byłoby więc „Genialnej przyjaciółki", gdyby Anita Raja nie przeobraziła się w Elenę Ferrante z całą jej stopniowo dopisywaną historią. Nie tylko poszukiwanie świętego spokoju, ucieczka przed stylistkami urządzającymi sesje dla mediów, ale także decyzja, żeby samej przechodząc w stan chwiejny, niepoddający się męskiemu podziałowi na to, co „prawdziwe", a co „zmyślone", wyrazić istotnie kobiecą formę istnienia, stworzyć literaturę kobiecą, która nie próbuje w niczym dorównać czy naśladować tę pisaną przez mężczyzn: „Jesteśmy w połowie przeprawy przez rzekę. Wahamy się między dobrze zakorzenionym spełnianiem męskich oczekiwań a nowym kobiecym sposobem wyrazu. Jesteśmy wolne i waleczne, ale godzimy się, by nasza potrzeba realizacji w tej czy innej dziedzinie została zatwierdzona przez mężczyzn dysponujących autorytetem, którzy nas dokooptują, gdy uznają, że dość dobrze przyswoiłyśmy sobie męską tradycję, jeśli umiemy ją przetwarzać bez całej tej chwiejności i kobiecego zawracania głowy".

Od momentu, kiedy Elena Ferrante zaczęła w sposób totalny zawracać głowę, możemy być pewni feministycznego przełomu w literaturze. „Dopiero kiedy mężczyzna uzna publicznie swój dług wobec dzieła stworzonego przez kobietę bez tej pobłażliwości typowej dla kogoś, kto uważa, że jest o parę szczebli wyżej, to rzeczy zaczną ulegać zmianie".

Co niniejszym, publicznie, czynię. Mam tylko nadzieję, że tamten nieszanujący prywatności dziennikarski sęp dostał do wglądu właściwe kwity z banku, bo jeśli jednak napisał to wszystko mężczyzna?

©℗ PAWEŁ BRAVO

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA, autorka tekstu o karze śmierci w USA (s. 99), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 24 kwietnia o godz. 15.40

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

MAŁGORZATA FUGIEL-KUŹMIŃSKA



Peter Brook w teatrze Bouffes du Nord w Paryżu podczas prób do spektaklu „Więzień", luty 2018 r.

Z celi

DARIUSZ KOSIŃSKI

Peter Brook wiele razy w swojej karierze przesuwał granice sztuki. I znów stanął na krańcach tego, co w teatrze możliwe. Tym razem atakuje go przez ubóstwo tak radykalne, że niemal wpychające teatr w nicość.

Gdyby zapytać, jaki artysta może stanowić uosobienie historii sztuki teatralnej XX wieku, jednym z najbardziej oczywistych kandydatów byłby Peter Brook. Urodzony w 1925 r., zadebiutował jako reżyser w wieku niespełna 19 lat. Miał lat 21, gdy związał się z Shakespeare Memorial Theatre (w 1961 r. przekształconym w Royal Shakespeare Company), rozpoczynając serię inscenizacji Szekspirowskich, które przeszły do legendy: „Miarka za miarkę" z Johnem Gielgudem (1950), „Tytus Andronikus" z Laurence'em Olivierem i Vivien Leigh (1955), „Hamlet" z Paulem Scofieldem (1955) i najsłynniejszy – „Król Lear" (1962) ponownie ze Scofieldem w roli tytułowej.

Przed trzydziestką stał się jednym z najważniejszych europejskich inscenizatorów. Nie wystarczyło mu to. W latach 60. rozpoczął eksperymenty skupione przede wszystkim na pracy z aktorami. W 1962 r. zapowiedział rewolucję kontrkulturową kolejnym swym legendarnym przedstawieniem – insceniacją sztuki „Marat/Sade" Petera Weissa. Wkrótce potem, dzięki jednemu ze swoich współpracowników, dowiedział się, że istnieje w Polsce dziwny mały teatr, który dodał do swojej nazwy słowo „laboratorium" i pracuje w takim duchu, jakiego sam wtedy poszukiwał. Szukając środków dotarcia do głębi procesu aktorskiego, Brook zaprosił Jerzego Grotowskiego i Ryszarda Cieślaka na serię warsztatów do RSC, gdy pracował nad antywojennym spektaklem „US" (1966).

Odtąd był wiernym sojusznikiem i artystycznym przyjacielem Grotowskiego.

W 1971 r. Brook zdecydował się na śmiały krok: opuścił Wielką Brytanię i założył w Paryżu Międzynarodowy Ośrodek Poszukiwań Teatralnych, który od 1974 r. działa w odbudowanym teatrze Bouffes du Nord jako Międzynarodowy Ośrodek Twórczości Teatralnej. W latach 70. jego artystyczne poszukiwania interkulturowe przykuwały powszechną uwagę całego teatralnego świata.

Odwołując się do różnorodnych (w tym zwłaszcza pozaeuropejskich) tradycji, Brook poszukiwał sposobów dotarcia i umożliwienia doświadczenia tego, co

poza kulturami, co wspólne wszystkim istotom ludzkim. Wiele wtedy podróżował, podejmując także głośną i kontrowersyjną wyprawę do Afryki, w czasie której sprawdzał niejako możliwość ponadkulturowego porozumienia przy pomocy teatru. Syntezą tych poszukiwań było wielogodzinne przedstawienie według „Mahabharaty", nad którym pracował wraz z poetą Jean-Claudem Carrière'em przez kilkanaście lat, by ostatecznie wystawić je w roku 1985 r., pokazywać potem na wielkich festiwalach i wreszcie sfilmować (1989).

Tymczasem świat się zmieniał: rzekoma rewolucja została przejedzona, interkulturowość zastąpił postkolonializm odrzucający prawo białych uprzywilejowanych ludzi do decydowania o tym, jakie elementy innych kultur można uznać za „uniwersalne", a teatr rozwiódł się z antropologią i metafizyką. Brook odnosił wciąż sukcesy („Hamlet", 2000), ale stopniowo usuwał się w nieuchronny cień.

Teatr esencji

W tym cieniu stary mistrz, który już nikomu niczego nie musiał udowadniać, mógł skupić się na tym, co było dla niego od lat inspiracją, a co przez długi czas stanowiło niemal wyłącznie jego osobistą ścieżkę rozwoju: myśli i praktyce wyrastającej z nauk Georgija Iwanowicza Gurdżijewa.

Ten ormiański nauczyciel duchowy, teozof i mistyk, wywarł swoimi pismami i praktykami ogromny, choć ukryty wpływ na sztukę drugiej połowy XX wieku, w tym zwłaszcza na teatr. Nie tu miejsce, by choćby w skrócie omawiać jego skomplikowane nauczanie (zainteresowani mogą sięgnąć po przełożone na polski książki). Ryzykując więc daleko posunięte uproszczenie powiem tylko, że z perspektywy teatralnej inspiracje Gurdżijewowskie dostrzec można w dwóch głównie nurtach: działaniach, które na różne sposoby dążą do zerwania z potęgującym się do szaleństwa, a według jego nauk całkowicie złudnym spektaklem świata, oraz w podejmowaniu praktyk wykorzystujących działania performatywne (w twórczości Gurdżijewa był to taniec) jako narzędzia umożliwiające dotarcie do „esencji", całkowicie odmiennej od widowiskowej egzystencji. Celem tych działań jest stworzenie sztuki „obiektywnej", niepodlegającej względności i relacyjności właściwej historycznej rzeczywistości ludzkiej.

Według biografów Brook poznał nauczanie Gurdżijewa już pod koniec lat 40., ale głębiej zainteresował się nimi i wprowadził w swoje działanie w latach 70. Grzegorz Ziółkowski w znakomitej książce „Teatr bezpośredni Petera Brooka" (2000) twierdzi, że przeniesienie się artysty do Paryża związane było z jego zbliżeniem do kręgu kontynuatorów ormiańskiego guru. Inspiracje te Brook ujawnił w zrealizowanej w 1979 r. filmowej adaptacji książki Gurdżijewa „Spotkania z niezwykłymi ludźmi", ale o swoim silnym związku z tą tradycją zaczął mówić otwarcie dopiero na początku lat 90. Wtedy też jego określenie „sztuka jako wehikuł" nabrało dodatkowych znaczeń i mogło być w sposób oczywisty odniesione do samego Brooka, który coraz wyraźniej rezygnując z inscenizacyjnego mistrzostwa, tworzył kolejne, wręcz demonstracyjnie pozbawione widowiskowej atrakcyjności przedstawienia.

Dobitnym przykładem wykorzystania sztuki jako narzędzia budowania pogłębionej świadomości było przedstawienie „Tierno Bokar" według Amadou Hampâté Bâ, w adaptacji stale współpracującej z Brookiem w ostatnich latach Marie-Hélène Estienne (2004). Pokazano je w Polsce rok później, gdy Brook przyjechał, by odebrać doktorat *honoris causa* przyznany mu przez Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pamiętam, jak niezwykłe wydało mi się wtedy to przedstawienie o życiu malijskiego sufi przeciwstawiającego się nietolerancji i agresji. Było pełne światła i spokoju, skupienia i ciepła. Na scenie nie działo się właściwie nic, aktorzy rozmawiali o życiu wewnętrznym i wyborach etycznych, a poszczególne sceny ujęte były w ramy prostej narracji. Nic z teatru okrucieństwa, żadnego rytualizmu – prostota i oszczędność, wskazujące na coś o wiele ważniejszego niż wszystko, co można by powiedzieć i pokazać.

Czekając

Pokazywane w Polsce po raz pierwszy na towarzyszącym Warszawskim Spotkaniom Teatralnym przeglądzie „Grotowski. Fest" ostatnie przedstawienie Brooka i Estienne idzie w tym odrzuceniu widowiska jeszcze dalej. Grupa aktorów bez silenia się na jakiekolwiek efekty opowiada i przedstawia na niemal pustej scenie historię, którą Brook miał dawno temu usłyszeć w Afganistanie. Młody mężczyzna Mavuso zabija ojca, którego przyłapał na kazirodczym akcie z ukochaną siostrą. Zostaje napiętnowany i skazany na więzienie. Jednak za sprawą jego wuja, mędrca Ezechiela, kara zostaje zamieniona w taki sposób, że Mavuso ma siedzieć samotnie na pustyni naprzeciwko więzienia. Nikt go nie pilnuje, więc może w każdej chwili odejść, do czego namawiają go i kuszą kolejne osoby. Im wszystkim Mavuso odpowiada, że siedzi patrząc na więzienie, żeby „naprawić". Czeka.

Jego historia wcale nie jest prosta i ma w sobie wiele elementów potencjalnie niezwykle dramatycznych. Punkt wyjścia przypomina wszak tragedię grecką z głównym bohaterem jako Edypem i Orestesem jednocześnie. Z kolei punkt dojścia to nic innego jak wariant „Czekając na Godota". W historii Mavuso jest więc poniekąd zamknięta cała historia europejskiego teatru. Zamknięta i unieważniona. Brook konsekwetnie wycisza bowiem dramatyzm, stosując skrajnie uproszczoną formę prezentacji – teatr odarty z teatru tak radykalnie, że na sali Teatru Dramatycznego wisiało ciężkie rozczarowanie pomieszane z irytacją.

„Więźniowi" bardzo łatwo postawić masę zarzutów. Gdyby nie sygnował go Peter Brook, lecz jakiś nikomu nieznany młody twórca, udałoby się go pokazać może dwa lub trzy razy w domu kultury i może raz na lokalnym festiwalu offowym, gdzie zresztą nie zdobyłby wielkiego uznania. Jeśli festiwal miałby zwyczajowe dyskusje z publicznością, zapewne twórcy usłyszeliby dość ostre słowa krytyki za powolne tempo, naiwnie ilustracyjne zabiegi reżyserskie, amatorskie granie frontem do widza. Wprawdzie towarzystwo offowe dobrze zrozumiałoby ubóstwo scenografii, ale ktoś mógłby zwrócić uwagę, że jeśli ma się kilkoro aktorów, to nie wychodzi się na ogromną scenę, której nie da się zapełnić, rozkładając parę suchych konarów i fragmentów pni.

Bardziej wyrafinowani i wymagający widzowie, zwłaszcza akademiccy, z pewnością mogliby po obejrzeniu „Więźnia" oskarżać twórców o antropologiczne fantazje na temat „głębokich prawd" zachowanych w „antycznych kulturach", które trwają przy tradycji, bo nie dopuszczamy ich do różnych niszczących „autentyczność" dóbr ekonomicznych i kuturowych. Ba – pojawić by się nawet mogły oskarżenia o kolonializm w wytwarzaniu niebiałego świata, który wydaje się istnieć tylko po to, by „szukającemu siebie" Europejczykowi przekazać „odwieczne prawdy". ↦

LIONEL BONAVENTURE / AFP / EAST NEWS

↦ Trudno się więc dziwić, że po pierwszym warszawskim pokazie na korytarzach i w foyer panowała konsternacja. Niektórzy nie kryli irytacji, wyrzekając, że to bezczelne nabijanie widzów w butelkę wielkiego nazwiska i dawnego dorobku. Na jakimś poziomie ich rozumiem, bo przecież obiecywano im niezwykłość, a dostali coś, co wydaje się zwykłe, proste i nieefektowne. To nie jest teatr esencji w takim rozumieniu, że jego minimalizm wyraźnie wskazuje na „głębię", że jest „mistycznie kontemplacyjny". Wcale nie, a jeśli ktoś go tak zobaczył, to – obawiam się – uległ projekcji napędzanej własnym pragnieniem. „Więzień" jest do bólu i znużenia pozbawiony wszystkiego, co mogłoby „zachwycać", łącznie z „aktem aktorskim", który patron „Festu" Jerzy Grotowski ocalał jako ostatni bastion i ratunek dla teatru. Brook i z tego ogałaca scenę, sprawiając, że jest całkiem naga. Pozbawiona wszelkich ozdób aktorskiego, reżyserskiego, scenograficznego czy muzycznego popisu – staje się miejscem ciszy i pustki wskazującym na „nie to".

Oczywiście, że Brook mógł sobie pozwolić na taki radykalizm tylko dlatego, że jest starym mistrzem uosabiającym przemiany teatru europejskiego XX wieku. Gdybyśmy nie wiedzieli, jak wspaniały teatr potrafi stworzyć, zapewne uznalibyśmy, że ubóstwo „Więźnia" to wynik niedostatku talentu, umiejętności, sił i środków. Ale ponieważ to wiemy, to ów antyspektakl może być zagadką i prowokacją skierowaną przeciwko nam. Bo przecież to naprzeciwko nas siedzi Mavuso, wpatrujący się w więzienie i obserwowany przez więźniów. Gdy spektakl się kończy, pozostajemy tylko my, wychodzący z irytacją, wymieniający uwagi, plotkujący o ostatnich zagranicach ministra, witający znajomych, żegnający znajomych, siadający w kawiarni Kulturalna, jadący samochodami, metrem, tramwajem na Wolę... I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Spektakl **WIĘZIEŃ** *w reżyserii Petera Brooka będzie można jeszcze zobaczyć 25-27 kwietnia w Instytucie Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu.*

Persona zabójcy

ANITA PIOTROWSKA

Obsadzić młodzieżowego gwiazdora spod szyldu Disneya w roli jednego z najbardziej zwyrodniałych seryjnych morderców – to zaiste perwersja.



BRIAN DOUGLAS / BEST FILM

Zac Efron, idol nastolatek zapatrzonych w serię „High School Musical", skończył już trzydziestkę i próbuje sił nie tylko w rolach słodziaków. Jednak jego powierzchowność żigola i aura niewinności dodają pikantnego komentarza do historii o Tedzie Bundym przypomnianej przez Joego Berlingera.

W filmie „Podły, okrutny, zły" próżno szukać rewelacji na temat zbrodniarza, który jeszcze za życia był gwiazdą kultury masowej, a od czasu egzekucji w 1989 r. stał się bohaterem kilku filmów. Na Netfliksie można obejrzeć czteroczęściowy serial dokumentalny tego samego reżysera pt. „Rozmowy z mordercą: Taśmy Teda Bundy'ego", gdzie Berlinger wykorzystał autentyczne wywiady z celi śmierci. Dlatego lepiej pewnie byłoby odwrócić kolejność i najpierw wypuścić/obejrzeć film fabularny, a dopiero potem dokument – w charakterze uzupełnienia. „Podły..." prowadzi zresztą pewną grę ze swym widzem i dobrze byłoby nie wiedzieć zawczasu zbyt wiele. Ci, którym nie uda się „odzobaczyć" dokumentu z Netfliksa, mogą poczuć się zawiedzeni szczupłością i powtarzalnością informacji o bohaterze. Można za to spojrzeć na oba tytuły pod kątem analizy porównawczej innej niż faktograficzna: w jaki sposób jeden twórca za pomocą dwóch zupełnie różnych mediów traktuje materię *non-fiction*.

„Niewielu wystarcza wyobraźni, by pojąć rzeczywistość" – tym razem Berlinger uderza z samej góry, bo mottem z Goethego. Staje się ono równocześnie puentą filmu, albowiem i tym razem nie znajdziemy kompletnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego przystojny i bystry student prawa zamordował ze szczególnym okrucieństwem co najmniej 30 dziewcząt i kobiet. W dokumencie nacisk położony został na kontekst psychologiczno-społeczny: jak to możliwe, że przez tyle lat psychopatyczny oprawca bawił się z amerykańskimi organami ścigania w kotka i myszkę? Nie trzeba dodawać, jak bardzo analiza fenomenu Bundy'ego wpłynęła na stan świadomości dotyczącej seryjnych morderców.

Lecz choć w przywołanym dokumencie udało się z grubsza sprofilować zabójcę z Seattle oraz klimat epoki, w której działał – jego aktywność przestępczą w latach 70. i obecność medialną w latach 80. – film pozostawiał nas z mieszaniną niedowierzenia, rozbawienia i grozy. „Podły, okrutny, zły" spowija tę historię w kolejne zasłony, jako że scenariusz Michaela Werwie powstał na podstawie opublikowanych wspomnień wieloletniej partnerki życiowej mordercy, Elizabeth Kloepfer (gra ją Lily Collins), która niemal do końca wierzyła w jego niewinność. A przynajmniej bardzo chciała wierzyć, że największą winą Teda było niezatrzymanie się przed znakiem stop.

Przesunięcie akcentów i spojrzenie na Bundy'ego z perspektywy obcującej z nim



Zac Efron jako Ted Bundy w filmie „Podły, okrutny, zły”

na co dzień kobiety niosło obietnicę nowego spojrzenia na ten przypadek. Miłosne zaślepienie Liz obnaża bowiem mechanizm uwiedzenia, któremu poddawały się zarówno bezpośrednie ofiary „bestii”, jak i funkcjonariusze prawa czy widzowie procesu na Florydzie, którego transmisja stała się kamieniem milowym w dziejach telewizji. Już na początku filmu, kiedy Ted wiąże się z samotną matką, a urocze domowe wideo z pieczeniem ciasteczek przeplata się z newsami na temat zbrodni, mamy wiedzieć mniej więcej tyle, ile mogła wiedzieć wówczas Liz. Z tego też powodu „Podły...” nie inscenizuje poszczególnych zabójstw, co pozbawia widza całej podglądackiej przyjemności, jakiej zwykle dostarczają filmy o seryjnych mordercach, ale i osłabia pewność, że to w istocie „ten” Bundy.

Na tym polega dziwaczny eksperyment Berlingera: jakkolwiek absurdalnie brzmiałyby zapewnienia Bundy’ego o swojej niewinności, postaram się sprawić, że na chwilę w nią uwierzycie. Że Ted uwiedzie również was. Ów zabieg udaje się w filmie głównie dzięki roli Efrona. I na tym polega też dwuznaczność tej kreacji, bo przecież otaczający aktora celebrycki nimb służy temu, by lepiej zrozumieć niebezpieczną charyzmę Teda i jego wpływ na innych. A tymczasem mimowolnie zaciskamy kciuki w scenie brawurowej ucieczki z sądu w Aspen, poprzedzonej piosenką „O Lucky Man!”, czy w najciekawszej sekwencji procesowej, kiedy to Bundy rezygnuje z udziału obrońców i odstawia *show* na oczach kamer, próbując bronić się sam.

Ów paradoks identyfikacji, podobnie jak wspomniane już zapośredniczenie czy wyprowadzenie morderstw poza kadr, przyczyniają się do całkiem świadomego „wykastrowania” filmu. Berlinger, uchodzący za mistrza gatunku, jakim jest telewizyjny dokument kryminalny, znacznie mniej dowierza fabule i najwyraźniej obawia się uromantycznienia historii Bundy’ego. Stąd tak usilnie dba o nasze poczucie sprawiedliwości, w finale dołączając nawet listę zidentyfikowanych ofiar mordercy. W wywiadach przekonuje zaś, że interesował go właśnie ich punkt widzenia, na przekór współczesnej kulturze, która ze zbrodni uczyniła rozrywkę, a ze zbrodniarzy bohaterów zbiorowej wyobraźni. Ten dydaktyczny ton przebija także z odtworzonej na ekranie mowy końcowej sędziego Cowarta (John Malkovich), z której zaczerpnięto tytuł filmu.

Z drugiej strony, to właśnie stanowiąca punkt wyjścia „romantyczna” relacja Teda i Liz, czyli dwojga okłamujących się nawzajem bliskich nieznajomych, z finałowym pytaniem o prawdę, która ma moc wyzwolenia, lecz jednocześnie coś bezpowrotnie odbiera, mogła być najbardziej zajmującym aspektem „Podłego...”. Tymczasem dostarcza ona jedynie melodramatycznej klamry, która obejmuje fabularyzowaną rekonstrukcję zdarzeń. Ich głównym bohaterem jest nie tyle Ted Bundy, co persona utrwalona w oczach postronnych, będąca jednocześnie zwierciadłem dla rozmaitych chorób naszych czasów. ©

PODŁY, OKRUTNY, ZŁY *(Extremely Wicked, Shockingly Evil and Vile)* *– reż. Joe Berlinger. Prod. USA 2019. Dystryb. Best Film. W kinach od 10 maja.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [27 IV – 10 V]

1. Czarnobyl



Miniserial, reż. Johan Renck, USA/Wielka Brytania 2019, HBO GO, od 7 V, HBO, odc. 1, 7 V, 21.10, HBO 3, 7 V, 22.00, 9 V, 00.15, 10 V, 18.00

33 lata po wybuchu reaktora w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej powstała fabularyzowana wersja zdarzeń. Kręcona na Litwie pięcioodcinkowa produkcja opowiada o tym, jak naukowcy, politycy i zwykli ludzie zmagali się z następstwami katastrofy. Występują m. in. Jared Harris, Stellan Skarsgård i Emily Watson.

2. Nasza planeta



Serial przyrodniczy, reż. Alastair Fothergill, Wielka Brytania 2019, odc. 1-8, Netflix

David Attenborough raz jeszcze oprowadza widzów po najbardziej niesamowitych zakątkach świata, zdumiewając się jego naturalnym bogactwem i harmonią. Przed nami imponujące widowisko, w którym raz po raz słychać dzwon na trwogę. Wiele spośród tych cudów natury skazanych jest na wyginięcie i w dużej mierze od nas zależy, czy i kiedy to nastąpi.

3. Moja córka



Dramat, reż. Laura Bispuri, Niemcy/Szwajcaria/ /Włochy 2018, Cinemax 2, 27 IV, 20.30, 28 IV, 10.30, 1 V, 20.30, 2 V, 10.50, 3 V, 22.15, 4 V, 10.50

W scenerii sardyńskiego lata rozgrywa się dramat pomiędzy dwiema matkami, biologiczną i adopcyjną, oraz ich dziesięcioletnią córką. Charyzmatyczna Alba Rohrwacher wciela się w postać „czarnej owcy”, która po latach próbuje nawiązać kontakt z dzieckiem, oddanym na wychowanie innej kobiecie. Teraz muszą stoczyć walkę o najwyższą stawkę.

4. Ruchome piaski



Serial, reż. Per-Olav Sørensen, Lisa Farzaneh, Szwecja 2019, odc. 1-6, Netflix

Dziewczyna ocalała ze szkolnej masakry w zamożnej dzielnicy Sztokholmu zostaje oskarżona o współudział w zbrodni. Retrospekcje rzucają coraz więcej światła na to, co się wydarzyło, a zarazem odsłaniają ciemne strony życia uprzywilejowanej części szwedzkiego społeczeństwa.

JAN

Klata:
Gore!



Reakcja nadwiślańskich tytanów Twittera na pożar Naszej Pani w Paryżu była równie porażająca jak sam pożar. Widzieli spadającą iglicę, myśleli o rosnących słupkach. „Jak to się przełoży?", „Czy zmobilizuje?". Katastrofa.

Płonąca katedra w sercu najstarszej córy Kościoła musi, ale to musi się wpisywać w narrację: ostaliśmy się jeno my. Ostatni sprawiedliwi, sami swoi, wszak kościół Mariacki nie płonie, więc coś musi być na rzeczy. Dlaczego tam płonie, a u nas nie? Bo jesteśmy mądrzy przed szkodą, i oparliśmy się galopującej laicyzacji, no i nie ma innych, czyli terrorystów. Przecież wiadomo, kto podpalił, ale francuskie państwo jest w takim stanie jak płonąca iglica (plus piąta kolumna), więc ze względu na samobójczą polityczną poprawność nikt ze zdegenerowanego Zachodu nie powie głośno, kto za tym stoi w turbanie, jaki jeden z drugim pohaniec. Śledztwo laickiego państwa będzie wieść na manowce, ale my w Lechistanie znamy przyczynę i jest nią multi-kulti, które nie działa.

Multi-kulti, które nie działa, za to na miejsce Notre Dame zbuduje meczet, oczywiście, a w owym meczecie będą ostrzyć zęby na Polskę – jak zawsze. Kiedyś przedmurze, teraz zamurze, ale przeciwnik ten sam. Francja upada, Zachód upada samobójczo, gdyż odwrócił się od korzeni, i nie ma tam już ludzi, którzy bez ogródek na Twitterze i Fejsbuniu w trybie instant, ale forever, napiszą, jak jest. A u nas takich ludzi jest dużo, odważnych w oblężonej twierdzy.

Żarty na bok, słupki precz, jak podejść konstruktywnie do katastrofy pełnej kontekstów? Ludzie dostali lekcję: „Nie cenisz, dopóki nie stracisz". Budowanie katedry nigdy się nie kończy. ©

Lektor:
Bardzo Ważna Osoba



▪ **CZESŁAW MIŁOSZ, JAN BŁOŃSKI, LISTY 1958–1997**
Zebrał, przepisał i opatrzył przypisami Adam Puchejda. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2019, ss. 352.

W liście otwierającym tę korespondencję Jan Błoński prosi Czesława Miłosza, by ten... nie pisał do niego listów. Brzmi dziwacznie? Dobrze, bądźmy dokładniejsi. „Ludwik [Flaszen] i ja – pisze Błoński – chcielibyśmy prosić, żeby Pan przerwał tymczasem kontakty ze mną tutaj". Jest październik roku 1958, Błoński pisze z Krakowa, a odwilż Października '56 (kiedy mówiło się nawet o legalnym rozpowszechnianiu paryskiej „Kultury" w kraju) należy do przeszłości. Miłosz – emigrant polityczny i autor „Zniewolonego umysłu" – znów znalazł się na cenzorskim indeksie, za kontakty z „Kulturą" można stracić paszport (wkrótce też wolność), a – jak tłumaczy Błoński – „bardzo bym chciał jeszcze bywać w Paryżu, między innymi dlatego, żeby móc z Panami jasno i szczerze rozmawiać".

Potem interweniuje los, któremu zawdzięczamy tę książkę. Błoński obejmuje lektorat na Sorbonie, natomiast Miłosz, mieszkający wcześniej w Montgeron, wyjeżdża do Berkeley i tam zostaje. Więc znów potrzebne są listy, ale tym razem wolne od peerelowskiej cenzury. Zaczyna się korespondencyjna rozmowa między poetą a krytykiem. Znajdziemy w niej wyznania niemal miłosne (Błoński: „cieszyłem się jak mój młodszy syn, kiedy dostanie list od kolegi z Polski: bo to i z Kalifornii, z daleka, i od Ciebie przede wszystkim, a wiesz, jaka Ty jesteś dla mnie Bardzo Ważna Osoba"). Te listy mówią być może więcej niż publikowane wówczas teksty Błońskiego. A rozmowa, choć prowadzona ze sporymi czasem przerwami, staje się (zwłaszcza w latach 60. i 70.) dialogiem dotyczącym spraw istotnych: sensu pracy obu rozmówców, stanu współczesnej kultury, perspektyw dla Polski. Błoński uświadamia Miłoszowi, który miał wciąż poczucie braku rozumiejących czytelników, jak ważne jest jego pisarstwo i jak – mimo wszystkich trudności – oddziałuje w kraju. A Miłosz – jak we wspaniałym liście z 3 kwietnia 1963 r. – zdobywa się czasem na obszerne autokomentarze. I takie np. na poły ironiczne wyznania, jak to z maja 1980 r., po spotkaniu z Jerzym Turowiczem: „Tak naprawdę to myślę, że dobra droga życia to byłoby dla mnie wytrwać i pisać do »Tygodnika Powszechnego« i w ogóle trzymać się Kościoła i nie emigrować. Ale gdzie tam poecie było do kościelnej kruchty"... A na koniec wypada pochwalić solidne przypisy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

PAWEŁ

Bravo: *Kwasu, kwasu na upał nam trzeba*



Milion, dwa miliony... – któż rzetelnie policzy i sklasyfikuje Ukrainki i Ukraińców, którzy wypełniają lukę na naszym rynku pracy? Swoją drogą, czy przy tej skali – a niewątpliwie mamy do czynienia z liczbami siedmiocyfrowymi – można dalej mówić o łataniu braków, jakby to był tylko plasterek przyklejony na drobną rankę?

Zimny język technokratów, dla których nie ma ludzi, jest tylko „siła robocza", pozwala nam pozostawać w nieświadomości zasadniczej odmiany w ogólnym obrazie Polski jako domu Polaków. Odmiany co prawda pełzającej – tu znów pułapka podstępnych skojarzeń słownych, bo pełzają przecież gady i inne nieprzyjemne zwierzęce paskudy, powiedzmy zatem neutralnie: postępującej drobnymi krokami. Odmiany pod wieloma względami bezszelestnej, co najwyżej śpiewnej, kiedy szybko asymilujący się językowo bracia rusińscy wypełniają naszą przestrzeń codziennych kontaktów w sklepie miękkością swojego „ł" i przyjemnym dla ucha zaciąganiem niektórych sylab. Lecz przez tę stopniowość i śpiewność wcale nie mniej istotnej dla naszej tożsamości, wychylonej na Zachód, co skazuje nas – jak pisze Renata Lis w świetnym szkicu na łamach „Pisma" – na „piekło splecionych ze sobą kompleksów wyższości (wobec zacofanego biednego i wciąż deptanego przez historię Wschodu) oraz niższości (wobec bardziej cywilizowanego Zachodu)". Czy zatem możemy, jak postuluje autorka, odwołując się przy tym do słusznych, zapomnianych diagnoz Marii Janion, opowiedzieć siebie na nowo – tym razem jako część kultury słowiańskiej?

Słabo się znam na milionach. Dziesięć deko, dwie czubate łyżki, pół szklanki – to są dla mnie zrozumiałe miary. Skalę i potencjał odmiany odczytuję nie z tabelek ekspertów, lecz na poziomie ulicy – kiedy oto na drzwiach przyjemnej „włoskiej" lodziarni w śląskim mieście albo monopolu z wódczanymi małpkami na rogu krakowskiej ulicy widzę ogłoszenia o pracy tylko po ukraińsku. Bo po co marnować kartkę, żeby pisać to samo po polsku: że szukają do ciężkiej roboty, pół zlecenia na papierze, drugie pół pod stołem?

Patrzę czasem w oczy takiej dziewczynie przy kasie albo chłopakowi, który pcha przez wagon wózek zachęcając mnie do nabycia „prynce poło" i myślę: co przywieźliście w słoikach? Czy szybko się dostosujecie do naszej peryferyjnej formy zachodniości i burger wasz powszedni będzie wehikułem asymilacji? Czy może wymusicie na rynku, żeby przyjął do siebie trochę produktów i pomysłów, które wyciągną nasze wschodnie, czysto fantomowe tęsknoty z grajdołka „kresowości", kulawych rekonstrukcji podlanych nieraz śmierdzącym sosem rewizjonizmu – takim samym, jakim tchnęły owe ziomkostwa Hupki i Czai w Niemczech, którymi straszono dzieci za Gomułki?

Czy jeśli jest już was tu naprawdę milion, a może i dwa, to wreszcie będę mógł kupić kiszone pomidory w normalnym spożywczym, a nie tylko w nielicznych specjalnych sklepikach albo na stoisku mojej ulubionej restauracji ukraińskiej na Kleparzu? Gdyby Wasowski i Przybora mieli je pod ręką, nie musieliby śpiewać swojego „Addio"! Albo taka *riażenka*, produkt fermentacji mleka, które wcześniej zostało lekko skarmelizowane przez długie podgrzewanie? I wreszcie się zacznie lać rzeką dobry kwas chlebowy, zrobi się na niego moda tak jak na rzemieślnicze cydry i będzie dostępny także w wersjach niekoniecznie przemysłowych, zamulonych sorbinianem? Jeśli jest coś takiego jak genetyczny profil pragnienia i łaknienia, to z pewnością nasza słowiańska fizys potrzebuje na upał kwasu, nie prosecco z aperolem. Największa sieć dyskontów urządziła niedawno nawet „tydzień ukraiński" i może to jest jaskółka przemian, bo właśnie o to chodzi, żeby żywioły spożywcze zaczęły się mieszać na półkach sklepu za rogiem, a nie w okazjonalnym poszukiwaniu egzotyki.

W przedświątecznej gorączce zrzuciłem na moment fartuch, oblizałem ręce upaprane kajmakiem i pobiegłem posłuchać Pawła Kowala opowiadającego o polityce wschodniej początków III RP. O nędzy współczesnej polskiej polityki świadczy dobitnie fakt, że takiego człowieka zepchnięto na jej margines, choć byłby znakomitym szefem dyplomacji albo ministrem w gabinecie cieni. Mam nadzieję, że kiedyś tak się stanie, tymczasem Kowal zajął się pracą badawczą, z czego powstała właśnie książka „Testament Prometeusza". Zaiste, testament – odeszły te czasy, kiedy w Paryżu wychodziła „Kultura", a prometeizm stanowił oś postulowanej relacji wobec Ukrainy, Litwy i Białorusi. Dziś wypada porzucić takie ambicje i pychę. Zamiast nieść ogień wolności jak Prometeusz, bądźmy jak Amfitrion. Zapraszajmy ich do siebie z całym dobytkiem i siadajmy razem do stołu. Panie Pawle, ideę amfitrionizmu oddam za darmo w dobre ręce. ©℗



ADOBE STOCK

Z kuchnią obecnej Ukrainy bywa tak, że czasem trudno ustalić, czy pewne potrawy (np. barszcz) są jeszcze „ich", czy już „nasze". Ale lubię niekiedy sięgać po tamtejsze proste pomysły na sałatki, dość oczywiste i z prostych składników, ale jednak rzadko tu praktykowane. Tzw. winegret to nasza poczciwa sałatka warzywna, tyle że bez majonezu i jajek, za to z buraczkiem (dużo!) i drobną fasolą, podlana, jak nazwa wskazuje, dobrym octem. A wschodnią skłonność do ostrych, kiczowatych zestawień najlepiej uobecnia szuba, czyli pewna odmiana śledzia pod pierzynką. Ugotowane ziemniaki i buraki (w łupinach) tudzież marchew w równych proporcjach trzemy osobno na grubej tarce, solimy, doprawiamy pieprzem. Parzymy drobno posiekaną cebulę. W szklanej misce (koniecznie, to musi być feeria dla oczu) układamy warstwę pokrojonych drobno matjasów, cebulę, ziemniaki, buraki, na to grubo majonez, potem znów to samo i przykrywamy znów majonezem. Odkładamy do lodówki na tak długo, żeby majonez podbarwił się na różowo. Na wydaniu dla większego efektu możemy posypać posiekanym drobno ugotowanym żółtkiem.

KTO BOGATEMU ZABRONI?

W pięćsetną rocznicę śmierci Leonarda da Vinci warto to sobie powiedzieć: był bardziej naukowcem i inżynierem niż malarzem. I nie zmieni tego fakt, że nawet jego domniemane autorstwo winduje cenę obrazu do pół miliarda dolarów.

MAGDALENA ŁANUSZKA

15 LISTOPADA 2017 R. NA AUKCJI W NOWYM JORKU PADŁ REkord: datowany na ok. 1500 r. obraz „Salvator Mundi", namalowany na desce o wymiarach 65,7 na 45,7 cm, sprzedany został za 450 312 500 dolarów. Wcześniej eksperci z domu aukcyjnego Christie's włożyli dużo wysiłku, by go wypromować. Określili go jako jedno z kilkunastu zachowanych dzieł Leonarda da Vinci (1452–1519). Taka atrybucja budzi jednak wątpliwości wielu historyków sztuki (co analizuje w serwisie ArtWatch.org.uk Michael Daley), choć – co ciekawe – wyrażają je oni głównie na blogach i w komentarzach dla prasy, niekoniecznie zaś w formie naukowych publikacji.

Rekordowa cena tego obrazu nie odzwierciedla jego rzeczywistej wartości. W marcu 2018 r. Ryan Parry i Josh Boswell ujawnili w serwisie Dailymail.com, że obraz kupił saudyjski książę Bader bin Abdullah, lecz uczynić to miał w imieniu księcia koronnego i następcy tronu Arabii Saudyjskiej, Mohammeda Bin Salmana. Tymczasem inny książę, Mohammed Bin Zayed, następca tronu emira Abu Dhabi (Abu Zabi), też wysłał własnego przedstawiciela na tę aukcję do Nowego Jorku. Obydwaj licytujący nie znali tożsamości swego przeciwnika i każdy obawiał się, że ten drugi pochodzi z Kataru – więc obaj podbijali cenę, byle tylko nie pozwolić wygrać konkurentowi. W efekcie obraz osiągnął zupełnie absurdalną kwotę, a nabywca, książę Mohammed Bin Salman, został oczywiście za ten zakup skrytykowany. Ostatecznie dzieło trafiło mimo wszystko do Abu Dhabi – wymieniono go ponoć za jacht, wart również około pół miliarda dolarów.

Kluczowe jest jednak pytanie: czy to w ogóle jest dzieło samego Leonarda da Vinci, czy raczej któregoś z jego uczniów? A może to praca zbiorowa, rozpoczęta przez mistrza i dokończona przez kogoś innego? I wreszcie, na ile na obecny wygląd tego obrazu wpłynęły kolejne jego renowacje?

Problematyczna historia

Na rynku sztuki jednym z kluczowych aspektów jest proweniencja dzieł – czyli ich historia. Im lepiej jest udokumentowana obecność przedmiotu w kolejnych kolekcjach na przestrzeni wieków, tym bardziej prawdopodobna jest jego autentyczność. Oczywiście często trudno jest ustalić proweniencję dzieła dawnego mistrza wcześniej niż do XIX wieku, ale w przypadku słynnych obrazów powinno się jednak dotrzeć do starszych zapisów. Patrząc na opis aukcji w Christie's możemy odnieść wrażenie, że w przypadku „Salvatora Mundi" proweniencja ustalona jest od samego początku; opis zaczyna się od stwierdzenia, że obraz mógł zostać zamówiony po roku 1500 przez króla Francji Ludwika XII i jego małżonkę, Annę Bretońską. Niestety, naprawdę są to tylko spekulacje, na które nie ma żadnych dowodów.

Co więc wiemy na pewno? Jedynie to, że w roku 1900 Sir Charles Robinson zakupił go do kolekcji Sir Francisa Cooka, wicehrabiego Monserrate. Dzieło uważano wówczas za pracę Bernardina Luiniego. Kolekcję Cooka obraz opuścił w 1958 r., gdy został sprzedany za 45 funtów (w tym czasie w Wielkiej Brytanii była to równowartość miesięcznych zarobków niewykwalifikowanego robotnika). Wedle informacji z aukcji w Christie's obraz trafił do prywatnej kolekcji w USA, której właścicielem był człowiek o nazwisku Kuntz.

W 2005 r. dzieło zakupił na aukcji w Louisianie nowojorski marszand Robert Simon. Nie wiadomo, kto właściwie był wtedy sprzedawcą. Robert Simon i jego kolega Alexander Parrish zainteresowali się renesansowym dziełem, które podobno sprzedało się za niecałe 10 tys. dolarów. Simon powiedział, że nie przypuszczał wówczas, iż obraz może okazać się pracą samego Leonarda da Vinci.

Po sprzedaży w 2005 r. „Salvator Mundi" trafił do renowacji – zajęła się nim konserwator Dianne Dwyer Modestini ↦



WIKIPEDIA

Sprzedany za 450 312 500 dolarów „Salvator Mundi", przypisywany Leonardowi da Vinci, ok. 1500 r.

↦ z New York University. W czasie kolejnych etapów renowacji, w latach 2008 oraz 2011, obraz był badany przez ekspertów z The National Gallery w Londynie. Efektem wieloletniej pracy, w ramach której konserwator nie tylko czyściła obraz, ale także go miejscami uzupełniała, było uznanie go za dzieło Leonarda da Vinci.

Od 9 listopada 2011 r. do 5 lutego 2012 r. „Salvator Mundi" eksponowany był na londyńskiej wystawie „Leonardo da Vinci: Painter of the Court of Milan". Potem nastąpił ciąg sprzedaży, w którym dzieło osiągnęło zupełnie niespodziewane ceny. Najpierw, w 2013 r., zakupił je szwajcarski marszand Yves Bouvier, za ok. 80 mln dolarów. W ciągu roku Bouvier odsprzedał obraz z niezłym zyskiem: kupcem był rosyjski miliarder Dmitry Rybolowlew, który zapłacił 127 mln dolarów. Ten zaś odsprzedał „Salvatora" za pośrednictwem domu aukcyjnego Christie's w Nowym Jorku w listopadzie 2017 r. Nowy nabywca, jak już wiemy, kupując ten obraz w sumie wydał ponad 450 mln dolarów.

Co ciekawe, zwrócono uwagę na to, że porównanie stanu obrazu z czasów wystawy w 2012 r. ze stanem obecnym wskazuje, iż od tamtego czasu miała miejsce jeszcze jedna renowacja. Wyraźnie zmienił się na przykład układ fałdów szat na ramieniu Chrystusa – w końcu okazało się, że przed wystawieniem dzieła w Christie's w 2017 r. Dianne Modestini dokonała poprawek swojej wcześniejszej konserwacji. Podobno tylko „usunęła cienie", które z niewiadomych przyczyn pojawiły się w czasie czyszczenia w latach 2005-11.

Leonardo potrafił porzucić niedokończone dzieło, kiedy uznał, że jego ciekawość badawcza została zaspokojona.

Proweniencyjne spekulacje

Skąd w ogóle informacja, że Leonardo da Vinci namalował taki obraz? Jest to oparte w zasadzie tylko na założeniu, że liczne wersje wiązane z jego uczniami musiały powstać na podstawie zaginionego Leonardowskiego prototypu. Frontalna kompozycja występuje w kilku kopiach, których autorstwo w większości przypadków jest niepewne, lecz datowane są one na pierwszą połowę czy też nawet na początki XVI wieku. Do takich obrazów należą m.in. dzieła dziś przechowywane w Museo Diocesano w Neapolu, w Detroit Institute of Arts czy też w Pałacu w Wilanowie [w grudniu br. mają zostać ogłoszone wyniki badań nad atrybucją tego obrazu – red.].

Trzeba przy tym pamiętać, że obrazy uczniów Leonarda często w przeszłości określano jako dzieła samego mistrza; stąd też w dawnych inwentarzach przewijają się wzmianki o „Chrystusie" autorstwa Leonarda da Vinci, ale nie możemy im całkowicie ufać. I tak katalog dzieł sprzedanych w 1651 r. z kolekcji króla Anglii Karola I notuje „*A peece of Christ done by Leonardo*" (Chrystus namalowany przez Leonarda), a inwentarz kolekcji królewskiej w Whitehall z 1666 r. zawiera zapis: „*Leonard De Vince O.r Savio.r w.th a gloabe in one hand & holding up y.e other*" (Zbawiciel autorstwa Leonarda da Vinci, z glo-



WIKIPEDIA

„Salvator Mundi" z Neapolu



AGNIESZKA INDYK / MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

„Salvator Mundi" z Wilanowa

bem w jednej dłoni i z drugą dłonią uniesioną). W 1650 r. Wenceslaus Hollar wykonał graficzną reprodukcję obrazu „Salvatora", opisując go jako dzieło Leonarda da Vinci. Nie są to jednak, wbrew pozorom, twarde dowody: grafika Hollara może być reprodukcją którejkolwiek z kopii, które w XVII w. mogły uchodzić za obrazy Leonarda da Vinci, choć dzisiaj już wiemy, że są dziełami jego uczniów lub naśladowców.

Jeśli zaś chodzi o obraz z kolekcji króla Karola I, to najprawdopodobniej chodziło o „Salvatora Mundi", który dziś znajduje się w Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina w Moskwie. Dzieło to dziś przypisywane jest Giampietrinowi (uczniowi Leonarda da Vinci), ale jeszcze w XIX w., gdy znajdowało się w rękach moskiewskiej rodziny Mosołow, było atrybuowane samemu Leonardowi. Co najważniejsze, na odwrocie obrazu z Moskwy znajduje się znaczek, którym oznaczane były obrazy w kolekcji Karola I (CR, czyli *Carolus Rex* z koroną). „Salvator" z Abu Dhabi takiego znaczka nie ma – w ogóle nie ma żadnych znaków proweniencyjnych, ponieważ w XIX w. w ramach jakiejś konserwacji usunięto tylną część podobrazia i wzmocniono deski tak zwanym parkietażem. Mogło tam zatem kiedyś coś być, ale tego już się nie dowiemy.

Naciągany opis

Eksperci z Christie's nie mieli pojęcia, iż w Moskwie znajduje się obraz, którego mogą dotyczyć wzmianki zachowane w brytyjskich XVII-wiecznych dokumentach. Przyjęli oni bowiem dwa założenia: po pierwsze, że Karol I faktycznie posiadał oryginalne dzieło da Vinciego, a po drugie, że obraz na ich aukcji to właśnie owo dzieło. Umieścili zatem zapisy o obecności obrazu w brytyjskiej kolekcji królewskiej zgodnie z notatkami z lat 1651 i 1666 jako pewne elementy proweniencji obrazu, a następnie zbudowali hipotetyczną wsteczną historię dzieła.

Skoro wiadomo, że król Francji kupował dzieła Leonarda da Vinci, a żona Karola I pochodziła z Francji, to uznano, że taka właśnie mogła być droga tego obrazu: zamówiony „prawdopodobnie" przez Ludwika XII po roku 1500, mógł przejść drogą pokrętnego dziedziczenia w ręce Henrietty Marii, która w 1625 r. została żoną Karola I i przybyła do Anglii. Pokrętnego, ponieważ Henrietta Maria nie była w prostej linii potomkiem Ludwika XII, lecz córką Henryka IV Burbona (którego babka po kądzieli, Małgorzata d'Angoulême, była siostrą króla Franciszka I, a ten z kolei był kuzynem i zięciem Ludwika XII, oraz przejął po nim tron francuski).

Jakby tego było mało, tę właśnie – już i tak poszlakową – proweniencję nadwyrężyła jeszcze publikacja przygotowana przez Jeremy'ego Wooda do 80. tomu rocznika „The Walpole Society". Okazuje się, że Chrystus z globem w dłoni, autorstwa Leonarda da Vinci, znajdował się w latach 1638-41 w kolekcji Jamesa trzeciego markiza Hamiltona w jego posiadłości w Chelsea. Jeśli to ten sam obraz, który trafił później w ręce Karola I, to wygląda na to, że jednak król nie przejął go prosto z Francji od swojej narzeczonej...

Zatem całą historię sprzed 1900 r., zaproponowaną w opisie aukcji dla obrazu „Salvatora Mundi", możemy uznać za czystą spekulację. Wiarygodności ekspertów z renomowanego Christie's nie pomaga także pozostała część opisu tej aukcji: pisząc o „unikatowości kompozycji Leonarda" wykazali się oni bowiem brakiem znajomości ikonografii tego określonego typu, jakim był *Salvator Mundi*. W dodatku, ignorując XV-wieczne ↦



WIKIPEDIA

„Salvator Mundi", grafika Wenceslausa Hollara z 1650 r.



WIKIPEDIA

Giampietrino (1495–1549) „Salvator Mundi" z Moskwy

↦ północnoeuropejskie tradycje artystyczne, porównali „Salvatora" do błogosławiącego Chrystusa z ołtarza z warsztatu Giotta, błędnie określając ten ostatni jako pochodzący z XV wieku (zamiast początków wieku XIV). Ekspertom Christie's najwyraźniej zabrakło – choć to wydaje się niemożliwe – profesjonalizmu.

Co to właściwie jest Salvator Mundi?

Typ ikonograficzny *Salvator Mundi* (łac. Zbawiciel Świata) jest to w większości przypadków przedstawienie Chrystusa w ujęciu frontalnym, w półfigurze lub całopostaciowo.

Prawa dłoń Zbawiciela wykonuje gest błogosławieństwa, podczas gdy w lewej trzyma On glob; w rzadkich przypadkach, gdy glob widnieje pod stopą Jezusa, w lewej Jego dłoni spoczywa księga. Nie ma korony na głowie, ubrany jest w prostą szatę, czasem także w płaszcz; całopostaciowe ujęcia ukazują również bose stopy. Jeśli przedstawienie ma banderolę, to najczęściej zawiera ona cytat z Ewangelii wg św. Jana: „Ego *sum via veritas et vita*" („Ja jestem drogą, prawdą i życiem", J 14, 6) lub „*Ego sum lux mundi*" („Ja jestem światłością świata", J 8, 12). Zbawiciel nawiązuje z widzem kontakt wzrokowy, a prostota i spokój kompozycji eliminują dystans.



WIKIPEDIA

Rogier van der Weyden, środkowa część Tryptyku Braque (fragment), ok. 1450, Luwr

Salvator Mundi wyewoluował zapewne w Niderlandach w XV w. z połączenia przedstawień w typie *Maiestas Domini* (Chrystus władca) z Veraikonem, czy raczej z Mandylionem, czyli twarzą Chrystusa odbitą na chuście, uważaną za „prawdziwy wizerunek" (*Vera effigies*), traktowany jako przedstawienie Chrystusa o charakterze portretowym (zresztą na tym gruncie wyrosły intymne ujęcia popiersiowe, popularne w XV w., określane właśnie mianem „portretów Chrystusa", których funkcją było ukazanie Boga w ludzkiej naturze). Z kolei z przedstawień Chrystusa władcy (*Maiestas Domini*) wywodzić można charakterystyczny dla Salvatora gest błogosławieństwa oraz atrybut w postaci globu (jabłka królewskiego lub kryształowej sfery).

Większość zachowanych przykładów to wizerunki półpostaciowe, czasem w oknie lub przy parapecie – tego typu przedstawienia były bardzo popularne w malarstwie północnoeuropejskim, tablicowym i książkowym od drugiej połowy XV w. Niezależnie od tego, komu przypiszemy autorstwo „Salvatora Mundi" z Abu Dhabi, obraz ten wpisuje się w szeroki nurt przedstawień popularnych ok. 1500 r. – w żadnym przypadku nie jest to zatem kompozycja unikatowa.

Mnożące się wątpliwości

„Salvator Mundi" z Abu Dhabi niewątpliwie przypomina dzieła Leonarda da Vinci, szczególnie w swym niesłychanie miękkim modelunku, choć część historyków sztuki sugerowała, że analiza stylistyczna wielokrotnie przemalowywanego i konserwowanego obrazu może nie być miarodajna.

Niepokój badaczy budzi na przykład kryształowa kula w dłoni Zbawiciela. Została namalowana nieporadnie: nienaturalnie odbija się w niej światło, niepoprawnie też ukazano widoczny przez nią fragment dłoni i szat Chrystusa, a przecież wiemy, że Leonardo da Vinci studiował zagadnienia optyki i nie popełniłby tego typu błędów. W dodatku zachowane są takie kopie obrazu Leonarda, w których owa kula namalowana została znacznie lepiej – tak jest zresztą nawet w przypadku wspomnianej wyżej XVII-wiecznej grafiki Wenceslausa Hollara. Czyżby zatem uczniowie i naśladowcy „poprawiali" arcydzieło mistrza? A może jednak tego „Salvatora" nie namalował w całości sam Leonardo da Vinci?

Ja sama na wykładach mówiłam studentom, że – jakkolwiek kontrowersyjnie to brzmi – moim zdaniem Leonardo da Vinci nie był malarzem. Był naukowcem, badaczem, a malarstwo traktował jako jedną ze swych aktywności (zajmował się bardzo różnymi dziedzinami sztuk i nauk, a najwięcej chyba zarabiał na projektach, które nazwalibyśmy inżynieryjnymi).

Czasem nie kończył swoich obrazów – tak jakby namalowanie obrazu nie było jego celem, ale tylko środkiem do rozwiązania jakiegoś problemu (np. zagadnienia związanego z ujęciem perspektywicznym). Dlatego właśnie śmiem twierdzić, że był raczej naukowcem niż malarzem: potrafił porzucić niedokończone dzieło, kiedy uznał, że jego ciekawość badawcza została w interesującym go aspekcie zaspokojona. Co ciekawe, w obrazach Leonarda da Vinci często nie widać jego wiedzy z zakresu anatomii, a jednocześnie zachowane notatki dowodzą, iż dokonywał sekcji zwłok i bardzo dobrze znał sekrety ludzkiego ciała. Z drugiej strony musimy pamiętać, że ówczesne warsztaty malarskie opierały się z założenia na pracy zespołowej – mistrz przyjmował zamówienie i nadzorował jego realizację, ale w dużej części malować mogli jego uczniowie i współpracownicy.

Dla mnie kontrowersje wokół omawianego tu obrazu nie tyle wiążą się z pytaniem o jego autorstwo, ile dotyczą mechanizmów funkcjonowania dzisiejszego rynku sztuki. Nie jestem przekonana, że ten obraz jest autorskim dziełem samego Leonarda da Vinci, ale nie wykluczałabym możliwości, że powstał w jego pracowni. Nie to wydaje mi się jednak najważniejsze – znacznie bardziej niepokoi mnie fakt, że wielomilionowe transakcje na współczesnym rynku sztuki oparte są na osądach ekspertów, którzy nie potrafią poprawnie zanalizować ikonografii wystawionego na aukcji dzieła i w dodatku tworzą do niego spekulacyjną – a nawet opartą na niedociągnięciach badawczych – proweniencję! I jakby tego było mało, w powietrzu unosi się jeszcze pytanie: na ile „leonardowska" stylistyka tego obrazu może być efektem wielokrotnych konserwacji... Czy w tej sytuacji w ogóle można wysuwać jakiekolwiek wiarygodne hipotezy na temat autorstwa „Salvatora" z Abu Dhabi?


WIKIPEDIA

„Mona Lisa" z Luwru


ALBERTO OTERO / WIKIPEDIA

„Mona Lisa" z Isleworth, kolekcja prywatna


ALBERTO OTERO / WIKIPEDIA

„Mona Lisa" z Prado

Przypadek Giocondy

KŁOPOT Z TWÓRCZOŚCIĄ

Leonarda da Vinci jest taki, że miał on uczniów oraz licznych naśladowców. Już nawet w warsztacie mistrza powstawały dzieła, które dziś niekoniecznie nazwalibyśmy w pełni „autorskimi"; ciekawym świadectwem w tej kwestii może być przekaz Fra Pietro da Novellara, który odwiedził pracownię Leonarda wiosną 1501 r. Zanotował bowiem, że mistrz ma uczniów, którzy produkują kolejne kopie obrazów, do których on coś tylko domalowuje od czasu do czasu. Interesująco w tym kontekście przedstawia się sprawa Mony Lisy.

Arcydzieło z Luwru doczekało się kilkudziesięciu kopii, zachowanych w różnych zbiorach, ale szczególnie ciekawym przypadkiem jest obraz przechowywany w Prado w Madrycie. Po kompleksowej renowacji w 2012 r. (związanej m.in. z usunięciem wtórnego ciemnego tła) okazał się dziełem bardzo wysokiej klasy. Uznany zatem został za kopię namalowaną przez ucznia Leonarda pod okiem mistrza, lecz badania rysunków przygotowawczych dowiodły, że w obu wersjach – tej z Paryża i tej z Madrytu – jednocześnie były wprowadzane takie same zmiany na etapie planowania kompozycji. Dziś wydaje się zatem, że obraz w Prado to nie tyle kopia Mony Lisy z Luwru, ile raczej wersja namalowana w tym samym czasie i w tym samym warsztacie. To jednak nie koniec problemu Mony Lisy; otóż w prywatnej kolekcji znajduje się obraz z początków XVI w., atrybuowany Leonardowi da Vinci, przedstawiający jakby nieco młodszą, ale tę samą modelkę – to tak zwana Mona Lisa z Isleworth (nazwa wywodzi się z brytyjskiej kolekcji prywatnej, w której obraz ten znajdował się po 1913 r.). Część badaczy sugeruje, że to właśnie jest „prawdziwa" Mona Lisa. Obraz ten wygląda na nie dokończony, a Giorgio Vasari zanotował, że Leonardo malował portret pani Lisy (żony Franciszka del Giocondo) przez cztery lata, ale nigdy go nie dokończył. Technologiczne badania Mony Lisy z Isleworth wydają się potwierdzać, iż jest ona dziełem Leonarda da Vinci. ©

Teoria spiskowa

Wokół problematycznego „Salvatora" narosły – już po jego sprzedaży – zupełnie nowe kontrowersje. Od kilku miesięcy bowiem w prasie mnożą się spekulacje dotyczące ewentualnej roli, jaką w tej rekordowej transakcji miał odegrać prezydent USA, Donald Trump.

Nie wnikając w skomplikowane i wielopoziomowe relacje biznesowe, istniejące między wszystkimi stronami tej transakcji, można w największym skrócie powiedzieć tak: część historyków i dziennikarzy nie wierzy w to, że cena obrazu na aukcji w Nowym Jorku została podbita „przypadkiem".

Beneficjentem tego „przypadku" jest oczywiście sprzedający dzieło, czyli rosyjski oligarcha Dmitry Rybolowlew, który, jak się okazało, kilkanaście lat temu uratował Donalda Trumpa przed bankructwem, kupując od niego willę. Zapłacił za nią 95 mln dolarów, co było ceną ponad dwukrotnie przewyższającą wartość nieruchomości – następnie wyburzył zabudowę i podzielił działkę na kilka części, celem odsprzedania, ale nie udało mu się chyba nawet odzyskać zainwestowanej sumy, nie mówiąc już o osiągnięciu jakiegokolwiek zysku.

Niewątpliwie niespodziewana nadwyżka, uzyskana na sprzedaży renesansowego obrazu, z nawiązką wyrównała Rybolowlewowi wszelkie wcześniejsze finansowe niepowodzenia. Zwolennicy teorii, że sprzedaż „Salvatora Mundi" była starannie zaplanowaną transakcją, w której większy lub mniejszy udział miały władze Rosji, Stanów Zjednoczonych oraz książęta arabscy, podkreślają także, że rynek sztuki jest uważany za jedno z głównych narzędzi prania brudnych pieniędzy.

Zauważają również, że jakoś nikt dziś nie potrafi powiedzieć, co się właściwie z tym obrazem stało i gdzie w tej chwili się on znajduje. Wieść niesie, że nie trafił do Abu Dhabi, lecz leży w sejfie któregoś z banków w Genewie. © MAGDALENA ŁANUSZKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Wypstrykanie w dolinie



Wenecja Północy, Paryż Wschodu, Druga Japonia. Dolina Krzemowa Unii Europejskiej i tak dalej, i tak dalej. Otóż bardzo, od dziecka, lubimy przyrównania i parabole tego rodzaju. Człowiek wysiadał z pociągu, dajmy na to w Tczewie, i od razu natykał się w lokalnej prasie, bez której nie ma udanych wakacji, na tego typu fantazje wzmagające poczucie dumy. Zawsześmy też marzyli, by ktoś, gdzieś, kiedyś, w świecie użył frazy w rodzaju Warszawa Zachodu, co barwnie kreśliłoby piękno, dajmy na to, Paryża. Niestety z podobnych atrakcji mamy tylko Warszawę Zachodnią. Jest to skądinąd miły przystanek kolejowy, ale doprawdy nic więcej i bez przesady.

Przechodząc do konkretów, nie wiemy zaiste, co można mieć na myśli używając określenia Dolina Krzemowa na cokolwiek w Polsce. Jest w tym oczywiście głównie solidny kompleks, plus silne oderwanie od rzeczywistości, bądź są to zaawansowane majaki pod wpływem zjedzenia psiurów. Po co się od rzeczywistości odrywać? Na to pytanie mogą odpowiedzieć tylko medycy, którzy – to nasze zdanie – powinni mieć główną rolę w definiowaniu sytuacji w Polsce. Analitycy innych branż się tu nie sprawdzali, nie sprawdzają i nie sprawdzą. W tym sensie wszystkim dzisiejszym maturzystom odradzamy podejmowanie studiów na kierunkach takich jak nauki polityczne bądź socjologia, mocno zaś zalecamy studiowanie medycyny, a w ostateczności farmakologii. Kto nie ma czasu na mozoły uniwersyteckie i szarpaninę z łaciną lekarską, winien pójść do znachora do terminu. Zaiste po miesiącu będzie mógł śmiało występować w telewizji, a wcześniej zostać sobie premierem – dajmy na to – Morawieckim, jest to bowiem tak niesłychanie prostym wyzwaniem, że doprawdy ze świecą szukać podobnych.

Sprawa o poniekąd podobnej etiologii, jak nasza krzemowość, dolinowatość, by nie rzec: silikonowość, to nieco niespodziewana – jakby przedwyborcza, ale może nie tylko – akcja Gospodarza przeciw walucie europejskiej. Kto żyje w Dolinie Krzemowej Unii Europejskiej od urodzenia, ten wie świetnie, że nikt tu nie miał, nie ma i nie będzie miał nigdy zamiaru wprowadzić euro. Nie bądźmy dziećmi, ekonomia nie ma tu nic do rzeczy, ważna jest tylko magia, duma i jeden z najdziwniejszych sentymentów, jaki z tego bredzenia wyziera, a mianowicie miłość do słowa „złotówka". Skądinąd krytykowanie kogokolwiek za okazywanie miłości jest nie fair.

Idźmyż dalej, wydaje się bowiem, że jesteśmy już blisko mety. Gdy oto zbierzemy wszystko, co zostało powiedziane, odkąd Beata Szydło zdecydowała się aplikować na zagraniczną posadę płaconą w euro, odkąd podjęła heroiczną decyzję, że spędzi kilka lat w towarzystwie tłumacza symultanicznego bądź też internetowego translatora, wszystko to było dziwne i nieoczekiwane w swej oczywistości. Przypomnijmy, dużo było mówione o lekcjach masturbacji dla nieletnich, o homoseksualnym potopie, o dolinach krzemowych i o obcych, w tym o walutach obcych, i znowuż o bezbożnej lewicy. Otóż zebrawszy to wszystko do kupy, mamy uczucie niedojedzenia i jednak niedochlania. Czemu? Pytamy siebie samych. Przecież wszystko to jest w guście i trendzie. Skąd zatem czczość? Skąd poczucie braku? Okropnego przynudzania?

Oto mamy odpowiedź. Wszystko o wszystkim i o wszystkich PiS już powiedział, wszystkie nowiny już z siebie wypstrykał, zdefiniował świat, jego teraźniejszość, wczorajszość i przyszłość. Doszczętnie. Rozegzaltował masy na dowolny temat i nic już nie ma do dodania. To dlatego tak słabowicie i nieprzejmująco brzmią dziś groźby i wieszczby na temat śmierci przebiednej złotóweczki, i zapewne nikomu nie skoczyło ani nie spadło ciśnienie, gdyśmy się dowiedzieli z amerykańskiej telewizji, że Doliną Krzemową jesteśmy. ©℗

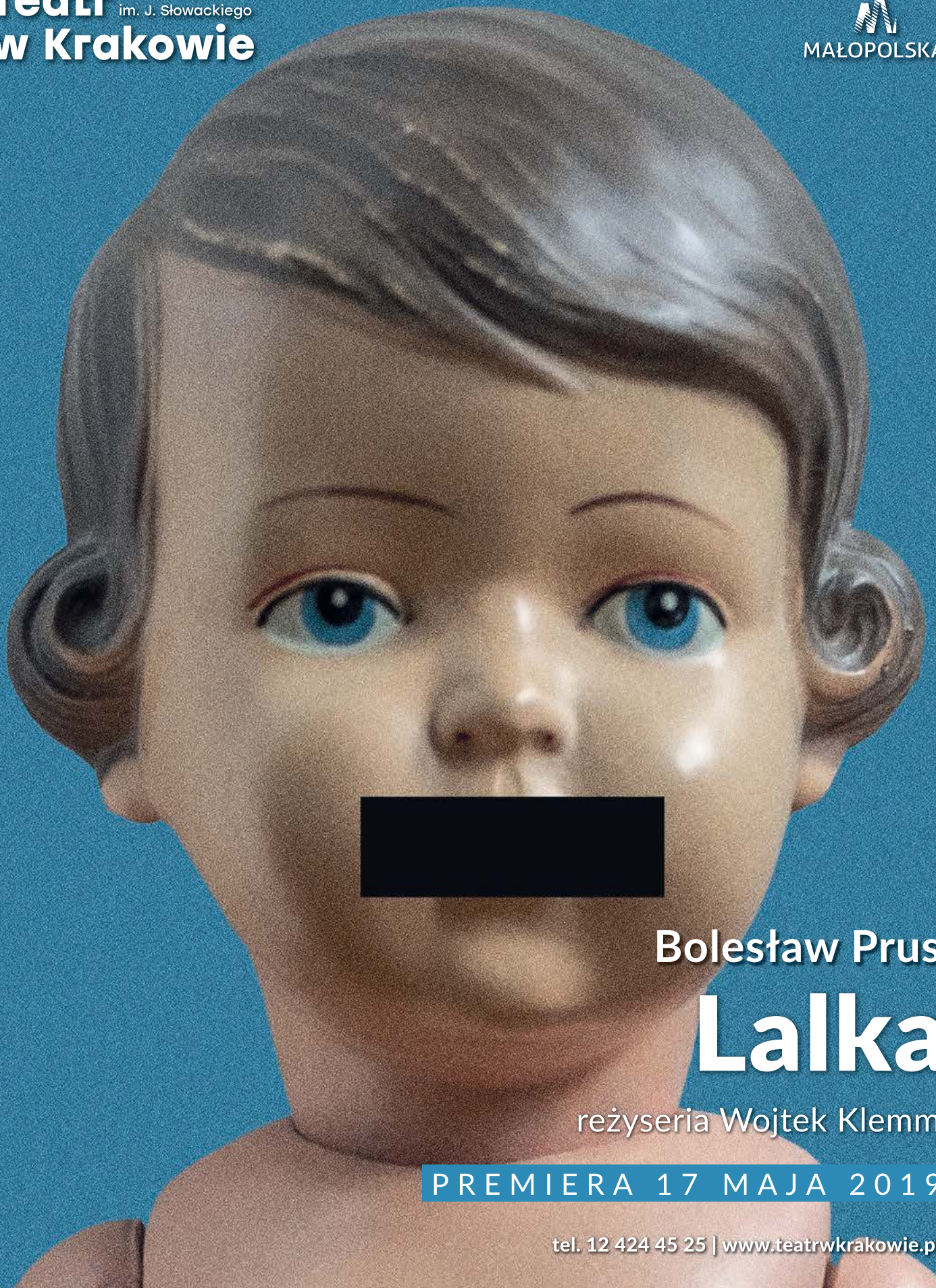
BARTOSZ MINKIEWICZ



REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

MAŁOPOLSKA



Bolesław Prus

Lalka

reżyseria Wojtek Klemm

PREMIERA 17 MAJA 2019

tel. 12 424 45 25 | www.teatrwkrakowie.pl

REKLAMA

Kraków kbf fmf

RMF Classic

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na **www.rmfclassic.pl**

Słuchaj nas on-line:
www.rmfon.pl

Słuchaj nas w telefonie.
Pobierz aplikację w App Store, Google Play, Microsoft Store.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM
Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM
Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM
Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM
Warszawa 98,3 FM
Włocławek 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM